

MICHAELS FERN

**WSZYSTKO CZEGO,
PRAGNIESZ**

Rozdział 1

WSzemrzących Wierzbach czuło się nadchodzące Boże Narodzenie. Ożywały warte miliony dolarów domy w kolonialnym i staro angielskim stylu. Każda wypieszczona dekoracja ze światełek i pachnących choinkowych gałązek przypominała o dorocznym konkursie Izby Handlowej, w którym nagrodą była podróż dla dwóch osób na Hawaje. Tylko jeden dom nie wyglądał świątecznie - nieoświetlony budynek w alei Wierzbowej, pod numerem 24565.

Helen, drżąc ze strachu, czekała, aż otworzą się drzwi. Do jej stóp tulił się mały, skomlący terier.

Przebiegła wzrokiem po pokojach. Zawsze zdumiewały ją drogie meble, zasłony na specjalne zamówienie, gruba, puszysta wykładzina, antyki, dzieła sztuki na ścianach. Życie w przyczepie kempingowej nie przygotowało jej na takie wspnięcia. Jednak żaden z drogich sprzętów jej sienie podobał. Wołałaby urządzić dom bardziej przytulnie i wygodnie, ale jej mąż, Daniel, miał w życiu jeden cel: otoczyć się większym przepychem niż sąsiedzi i współpracownicy. Był bufonem i nie była to jego jedyna wada.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze - taką zobaczy ją mąż, kiedy otworzy drzwi. Może zamiast dresu powinna włożyć sukienkę? Czyjej gęste, kasztanowe włosy, upięte w wysoki kok, nie wyślizną się spod spinek, gdy Daniel wejdzie do domu? Prawie nie poznawała tych ciemnobrązowych oczu, pełnych strachu. Kim jest ta wysoka, zgrabna nieznajoma? Kobieta, która panicznie boi się swojego męża - odpowiedziała sama sobie. Chciałaby móc się położyć i spać przez tydzień. Chciałaby mieć odwagę wybiec w zapadającą noc i nigdy nie wrócić. Chciałaby być wdową. Chciała bardzo wielu rzeczy, ale przede wszystkim chciała spokoju i harmonii. Żadne z jej pragnień nie miało szans się spełnić.

Oderwała wzrok od lustra w hallu.

Samochód wtoczył się na podjazd o wiele za szybko. Drzwi trzasnęły zbyt mocno, zbyt głośno. Wszystko wskazywało na to, że Daniel Ward jest wściekły. A kiedy wpadał w szał, dla Helen kończyło się to w najlepszym przypadku siniakami. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Piesek znów zaskomlał.

- Idź do swojego koszyka, Lucie. Szybko!

Lucie posłuchała zatrwożonego głosu swojej pani i czym prędzej czmychnęła.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Helen, zeszywniała ze strachu, spojrzała niepewnie na męża.

- Witaj, miałeś dziś dobry dzień? - zapytała, siląc się na pogodny ton. Zastanawiała się, czyjej twarz zdradza przerażenie. Widocznie tak, bo oczy Daniela zamieniły się w szparki. Przeszedł przez salon i zatrzymał się przy jadalni, tuż obok Helen. Był tak blisko, że czuła jego oddech.

- Chyba jasno ci powiedziałem, żebyś była gotowa, kiedy wrócę do domu. Do licha, czy ty kiedykolwiek zrobisz, co ci każę?

- Jestem gotowa. Musze jeszcze tylko włożyć sukienkę. Jest Iniana i nie chciałam, żeby się pogniotła - odparła Helen, wpatrując się w twarz męża.

- To dlaczego, do jasnej cholery, kupiłaś Inianą sukienkę? Zanim dojedziemy na przyjęcie, będziesz wyglądać jak pieprzona fleja.

- Mogę włożyć coś innego. To naprawdę żaden problem.

- Czyja zawsze muszę za ciebie myśleć? Dlaczego nie potrafisz sama sensownie decydować? Miałaś włożyć coś odświętnego i wystrzałowego na przyjęcie gwiazdkowe. Len na pewno nie robi wrażenia, nie jest ani odświętny, ani wystrzałowy. Tak samo jak ty, Helen.

Może gdyby teraz odwróciła się i poszła do swojej sypialni, dałby jej spokój. Dużo było takich „może”. Wiedziała jednak, że się nie ruszy. Bo jak się ruszyć, skoro nogi wrosły jej w podłogę?

Daniel zrobił krok naprzód, deptając igły, które opadły z choinki.

- Co ty, do diabła, robisz przez cały dzień? Dlaczego cała podłoga jest zasypana igłami? Patrz! Na stole też ich pełno. Czy to takie cholemie trudne, pozamiatać sosnowe igły?

Głos Helen był ledwie odrobinę głośniejszy od szeptu.

- Wszystko wyszło. Spryskiwałam stroik, choinka też jest podłana. Sprzątałam tu dziś kilka razy. Choinka ma już dwa tygodnie, stroik też - wymamrotała. Nie była pewna, czy mąż słyszy te usprawiedliwienia. Ale w końcu co to ma za znaczenie.

- Chcesz powiedzieć, że źle wybrałem choinkę i stroik? - Jego głos był tak nieprzyjemny i pełen nienawiści, że Helen żołądek aż ścisnął się ze stracha

Tak, tak, tak.

- Nic takiego nie twierdzą. Drzewka szybko wysychają, bo tego lata było za mało deszczu. Tak mówił sprzedawca, kiedy kupowaliśmy choinkę. W wiadomościach też mówili. Ostrzegali nawet, żeby uważać ze sztucznymi ogniami.

- Nie słyszałem, żeby sprzedawca coś mówił, a już na pewno nie słyszałem nic takiego w wiadomościach. To tylko twoja kolejna dumna wymówka. Posprzątaj zaraz ten cholerny bałagan, bo się w końcu spóźnimy.

Według Daniela „posprzątać bałagan” znaczyło, że trzeba wyciągnąć odkurzacz, zmieść igły na kupkę, potem na szufelkę, po czym wszystko starannie odkurzyć. Na stół położyć świeży obrus, a wiadomo, że wtedy opadnie jeszcze więcej igieł. Potem schować odkurzacz do szafy. Wszystko zajmie mnóstwo czasu, co najmniej pół godziny. I przez te pół godziny spóźnią się na coroczne gwiazdkowe przyjęcie Arthura Kinga. Helen zbierało się na płacz. Przygryzła jednak dolną wargę, aż poczuła smak krwi. Musi iść po odkurzacz, i to szybko.

Nie patrz mu w oczy. Idź po odkurzacz. Łatwo powiedzieć, nie tak łatwo zrobić.

- To zajmie mi tylko chwilkę.

- Chwilkę, akurat! Zajmie ci to z pół godziny, jeśli masz to porządnie zrobić. I jeszcze musisz się ubrać. Powinnaś być już ubrana i czekać przy drzwiach. King nie znosi, gdy ktoś się spóźnia. Zapowiadał na dziś wieczór jakieś ważne oświadczenie. A to znaczy, że dostanę awans. Jak to będzie wyglądać, kiedy się godzinę spóźnimy?

Helen skuliła się bez słowa. Wiedziała, że nie pójdzie dziś na przyjęcie. Zrób to, Daniel, miejmy to już z głowy. Stłucz mnie na granatowo i idź sobie. Byle szybko, krzyczała w duchu.

Pierwszy cios trafił ją w kość policzkową. Drugi sprawił, że zatoczyła się prosto na choinkę, która się przewróciła. Helen słyszała brzęk tłukącego się szkła, deszcz kłujących, sosnowych igieł zasypał jej twarz. Czowała ciepłe strużki krwi na policzku i szyi. Potrzebne będą szwy. Boże wszechmogący, co też tym razem powie na ostrym dyżurze! Próbowwała się podnieść, ale przeszkadzały jej kolczaste, suche gałązki. Nagle została poderwana do góry, aż głowa jej odskoczyła. Potężny cios w pierś znów posłał ją między gałęzie. Zanim straciła oddech, krzyknęła:

- Przestań! Proszę cię, Daniel, przestań! Idź na przyjęcie. Ja posprzątam. Powiedz im, że mam grypę. Proszę cię!

- Do cholery, oczywiście, że posprzątasz! Mam już dość kłamstw z twojego powodu! Zawsze wszystko psujesz! Zdaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozумы. Jesteś taka sama jak moja matka i siostra, ale one przynajmniej myślą. A ty jesteś cholerną idiotką. Kompletnym bezmózgowcem!

Z trudem chwytając oddech, Helen próbowała uwolnić się z gałęzi. Klęcząc, dostrzegła, że Daniel podnosi nogę. Chciała przetoczyć się na bok, ale wielka sosna trzymała ją mocno i potężny kopniak spadł na nią z wielką siłą. Krzyczała, gdy ostry, pulsujący ból falami zalewał jej ciało. Czowała, że zemdleje, a ogarniająca ją ciemność niosła ukojenie.

Zaalarmował ją gwałtowny ruch. Kątem nieuszkodzonego oka spostrzegła swoją suczkę, która z determinacją rzuciła się jej na ratunek. Zobaczyła, że stopa Daniela podnosi się po raz drugi, ujrzała Lucie na czubku jego buta, w ułamku sekundy psiak wyleciał w powietrze i wylądował obok jej głowy w gąszczu gałęzi.

- Ty lotrze! Ty wstrętny, śmierdzący draniu! - wrzasnęła Helen. Zebrała resztki sił i wydostała się spomiędzy gałęzi. Znalazłszy się tuż obok kominka, sięgnęła po leżący na podłodze ciężki pogrzebacz. Poprzez własny krzyk słyszała skomlenie Lucie.

- Już, Lucie. Już, pieseczku.

Podniosła się na kolana z pogrzebaczem w dłoni. Ból przeszył jej ciało, gdy spróbowała stanąć na nogi. Widząc, że Daniel po raz trzeci wymierza kopniaka, z całych sił machnęła pogrzebaczem. Kiedy Daniel zgiął się wpół, uderzyła go po plecach.

- I jak się teraz czujesz, sukinsynu? Przyjemnie ci? - ryknęła. Zobaczywszy, że krew zaczyna przesiąkać Danielowi przez marynarkę, przygniotła mu głowę nogą i wykonała ruch, jakby rozgniatła robaka.

- Poczekaj no, posmakuj i tego.

Zamachnęła się i kopnęła go potężnie w bok, raz, drugi i trzeci.

- A teraz sobie idź na to twoje przekłete przyjęcie. I życzę ci cholernie miłej zabawy. Słyszysz? - Była wściekła. Przeszywał ją coraz ostrzejszy ból, musiała więc oprzeć się o kominek.

Ale po chwili trzymała już Lucie w ramionach. Wyszła z domu i chwiejniejszym krokiem zagłębiła się w ciemnościach, szepcząc do pieska:

- Zabieram cię do weterynarza, Lucie. Znajdę pomoc dla ciebie. I ni gdy tu już nie wrócimy. Wolę raczej sprzątać toalety na jakiejś brudnej stacji benzynowej, niż tu wrócić. Wszystko będzie dobrze, wyzdrowiejesz, maleń

stwo. Ale wytrzymaj. Proszę cię, wytrzymaj, Lucie. Mam tylko ciebie.

Wszyst

ko będzie dobrze. Obiecuję. Przyrzekam, Lucie. Nigdy nie składam obietnic,

jeśli nie mogę ich dotrzymać. Zaufaj mi, malutka. Muszę tylko trochę odpo

cząć. Tylko chwilkę. Muszę się zorientować, gdzie jesteśmy. Nie widzę zbyt

dobrze przez tę opuchliznę. Wszystko będzie dobrze, Lucie.

Przyrzekam.

Przyrzekam ci, Lucie.

Nagle usłyszała pisk opon; zamarła zaskoczona. Upadła na kolana, oślepiona światłami samochodu, kurczowo przyciskając do siebie pieska.

- Czy pani się dobrze czuje? Co się stało? - krzyknął kierowca. - W ostatniej chwili panią zauważyłem! - Miał miły, pełen troski głos.

- Proszę mi pomóc. Proszę mnie zabrać do najbliższego weterynarza. Muszę ratować mojego psa. Czy może pan to zrobić?

- Da pani radę wsiąść do samochodu? - zapytał.

- Tak. Proszę się pośpieszyć. Mój pies potrzebuje pomocy.

- Kilka przecznic stąd mieszka weterynarz. Nazywa się chyba Davis. Ma lecznicę na tyłach domu. Może być? - W głosie dobrego samarytanina zabrzmiał niepokój.

- A niechby nawet pracował w namiocie. W porządku. Bardzo, bardzo dziękuję. Ale nie mam pieniędzy, żeby... panu zapłacić.

- Nie chcę żadnych pieniędzy. I nie chcę wiedzieć, co się stało. To znaczy. .. nie to miałem na myśli. Ja tylko nie chcę być w nic zamieszany.

- Muszę tylko dotrzeć do weterynarza. Podrzuci mnie pan i nigdy więcej nie zobaczy. Daleko jeszcze?

- To już tutaj. Stanę na podjeździe i zadzwonię do drzwi. Zaraz potem odjadę. Pomogę pani wysiąść. Jezu, kobieto, na pewno wszystko z panią w porządku? Wygląda pani gorzej niż ten pies. Proszę mnie wziąć pod ramię. Mam go ponieść?

- Przecież nie chce się pan w nic mieszać. Nie, nie trzeba. Sama ją zaniosę. Dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że będę się kiedyś mogła odwdziaczyć.

- Widać światło, ktoś otwiera drzwi. Ostrożnie. Panią też powinien obejrzeć lekarz.

- Tak, jak tylko będę pewna, że psu nic nie jest. Jeszcze raz dziękuję.

Weszła do czystej, pachnącej środkiem dezynfekcyjnym lecznicy. Łzy popłynęły jej z oczu.

- Proszę pomóc mojej suczce. Mam tylko ją. Wiem, jak wyglądam, proszę się mną nie przejmować. Bywało gorzej. Musi pan do niej mówić. Jest przerażona. Przyszłam, jak mogłam najszybciej. Może nie powinnam była jej ruszać, ale nie wiedziałam, co zrobić. Pomoże jej pan, prawda? Przyrzekłam jej, że wyzdrowieje. Przyrzekłam, że będę się nią zawsze opiekować. Nigdy nie łamię obietnic. Mam tylko ją, a ona ma tylko mnie. Proszę, błagam, niech jej pan pomoże.

- Niech pani siada! I nie rusza się! Bez dyskusji! Zajmę się psem. To mój zawód. A kiedy już jemu pomogę, opatrzę i panią. Jak jej na imię? - Jego głos, choć surowy, nie był niemiły.

- Lucie. Tylko ja jedną mam na świecie. Pan musi to zrozumieć. Ona... ona lubi, kiedy się śpiewa „Błyskaj, błyskaj, gwiazdko mała...”.

- Głos Helen załamał się.

- Chyba sobie poradzę. W butelce pod zlewem jest trochę brandy, młoda damo. Proszę wypić kilka łyków. Dobrze to pani zrobi.

Helen długo patrzyła w łagodne oczy. Weterynarz jak z obrazka. Siwe włosy, rumiane policzki, okulary w drucianych oprawkach, ciepły uśmiech i cudowne ręce. Ręce, które uleczą Lucie. Skinęła głową i pociągnęła łyk.

A potem czekała.

Zupełnie straciła poczucie czasu, wpatrzona w białą ścianę z podobiznami tasiemców, pcheł i innych pasożytów. Modliła się za Lucie, przeklinała swojego męża, by po chwili prosić Boga o wybaczenie tych niegodziwych myśli.

Czy Daniel żyje? Miała nadzieję, że nie. Ale źli, podli ludzie, tacy jak on, nie umierają tak łatwo. Żyją, by dręczyć innych. Gdyby Daniel umarł, ona byłaby morderczynią. Poszłaby do więzienia. Kto wtedy zająłby się Lucie? Czy doktor Gerald Davis przygarnąłby ją i kochał tak, jak ona ją kochała? Może powinna zadzwonić do domu i sprawdzić, czy Daniel żyje? Jeśli odbierze policjant, będzie wiedziała, że go zabiła.

Co się z nią stanie? Jeśli Daniel żyje, to czy złoży doniesienie na policję? Czy zaczną jej szukać? Nie miała ani centa. Może mogłaby pójść do schroniska dla kobiet. Może ten miły weterynarz mógłby ją tam zabrać. A może, tak jak tamten samarytanin, nie będzie chciał się w nic płatać. Która to godzina? No proszę, zgubiła zegarek.

Usłyszała ciche kroki i podniosła głowę. Był wysoki. Prawie tak wysoki jak Daniel. Spróbowała wstać, ale weterynarz położył jej dłoń na ramieniu, dając do zrozumienia, że nie powinna się ruszać.

- Lucie odpoczywa. Miała pani rację, uspokoiła się, kiedy tylko zacząłem. .. hmm... śpiewać. Będziemy wiedzieć więcej w ciągu najbliższych kilku godzin. Na razie nic nie jest pewne.

- Chcę ją zobaczyć.

- Teraz śpi. Jej stan się nie pogarsza.

- Nieważne. Chcę ją zobaczyć. Musi poczuć mój dotyk. Psy to czują, nawet kiedy śpią. Nie może pomyśleć, że ją zostawiłam.

Proszę.

Pokuśtykała za weterynarzem. Uniosła dłoń do ust, kiedy zobaczyła, że jej ukochany piesek leży tak nieruchomo.

- Tylko nie umieraj, Lucie - bełkotała przez łzy. - Słyszysz mnie?

Mam

tylko ciebie. Nie przyniosłam cię tutaj po to, żebyś umarła.

Przyniosłam cię,

żebyś wyzdrowiała. Zostałyśmy zupełnie same. Nigdy już tam nie wrócimy,

przenigdy. Słyszysz? Nigdy w życiu. Znajdę kogoś, kto nam pomoże, ale najpierw musisz wyzdrowieć. Obiecałam ci, że będę się tobą zawsze opiekować. Nigdy nie łamię obietnic. „3fyskaj, błyskaj, gwiazdko mała, gdzieżeś mi

się dziś schowała...” - zaczęła cicho śpiewać. - Dopiero teraz śpi - zwróciła

się do weterynarza. - To dobry sen. Musiała usłyszeć mój głos, żeby

wiedzieć, że jestem przy niej. Poznaję to po tym, jak oddycha. Proszę spojrzeć, doktorze, niech pan sam zobaczy.

- Do licha. Pomyśleć, że tyle lat studiowałem medycynę i nie wiedziałem, że czasem psu trzeba pośpiewać. Ma pani rację. Lucie oddycha lżej. Zatem teraz proszę ze mną, zobaczę, co mogę zrobić dla pani. Lucie na razie niczego nie potrzebuje, a my będziemy obok. Niech pani łyknie jeszcze ze dwa razy z tej butelki. Trzeba będzie założyć kilka szwów. I podejrzewam, że ma pani parę złamanych żeber. Kto panią tak urządził?

- Mój mąż. - Boże, co za ulga, móc powiedzieć to wreszcie głośno.

- To nie pierwszy raz?

- Tak jest od dawna. Chciałam odejść. Próbowalam, ale zawsze odnajdywał mnie i ściągał z powrotem. Nie mam pieniędzy, nie mam dokąd pójść. Ja... ja nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział. Czuję się... taka poniżona, a jednocześnie śmieszna. Próbowalam... Cokolwiek zrobiłam, nigdy nie było dobrze. Zawsze potem mówił, że mu przykro, obiecywał, że to się nie powtórzy. Że to przez stresującą pracę. Dawał mi prezenty, jakiś czas był naprawdę miły, a potem znowu to robił. Raz zadzwoniłam do schroniska dla kobiet, a on się dowiedział. Przyszedł do domu i sprawdził, do kogo dzwoniłam. Nasz telefon ma taką funkcję. Powiedział, że jeśli spróbuję jeszcze raz, zabije Lucie. Dzisiaj posunął się za daleko. Nigdy przedtem nie skrzywdził Lucie. To on mi ją podarował. Czy zawieszę mnie pan do schroniska, kiedy Lucie poczuje się lepiej? Znajdę jakiś sposób, żeby się panu odwdzińczyć. To może mi zająć trochę czasu, ale na pewno się odwdzięczę.

- Proszę podnieść bluzkę. Zrobię kilka zdjęć rentgenowskich. Młoda damo, pani jest w gorszym stanie niż pies. Dlaczego nigdy nie poszła pani na policję?

- Strach to okropna rzecz, doktorze Davis. Każdy dzień mojego życia wypełniał strach. Nie byłam w stanie znieść nawet myśli, że mogłabym pójść na policję. Jestem tchórzem. Naprawdę szczerze wierzyłam, że on mnie zabije. Znosiłam jakoś to wszystko dzięki Lucie. Ona mnie kocha.

- Tak, myślę, że tak. Zwierzęta są niesamowite. Pocieszają nas, kocha-ją bezwarunkowo i są lojalne. To nasi najlepsi przyjaciele - zapewnił żarliwie weterynarz.

- Pomogła mi przetrwać wiele trudnych chwil. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo ją kocham.

- Chyba wpadłem na niezły pomysł. Skoro już was obie jakoś pocerowałem, może rozstawię pani łóżko polowe obok Lucie. Ja też mam dosyć wrażeń na dzisiaj. Nie jestem już taki młody. Położę się spać. Gdyby mnie pani potrzebowała, proszę otworzyć drzwi do pokoju zabiegowego i zawołać. Sypiam czujnie jak zając.

- Nie wiem, jak panu dziękować, doktorze.

- Za podziękowanie wystarczy mi, kiedy zobaczę, że pani i Lucie macie się lepiej. Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić?

- Nie. I nie musi pan rozkładać dla mnie łóżka. Mogę spać na krześle. Jutro rano muszę stąd zniknąć. Daniel będzie mnie szukał. Wie, że poturbował Lucie, i domyśli się, że zabrałam ją do weterynarza.

- Z tego, co pani mi powiedziała, nie sędzę, żeby pani szukał, przynajmniej przez kilka dni. I sam mógł wylądować w szpitalu. Mogę to rano sprawdzić. Proszę mnie zawołać, jeśli Lucie się obudzi. To mało prawdopodobne, ale nigdy nie wiadomo.

Helen kiwnęła głową. Zaczekała, aż weterynarz wróci ze składanym łóżkiem, kocami i poduszką.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, otworzyła boks, w którym spała Lucie, i wśliznęła się na jej leżankę. Po policzkach spłynęły jej łzy.

- „Błyskaj, błyskaj, gwiazdko mała, gdzieżeś...”

W swojej sypialni na piętrze Gerald Davis podniósł słuchawkę telefonu i szybko wystukał numer.

- Izzie, mówi Geny. Chciałbym, żebyś z samego rano przyszła do lecznicy. Poznasz kogoś. Ona i jej suczka Lucie potrzebują twój jej pomocy. Wy

starczy, jeśli przyjdiesz rano. Wiedziałem, że jak tylko wspomnę o Lucie,

będziesz chciała natychmiast się tu zjawić. Zaufaj mi. Wpół do szóstej będzie

akurat - westchnął. - Nie zaśniesz, prawda? Dobrze, przyjedź

zaraz. Wejdz

frontowymi drzwiami. Kawa? Myślałem raczej o podwójnym

burbonie. Będzie czekał. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Do

zobaczenia za chwilę.

Isabel Tyger wpadła do salonu Geralda, tryskając energią.

- Mam nadzieję, że nikt mnie nie zauważył o tej porze. To mogłoby ci zepsuć opinię, Geny. Gdzie one są?

- Na miłość boską, Izzie, usiądź i napij się. Młoda dama i jej piesek śpią. Nie możemy nic zrobić, dopóki nie minie noc, nie jestem też pewien, czy i potem będziemy w stanie jakoś pomóc. Nie wiem nawet, czy pies przeżyje. Myślę, że tak, ale pewności nie mam. Nigdy w życiu nie widziałem nic smutniejszego. No, może raz.

Dobrze już, dobrze, chodźmy. Nie waż się nawet pisać, Izzie. Zajrzymy przez próg i tyle. Obiecuj!

- Obiecuję. Czemu zadzwoniłeś dopiero teraz? - powiedziała z wyrzutem. Geny zignorował pytanie i na palcach podszedł do drzwi sali operacyjnej.

- Boże drogi - wyszeptała Isabel, ocierając łzę. Podąła swoją chusteczkę Gerry'emu, który sam szybko wytarł oczy.

Gdy znaleźli się w kuchni, Isabel wzięła się pod boki. Trzęsąc się z gniewu, drżącym głosem zażądała bliższych informacji o młodej kobiecie.

- Nie wiem, kim jest. Nie pytałem o nazwisko. Nauczyłem się tego od ciebie. Czuję, że i tak wiem za dużo, skoro znam imię jej psa. Powiedziała, że pobił ją mąż. Tym razem mu oddała, nieźle mu dołożyła. Nigdy przedtem się nie broniła. Dzisiaj jej mąż poturbował psa. I miarka się przebrała. Może coś dobrego z tego wyniknie, Izzie. Zabierzesz ją do schroniska, kiedy trochę wydobrzeje, prawda?

- Tak. Ale nie zostawi psa. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Może tu zostać tak długo, jak to będzie konieczne. Chciałem się tylko upewnić, że będzie miała dokąd pójść. Obawiam się, że zjawi się tu jej mąż. Prawdopodobnie sprawdzi wszystkich weterynarzy w okolicy.

- Jeśli tak się stanie, będziesz kłamał, Geny. Gdzie ten obiecany burbon?

- Nalej mi podwójnie, Izzie. To będzie długa noc, a my musimy ustalić plan działania.

Isabel Tyger, bogata filantropka i miłośniczka zwierząt, nie żałując trunku, nalała do szklanek.

- Zadzwoń do ciebie, bo...

- Wiem, dlaczego zadzwoniłeś - przerwała. - Pij!

- Nie, Izzie. Muszę ci to powiedzieć. Ona wciąż przemawiała do tej suczki, mówiła, że obiecała opiekować się nią do końca życia. Tak przyrzekała. Powtarzała to w kółko. To przywołało wspomnienia. Pamiętam, jak składałaś takie same przysięgi. I nie mogliśmy wtedy nic zrobić. Teraz mamy szansę - ja, ty i Artie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Oczywiście, że rozumiem. I myślę, że masz rację. Dzięki Bogu ten kierowca przywiózł ją do ciebie, a nie do tego modnego doktora dwie przecznice dalej. Wyglądasz na zmęczonego, Geny. Połóż się. Ja tu z nimi zostanę. Ona będzie rano cała obolała. Cieszysz się teraz, że namówiłam cię na jacuzzi? Kąpiel dobrze jej robi. - Isabel zmarszczyła brwi. - Ona mi wygląda jakoś znajomo. Gdzieś już ją widziałam.

- Jeśli sobie przypominasz, nie budź mnie. Powiesz mi rano. Dziękuję, że przyszedłaś, Izzie.

- To chyba rewanz za te wszystkie noce, kiedy budziłam ciebie i Artiego o czwartej nad ranem i ściągałam na moje ranczo.

- Nie przesadzaj z tą butelką. Ja się tylko zdrzemnę. Obudź mnie, gdyby coś się działo.

- W porządku, Geny. Śpij dobrze.

Nie minęła chwila, a Isabel na palcach pobiegła do lecznicy. Przysiadła cicho na podłodze. Przyglądała się śpiącej i jej psu, myślami wracając do czasów i miejsc, których nienawidziła. Wyciągnęła dłoń i odsunęła kosmyk włosów z twarzy młodej kobiety, ale wpatrywała się w psa. Zamrugnęła gwałtownie, z oczu popłynęły jej łzy.

Czasami wspomnienia bywają okrutne.

Rozdział 2

Słońce już prawie wzeszło, Gerry. Nie powinniśmy zajrzeć do naszych pacjentek? Dobry Boże, nie miałam świadomości, że noc może się tak dłużyć.

- Zglądaliśmy do nich pół godziny temu, Izzie - odparł Gerald, używając pieszczotliwego zdrobnienia z dzieciństwa. Nazywał ją tak w czasach, kiedy razem dorastali.

- Od dawna nie nazywałeś mnie Izzie. Tej nocy to był pierwszy raz od wielu lat. Nie wiem czemu, ale zawsze się uśmiecham, gdy słyszę to zdrobnienie, i znowu czuję się młoda. Lecz jeśli mam pomóc tej kobiecie, lepiej, żebyś nazywał mnie przy niej jakoś inaczej. Może Billie?

- Zgoda, niech będzie Billie. Wiem, o co ci chodzi. Chciałbym jednak, żebyś przestała być takim odludkiem. Nie chcesz się nikomu pokazać, chyba że stanie się coś strasznego, jak teraz. Nie dajesz się zaprosić na kolację czy do kina, ani mnie, ani Artie'emu. Jesteśmy już starzy, Izzie, czas zdać sobie z tego sprawę. Postanowiłem, że w przyszłym roku przejdę na emeryturę. Sprzedam interes i będziemy codziennie jeździć na ryby.

- Dopiero teraz zauważyłeś, że się starzejemy? Normalna kolej rzeczy, przyjacielu. Wszyscy troje na coś się przydaliśmy. Nie przeżyliśmy naszego życia jak pasożyty. Wszyscy troje byliśmy pożyteczni. - Głos Isabel stał się równie ponury jak głos weterynarza. - Będą o nas pamiętać, prawda, Gerry? -zapytała.

- Tysiące kobiet będą pamiętać, że dałaś im nowe życie dzięki twoim schroniskom, Izzie. Świątek technologów wybrał Artiego Biznesmenem Roku pięć razy z rzędu. A ja? Naprawdę nie wiem.

- Ależ jesteś prawdziwym doktorem Dolittle, Gerry! Uratowałeś setki, tysiące zwierząt. Uszczęśliwiłaś ludzi, przede wszystkim dzieci. Pamiętam, jak przyprowadziłaś do mnie czterdzieści zwierzątek, i stałaś tak, a lzy ciekły ci po policzkach. Dostałaś się do schroniska i wykradłaś te zwierzęta, żeby nie zostały uśpione. Bóg o tym pamięta, Gerry. Darowałaś im życie.

- Nie zdołałbym tego zrobić bez ciebie i Artiego. Nie miałem pieniędzy, żeby je wyżywić.

- Zaczynasz się mazgać, Gerry. Nie użalaj się nad sobą, nie życzę sobie. A teraz wkładaj skarpetki i idziemy do twoich pacjentek.

- Wiesz, kogo mi przypominasz, Izzie? Tamtą małą kobietkę, tę lekarkę, jak jej tam? Doktor Ruth. Wyglądasz dokładnie tak samo, tyle że masz rude włosy. I jesteś tak samo pyskata.

- Potraktuj to jak komplement. Boisz się, prawda, Geraldzie?

- Owszem, Izzie, boję się. Idziemy. Zobaczmy, co możemy zrobić. Jeśli jeszcze śpią, nie będziemy ich budzić. Zgoda?
- Dobra, dobra. Chodźmy wreszcie.
- Ćśśśś - syknął Gerald, uchylając drzwi i zaglądając do środka. -

Słuchaj.

- Niedługo zrobi się jasno, Lucie. Przetrwałyśmy noc. Wiem, że cię boli. Zaraz zawołam doktora Davisa. Musisz wyzdrowieć, moje słodkie maleństwo. Nie zostawię cię tu. Niech tylko spróbuje mnie stąd wykopać. Nie uda mu się. Zostanę przy tobie, aż będziesz mogła skakać jak zajaczek. Kupię ci nową piłeczkę. Jasnoczerwoną. Może nawet każe na niej wypisać twoje imię. Robią tak w tych luksusowych butikach dla psów. Nieważne, ile to będzie kosztować. Kiedy obie wyzdrowiejemy i znajdzie jakąś pracę, sprawię ci najdroższą smycz i obrozę. Będziesz wyglądać jak księżniczka. Przysięgam, że będę się tobą opiekować. Doktor Davis mi w tym pomaga. Nie zawiodę cię. Przysięczenie to przysięczenie. Potrzebuję jakiegoś znaku od ciebie, choćby malutkiego. Nienawidzę go, Lucie. Nienawidzę go za to, co ci zrobił. „Błyskaj, błyskaj, gwiazdko mała...” Doktorze Daviiiiis!

- Jestem tu. Co się stało?
- Lucie polizała mnie po tece. To znaczy, że wyzdrowieje.

Prawda, doktorze?

- Oczywiście że tak - zapewniła uradowana Isabel. - Jak myślisz, Geny?

- Niech spojrzę. Może mogłaby pani się odrobinę przesunąć, młoda damo, żebym zbadał pacjentkę? Nie musi pani wychodzić, proszę się tylko przesunąć. O, jest przytomna, to dobrze. Iz... Billie, przynieś mi trochę pokruszonego lodu. Trzeba też znów podać kroplówkę. To wygląda całkiem nieźle. Mówię o Lucie, nie o pani - dorzucił weterynarz, zwracając się do Helen.

- Czy ona wyzdrowieje? Chcę, żeby mi pan powiedział prawdę. Nigdzie się nie ruszę. Zostaję tutaj.

- Mówiłem już wczoraj, że może pani tu zostać tak długo, jak się pani podoba. A nigdy nie rzucam słów na wiatr. Widzę ogromną poprawę od wieczoru. Niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze całkowicie, ale powiedziałbym, że rokowanie jest coraz lepsze. Dam jej zastrzyk nasenny, sen to dla niej teraz najlepsza rzecz. Kiedy pani uzna, że może ją bezpiecznie zostawić na kilka minut, pewnie będzie pani chciała wziąć prysznic i umyć zęby. Na górze jest jacuzzi, gdyby chciała się pani trochę pomoczyć. Muszę zmienić pani opatrunki i przemyć rany. Proszę się nie śpieszyć. Będę w kuchni. A tak przy okazji, chciałbym pani przedstawić moją dobrą przyjaciółkę. Billie, to jest Pani X, a to jej suczka, Lucie. Kiedy pani poczuje się lepiej, Billie zabierze panią do schroniska. Póki co, przygotuje nam śniadanie. Robi świetne gofry i równie znakomitą kawę. Czy panią coś boli?

Helen spojrzała w pełne troski i zrozumienia oczy weterynarza. Czy kiedykolwiek widziała już u kogoś te uczucia? A jeśli tak, to kiedy? I nie potrafiła sobie przypomnieć.

- Nazywam się Helen Ward.

- Mnie się bardziej podoba Pani X - powiedziała Isabel. - Może kiedyś, przy bardziej sprzyjającej okazji, porozmawiamy sobie o psach.

- Bardzo chętnie - odparła Helen.

- Tam, w rogu, jest mała umywalnia. My będziemy w kuchni.

Zaczynam przyjmować pacjentów dopiero o jedenastej. Jeśli to panią uspokoi, Billie zostanie, żeby mi pomóc, a ja dam dziewczynom wolne.

Helen z wdzięcznością skinęła głową.

Przeszli do kuchni i zamknęli za sobą drzwi.

- Dlaczego one nie odchodzą, Izzie? Dlaczego pozwalają, żeby jakiś

sukinsyn tak je krzywdził? - zapytał przyjaciółkę.

Isabel zaglądała do szafek, trzaskając drzwiczkami.

- Chcesz usłyszeć dłuższą czy krótszą wersję?

- Chyba nie chcę żadnej. Wiem dlaczego. Powiedziałem tak tylko, bo musiałem coś powiedzieć. Ona ma nowe siniaki na starach. I blizny. Kiedy tu przyszła wczoraj wieczorem, wyznała, że bywała w dużo gorszym stanie. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Widziałaś ją. Czy można wyglądać jeszcze gorzej?

- Znam jej nazwisko, Geny. Chyba już ją gdzieś widziałam, przynajmniej na zdjęciu. Miałaś rację, że się starzejemy. Moja pamięć nie jest taka, jak kiedyś.

- Zadam ci jedno pytanie, Izzie. Jakie są szanse, że ten człowiek zadzwoni na policję albo zacznie jej szukać? Powiedziała, że będzie wiedział, że zabrała psa do weterynarza. Czy sadyści tak robią?

- Oczywiście, że tak. Chcą odzyskać swój worek treningowy.

Potrzebują kogoś, kto by się ich bał, na kim mogą bezpiecznie wyładować złość. To tchórzliwe kreatury i jeśli o mnie chodzi, to uważam, że nie ma na to lekarstwa. Widywałam to zbyt często. Jeśli ta dziewczyna chce, zaopiekuję się nią.

- Tylko razem z psem. To transakcja wiązana.

- Wiem. Nie widzę innego sposobu. Do licha, ja znam to nazwisko. Wkurza mnie, kiedy nie mogę sobie czegoś przypomnieć.

- Opuść sobie. Odpowiedź sama wpada do głowy, kiedy się tego najmniej spodziewasz-powiedział weterynarz.

- Mądrała.

- A jakże. Wybierasz się w niedzielę na gwiazdkowe przyjęcie Artiego? To będzie jego pierwsze samotne przyjęcie, odkąd odeszła Marie. Musimy tam iść, Izzie. Spotkanie dla pracowników było chyba wczoraj. A może dziś? Widzisz? Ja też zapominam.

- Nienawidzę tych przeklętych imprez. Siedzisz przy stole, pijesz za dużo, jesz za dużo, plotkujesz za dużo, aż oplotkujesz wszystkich. Wyciągasz jakiś tandetny prezent ze wspólnego worka i idziesz do domu. Wolałabym zostać u siebie i pooglądać powtórki *MASH-a*. Nie wiem, po co mnie w ogóle pytasz. Przecież nigdy nie chodzę na takie przyjęcia. A ty się wybierasz?

- Nie mogę. Od Święta Dziękczynienia mam do odrobienia zastępstwo w lecznicy Sandersa. Przecież zabiłabyś mnie, gdybym nie przyszedł na obiad. A Artie nie będzie za nami tęsknił. Pomarudzi przez parę dni i zapomni o całej sprawie. Świetnie się spisał. Twoje schroniska nie mogłyby działać bez tego systemu komputerowego, który zaprojektował - powiedział Gerry. - Moglibyśmy do niego wpaść, kiedy przyjęcie już się skończy. Na mały kieliszek przed snem - dodał przebiegle. - Jeśli ktoś mnie będzie potrzebował, mogę użyć tego przeklętego beepera.

- Boże drogi, mam, Gerry! Już wiem, gdzie słyszałam to nazwisko. Najlepszym pracownikiem Artiego jest Daniel Ward. To żona Daniela Warda! - krzyknęła Isabel, wskazując ruchem głowy drzwi lecznicy. - Widziałam jej zdjęcia w biuletynach ComStar.

Davis z głośnym kłapięciem usiadł na kuchennym krześle. Otworzył usta ze zdziwienia.

- Artie zatrudnia takich ludzi?

- Wierz mi, że Artie nie ma o niczym pojęcia. Tacy jak Daniel Ward najlepiej potrafią się maskować. Dobry Boże, miałam zamiar wprowadzić dzisiaj jej nazwisko do systemu. Nie możemy tego teraz zrobić.

- Powoli, Izzie. Nie wiesz na pewno...

- A właśnie że wiem. Artie tak wysoko ceni umiejętności Daniela Warda, że bierze nawet pod uwagę jego nominację na swoje miejsce, kiedy przejdzie na emeryturę. Mówię ci, on nic nie wie, prawdopodobnie nawet nie podejrzewa. Gdyby coś wiedział, jego sekretarka, Michelle, powiedziała by mi. Pracuje w schronisku trzy razy w tygodniu. Jest ze wszystkim na bieżąco.

- Co masz zamiar zrobić?

- Wykonać kilka poufnych telefonów. Do kuchni, kuśtykając, weszła Helen.

- Doktorze, wezmę chyba teraz tę pigułkę - powiedziała.

- Usiądź, kochanie. Zrobię ci pysznej, gorącej herbaty z rumem i trochę

owsianki. Postradałeś rozum, Gerry? Gofry! Helen nie może gryźć.

Masz tu

gdzieś słomki, prawda? Przynieśże jej tę pigułkę!

Helen usiadła ostrożnie.

- Dziękuję. - Czują cisnące się do oczu łzy. Kiedy ostatnio ktoś był dla

niej taki dobry, tak pełen

Chyba nigdy. Wyciągnęła dłoń po

niebieskie tabletki, które podał

współczucia?

dwie

jej Gerry.

- Gerry, ty zrobisz śniadanie. Ja zabiorę Helen na górę i pomogę jej umyć się pod prysznicem. Gdzie znajdę jakieś ubranie? Zasnęta krew ma okropny zapach. Możemy umyć jej włosy, co ty na to?

Gerald skinął głową.

- Opatrzę rany, kiedy zejdziesz na dół. To żaden problem, jeśli bandażę się zamoczą. Proszę tylko splukać się wodą. Ja posiedzę z Lucie. I tak nie sądzę, żebyśmy mieli ochotę na coś więcej niż kawę.

Helen dała się poprowadzić tej zwawej, małej kobiecie. Każdy krok sprawiał jej nieznośny ból.

Rozbierając się, unikała wzroku Isabel.

- Żaden mężczyzna już cię nigdy nie uderzy, moja droga. Obiecuję ci. Widzę, że się wstydzisz. Musisz o tym zapomnieć. To pierwszy dzień twojego nowego życia. Spójrz na to w ten sposób. Jacuzzi zdziała cuda, ale dopiero za dzień czy dwa. Na razie wejdź pod prysznic i pozwól wodzie leczyć twoje ciało. Ja poszukam jakichś ubrań dla ciebie. Siostra Gerry'ego przesiaduje tu czasem całymi tygodniami. Może zostawiła jakieś ciuchy.

Helen weszła pod ciepły, kojący strumień wody. Poczła się lepiej, było tu przytulnie i bezpiecznie. Nikt nie czaił się za drzwiami łazienki, by ją zaatakować. Na dole nikt nie czekał, by pobić ją do nieprzytomności. Dobry samarytanin, który wczoraj przywiózł tutaj ją i Lucie, wyświadczył jej nieocenioną przysługę.

- Dziękuję Ci, Boże - powtarzała w kółko.

- Ja też Ci dziękuję - powiedziała cicho Isabel pod drzwiami kabiny, ocierając oczy. - Helen, znalazłam parę ubrań. Mam tu dres. Pewnie będzie trochę za duży, aleja, na przykład, lubię luźne rzeczy. Później kupimy ci coś nowego. Wytrę cię delikatnie, kochanie. Zrobię to bardzo ostrożnie, nie martw się o skaleczenia i siniaki. Stań spokojnie, wciągnę ci to przez głowę. Dasz radę włożyć bieliznę i spodnie? Dzielna dziewczynka. Skarpetki zupełnie wystarczą, na razie nie będziemy sobie zawracać głowy butami. Czujesz się trochę lepiej? Czy pigułki zadziałały?

Helen kiwnęła głową.

- To bardzo miło z twojej strony. I jestem taka wdzięczna doktorowi Davisowi... A co... co będzie, jeśli... mój mąż... chyba go poważnie zraniłam. Wszędzie było pełno krwi. Ale to go nie powstrzyma. Ja go znam. Wiem, do czego jest zdolny.

- Był zdolny. Mów w czasie przeszłym. On nie może cię już skrzywdzić. Jesteś bezpieczna. I Lucie też jest bezpieczna. Trzymaj się poręczy i stawiaj obie stopy na każdym schodku. Mamy cały dzień. Nie śpiesz się.

Gdy Isabel doprowadziła ją do wygodnego, kuchennego krzesła, Helen była wykończona.

- Herbata czy kawa?
- Herbata. Czy mogłabyś zajrzeć do Lucie? Isabel wróciła po krótkiej chwili.
- Smacznie śpi. Gerry jej śpiewał. Może nie ma tak kojącego głosu jak ty, ale za to łagodne dłonie. Zwierzęta mu ufają. Lucie wie, że nic złego jej się tu nie stanie. To chyba nie jest dobry pomysł, żebyś wracała do jej boksu. Będziemy mogli urządzić dla niej legowisko na tyłach lecznicy. Lucie raczej nie będzie na razie biegać, a tobie byłoby wygodniej. Ja tu dzisiaj zostanę. Będę potrzebowała kilku informacji, zanim zabiorę cię do schroniska. A ty powinnaś odpowiadać szczerze.
- Powiem ci wszystko, jeśli tylko obiecasz, że mój mąż nie znajdzie mnie ani Lucie.
- Obiecuję. A póki co, chcę, żebyś przestała o nim myśleć jako o swoim mężu. To ktoś, kogo znałaś, ktoś, kto ukradł twoje życie i zamienił je w piekło. Nie zasługuje na miano męża. Teraz powiedz, jak się nazywa i gdzie pracuje. Znasz numer jego ubezpieczenia? Muszę udokumentować wszystko, co go dotyczy. Nieważne, czy jakiś szczegół wyda ci się mało istotny, masz mi o tym powiedzieć. Czy to jasne?
- Tak, wszystko jasne.
- Dobrze. Ile masz lat? Macie dzieci? Wasz dokładny adres?

Helen zamrugnęła. Każda myśl o Danielu, człowieku, którego poślubiła, wzbudzała w niej wstręt, nie miała ochoty o nim rozmawiać.

- Mam dwadzieścia osiem lat. Dzieci nie mamy. Brałam w tajemnicy pigułki. Nie chciałam zająć w ciążę, bo nie wiedziałam, czy nad nimi też by się nie znęcał. Chowałam pigułki w pudełku z tamponami. Mieszkamy... mieszkaliśmy w Szemrzących Wierzbach. Daniel nalegał, żeby się tam przeprowadzić. Twierdził, że to odpowiednia okolica. Dom jest zadłużony w kilku bankach. Wszystko jest kupione na raty. Chciałam iść do pracy, ale on się nie zgodził.
- Typowe-mruknęła Isabel.

W samym środku monologu Helen zadzwonił telefon. Isabel podniosła słuchawkę kuchennego aparatu.

- Lecznicza Davisa. - Słuchała przez chwilę, w końcu odpowiedziała: -

Dopiero przyszedłam, poproszę do telefonu doktora Davisa.

Helen zbladła jak ściana, widząc, że Isabel kładzie palec na ustach. Daniel. Isabel otworzyła drzwi do lecznicy.
- Doktorze Davis, dzwoni jakiś pan, chciałby z panem porozmawiać. -

Bezdzwięcznie wymówiła słowa: - To jej mąż.

Helen podniosła się z trudem i dołączyła do Isabel, która stanęła w progu.

- Gerald Davis przy telefonie. Nie, panie Ward, nie miałem żadnych nagłych przypadków już ponad tydzień. Prawdę mówiąc, od roku nie zarejestrowałem

żadnych nowych pacjentów. Proszę spróbować w lecznicy Sandersa. Dyżurują całą dobę. Do widzenia.

- Jaki... jaki miał głos? - wyszeptwała Helen.

- Normalny. Powiedział, że spacerował ze swoją suczką, która wybiegła na drogę, została potrącona przez samochód i uciekła. Mówił, że szukał jej przez całą noc.

- On tu przyjdzie. Wiem, że przyjdzie. Muszę uciekać. Pan nie zna mojego. .. pan nie zna tego człowieka.

- Nie możesz teraz stąd iść, Helen - zaprotestowała Isabel. - Nie wolno jeszcze ruszać Lucie. Jesteś tu bezpieczna. Będę do wieczora siedzieć w recepcji. Ty zostaniesz tutaj z Lucie. Drzwi są zawsze zamknięte, otwierają się na domofon. Musisz nam zaufać, Helen.

- Ależ ja wam ufam. To jemu nie ufam. Nie znacie go tak jak ja. Nie macie pojęcia, do czego jest zdolny, kiedy czegoś chce. Isabel objęła Helen ramieniem.

- To prawda, nie znam tego człowieka, ale znam tysiące takich jak on. I ani jeden z nich nie dotarł do żadnej z mieszkańek schroniska. Przez te wszystkie lata, od kiedy pomagam bitym kobietom, straciliśmy tylko dwie. Ale one postanowiły wrócić do swoich mężów. Jedna z nich już nie żyje, bo mąż ją wykończył, a druga wciąż mieszka ze swoim. I wciąż jest bita.

- Posiedzę trochę z Lucie - powiedziała Helen. - Jeśli chcesz coś jeszcze wiedzieć, po prostu pytaj.

- Na razie wiem już dość. Zabierz ze sobą herbatę. Gerry pomoże ci pościelić łóżko. Wszystko będzie dobrze, Helen. Musisz w to uwierzyć - odparła łagodnie Isabel.

- Chcę wierzyć. Muszę wierzyć. Ale dlaczego wciąż się boję?

- Ledwie się znamy. To dla ciebie nowa sytuacja. Na razie nie mieści ci się w głowie, że są na świecie ludzie, którzy naprawdę się o ciebie troszczą. To przyjdzie z czasem, razem z zaufaniem. Idź, pośpiewaj Lucie.

- Pamiętam, jak śpiewałaś temu bezdomnemu kundlowi, tej suczce, którą znalazłaś, gdy byliśmy dziećmi - powiedział Gerry, kiedy drzwi zamknęły się za Helen. - Miałaś ją cały rok, zanim twój ojciec to odkrył.

- Nie udałoby mi się bez ciebie i Artiego. Boże, jak ja kochałam tego psa. Masz rację, śpiewałam jej „Jesteś mym słonkiem, jedynym słonkiem”, aż zachryłam. Uwielbiała to. Szczekała, skomlała i wyła razem ze mną.

Gerry roześmiał się.

- Najlepsze było, kiedy śpiewaliśmy wszyscy troje razem. I wszyscy fałszowaliśmy. Jeśli dobrze pamiętam, suka to uwielbiała!

- To było już tak dawno, Gerry. Czasem nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek byłam młoda. Mój ojciec...

- Nie będziemy dzisiaj do tego wracać, Izzie. On nie żyje, niech spoczywa w spokoju.
- Nie zasługuje na spokój. Ale masz rację, nie będziemy do tego wracać. Już prawie jedenasta. Posiedzę w recepcji. Daj natychmiast mi znać, jeśli coś się zmieni u Lucie. Postaram się ułożyć Helen nowe życie. Chcę ci za wszystko podziękować, Gerry. A szczególnie za to, że jesteś moim przyjacielem. Gdyby nie ty i Artie, nie byłoby mi łatwo przetrwać aż do tej pory.
- Nienawidzę płaczących bab -burknął Gerry.
- A ja nie cierpię płaczących facetów - odcięła się Isabel, szturchając go w kolano. - Jesteśmy parą podstarzałych mięczaków.
- Postarasz się, żeby im się udało, prawda, Izzie?
- Oczywiście, ale ona też musi się postarać. Porozmawiaj z nią dzisiaj. Niech naprawdę uwierzy, że ktoś się o nią troszczy. Ufa ci, a wiesz dobrze, że to połowa sukcesu.
- Chcesz, żebym jej opowiedział o schronisku, czy mam po prostu paplać o niczym?
- Najpierw mów o zwykłych sprawach, przygotuj ją powoli do rozmowy o schronisku. I tak pewnie bardziej uspokoi ją twój głos niż to, co powiesz. Jest śmiertelnie przerażona i ma po temu wszelkie powody. Ludzie pokroju Daniela Warda są jak te potwory, które wylaziły po nocach z szaf, kiedy byliśmy dziećmi. Zadzwońię do Artiego, gdy tylko uporządkuję parę spraw. Chcę wyeliminować tego człowieka z mojego systemu komputerowego. Muszę natychmiast pozakładać nowe hasła. To go naprowadzi na trop, ale nie mogę ryzykować. Muszę to zrobić.
- Więc do dzieła. Masz moje błogosławieństwo, choć pewnie niewiele jest ono warte.
- Dziękuję, Gerry.
- Nie. To ja tobie dziękuję, Izzie.

Rozdział 3

Helen patrzyła na zieloną, plastikową siatkę, w której mieścił się jej mizerny dobytek. Ta kobieta, Billie, okazała jej tyle serca. Nigdy nie czuła się taka osamotniona, taka bezbronna. Łzy wezbrały jej w oczach i z trudem je powstrzymała.

- Masz wątpliwości, Helen? - zapytał weterynarz.

- Nie, właściwie nie. Ale zawsze bałam się nieznanego. Znam tylko swoją przeszłość. Moja przyszłość jest jak biała plama. To mnie przeraża. Nigdy nie byłam poza granicami tego stanu, nawet poza najbliższą okolicą. Z domu matki przeprowadziłam się do małej kawalerki. Pracowałam w butik i nie zarabiałam wiele. Potem poszłam do szkoły wieczorowej, zrobiłam dyplom i dostałam pracę w firmie graficznej. Daniel był pierwszym mężczyzną, który się mną zainteresował, i zakochałam się w nim. Był taki niepodobny do facetów, których sprowadzała do domu moja matka. Taki grzeczny i przystojny, i dziewięć lat ode mnie starszy. Chłopcom w szkole, strasznie niedojrzałym, chodziło tylko o jedno. Matka nigdy się o mnie nie troszczyła, za to jej ostatni przyjaciel troszczył się aż za bardzo. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim zacznie się do mnie dobierać. To dlatego się wyprowadziłam. Matka się wściekła, bo miała nadzieję, że będę jej płaciła czynsz. A Daniel tyle mi obiecywał. Mówił, że będzie się mną opiekował do końca życia. Jego słowa tak wiele wtedy dla mnie znaczyły, nie wiem dlaczego. Próbowałam być dobrą żoną, doktorze Davis. Wiem, że on mnie znajdzie, prędzej czy później. I to przeraża mnie najbardziej.

- Nie, nie znajdzie pani. Musi pani zaufać Billie i wszystkim pracownikom schroniska. Oni do tego nie dopuszczają. Daję pani na to moje słowo.

- Jak ja się panu zdołam odwdzięczyć, doktorze?

- Nie odwdzięczy się pani, i tyle. Widok Lucie spacerującej po lecznicy wystarczył mi za wszystkie podziękowania. Czasami, młoda damo, kiedy Bóg okazuje nam swoją dobroć, trzeba się za to zrewanżować. A mnie okazał jej wiele. Kiedyś i pani zrobi dla kogoś to samo. To jakby handel wymienny. Będzie mi brakować pani i naszych wieczornych partii szachów - mruknął szorstko weterynarz. - Pani spaghetti też nie było najgorsze. Zdaje sobie pani sprawę, że nie wolno będzie do mnie dzwonić?

Helen nie była w stanie dłużej powstrzymać łez, które trysnęły jej z oczu.

- Tak.

- Pod wieloma względami to przypomina udział w Programie Ochrony Świadców. Obie z Lucie będziecie pod dobrą opieką. Zbuduje pani swoje życie na nowo i kiedyś może spotka człowieka wartego miłości. Daniel Ward już nie będzie mógł pani skrzywdzić.

- Czy mogę o coś zapytać? Wiem, mówił pan, że nie powinnam zadawać pytań, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego, po tym pierwszym dniu, Billie więcej się nie pokazała. Czy między wami jest coś więcej?

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Chciałbym. Billie pracuje bez chwili wytchnienia na rzecz schroniska.

I traktuje tę pracę bardzo poważnie. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Kiedyś

myślałem... kiedyś marzyłem, by to było coś więcej, ale ona sprowadziła

mnie na ziemię. Billie miała niezbyt dobre dzieciństwo. Dziś jest niezależna i chce, by tak pozostało. I taki układ się sprawdza. Rzadko można kogoś nazwać prawdziwym przyjacielem. Takim, do którego można zadzwonić w środku nocy, tak jak ja zadzwoniłem, kiedy pani się u mnie zjawiała. Ona jest kimś, komu śmiało powierzyłbym swoje dzieci, zwierzęta i pieniądze. Helen kiwnęła głową.

- Oddałabym wszystko, by mieć kogoś takiego. Nigdy nie miałam przyjaciółki. Ale może kiedyś jeszcze...

- Gdyby pani miała taką przyjaciółkę, pewnie i tak by się pani jej nie zwierzyła. Być może, mając kogoś takiego, zostałaby pani w tamtym domu, nawet po tym ostatnim zdarzeniu. Przyjaźń bywa często silnym bodźcem, który pomaga wytrwać w nieudanym związku.

- Nie wiem, doktorze. Przetrwiałam tylko dzięki Lucie. Czasami rozmawiałam z nią godzinami. Wierzę, że mnie rozumiała. Jak na tak małego pieska, jest szalenie opiekuńcza i kochająca. Nie wytrzymałabym bez niej. Uratował jej pan życie. Nigdy tego nie zapomnę.

- Myślę, że naprawdę podobał jej się mój śpiew. Po kilku dniach nawet przestała wyc - znów dziwnie szorstko burknął weterynarz. - Słyszę furgonetkę ze schroniska. Jest pani pewna, że zabrała pani wszystko?

- Jeszcze tylko Lucie. Czy naprawdę mogę zatrzymać tę klatkę?

- Oczywiście. Proszę nie pozwolić, żeby Lucie zbyt brykała. Czuje się już lepiej, ale nie chciałbym, żeby przesadzała. Potrzebuje jeszcze około tygodnia. No cóż, młoda damo, zachowam w pamięci te dziesięć dni. Proszę ufać Billie i jej przyjaciołom, dobrze pani na tym wyjdzie.

Głos uwiązał Helen w gardle, więc tylko mocno uściskała weterynarza. Odwzajemnił się jej tak żarliwie, że aż pisnęła. Chwilę później była już za drzwiami, z klatką w jednej i torbą w drugiej ręce. Nie oglądała się za siebie.

To była długa, wygodna jazda, urozmaicona rozmową o zwykłych, codziennych sprawach. Helen i Billie mówiły o pogodzie, o praktyce doktora Davisa i cudownym wyzdrowieniu Lucie. Helen uspokoiła się, czując, że jej los jest we właściwych rękach. Zaczynało się jej nowe życie. Zmówiła w duchu dziękczynną modlitwę.

- Jeszcze jedna przecznicza i będziemy na miejscu - oznajmiła lizzie godzinę później.

- Czy ty też zostaniesz, Billie? Nigdy mi nie mówiłaś, czy tutaj pracujesz.

- Nie, nie zostanę. Chyba można by powiedzieć, że tu pracuję, w pewnym sensie. Ale to było pytanie, a ty masz nie zadawać pytań. Dopóki nie sfinalizujemy sprawy twoich papierów, jesteś gościem Numer Dziewięć. Lucie

to gość Numer Dziewięć A. W naszych dokumentach zostanie zaznaczone, że przyjechałaś z kimś. Wszystko ci wyjaśnią, kiedy już znajdziesz się w środku. Lucie spodoba się ogród na wewnętrznym dziedzińcu. Szkoda, że nie spotkałyśmy się w innych okolicznościach. Zrobimy dla ciebie, co w naszej mocy. I spodziewamy się tego samego po tobie. Do widzenia, i życzę szczęścia. Poczekam w furgonetce, dopóki nie wejdziecie do środka. Ach, jeszcze jedno. Pomyślałam, że to może cię zainteresować. Przeczytaj w wolnej chwili. To ostatni numer „Doliny Silikonowej”. Dowidzenia, Lucie.

Suczka popiskiwała i skomlała, gdy Helen wyjmowała jej klatkę z samochodu.

Schronisko mieściło się w pięknym, obszernym, stylowym domu. Okolica była spokojna i ustronna. Idąc do głównych drzwi alejką z kolorowej cegły, Helen poczuła wspaniały zapach świeżo skoszonej trawy. Nim zdążyła nacisnąć guzik dzwonka, drzwi otworzyła drobniutka, uśmiechnięta kobieta w koronie siwych warkoczy.

- Witam. Proszę, proszę. W środku jest chłodniej.

Helen odwróciła się, by pomachać, ale granatowa furgonetka z przyciemnionymi szybami odjeżdżała już tą samą drogą, którą przyjechała.

- Jestem Numer Dziewięć, a to... Numer Dziewięć A.

- Wiem. Spodziewaliśmy się was. Ja jestem Mona. Chodź za mną, zaprowadzę cię do twojego pokoju. W czasie pobytu u nas dbasz o swój pokój, łazienki sprzątamy po kolei. Mamy też dyżury w kuchni i przy porządkach w całym domu. Kiedy będziesz gotowa, żeby do nas dołączyć, skorzystaj z dzwonka u szczytu schodów. Ktoś zaprowadzi cię do ogrodu. To nasze ulubione miejsce. Właśnie zaczynamy dzisiejszą terapię grupową. Możesz obserwować albo się przyłączyć. Jutro zostaniesz poproszona o wzięcie udziału w dyskusji. Oto twój pokój.

Helen przekroczyła próg. Nie wiedziała, czego właściwie się spodziewała, ale na pewno nie tego. To był śliczny, wdzięczny pokój, począwszy od prostych, kręciastych zasłon, poruszanych popołudniową bryzą, a skończywszy na marszczącej, organdykowej serwecie na małej toalecie. Westchnęła z ulgą i schyliła się, by otworzyć Lucie drzwi klatki.

- Jest dobrze wychowana. Nie nasusia na dywan.

- To dobrze. - Mona uśmiechnęła się. - Dom jest czteroskrzydłowy, na planie kwadratu. Do ogrodu można wejść tylko z wewnątrz. Dla bezpieczeństwa. Zadzwoń, gdy się rozgościsz.

Kiedy tylko zamknęły się drzwi, Helen porwała Lucie na ręce i usadowiła się na łóżku.

- To nasz nowy dom, przynajmniej na jakiś czas. Nie mamy wyboru, Lucie, ale wydaje mi się, że będzie nam tu dobrze. Możesz ze mną spać, ale

nie wolno ci wskakiwać na łóżko ani z niego zeskakiwać. Ja cię będę przenosić. To rozkaz. Zawsze chciałam mieć taki pokój. Zobacz, jak wspaniale ta falbaniasta narzuta w kwiatki pasuje do obicia krzesła. I może będę mogła teraz trochę poczytać. Och, ten dywan jest taki miękki! Mogłybyśmy nawet spać na podłodze, gdyby nam przyszła ochota! I popatrz tylko w tamten kątek, mamy nawet własny kominek, na wypadek gdybyśmy zmarzły w nocy. - Helen objęła dłońmi mordkę ulubienicy. - Myślę, że będziemy się tu świetnie czuły. Lucie polizała dłoń Helen i cicho pisnęła.

W tym samym czasie, czterdzieści kilometrów dalej, w Santa Gara, Daniel Ward szedł długim korytarzem w stronę biura Arthura Kinga. Posuwał się z trudem, o lasce, każdy krok sprawiał mu nieznośny ból. Był wściekły, źle patrzyło mu z oczu. Czegóż, do cholery, mógł znów chcieć od niego ten stary cap?! I co z tego, że wziął dziesięć dni zwolnienia. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy, nigdy nie chorował. Może powinien był rzucić tę pracę i otworzyć własny interes. Przecież mógłby, gdyby tylko zechciał. Zrobiłby Kingowi konkurencję i stary nic by na to nie poradził.

Ubrał się dzisiaj wyjątkowo starannie, wiedząc, że nie wykręci się od tego spotkania. Ciemnoszary garnitur, ostatni krzyk mody w Dolinie Silikonowej, był z kaszmiru. Do tego buty od Braci Brooks, nieskazitelnie biała koszula z monogramem i klasyczny krawat za dwieście dolarów. Wiedział, że to się spodoba Arthurowi Kingowi. Osobiste spotkanie z Kingiem zawsze wróżyło awans albo katastrofę. Czego więc powinien się spodziewać? Nie awansowano go na wicedyrektora. Może King chciał go wywindować na jakieś inne prestiżowe stanowisko. Słyszał z oryginalnych posunięć i z wysokich wymagań. Daniel i tak dawał z siebie wszystko. Do diabła, czego mogli chcieć jeszcze?! Przede wszystkim na pewno dostanie burę za nieobecność na przyjęciu gwiazdkowym. Przygotował się na to, ćwicząc kłamstwa tyle razy, że sam zaczynał w nie wierzyć. Był pewien, że dzięki nim jakoś mu się upiecze, i polegał na swoim chłopięcym uroku.

Zatrzymał się przed ciężkimi, mahoniowymi drzwiami do prywatnych biur Arthura Kinga. Wciągnął powietrze i wypuścił je z głośnym świstem. Tak mocno ścisnął obitą skórą laskę, że aż zbiały mu kostki palców.

- Chciałeś mnie widzieć, Arthurze? - zapytał lekkim tonem.

- Tak, Danielu. Brakowało nam ciebie i Helen na gwiazdkowym przyjęciu. A jak się nad tym lepiej zastanowić, brakowało nam Helen w Święto Dziękczynienia, na pikniku w Święto Pracy i na przyjęciu z okazji 4 Lipca. W biurze terenowym robiono nawet zakłady, czy ty i Helen pokażecie się na Gwiazdkę, wiedziałeś o tym? - zapytał leniwie King, siadając wygodniej w obrotowym fotelu.

- Nie, nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, że ludzie tak bardzo się interesują moim życiem prywatnym-odparł Daniel, przyglądając się Kingowi. Facet wyglądał coraz starzej. Może ma zamiar wreszcie ogłosić przejście na emeryturę?

- ComStar to wielka rodzina, Danielu. Wiesz o tym. Rozumiem, że z powodu choroby nie mogłeś się zjawić, ale myślałem, że przyjdzie chociaż Helen.

- Stwierdziła, że beze mnie czułaby się nie na miejscu. Mało kto o tym wie, ale Helen jest potwornie nieśmiała. Nie przypuszczałem, że to aż takie ważne, Arthurze. Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie, skoro postanowiłeś nie awansować mnie na wicedyrektora.

- Nie podobają mi się takie aluzje. Wexler był najlepszy na to stanowisko. Ma o pięć lat dłuższy staż od ciebie, dlatego dokonałem logicznego wyboru. A dla podtrzymania przyjacielskich stosunków chciałbym zaprosić ciebie i twoją żonę na kolację dziś wieczorem. Mam parę pomysłów, które chcę omówić z tobą i z Helen - oznajmił, kładąc nacisk na „i”.

Daniel poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Ja mogę przyjść, ale Helen poleciała z przyjaciółką do Los Angeles.

- Kiedy wróci?

Pot zaczął mu ściekać po karku, wsiąkając w kołnierzyk.

- Jak tylko wszystko pozalätwają Nie podała dokładnego terminu. Wiesz, jakie są kobiety, kiedy jadą po zakupy.

- Tak, tak się składa, że całkiem nieźle znam kobiety. Na pewno powiedziała ci, w którym hotelu się zatrzyma. Proponuję, żebyś zadzwonił i poprosił ją, żeby wróciła. Przesuniemy kolację na jutro. Mam wrażenie, że to dla ciebie jakiś kłopot, Danielu.

- Nie rozumiem, dlaczego wycieczka mojej żony do Los Angeles jest taka ważna. Helen chciała skorzystać z wyprzedazy po świętach. W zeszłym roku nie mieliśmy wakacji. Obiecałem jej tę wycieczkę. Dopiero wyjechała. Jak mogę ściągać ją tu z powrotem? Czemu zwykła kolacja ma być taka ważna? - W głosie Daniela brzmiała desperacja.

- Więc może podaj mi numer hotelu i ja sam do niej zadzwonię. Żołądek coraz bardziej mu się przewracał. Na dłoniach wystąpił lepki,

zimny pot. Daniel z trudem zachowywał spokój.

- Czy ty przypadkiem nie ingerujesz w moją prywatność, Arthurze?

Naczelnny oparł się o biurko i spod zmrużonych powiek spojrzął na Daniela lodowatym wzrokiem.

- Owszem, tak. Przez ostatnie dziesięć dni docierały do mnie szokujące wieści i nie podobało mi się to, co słyszałem. Moja sekretarka coś mi zasugerowała; podejrzewam, że znęcasz się nad żoną. Ostatnia historia to

potwierdza. Nie muszę chyba mówić, że byłem zdumiony i oburzony. To jest rodzinna firma z orientacją prorodzinną. Nie będę tolerował takiego zachowania. A teraz słuchaj uważnie, Danielu. Sprowadź swoją żonę albo nasza współpraca się skończy. I skoro już przy tym jesteśmy, chciałbym usłyszeć więcej szczegółów na temat twojej kontuzji. Wskutek potknięcia o leżak na molo nie powstają tego rodzaju rany, które opisałeś w formularzu ubezpieczeniowym.

Pod wykrochmaloną koszulą pot ciekł już po plecach i po brzuchu Daniela.

- Więc dlatego odsunąłeś mnie od prowadzenia serwisu dla Isabel Tyger? Zaprojektowałem ten program. Kto ci naopowiadał tych kłamstw? Twoja sekretarka? Ona nie zna ani mnie, ani mojej żony - wypalił.

- To nieistotne. Jedyne, co mnie obchodzi, to czy te plotki są prawdziwe?

- Pracowałem dla ciebie piętnaście lat, Arthurze. Oddałem ci moją krew, mój pot, i, tak, czasem nawet moje łzy. Owszem płaciłeś mi za to i płaciłeś dobrze. To nie fair. Nie życzę sobie wysłuchiwać z twoich ust oskarżeń, które są kompletnie fałszywe. Kiedy Helen wróci, osobiście przywiozę ją do twojego domu na śniadanie, obiad i kolację. Do cholery, możemy się nawet przespać u ciebie, jeśli chcesz. A do tego czasu trzymaj się z daleka od mojego życia osobistego albo przy następnej okazji porozmawiasz z moim prawnikiem.

- A co byś powiedział, gdybym ci oświadczył, że wiem dokładnie, gdzie jest Helen? Że mogę podnieść słuchawkę i porozmawiać z nią teraz, w tej chwili?

- Powiedziałbym, że kłamiesz. Usiłujesz mi wmówić, że ją biłem, i sugerujesz, że została objęta programem Isabel Tyger. Obaj wiemy, że to nonsens. Zadzwoń do niej. Proszę bardzo.

Arthur King rozparł się znów w swoim fotelu i zamysłony pocierał palcem nos. Widział strach w oczach podwładnego. Dowiedział się już tego, czego chciał się dowiedzieć.

- To prawda, Danielu. Nie mogę do niej zadzwonić, ale Isabel może. Daję ci dwadzieścia cztery godziny na sprowadzenie żony do mojego biura. Jeżeli nie zdołasz tego zrobić, stracisz pracę. Jeśli udowodnimy, że fizycznie znęcałeś się nad żoną, zostanie złożone doniesienie na policję. Odejdiesz stąd bez pakietu akcji pracowniczych i bez odprawy. Zostanie ci tylko polisa oszczędnościowa, nic więcej. Dopilnuję, żebyś nigdy nie znalazł pracy w tej branży.

- Nie możesz tego zrobić! - Pot wystąpił mu już nawet na czoło, ściekał niemal do oczu.

Arthur potrząsnął smutno głową.

- Jeszcze rok czy dwa i mogłeś zająć moje miejsce.

Naprawdę już

niedługo wybieram się na emeryturę. I takie właśnie miałem plany co do

ciebie. Przykro mi, że sprawy przybrały taki obrót. Prowadziłem cię krok po kroku, przekazałem ci całą swoją wiedzę. Miałem nadzieję, że przejmiesz po mnie pałeczkę, kiedy sam się wycofam. Obaj wiemy, że nie przyprowadzisz tu jutro Helen, więc może opróżnij swoje biuro i wynieś się od razu.

- To jakiś koszmar - mamrotał Daniel.

- Jeśli biłeś Helen, to owszem, jest to koszmar. Potrzebujesz pomocy, Danielu. Sugerowałbym terapię. Twoje ubezpieczenie będzie aktualne jeszcze przez osiemnaście miesięcy. Skorzystaj z tego. A teraz oddaj mi przepustkę i klucze do budynku.

Daniel oblizał zaschnięte wargi. Odczepił przepustkę od paska i rzucił ją na biurko, w ślad za nią po lśniącej powierzchni powędrowały klucze.

- Nie usłyszałeś jeszcze mojego ostatniego słowa, Arthur. Skontaktuje się z tobą mój адвокат.

- Masz dwadzieścia cztery godziny. Zadzwoń, jeśli Helen się zjawi. Z radością wysłucham, co mam do powiedzenia.

- ComStar to nie jedyna firma komputerowa w tej dolinie. Przez ostatnie pięć lat opędzałem się od propozycji. Pocałuj mnie gdzieś, panie dyrektorze! - krzyknął Daniel już od progu.

Wszyscy patrzyli na niego, jakby wiedzieli! Cholemy sukinsyn!

Tak mocno trzasnął drzwiami swojego gabinetu, że sterta papierów zsunęła się z biurka na podłogę. Daniel rozejrzał się po pokoju. Najlepszy w całym budynku, lepszy nawet od gabinetu samego Arthura, z oknami aż na trzech ścianach. W głowie się nie mieści. Piętnaście lat poświęceń dla Arthura Kinga i ComStar, a tu nagle kopniak w tyłek, i to tylko dlatego, że parę razy szturchnął żonę. Bez udziałów, bez odprawy. Z tym może sobie poradzi. Ma spore oszczędności, ComStar dopłacił do jego polisy jedną piątą wkładu. Ale na jak długo mu to wystarczy, skoro spłaca co miesiąc dwa tysiące dolarów odsetek od kredytu hipotecznego, niemal drugie tyle od kolejnych dwóch pożyczek, tysiąc dolarów za wzięty w leasing samochód? Poza tym raty za dom. I jeszcze raty za fortepian, basen ogrodowy, meble i dywany, nie mówiąc już o pieniądzach najedzenie, alkohol, benzynę i inne potrzebne rzeczy, plus uzupełnienie debetu na wszystkich siedmiu rachunkach kredytowych. Dziesięć miesięcy, może rok, jeśli będzie oszczędny. A trzeba też doliczyć podatki i grzywny za zerwane kontrakty.

Opróżnić biuro. A cóż tu było do opróżniania? Nie chciał stąd nic. Czy Arthur naprawdę sądził, że polakomi się na tę żalną sztuczną palmę? Postanowił, że weźmie tylko dwie butelki szkockiej z dolnej szuflady, i nic więcej. A jednak będzie musiał zabrać zdjęcie uśmiechniętej Helen. Niech się stary King cieszy.

- *Sayonara*, ComStar - powiedział, salutując niedbale przed portretem Arthura Kinga, wiszącym na ścianie gabinetu. Pociągnął zdrowo z jednej z butelek, po czym wrzucił obie do teczki.
- Pieprz się, Arthur! To jeszcze nie koniec, jeszcze o mnie usłyszysz!

Rozdział 4

Helen, z Lucie w ramionach, weszła za wysoką, szczupłą kobietą do ogrodu. Rozejrzała się bystro, dostrzegając wiele szczegółów - kobiety w wygodnych ogrodowych fotelach, trzy lśniące dzbany mrożonej herbaty na stole, książki w jasnych okładkach, dywan kolorowych kwiatów, pnącza winorośli na murach, szmaragdowozielone żywopłoty i z niezwykłą dbałością przystrzyżone brzegi aksamitnego trawnika. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by stworzyć to zacisze. Wiedziała, że będzie spędzać tu jak najwięcej czasu.

- Drogie panie, oto gość Numer Dziewięć i Numer Dziewięć A. Od lewej do prawej, to Angela, Paula, Carol, Susan, Mary, Connie, Delphine i Ardeth. Mamy tu możliwość przyjąć w każdej chwili dwadzieścioro gości. Czasem musimy się trochę ścieśnić, jeśli zachodzi nagła konieczność. We wschodnim skrzydle przebywa siedmioro dzieci. Ja jestem Mona. Mieszkam tu stale. Skoro panie siedzą już wygodnie, myślę, że możemy zaczynać. Gdy byś miała ochotę się przyłączyć, Numerze Dziewięć, proszę bardzo. Helen oparła się o miękkie poduszki, z Lucie zwinęta na kolanach. Słuchała uważnie kobiet, które dzieliły się swoimi przeżyciami, i miała ochotę płakać nad nimi i nad sobą. Jakie to dziwne - myślała. - Wyglądają tak normalnie, tak zwyczajnie, a jednak są takie podobne do mnie. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, trochę się odprężyła.

Dwa ptaszki przysiadły na szczycie muru. Helen przypatrywała się im, przez krótką chwilę zazdroszcząc im wolności. Ale, podobnie jak one, musiała strzec się drapieżców. Nigdy nie byłam słabeuszem, dopóki nie spotkałam Daniela - pomyślała. - Zdołałam wychować się sama, dorosnąć, pójść na studia, zatroszczyć się o siebie, i zniszczyłam całą tę ciężką pracę w jednej chwili, kiedy powiedziałam „tak”. Zastanawiała się, czy inne kobiety myślą tak samo, zapytała więc. Przytaknęły wszystkie.

Rozpłakała się, gdy Ardeth, która zabrała głos jako ostatnia, wstała ze szklanką mrożonej herbaty w dłoni.

- Chcę wnieść toast za nas wszystkie, za to, że tu dziś jesteśmy. My miałyśmy szczęście. Będzie mi was brakować, kiedy jutro wyjadę. Wiem, że

nigdy was już nie zobaczę, i to akceptują. I choć ja i moje dzieci byliśmy tu krótko, wy wszystkie miałyście wpływ na nasze losy. Życzę wam tego, czego życzę również sobie: spokoju, rozsądku i życia wolnego od strachu. Helen odchrząknęła.

- Powodzenia-mruknęła.

Lucie wierciła się, chcąc zejść na ziemię. Mona kiwnęła głową. Helen uważnie obserwowała suczkę. Natychmiast zerwała się z fotela, gdy ulubienica zawędrowała zbyt daleko i zniknęła jej z oczu. Poczowała przyływ paniki, podbiegła więc do Lucie i porwała ją na rękę.

- Wszystko w porządku. Nie zgubi się. To wszystko jest dla niej równie nowe, jak dla ciebie. Musi wszystko powąchać, poznać każdą ścieżkę. Od czasu do czasu miewamy tu zwierzęta. Pewnie czuje ich zapach - uspokajała Mona.

- Wiem. Ale...

- Tylko ona ci została - dokończyła Mary. - Mona opowiadała nam o tobie. Teraz masz również nas. Moja kolej na gotowanie. Zaproponujesz coś?

Helen zaskoczyła sama siebie, mówiąc:

- Pikantny stek.

- Niech będzie pikantny stek.

- A ja mam dzisiaj dyżur w łazienkach na dole - oznajmiła Angela. -Ale zdążę ze sprzątaniem do czwartej, do dyskusji o książkach.

- Nasi goście prowadzą bardzo pustelnicze życie przez te sześćdziesiąt dni, które spędzają u nas przed przeniesieniem - Mona zwróciła się do Helen. -Usiłujemy być na bieżąco. Gazety, książki, najnowsze filmy. Nie zapominamy też o stronie duchowej. Trzy razy w tygodniu rozmawiamy z nami ksiądz, rabin i pastor. Wieczorem, przed snem, modlimy się przy świecach, tu, w ogrodzie. Przyjdź, jeśli masz ochotę. To nie jest obowiązkowe. Aha, chciałabym poruszyć jeszcze dwie sprawy. Może to zabrzmie dziwnie, ale nie zachęcamy do zawierania przyjaźni. Taka przyjaźń nie utrzyma się, kiedy się już stąd wyjedzie, więc tak jest lepiej. A druga sprawa to nasz kurs samoobrony. Zawodowi trenerzy przychodzą do nas jako wolontariusze. Spodziewamy się twojej współpracy. Ten kurs może ocalić ci życie. Naszych zasad nie wolno łamać. Wiem, że już to wszystko słyszałaś, lecz nie zaszkodzi powtórzyć. Nikt poza mną nie otwiera drzwi. Nie wolno ci dzwonić ani odbierać telefonów. Nie rozmawiamy o naszym życiu, o żadnych wydarzeniach z przeszłości, z wyjątkiem tych, przez które się tu znalazłyśmy. Jeśli złamiesz choćby jedną z zasad, możesz narazić na niebezpieczeństwo pozostałych gości. Gdyby tak się stało, musiałabyś odejść. Bez dyskusji.

- Rozumiem-powiedziała cicho Helen.

- Przez wszystkie lata naszej działalności straciłyśmy tylko dwie pensjonariuszki. Przyjmę to jako osobistą zniewagę, jeśli stracimy kolejną - oświadczyła z naciskiem Mona.

- Mona, powiedz Dziewiątce, czyje zdjęcie wisi w hallu - zaproponowała jedna z kobiet.

- Sheila była Numerem Ósmym, kiedy dołączyła do nas w sierpniu dziewięć lat temu - mówiła Mona z surowym wyrazem twarzy. - Przystosowała się dobrze, podobał jej się nasz program i robiła wszystko, czego od niej wymagano, ale miała poczucie winy i szczerze wierzyła w przysięgę małżeńską, wierność aż do śmierci i tak dalej. Uciekła w środku nocy i wróciła do męża. Dwa miesiące później już nie żyła. Mąż pobił ją tak, że zidentyfikowano ją wyłącznie na podstawie uzębienia. Był wpływowym prawnikiem w Los Angeles. Teraz siedzi w więzieniu. Zostawiła czworo dzieci, które są w rodzinach zastępczych. Jeśli wrócisz do domu, wszystko się powtórzy, tak jak powtórzyło się w przypadku Sheili.

Helen poczuła kulę w gardle.

- Czy wolno nam wychodzić na przepustki? - wydusiła z trudem.

W odpowiedzi usłyszała chóralne „Nie!”

- Z początku będziesz się czuć jak w więzieniu - powiedziała spokojnie

Angela. - Ale kiedy się z tym pogodzisz, będzie ci już łatwiej.

Nauczysz się

o tym myśleć w kategoriach bezpieczeństwa i życia bez lęku.

Przestaniesz

czekać, że za chwilę coś się stanie. Nie będziesz się martwić, czy kuchnia

i łazienka lśnią czystością i czynnie zapomniałaś wynieść śmieci.

Przestaniesz

się bać tej pory dnia, której nienawidziłyśmy wszystkie: kiedy on wchodzi do

domu, a ty w jego oczach czytasz, że to nie będzie miły wieczór dla ciebie,

twoich dzieci i twoich zwierząt. To już przeszłość. Jedyne, o co się musisz

teraz martwić, to że Mary dziś gotuje.

Helen uśmiechnęła się szczerze - po raz pierwszy od wielu dni.

- A więc, moje panie, na dzisiaj koniec naszej terapii grupowej.

Przydałaby mi się pomoc w biurze. Czy ja to kolej?

- Moja - zgłosiła się młoda dziewczyna, Delphine, wstając z trudem z fotela. Helen obserwowała, jak obolała kuśtyka za Moną. Nic nie powiedziała, lecz spojrzała pytającym wzrokiem na kobiety.

- Ten typ, z którym mieszkała, zrzucił ją ze schodów i połamał oba biodra. Ale najpierw wybił jej wszystkie zęby - wyjaśniła Connie bezbarwnym głosem.

- Jak... Skąd... wiadomo, ile kobiet przewinęło się przez to miejsce? A może to kolejna rzecz, o którą nie powinnam pytać? - wykrztusiła Helen.

- W biurze jest lista. Podpisujemy się, kiedy stąd wyjeżdżamy.

Tysiące.

Kula w gardle Helen urosła.

- Mój mąż jest geniuszem komputerowym. Wie, jak się włamać... no wiesz, dostać do czegośkolwiek. Kiedy tu przyszedłem, widziałam w biurze całą masę komputerów.

- Dziesięć dni temu przeszliśmy na tradycyjny, papierkowy system. Jedną z najlepszych firm komputerowych projektuje właśnie dla nas nowe oprogramowanie. Powinno zacząć działać w ciągu kilku tygodni. Nie masz się o co martwić. Ten dom jest wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia elektroniczne. A przyjrzałaś się drzwiom? Dwie grube warstwy mahoni, a pomiędzy nimi stalowe sztaby. Okna z nietłukącego szkła, a w środku kraty. Zamykają się na klucz, a wszystkie klucze są u Mony. I co, poczułaś się lepiej?

- Chyba tak. Czy fundatorka tego wszystkiego przychodzi tu czasami?

- Jestem tu już dwa miesiące i nigdy jej nie widziałam - powiedziała Ardeth. - Nie sądzę, żeby przychodziła. Podobno jest bardzo bogata i ma wielką fabrykę zabawek. Tak naprawdę nikt nie o niej nie wie, a Mona nie jest zbyt rozmowna. I ma rację, im mniej wiemy, tym lepiej dla nas. Dziękuję Bogu, że są jeszcze na świecie tacy ludzie, jak pani Tyger.

- Już mi wyjaśniono, na czym to wszystko polega, ale przeżywałam wtedy naprawdę ciężkie chwile. Mam mętlik w głowie i tyle pytań. Jeśli na przykład nie podoba ci się miejsce, do którego cię wysyłają, co wtedy?

- Wtedy musisz po prostu zaciśnąć zęby. Każde miejsce jest lepsze niż to, z którego ja się wyrwałam. Najważniejsze są dla mnie dzieci. To, co dobre dla nich, jest dobre i dla mnie. Możesz wpływać na swoje życie. Wszystkie dostajemy tutaj drugą szansę. Ja mam zamiar dotrzymać umowy, a więc, jak widzisz, nie obchodzi mnie, dokąd wyjadę, bylebym tylko była bezpieczna, ja i moje dzieci. Zapamiętajcie sobie jedno: faceci, którzy się nad nami znęcali, chcą teraz zemsty. Są tam, na zewnątrz, i szukają nas. Przepraszam, ale was opuszczę, bo obiecałam dzieciakom, że zagram z nimi dzisiaj w monopol - powiedziała Ardeth.

- Mam nadzieję, że postępujemy właściwie, Lucie. Chwilowo nie widzę innego wyjścia. Wiem, że tu jest ładnie i wygodnie, może jednak zamieniliśmy jedno więzienie na inne. Czas pokaże.

Suczka polizała jej dłoń.

- Wciąż mam to dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje - powiedziała Isabel Tyger, oglądając się przez ramię. - Może po prostu potrzebuję porządnego drinka.

- Czemu nie - odparł Arthur King, podnosząc dłoń, by przywołać kelnera. - Czego się napijesz, Gerry?

- Poproszę podwójną wódkę z sokiem.

- A dla mnie podwójna szkocka - dorzuciła Isabel.
- I podwójny bourbon z lodem. - Arthur poczekał, aż kelner odejdzie i oznajmił: -Wyrzuciłem go.
- Isabel klasnęła w dłonie.
- Bóg jednak czuwa nad nami. Zwolniłeś go, tak po prostu!
- A co miałem zrobić? Zdemaskowałem go. Żałuj, że nie widziałaś, jak się poccił. Nigdy w życiu bym nie uwierzył, że Daniel Ward jest zdolny do czegoś takiego. Jak mogłem się tak mylić? Zawsze myślałem, że znam się na ludziach.
- Nie rób sobie wyrzutów, Artie. Ludzie tacy jak Daniel i Helen potrafią doskonale ukrywać swoje wstydliwe sekrety. Helen z czasem dojdzie do siebie. To z jej mężem możemy mieć kłopoty. Prawdopodobnie wchodzi właśnie w fazę zemsty. O utratę pracy i swoją wpadkę będzie obwinił Helen. Wkrótce stwierdzi, że nie wystarczy zrzucić na nią winę. Będzie chciał ją odnaleźć, by móc ją ukarać za to, że go zwolniłeś. A na tym etapie słowo „ukarać” może nawet być jednoznaczne z morderstwem.
- Co to za człowiek? - zapytał Gerry.
- Idealny przykład geniusza komputerowego z Doliny Silikonowej. Materiał na dyrektora naczelnego. Potrafi dosłownie wszystko. Pracował dłużej niż inni, przychodził zawsze wcześniej i wychodził później. Nigdy nie brał urlopów ani zwolnień lekarskich. Ubierał się świetnie, zawsze bez zarzutu zadbane. Błyszczące buty, nienagannie ostrzyżony, samochód umyty. Uważałem go za perfekcjonistę. Nie miałem zielonego pojęcia, że jest zdolny do takich rzeczy. Nie znam nikogo, kto mógłby się z nim równać, jeśli chodzi o programy komputerowe. Planowałem mianować go moim następcą. Zawsze był miły, życzliwy, dobrze się dogadywał z personelem. On jest jak doktor Jekyll i pan Hyde. Czasem wydawał się strasznym indywidualistą, czasem znów świetnie współpracował z ekipą. Dlaczego nic nie zauważyłem?
- Nie mogłeś zauważyć. I nikt by o tym nie wiedział, gdyby nie rzucił się na psa Helen. Na psa, którego sam jej zresztą dał, co ciekawe. Miarka zawsze kiedyś się przebierze, Artie. Dla Helen przebrała się z powodu psa. Przykro mi, że ten biedny zwierzak musiał przez to wszystko przejść, w sumie jednak dobrze się stało. Helen uwolniła się od męża i jest bezpieczna. Postanowiłam, że nie powiem jej, że go zwolniłeś. Nie wiem, czy to słuszne, ale niech tam. Ona zna tego człowieka. Wie, że poruszy niebo i ziemię i nie spocznie, póki jej nie znajdzie.
- Zakazałem mu wstępu do budynku i na teren firmy. Nie sądzę, żeby się pokazał. Był naprawdę wściekły, ale trzymał nerwy na wodzy. Nigdy przedtem tego u niego nie widziałem. Zaprzeczał wszystkiemu do samego końca, twierdził, że żonajest na zakupach w Los Angeles. Kazałem mu opróżnić biuro. Zabrał tylko alkohol i zdjęcie Helen. Chciał mi chyba w ten sposób

pokazać, że ma mnie gdzieś. Postarasz się zapewnić jej bezpieczeństwo, Izzie, prawda?

- Jeśli tylko sama nam na to pozwoli. Szkoda, że nie widziałeś, jak ona tuliła tego pieska. Serce mi się kraje. Pamiętam...

- Powinniśmy się jeszcze napić, skoro Izzie przywiozła nas już do tej wystawnej restauracji -przerwał jej Geny.

Arthur ponownie kiwnął na kelnera. Gestem pokazał, że proszą jeszcze raz to samo.

- Powiedz mi, co mam zrobić, Izz. Chcesz, żebym mu zepsuł opinię? Czy zależy nam na tym, żeby on już nigdy nie dostał pracy w tej branży? Muszę wiedzieć. Wszyscy moi rywale będą stawać na rzęsach, żeby go zatrudnić. Groził, że mnie pozwie do sądu, jeśli to zrobię. Możemy sobie napytać biedy, jeśli postąpimy w ten sposób. I nie sądzę, żeby ci twoi przepłacani prawnicy mogli coś na to poradzić. Trzeba to przemyśleć.

- Prędzej pójdę do grobu, niż narażę schronisko na jakiegokolwiek kłopoty. Niech będzie. Jeśli działa zgodnie ze schematem, nie będzie teraz szukał pracy. Będzie knuł i kombinował. Tacy jak on nigdy nie rezygnują. Helen i Lucie są bezpieczne. Lucie jest wspaniałym pieskiem, prawda, Gerry?

- Izzie.

- Dobra, dobra. To naprawdę szczęście, że jesteście moimi przyjaciółmi. Czasem żałuję, że nie mam dzieci. Helen jest tak młoda, że mogłaby być moją wnuczką. A co mam? Sieć pracowników, którzy przypominają super szpiegów, tysiące kobiet, które boją się o życie, żalną fabrykę zabawek, dwóch przyjaciół, wielki, stary dom, który bardziej przypomina stodołę, i stanowczo za dużo forsy.

- Zatkaj jej gębę, Gerry. Koniec z piciem, kochana, zjedzmy coś.

Później, już przy kawie, Isabel powiedziała cicho:

- Zostanę doradczynią Helen, kiedy przyjdzie na to pora. Mogę jej pomóc. Wiem, że mogę.

- Złamiesz własne zasady - upomniał ją Gerry. - To wszystko działa tylko dlatego, że jesteś konsekwentna. Inaczej narobisz sobie kłopotów. Po-wiedz jej coś, Artie.

- On ma rację, Izz, ale przecież ty nie posłuchasz, prawda?

Isabel wzruszyła pulchnymi ramionami, aż przesunęły jej się okulary na nosie.

- Wspaniali z was faceci, lecz guzik wiecie o kobiecej naturze i pewnie niewiele o męskiej. Zajmuję się tym od czterdziestu lat. Zaufajcie mi choć trochę, proszę. Jeśli wpakuję się w kłopoty, wy dowiecie się pierwsi. A tak przy okazji, ile są warte dzisiaj moje akcje ComStar?

- Dolar siedemdziesiąt każda. Jak dużo ich masz, Izz, gdyby wszystko podsumować?

- Pięćset tysięcy. Dzięki tobie z dnia na dzień jestem bogatsza.
- Bez ciebie nie byłoby ComStar - odparł Artie. - Do końca życia będę wdzięczny, że we mnie uwierzyłaś i pomogłaś wystartować.
- Ja też, Izzie. Nie mogę się z wami równać, ale dzięki tobie mam swoją lecznicę. I zajmujesz się tymi wszystkimi zwierzętami, których nikt nie chce. A co najważniejsze, jesteś dobrą, lojalną przyjaciółką.

Isabel zaczerwieniła się. Nigdy nie czuła się dobrze, gdy ktoś prawił jej komplementy.

- No cóż, chłopcy, wasza podstarzała koleżanka chyba chce już do domu. To był długi dzień. Może wpadniecie do mnie w niedzielę na drugie śniadanko?

- Zawsze z ochotą - powiedział Artie.

- Przyjdę na pewno - zawtórował mu Gerry.

Isabel klasnęła w dłonie.

- Świetnie. Uwielbiam, kiedy zgadzacie się ze mną.

Helen zajrzała do biura.

- Jest coś do roboty, Mona? Nie przywykłam siedzieć bezczynnie. Chciałabym się na coś przydać.

- Mogłabyś ściąć trochę kwiatów na stół w jadalni. Jest jeszcze wczesnie, ale jeśli chcesz, nakryj go. Poza tym wszystko idzie według grafiku. Jutro będzie inaczej. Ardeeth wyjeżdża i ty przejmiesz jej kolejkę. - Mona uśmiechnęła się. - Przyszło dziś parę nowych gazet. Leżą na stoliku do kawy, w salonie.

Helen kiwnęła głową i, z nieodłączną Lucie, poszła do kuchni.

- Prawie zapomniałam o magazynie, który dała mi Billie dziś rano. Zrobimy, co kazała Mona, a potem go przejrę. Daniel czytywał tę gazetę od deski do deski. Widocznie jest tam coś, na co Billie chciała zwrócić moją uwagę - powiedziała do suczki. - Jemy tutaj czy w jadalni? - zapytała dziewczyn w kuchni.

- W jadalni. Talerze są w kredensie, sztuce w górnej szufladzie. Serwetki w tej pod spodem. W dolnej szafce znajdziesz wazon na kwiaty.

Helen uśmiechnęła się.

- Skąd wiedziałyście?

- Rutyna. Wszystkie nowe pensjonariuszki zaczynają tak samo.

Pół godziny później, trzymając Lucie na rękach, Helen weszła do swojego pokoju. Odszukała magazyn i zaczęła przerzucać kartki, by zorientować się w treści. Co też Billie chciała jej pokazać? *Top 100 Doliny Silikonowej?* Daniel marzył, żeby znaleźć się kiedyś w tej setce. Szybko przejrzała listę. Nazwisko Teda Wexlera było na trzecim miejscu. Daniel nienawidził go z całej duszy. Ted

dobrze się sprawdzał we współpracy z grupą, Daniel był raczej samotnikiem. Wiedziała, że Arthurowi Kingowi niezbyt się to podobało. Daniel zawsze chciał całej chwały dla siebie, a Arthur traktował firmę jak rodzinę.

- Wyobrażam sobie, że Daniel gotuje się ze złości, jeśli czytał ten artykuł, Lucie. Ale na szczęście to już nie nasz problem. - Przerzuciła kartki i na ostatniej stronie dostrzegła kolumnę zatytułowaną *Co nowego w...*

Theodore Wexler z ComStar Industries został mianowany wicedyrektorem przez dyrektora naczelnego, Arthura Kinga. Wszyscy w branży są tym zaskoczeni, gdyż krążyły plotki, że tytuł i stanowisko miały być przyznane Danielowi Wardowi. Żaden z trzech panów nie zechciał skomentować dla prasy tego wydarzenia.

Helen wrzuciła błyszczące pismo do kosza na śmieci przy łóżku.

- Założę się, Lucie, że w naszym dawnym domu pojawiło się sporo nowych dziur w ścianach. I to też już nie jest nasze zmartwienie. Przyjdzie taki dzień, że będziemy bogate, szczęśliwe i spokojnie. Złapiemy nowe życie za ogon i wskoczmy mu na grzbiet. I to już niedługo, dzięki kilku wspaniałym ludziom. Wiesz, właśnie sobie zdałam sprawę, że przegapiliśmy Boże Narodzenie! Ale teraz nie będziemy się tym martwić. Następne święta będą wspaniałe. Upiekę ciasteczka. Będziemy miały prawdziwą choinkę i świeży, pachnący stroik. Wszędzie pełno igieł... Sprawię ci pończochę i napełnię ją przysmakami, i będziemy śpiewać *Dzwonki sań*, aż ochrypniemy. I będziesz mogła czekać do woli. Obiecuję ci to, Lucie. A nigdy nie łamię obietnic. Teraz trochę się zdrzemnijmy. Tylko ty i ja na tym wielkim, starym łóżku.

Tylko ty i ja, Lucie.

Rozdział 5

Helen rozejrzała się po pokoju, który przez dwa długie miesiące był jej domem. Wysprzątała go starannie, zmieniła pościel, a nawet umyła okna - miał przecież dać schronienie i pociechę następnemu gościowi. Chwilę wcześniej, przygotowując się do wyjazdu, zniosła na dół bagaże. Sprawdziła wszystko, by mieć pewność, że nic nie zostawiła. Szkicownik trzymała pod pachą, torebkę zawiesiła na ramieniu. Pokój był tak samo czysty, jasny i miły, jak dwa miesiące temu, kiedy tu przyjechała.

Wiedziała, że usiłuje odwlec tę nieuchronną chwilę, gdy po raz ostatni zejdzie po schodach. Czuła się tu bezpieczna. Lucie była tu bezpieczna. Teraz miały się puścić na szerokie wody, wyruszyć w obce miejsce. Dokąd właściwie jedzie, dowie się dopiero, kiedy wsiądzie do granatowej furgonetki. Gorące łzy zapiekły ją pod powiekami. Lucie zaskomliła u jej stóp.

Pod wieloma względami te miesiące były najszczęśliwszym okresem w jej życiu. Nauczyła się, jak wyrażać swoje myśli, mówić otwarcie o koszmarze, przez który przeszła, pokazywać blizny i tych kilka głębokich sińców, które nie chciały zniknąć. Nauczyła się też ufać i dzielić się tym zaufaniem z innymi kobietami. Patrzyła pogodnie w przyszłość, nastrojona jak dobre skrzypce -tego porównania użyła Mona poprzedniego wieczoru. Poznała podstawy sztuk walki i czuła, że da sobie radę, gdyby kiedykolwiek musiała się bronić. W strzelnicy pod budynkiem nauczyła się strzelać jak zawodowiec. Zdaniem Mony, Helen mogła teraz stawiać czoło niebezpiecznej sytuacji. Już sama świadomość tego dawała większą pewność siebie. Umysł miała jasny, a jej pies był w równie dobrej formie, jak ona. Helen nosiła już nawet nowe nazwisko, Nancy Baker, posiadała prawo jazdy, kartę kredytową i konto w banku. Wiedziała, że są fałszywe i że nie może ich używać w sprawach oficjalnych. Miały jej służyć tylko tymczasowo, dopóki nie dojedzie w bezpieczne miejsce. Tam dostanie komplet nowych dokumentów - również fałszywych, ale lepszej jakości. Wszystko było na razie.

Chciała pozostawić coś po sobie, by okazać swój ą wdzięczność, lecz nie miała nic takiego. A może jednak? Uklękła i otworzyła szkieletownik. Przerzucała kartki, aż odnalazła tę, na której narysowała Geralda Davisa i Billie, a wczoraj wieczorem dołączyła podobiznę Lucie. Zastanawiała się chwilę, w końcu podpisała rysunek swoim prawdziwym nazwiskiem. Helen Marie Stanley. Zaledwie tyle mogła ofiarować.

- Chodź, Lucie, czas na nas. Jeszcze tylko plecak.

Przejedziesz się trochę. Spokojnie, mała, spokojnie. No. Super. Na dole, przy bocznych drzwiach, czekała Mona.

- Samochód czeka, Nancy.

- Dzięki za wszystko. Może kiedyś się jeszcze spotkamy. Mona uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nie.

- Czy możesz dać to Billie, kiedy ją znów zobaczysz? Wiem, że nie

powinam była podpisywać tego swoim nazwiskiem, ale to zrobiłam.

Tak się

naprawdę nazywam. Nie mogłam ofiarować podarunku podpisanego cudzym

nazwiskiem. Może to podrzeć albo spalić. Chciałam tylko... no wiesz, zostawić coś po sobie. Coś, co by mówiło, że pomogliście Helen Marie Stanley.

Stanley to moje panieńskie nazwisko. Żegnaj, Mona.

- *Żegnaj* i powodzenia, Nancy. I ty też na siebie uważaj - powiedziała, głaszcząc Lucie po głowie. - Opiekuj się swoją panią, słyszysz? I na pewno oddam to, hmm, Billie.

Helen poczuła, że pieką ją oczy. Nie obejrzała się ani razu, idąc korytarzem i mijając kuchnię. Dotarła do drzwi garażu. Czekala na nią granatowa furgonetka z przyciemnionymi szybami. Helen wsiadła. Drzwi garażu uniosły się, samochód sprawnie wycofał. Kierowcą była kobieta, której Helen nigdy nie widziała. I prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy.

- Co teraz? - zapytała wprost.

- Zawiozę cię do miasteczka studenckiego przy Uniwersytecie Santa Gara. Będzie tam na ciebie czekał samochód. Dowód rejestracyjny i polisa ubezpieczeniowa są w schowku na rękawiczki. Samochód jest zarejestrowany na nazwisko Nancy Baker. Na przednim siedzeniu leży mapa z trasą twojej podróży. Wszystko jest zaznaczone, łącznie z postojami i motelami, w których się zatrzymasz. Za jedzenie i kwatery będziesz płacić gotówką. Zachowaj rachunki.

- Dokąd mam jechać?

- Do New Jersey.

- Ależ to na drugim końcu kraju! Ja nigdy nie byłam poza Kalifornią.

- Nigdy przedtem nie byłeś też w schronisku dla kobiet.

Poradzisz sobie. Tylko trzymaj się wyznaczonej trasy. Nie jeźdź więcej niż osiem godzin dziennie. Nigdy, powtarzam nigdy nie przekraczaj dozwolonej prędkości. Pamiętaj, żeby bak był pełny, i sprawdzaj poziom oleju kilka razy w czasie podróży. Przynajmniej raz samochód powinien zostać umyty.

- A w New Jersey, dokąd konkretnie jadę?

- Do miasteczka Woodbridge. Masz tam wynajęte dwupokojowe mieszkanie, czynsz zapłacony za trzy miesiące z góry. Po drugiej stronie ulicy jest duże centrum handlowe, dom towarowy Woodbridge. Czekają tam na ciebie prace w sklepie z bielizną, który nazywa się Ładne Szmaki. Zaczynasz za dziesięć dni, licząc od dziś. Umowy o dostawie wody, prądu i gazu, a także telefon są na twoje nowe nazwisko. Płać rachunki terminowo. Sprawy bankowe będziesz załatwiać w oddziale First Union, na tej samej ulicy. Wszystko jest urządzone bardzo wygodnie. Chcemy, żebyś się zapisała do Middlesex College, na wieczorowe kursy biznesu. To niecałe dziesięć kilometrów od twojego mieszkania. W samochodzie znajdziesz kopertę z wszystkimi informacjami. W mieszkaniu jest komputer dostosowany do twoich potrzeb. Zostaniesz zawiadomiona listownie, kiedy będziesz połączona z naszą siecią. Raz w miesiącu, między pierwszym a trzecim, z twojego konta będą automatycznie potrącane czterdzieści trzy dolary. Ponieważ nie dostałaś rachunku za nasze usługi, będziesz obowiązkowo

płacić tę kwotę fundacji - za pomoc, której ci udzieliła. Fundacja opłaciła ci też sześciomiesięczne ubezpieczenie zdrowotne. Wygaśnie ono z chwilą, kiedy obejmie cię ubezpieczenie w nowym miejscu pracy. W Edison, w alei Dębowej, jest weterynarz, doktor Lo, do którego możesz zabrać psa, jeśli zajdzie potrzeba. Twoja suczka ma tam kartę. Drugiego dnia po przyjeździe zgłoś się do niego na umówioną wizytę. W kopercie znajdziesz mapkę z zaznaczoną drogą dojazdu do lecznicy. To już chyba wszystko. Na twoim koncie jest tysiąc pięćset dolarów, a w schowku na rękawiczki znajdziesz pięćset dolarów gotówką. Jeśli chcesz jeszcze o coś zapytać, słucham. Helen chciała zapytać o milion rzeczy. Poglaskała Lucie po głowie.

- Nie, zrozumiałam wszystko-odparła.

- Jeśli miałabyś jakiegokolwiek kłopoty z samochodem, zadzwoń pod 222. Do dowodu rejestracyjnego jest przypięta wizytówka pogotowia technicznego. Za naprawy możesz zapłacić kartą kredytową.

- Gdzie... daleko mam do spożywczego?

- Niedaleko. W którąkolwiek stronę pójdziesz, znajdziesz delikatesy. Twój kredens, lodówka i zamrażarka są zaopatrzone. Jest też zapas karmy, witamin i zabawek dla twojego zwierzaka. Pani Tyger to bardzo skrupulatna osoba.

Helen zamknęła oczy. Nowe życie. Miała zapewnione wszystko. Musiała tylko zrobić ten jeden krok i stać się Nancy Baker. Czy jeszcze kiedykolwiek będzie Helen Marie Stanley? Czy gdyby umarła jutro, na nagrobku znajdzie się nazwisko Nancy Baker? Mało brakowało, by wypowiedziała to pytanie na głos. Ugryzła się jednak w język i tylko mocniej przytuliła Lucie.

- A czy ty byłaś kiedyś w New Jersey? - zapytała kobietę.

- Możesz dojechać pociągiem do Nowego Jorku. Stacja jest w parku Miejskim, niedaleko twojego mieszkania. Jedzie się około czterdziestu minut. Nie, nie byłam tam nigdy, nawet w Nowym Jorku.

Helen pochyliła się do przodu, usiłując dojrzeć, jak wygląda kobieta za kierownicą. Przyciemniona szyba między przednimi i tylnymi siedzeniami była tak samo nieprzejrzysta, jak okna furgonetki.

- Siądź normalnie, proszę, zasłaniasz mi widok - powiedziała kobieta.

- Jesteś podopieczną czy wolontariuszką?

- Czy to ma znaczenie?

- Ma dla mnie znaczenie, kto kontroluje moje życie i każdy krok.

- Jakoś cię to nie obchodziło, zanim zgłosiłaś się do programu. Byłaś wtedy w niebezpieczeństwie. Dziś twoje życie jest w rękach aniołów stróżów, którzy chcą dla ciebie jak najlepiej. Możesz się wycofać w każdej chwili -Głos kobiety nagle stał się lodowaty.

- Nie powiedziałam, że chcę się wycofać. Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

- Już zapomniałam. Uspokój się i zrelaksuj. - Głos złagodniał.
Helen
wydało się nawet, że usłyszała w nim nutkę żalu, jakby kobiecie
zachciało się
plakać. Nic nie było takie, jakim się wydawało. Nic. Na razie.
Postanowiła
trzymać się tych dwóch krótkich słów: na razie.

Pięć dni później Helen podjeżdżała powoli swoim volvo do bramki numer 11 na autostradzie New Jersey. Zapłaciła należność i skierowała się na północ, na autostradę stanową, z której skręciła zjazdem numer 131. Potem, trzymając się znaków, odnalazła drogę 27, a następnie 1, gdzie niemal przegapiła zjazd na osiedle. Westchnęła z ulgą, gdy po okrążeniu parkingu odnalazła właściwy budynek.

Była w domu.

Biegła pięć razy, aż wniosła wszystkie bagaże. Wtedy rozpięła Lucie szelki i posadziła ją na podłodze. Chwilę później, ze smyczą w dłoni, zeszła na parter i wyszła do ogródka. Lucie powęszyła, kucnęła i chciała wracać do środka.

Helen ucieszyła się, widząc na drzwiach potężny rygiel i dwa dodatkowe zamki. Natychmiast zatrzasnęła wszystkie trzy.

Postanowiła rozejrzeć się trochę po nowym domu. Pierwszym domu, za który ona, i tylko ona, miała być odpowiedzialna. Bo trudno by nazwać domem obskurną kawalerkę, w której kiedyś mieszkała. Tu, w tych małych pokojach, mogła robić, co jej się podobało i kiedy jej się podobało. Chodzić w samej bieliznie, gdyby miała ochotę. Zostawić nie umyte naczynia w zlewie. Włączyć telewizor na całą noc, cały dzień słuchać radia. Mogła jeść zupy mleczne na kolację, mogła wreszcie zostawić pościel przez dwa tygodnie, zamiast zmieniać ją codziennie, jak wymagał tego Daniel.

W jej życiu nie było już Daniela, który mówiłby, co jej wolno, a czego nie. Począwszy od tego dnia, odpowiadała sama za siebie i za Lucie.

Może to nowe życie nie będzie jednak takie złe.

- Mam kilka wspaniałych pomysłów, Lucie - powiedziała, siadając po turecku na podłodze. Suczka wskoczyła jej na kolana. - Jak tylko podłączą mi komputer, spróbuję zająć się sprzedażą bielizny przez Internet. Ładnych, seksownych szmatek. Mona mnie do tego zachęcała. Znam się teraz zupełnie nieźle na komputerze. Może nawet zarobiłabym dość pieniędzy, żeby zapłacić za to, co dostałyśmy od fundacji. Chcę być niezależna. Dawać, nie brać. Oddamy wszystko, jak tylko coś zarobię. Może nie będę nawet musiała pracować w sklepie, jeśli ten interes okaże się dochodowy. Daniel powiedział kiedyś, że Internet to przyszłość handlu. I pewnie się nie mylił. Ale miałyśmy przecież trochę się porozglądać. Chodź, mała, rozejrzemy się po naszym nowym domu. Nie można się tu zgubić, to pewne - oznajmiła, przechodząc

z wygodnego saloniku do sypialni. - Podoba mi się. Prosto i schludnie. Żadnych zbędnych gratów. Wystarczy kilka kwiatków i od razu będzie weselej. Boże, ależ ja nienawidziłam tych dwóch tysięcy metrów kwadratowych w Kalifornii. Nigdy nie czułam się tam jak w domu. Nie było tam ani jednej rzeczy, która świadczyłaby o tym, że mieszka tu Helen Marie Stanley. Cały dom należał do Daniela Warda. Ale muszę przestać o nim mówić i myśleć. Nie będziemy rozpamiętywać przeszłości. Liczy się tylko przyszłość. Rzuciła się na łóżko.

- Będziemy dziś dobrze spać. Lucie. Zobacz, jest nawet materacyk dla ciebie. I kosz pełen zabawek. Wiem, że tęsknisz za swoją myszką. Poszukam ci takiej samej, jak tylko się urządzimy. Będzie inaczej, ale przyzwyczaisz się, tak jak ja się przyzwyczajam.

Rozejrzała się po pokoju - mieszkanie na pewno urządziła kobieta. Kwiecista narzuta i zasłony idealnie pasowały do bladezielonego dywanu. Meble z białej wikliny cieszyły oko, choć Daniel upierał się, że nadają się tylko na werandę. Nawet łazienka pasowała do sypialni, ze swoimi puchatymi, zielonymi ręcznikami i dywanikami, w których tonęło się po kostki. Pysznic, wanna i umywalka, czyściuteńkie, błyszcząły wypolerowanym chromem. Pod umywalką był zapas środków higienicznych na kilka miesięcy.

Na ścianie wisiał pojedynczy obrazek przedstawiający samotną sosnę. Helen zastanowiło, dlaczego ktoś miałby wieszyc w sypialni coś takiego. Przyjrzała mu się uważniej, szukając ukrytego znaczenia. U podstawy ciemnego pnia dostrzegła nazwisko. Edna Mae Trolley. Przygryzła wargę. Edna Mae Trolley, kimkolwiek była, prawdopodobnie zrobiła to samo, co ona, kiedy dała swój szkic Monie.

- Dopóki choć jedna osoba wie, że żyjesz i masz się dobrze, wszystko w porządku, Edno Mae Trolley. Ten obrazek będzie dla mnie cenny, bo najwyraźniej ta sosna wiele dla ciebie znaczyła.

Przeszła do saloniku.

- Ta kanapa jest tak wygodna, że będziemy mogły obie na niej spać. Wskakuj, Lucie. Możemy tu nawet jeść. Zawsze mi się marzyło coś takiego. Teraz marzenie się spełnia. Dziś wieczorem zasiądziemy sobie tutaj, włączymy telewizor i będziemy wcinać prażoną kukurydzę. Boże, to takie cudowne! - Lucie pisnęła z radości, gdy Helen zwinęła siew rogu szerokiej kanapy. Suczka wierciła się i kręciła, aż znalazła się obok swojej pani. Chwilę później obie smacznie spały.

- Artie, kiedyż te komputery będą gotowe? - zrzędziła Isabel.

- Moi ludzie harują nad tym dwadzieścia cztery godziny na dobę, lzz. To nie takie proste, jak ci się zdaje. Jeszcze najwyżej trzy dni. Mój personel pomoże twoim pracownikom wprowadzić wszystkie dane. Uspokój się choć trochę.

- Nie uspokój ę się, dopóki nie będę wiedziała, że mam łączność z Helen Ward. Chcę ci coś pokazać. Zostawiła dla mnie prezent. Z początku byłam zła. Miałam ochotę ją zbesztać, ale potem przemyślałam sprawę. Popatrzcie, panowie, i co wy na to?

- Jest prawdziwą artystką - stwierdził Artie. Geny gwizdnął z podziwem.
- Wypadłaś całkiem niezle, Izzie. I mnie też pokazała z dobrej strony.
- Co jeszcze? - spytała szorstko Isabel.
- Niby z czym? Pies wygląda jak żywy. Gdy dobrze mu się przyjrzyć, wydaje się trochę smutny - powiedział Geny.
- Ludzie! Podpis. Spójrzcie na podpis!
- No i co? To jej nazwisko, Izz - odrzekł Artie.
- Właśnie, że już nie. Nazywa się teraz Nancy Baker. Powinna myśleć zachowywać się, żyć jak Nancy Baker. A ona tak się podpisuje.
- Jezu, Izzie, czy ty nie rozumiesz, o co jej chodziło? Musiała zostawić coś po sobie, coś, co by przypominało, kim była. Może już nigdy nie będzie Helen Marie Stanley. Ten rysunek mówi, że ona chciałaby mieć nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie Helen. Ta nadzieja i Lucie to cały jej majątek. Do diabła, nawet pies znaczy swój teren. Kot też. Ja chyba nie mógłbym wyrzec się swojego życia, swojej tożsamości. Po prostu nie byłbym w stanie. Przyszedłem na ten świat jako Gerald Davis i zamierzam zejść z niego pod tym samym nazwiskiem. Myślę, że Helen czuje mniej więcej to samo. To, co się z nią dzieje, jest na razie. Ona nie wierzy, że to na zawsze.
- Zgadzasz się z tobą- poparł go Artie.
- Z góry wiedziałam, co powiecie - mruknęła zrzędlawie Isabel. - Każę to oprawić.
- Czasem mówisz tylko dlatego, że lubisz słuchać samej siebie.

- Artie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W Helen Ward jest coś, co mnie ujęło. Nie bez znaczenia był twój telefon w środku nocy, ale przecież miałam takich setki.
- Chodzi o psa, Izzie. O to, że była z psem. Nie możesz ścierpieć, kiedy ktoś krzywdzi zwierzę, tak samo zresztą, jak i ja. Poradzą sobie świetnie. Mogłaś jej powiedzieć, kim jesteś. Chociaż to pewnie niczego by nie zmieniło - stwierdził Geny.
- Ona ma talent i nie powinna go marnować. Powiedziała Monie, że chce projektować bieliznę, i jeśli to możliwe, sprzedawać ją przez Internet. Nie ma żadnego kapitału na start, z wyjątkiem pieniędzy, które włożyliśmy jej na konto. Ja... chciałabym... zapytać, czy zgodzilibyście się, żeby fundacja dała jej małą pożyczkę na to przedsięwzięcie. W ten sposób mogłaby być w domu, z Lucie.

- I znowu wracamy do psa. Oczywiście, że się zgadzamy - odparł

Gerry.

- Nie mam nic przeciwko temu- dodał Artie.

- Ona potrafi ciężko pracować. To wiem na pewno. Umie prowadzić dom, zna się na ogrodnictwie. Jest też bystra. Tylko szanowny mąż wybił jej z głowy wszystkie pomysły, bała się nawet przy nim odetchnąć. Dobrze, pięć tysięcy. Każę prawnikom przygotować dokumenty.

- Pięć tysięcy nie starczy jej nawet na znaczki, Izz. Będzie też potrzebować lepszego komputera niż ten, który dostała. Złożę dla niej nowy i wyślę w przyszłym tygodniu. Zgadzasz się?

- Dziesięć tysięcy i komputer - powiedziała Isabel.

- Piętnaście miałyby większy sens - odparł Artie.

- Niech będzie piętnaście - przytaknęła ochoczo Isabel.

- Więc to po to kazałaś nam przyjść na śniadanie - westchnął Gerry.

- Na litość boską, Izz, mogłaś to załatwić bez nas.

- Owszem, mogłam, ale kiedy chodzi o ludzkie życie, nikt nie chce brać na siebie całej odpowiedzialności. Ja też popełniam błędy, obaj dobrze wiecie. Myślę, że... chyba chcę, żeby jakoś przetrwała. Nie zna jeszcze tego podłego świata, ale pozna go bardzo szybko. Chcę jej to tylko troszkę ułatwić.

- Masz jakieś wieści o jej mężu, Artie? - zapytał Gerry.

- O ile wiem, nikt go nie widział ani nie słyszał o nim. Nikt nie dzwonił do ComStar po referencje. Znasz tych przeklętych łowców głów, wydzwanianą bez przerwy. Żaden nawet nie pisał. Prawnik orzekł, że musimy mu dać odprawę, czek został wysłany wczoraj. Poza tym nie wiem nic.

- Nic to lepiej niż coś - stwierdziła Isabel, głaszcząc pieska na rysunku Helen.

- Gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń - powiedział Artie. - Muszę mieć jej adres, żeby wysłać komputer. Każę moim ludziom się tym zająć, jak tylko wrócę do biura.

- Dzięki, Artie.

- Izz, dla ciebie wszystko. Wiesz o tym.

- Przydałaby mi się pomoc dziś po południu - wyznał Gerry - gdybyś miała trochę wolnego czasu, Izzie...

- Przyjdę. Jakież nowe szczeniaki?

- Sześć.

- A masz je komu oddać?

- Nie.

- No to są moje- oznajmiła Isabel.

- Miałem nadzieję, że to powiesz - roześmiał się

Gerry.

Isabel uśmiechnęła się. Przyjaciele to prawdziwy skarb.

Rozdział 6

Helen wysłuchała wiadomości o jedenastej, zadowolona, że na świecie panuje porządek. Przynajmniej chwilowo.

- Chodź, Lucie, pora włączyć komputer.

Suczka pobiegła do małego aneksu jadalnego, który był teraz domowym biurem Helen. Nowutki komputer z drukarką marki ComStar zajmował prawie cały stół. Półki na obu ścianach, puste, kiedy się wprowadzała, wypełniły książki z zakresu informatyki, papier i tusz do drukarki, faks i podręczniki potrzebne do nauki na wieczorowym kursie biznesu. Były tam również dokumenty jej firmy, poradniki, jak prowadzić małe przedsiębiorstwo, i wreszcie psie przysmaki i gumowe kości, by Lucie się nie nudziła, kiedy Helen siadała do pracy. Na półkach nie pozostał ani centymetr wolnego miejsca.

Helen kochała ten dom jej dom, nieważne, jak bardzo był zagracony. Miał indywidualny styl, odczwierciedlał jej osobowość, konkretną osobowość. Poprzedni weekend spędziła na pchlim targu przy ulicy Pierwszej. Kupiła kilka bibelotów i mizerniutkich roślinek, które jednak odżyły, gdy zasadziła je w ziemi z nawozem i codziennie podlewała. Ufała, że niedługo będą zdrowe i bujne.

Wydała na pchlim targu dwadzieścia dziewięć dolarów, których wydać nie powinna. Rozważała tę decyzję ze wszystkich stron, w końcu uznała, że ma prawo „zaszaleć” choćby dlatego, że tak postanowiła i że sprawi jej to radość. Jej internetowa doradczyni twierdziła, że życie polega na podejmowaniu decyzji. Miała rację. Kiedy podejmuje się decyzję, bierze się odpowiedzialność za jej skutki. Krok Pierwszy. Dziś wieczorem, podczas godzinnej sesji, przerobią Krok Drugi.

Helen włączyła komputer i podała Lucie pierwsze tego wieczoru ciasteczko. Zalogowała się do ekspresu internetowego, wpisując swoje hasło pod adresem MG@internetx.com. - użyła swojego pseudonimu w sieci: MG, czyli Mała Gwiazdka. Połączyła się z adresem Boots@aol.com. Zaczekała, aż znaczek połączenia ekspresowego zjawi się w górnym, lewym rogu ekranu.

Helen pisała powoli. Przez kilka minut wymieniały zwykłe uprzejmości, zanim Boots zadała pierwsze pytanie:

- Czy ciągle czujesz się taka przygnębiona?

- Trochę, ale chyba już nad tym zapanowałam. Poszłam w niedzielę po zakupy. Wydałam dwadzieścia dziewięć dolarów na kwiatki i inne różności, żeby w domu było weselej. Może nie powinnam, ale zaoszczędzę na czymś innym. Miałam taką potrzebę. Potrzebowałam tego.

- To zrozumiałe. Jak leci w pracy? Polubiłaś ją chociaż odrobinę?
- Nie, niezbyt. Nie rozumiem, jak można żądać takiej ceny za takie obokurme szmaty. Według mnie, nazwa sklepu to kiepski żart. W tym, co sprzedają, nie ma nic ładnego. I klientela pozostawia wiele do życzenia. Ale myślę, że właścicielka jest ze mnie zadowolona.
- To świetnie, MG. Wyraziłaś opinię i podjęłaś decyzję. Pewnie wspaniale się poczułaś. Kiedy już rozkręcisz własny interes, możesz odejść ze sklepu. Jakież postępy w sprawie twojej firmy?
- To rzeczywiście było wspaniałe uczucie, Boots. A co do firmy, dowiedziałam się, że wiele formalności załatwia się ustnie. Zamówiłam też wizytówki i katalog z kilkoma szkicami. Kiedy lepiej się zapoznam z komputerem, będę mogła sama zrobić sobie katalog. Nie wiem, co takiego jest w tych komputerach. Nienawidziłam ich już w szkole. Po prostu za słabo się na tym znałam. A teraz, kiedy... nieważne, to nieistotne. Czytam poradniki komputerowe każdego ranka, zanim wyjdę do pracy. Trochę to potrwa, ale z każdym dniem jestem bardziej otrząskana.
- Wszystko wymaga czasu. Kurs biznesu, praca i sesje ze mną - to sporo. Nie od razu Rzym zbudowano. Musisz się nauczyć robić tylko jedną rzecz naraz, za to robić ją porządnie. Sprawy same się ułożą. Małe przedsiębiorstwa świetnie prosperują w naszym kraju. Jak się miewa MG2? -zapytała Boots.
- Siedzi obok mnie. Przeważnie śpi, kiedy jestem poza domem. Jakoś sobie radzimy. Tęskni za mną, ale i ja tęsknię za nią. Przychodzę do domu na lunch i wyprowadzam ją.
- To dobrze. A teraz powiedz, czy dobrze sypiasz? Ciągłe miewasz koszmarne sny? Ciągłe oglądasz się przez ramię, kiedy idziesz ulicą?
- Cóż, miewam jeszcze te koszmary. Owszem, ciągle oglądam się za siebie. Czasem boję się zajrzeć do skrzynki na listy. Nie wiem, dlaczego tak jest. Nigdy tak dobrze się nie czułam. Psychicznie jestem dużo silniejsza. Nie rzucam się, co prawda, ludziom na szyję, ale z każdym dniem nabieram pewności siebie.
- Myślisz o nim?

- Próbuję nie myśleć, ale trudno mi zapomnieć o nim, o tym, co mi zrobił, i że mu na to pozwoliłam. Tak bardzo się bałam. Teraz czuję czasami niepokój, ale nie strach. Nie znasz tego człowieka, Boots. On na pewno mnie w końcu znajdzie.

- Nie, MG, nie znajdzie cię. Jak długo trzymasz się programu, nie ma takiej możliwości. Zaufaj mi.

- Nie znasz go.

- Owszem, MG, znam. Znam tysiące takich jak on. Czy ty kiedykolwiek kochałaś tego człowieka?

- Sama nie wiem. Po prostu chciałam kogoś mieć. Chciałam, żeby komuś na mnie zależało. I na początku myślałam, że tak jest. To trwało jakieś trzy dni, dopóki nie przejrzałam na oczy. Powinnam była odejść, kiedy uderzył mnie po raz pierwszy. Nie zrobiłam tego, bo nie miałam gdzie się podziać. Na co wystarczyłoby tych czterysta dolarów, które zdołałam zaoszczędzić? Daniel nalegał, żebym rzuciła pracę. Nie mogłam wrócić do matki. A kiedy ktoś powtarza ci w kółko, że cię zabije, a potem opisuje, jak zamierza to zrobić i nie dać się złapać, zaczynasz mu wierzyć. Strach to okropne uczucie.

- Zgadzam się. Ale to już przeszłość. Tęsknisz za schroniskiem?

- Tak. Myślę o nim codziennie. Żadnych zmartwień, wszystkie potrzeby zaspokojone. Jedyne, o co powinnaś zadbać, to pogoda ducha. Zakonnice zawsze wydają się takie pogodne i spokojne. Zazdroszczę im. Jeśli będę stale nad sobą pracować i ja osiągnę taką pogodę i spokój. Ale chcę też być silna i dzielna. Czy ty się taka czujesz, Boots?

- Czasami. Jak myślisz, co taka pogodna i spokojna zakonnica zrobiłaby na twoim miejscu? Podjęłaby jakieś kroki czy modliłaby się o radę? Co? Nie zrozum mnie źle, nie mam nic przeciwko zakonnicom.

- Nie wiem. One żyją wśród kobiet. Pewnie niektóre kobiety właśnie dlatego zostają zakonnicami.

- Zakonnice mieszkają w odosobnieniu i wiedzą bardzo samotnicze życie. Założę się, że gdyby je zabrać poza ich królestwo, miałyby spore kłopoty z przystosowaniem się do prawdziwego świata. Nie sądzę, żeby długo pozostały takie pogodne i spokojne. Moim zdaniem nie. Widzisz, to dlatego

przenosimy gości po dwóch miesiącach. Bardzo łatwo wpaść w tę bezpieczną, spokojną i pogodną pułapkę. Musisz się przecież nauczyć borykać z rzeczywistą codziennością. I ta codzienność będzie taka, jaką ją uczynisz. A ja jestem po to, żeby cię prowadzić. Powiedz, miałaś kiedykolwiek własne konto w banku, wydawałaś sama pieniądze, kiedy byłaś mężatką? Nie. On... trzymał całą kasę. W sklepach zawsze płaciłam gotówką i musiałam mu oddawać rachunki. Mieliśmy mnóstwo kart kredytowych, ale tylko Daniel mógł się nimi posługiwać. Wszystkie były na maksymalnym debecie, spłacał jedną, używając kolejnej. To było zamknięte koło. Raz z kieszonki w torebce wypadł mi dolar, nie zauważyłam tego. Tak się wściekł, że na sześć godzin wyłądownałam na ostrym dyżurze. Wydanie tych dwudziestu dziewięciu dolarów zajęło mi dokładnie sześć godzin. Naprawdę z wielką przyjemnością chodziłam po targu, oglądałam stragany i wybierałam, aż w końcu z radością podjęłam decyzję, co kupić. Czy... inne kobiety... uczą się tego wszystkiego szybciej niż ja? Czy jestem zbyt powolna, zbyt... strachliwa? A może po jakimś czasie obudzę się rano i stwierdzę, że jestem Superkobietą?

- Każdy jest inny. Problem polega na tym, że niektóre kobiety lepiej się maskują, nie są takie szczere i nie mówią wszystkiego wprost. Powtarzam jeszcze raz, MG, możesz rozprawić się z przeszłością, ale nigdy o niej nie zapomnisz. Z czasem będzie to coraz bledsze wspomnienie, ale zupełnie nie zniknie. Musisz o tym wiedzieć i się z tym pogodzić.

- Nie mam wyjścia.

- Dobrze. A teraz przejdźmy do rzeczy...

Helen uśmiechała się, kiedy po niemal dwóch godzinach wylogowała się i wyłączyła komputer. Uwielbiała te „rozmowy” z Boots. Uśmiechała się również wtedy, gdy budziła Lucie, śpiącą smacznie na krześle obok.

- Biegnij po swój ą smycz. Pięć minut i idziemy spać. To był miły wieczór.

Omówiłyśmy z Boots mnóstwo spraw. Czuję się świetnie. Kto by pomyślał, że

dzisiejsza sesja będzie taka długa, gadałyśmy prawie dwie godziny. Boots chy

ba mnie lubi - trajkotała do suczki. - A teraz cicho. Wszyscy już śpią.

Wróciły po niespełna dziesięciu minutach. Lucie pobiegła do sypialni. Czekala z nową myszką w pysku. Helen zachichotała, spoglądając na łóżko, na którym psiak porozkładał wszystkie swoje zabawki.

- Lepiej zrób mi trochę miejsca.

Suczka natychmiast rzuciła pluszowe maskotki i ułożyła się na poduszce.

Mała nocna lampka, wetknięta do gniazdka tuż nad podłogą, rzucała słabe ale dodające otuchy światło. W półmroku Helen dostrzegła zarysy sprzętów i wpatrywała się nie jak zahipnotyzowana, cofając się myślą w czasie...

Helen rozejrzała się po długim, wąskim pokoju w przyczepie. Wszędzie pełno śmieci i ohydnie tu cuchnie. Stosowała najróżniejsze odświeżacze powietrza, nic nie pomagało. Meble były stare i przesiąknięte głęboko zapachami, których nie mogła zlikwidować nawet woda z detergentem. To było okropne miejsce i Helen nienawidziła go. Ale od dzisiaj nie musi się już tym przejmować. Przeszła po pokoju, automatycznie opróżniając popielniczki i zbierając butelki po winie i piwie oraz puste opakowania po jedzeniu. Robiła to samo wczoraj, przedwczoraj, każdego dnia. Często zastanawiała się, co by było, gdyby nie posprzątała. Czy zrobiłaby to jej matka albo facet, który z nią mieszkał? Może gdyby śmieci sięgały im po kolana, kopnęłyby je pod ścianę.

Helen wynosiła się stąd i nie miała zamiaru wracać, toteż zależało jej, żeby zostawić przyczepę w jakim takim porządku.

- Gdzie Harry? - zapytała matka, stając w drzwiach. A więc tak miał na imię.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest... Harry. Mamo, muszę z tobą porozmawiać.

- O czym? - Phyllis Stanley zerwała kapsel z butelki budweisera. Pociągnęła chciwie.

- Wyprowadzam się. Dzisiaj. Właściwie to w tej chwili. Ty i... aa... Harry macie wolną chatę.

Phyllis Stanley spojrzała wilkiem i ściągnęła wargi.

- Taa, pewnie. Wyprowadź się. Przynajmniej jeden kłopot z głowy. Nie będziesz się kleić do mojego chłopca. Przydałaby mi się od ciebie forsa na czynsz. Myślałam, że zarobisz w restauracji i trochę mi pomożesz. Jesteś mi to winna, mała.

- Co ci jestem winna, mamo? Nie sędzę, żebym miała jakieś długi. Nigdy się o mnie nie troszczyłaś. To ja troszczyłam się o ciebie. Nienawidzę tego miejsca. Nie podoba mi się, że przyprowadzasz obcych facetów, którzy patrzą na mnie obłeśnie. Nie widzisz, co oni robią, o co im chodzi? Pracujesz ciężko, zgoda. I na co idą wszystkie pieniądze? Ja na pewno nie widziałam z nich ani centa. Zawsze miałam tylko to, co podrzucili sąsiedzi, i gotowe jedzenie. Nigdy nie kupiłaś mi wstążki do włosów czy nowych butów. Przez cały ogólniak ani razu nie byłam na randce. Wiesz, jak bardzo chciałam iść na bal maturalny? Nawet gdyby mnie ktoś zaprosił, skąd wzięłabym pieniądze na sukienkę? Nie mam ani jednego miłego wspomnienia, mamo. To smutne.

- Potrafisz tylko jeczeć - krzywiąc się, parsknęła Phyllis. Zbyt mocny makijaż sprawiał, że wyglądała jak karykatura postaci z komiksu. - I dokąd to pójdziesz?

- Wynajęłam kawalerkę. Mam pracę na cały etat w butik i zapisałam się na studia wieczorowe. Chcę lepszego życia, mamo. I będę je miała, choćbym urobiła sobie ręce po łokcie. Chciałam się tylko pożegnać.

- Uważaj, żebym ci nie dała kopniaka na rozpęd! - wrzasnęła Phyllis. - Czy w ogóle cię obchodzi, że liczyłam na te sto dolców miesięcznie, które miałaś mi płacić za mieszkanie? Ale gdzie tam, masz to gdzieś!

- Mamo...

- Zjeżdżaj, wynoś się stąd. I nie wracaj. Nie chcę już nigdy widzieć twojej gęby.

Łzy potoczyły się po policzkach Helen.

- Próbowалаm cię kochać, mamo. Naprawdę. Wiele razy chciałam, żebyś mnie przytuliła i pocałowała, i powiedziała, że kiedyś będzie lepiej. Wiem, że to nie byłaby prawda, ale miałabym nadzieję. Kłamstwo czasem pomaga. Chciałam tylko być twoją córką. Traktowałeś mnie jak jakiegoś kundla znalezionego na ulicy. Nigdy nie mówiłaś do mnie „kochanie” ani „skarbie”, ani „słoneczko”. Zawsze tylko „hej, mała”. Już sobie pójdę. Przyślę ci adres, gdybyś mnie kiedyś potrzebowała.

- Taa, pewnie. Wynoś się, byle szybko.

Helen podniosła się gwałtownie. Zeskoczyła z łóżka i poszła do kuchni. Otworzyła butelkę wody mineralnej.

Przeszłość... -matka... Nienawidziła o nich myśleć. Może poczułaby się lepiej, gdyby miała choć jedno dobre wspomnienie. Tymczasem przypomniwała sobie dzień, w którym dostała dyplom ukończenia Akademii Sztuk Pięknych.

- Helen Stanley. - Głos dziekana brzmiał donośnie i wyraźnie. Helen wzięte dyplom, uśmiechnęła się do fotografa i wróciła na swoje miejsce obok kolegów.

Czekał na nią nowy, wielki świat.

Mniejsze, ale za to ładniej umeblowane mieszkanie, nowa praca w firmie graficznej, i w końcu Daniel Ward - wszystko to miało być nagrodą za sześć lat ciężkiej pracy i studiów.

To było już tak dawno. W innym czasie, w innym życiu. Ledwie mogła sobie przypomnieć stare, przytulne mieszkanko z bambusowymi żaluzjami w oknach, ciasne, a jednak pełne kwiatów. Firma, w której pracowała, była wspaniała, ludzie otwarci i przyjaźnie nastawieni. Zaczynała ich właśnie lepiej Poznawać, kiedy Daniel wkroczył w jej życie i wyrzucił je do góry nogami.

Helen pociągnęła łyk zimnej wody. Nie chciała myśleć o Danielu Wardzie -był niebezpieczny dla jej psychicznej równowagi. Potrząsnęła głową, by pozbyć się niemiłych wspomnień.

- Mam teraz nowe życie. Drugą szansę. Jesteś po prostu znajomym z przeszłości, Danielu.

Wśliznęła się pod koldrę i zmówiła krótką modlitwę, jak co wieczór. Lucie słuchała jej słów z głową między łapkami.

Gdy tylko oddech Helen się wyrównał, suczka powolutku przysunęła się bliżej i położyła łapkę ra ramieniu pani, rozejrzawszy się najpierw uważnie w półmroku. Zadowolona z inspekcji, ona też zamknęła oczy i wkrótce usnęła.

Helen strzepnęła dłonie teatralnym gestem.

- Będziemy dzisiaj jeść jak królowe, Lucie. Pieczony kurczak z nadzieniem. Nie mogę wprost uwierzyć, że w końcu udało nam się wygospodarować trochę wolnego czasu. Nieźle się zorganizowałyśmy, i to zaledwie w dziewięć tygodni. Przyszła wiosna i za oknem jest całkiem ładnie. W marcu rzeczywiście było jak w gamcu, ale za to teraz wszystko kwitnie. Nasz balkon wygląda jak miniaturowa łąka.

Lucie podreptała do kąta pokoju, gdzie miała schowek na zabawki, i wróciła z długą, plecioną linką. Czas na zabawę. Helen uklękła na podłodze - będą przeciągać linkę. Lucie groźnie warczała, a jej pani turlała się i dokazywała, śmiejąc się i łaskocząc suczkę. To była dla nich obu szczególna pora dnia.

- Dobra, dobra, poddam się. Wygrałaś! - powiedziała w końcu. Lucie warknęła triumfalnie.

Gdy rozległ się dzwonek, Helen zamarła. Dźwięk brzmiał obco, słyszała go tylko raz, odkąd wprowadziła się tu dziesięć tygodni temu. Siedziała wtedy pod drzwiami, czekając na technika, który miał podłączyć jej nowy komputer.

Lucie podbiegła do drzwi z podkulonym ogonem i zaczęła wściekle warczeć. Helen napięta, ze źrenicami rozszerzonymi ze strachu, stwierdziła z ulgą, że wszystkie trzy zamki są zatrzaśnięte. Bała się spojrzeć przez wizjer. A jeśli zobaczy czyjeś oko, przyklepione do niego z drugiej strony? Wzięła głęboki oddech.

- Kto tam?

- Sam Tolliver. Jestem pani sąsiadem spod 6 B. Chciałem spytać, czy nie pożyczyłaby mi pani trochę karmy dla psa.

Otworzyć czy nie? Boots radziłaby otworzyć.

- Chwileczkę, panie Tolliver. - Ręce tak jej się trzęsły, że wepchnęła je w kieszenie dżinsów, kiedy tylko pootwierala zamki i uchyliła drzwi. Skulonej u jej stóp Lucie sierść zjeżyła się na grzbiecie. - Proszę wejść, panie Tolliver.

- Sam. Mam na imię Sam. Tylko moi studenci mówią do mnie „panie Tolliver”. A ty jesteś Nancy Baker.

- Skąd... skąd wiesz?

Tolliver zrobił głupią minę.

- Nazwisko jest na skrzynce na listy, a twoja jest tuż obok mojej. Już dawno chciałem się z tobą zapoznać i może przynieść na powitanie jakiś placek, ale nie umiem piec placków, a ciastkami mam nie po drodze. Koniec semestru, wiesz, jak to bywa... Chyba nie ułatwisz mi zadania. Czuję się jakbym wdarł się tu siłą i mówił do ściany. Wyglądasz na... przerażoną. Zostawić otwarte drzwi?

To było pierwsze spotkanie sam na sam, w jej własnym domu. Z mężczyzną! Boots radziłyby się nie przejmować. Helen przecież wiedziała, że to musi kiedyś nastąpić. Spróbowała trochę się rozluźnić.

- Nie, nie trzeba. Chcesz suchą karmę czy puszkę?

- Max zje wszystko. Oddam w sobotę, dobrze? Fajnie urządziłaś mieszkanie. Jim, facet, który wynajmował to mieszkanie przed tobą, miał tylko materac, dwa stołki i telewizor. Teraz jest bardziej przytulnie. Może kiedyś wpadniesz do mnie. Kwiaty jednak wiele dają, i te wszystkie... jak to się właściwie nazywa? - zapytał, wskazując na rządki bibelotów.

Helen uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Śmiecie z pchlego targu. Może trochę tego, trochę tego?

- Hę?

- Psiego jedzenia. Po trochu wszystkiego.

- A, pewnie. Co za fantastyczny zapach. Helen uśmiechnęła się znowu.

- Pieczony kurczak. To nadzieienie tak pachnie.

- Drób się nadzieiwa na święta. Pieczesz nadziewanego kurczaka w maju, w środku tygodnia?

- Owszem. - Boots będzie zachwycona, kiedy się o tym dowie.

- A ty nie gotujesz?

- Jajka. Zwykle kupuję coś w drodze do domu. Albo czekam, aż jakaś dobra dusza zaprosi mnie na kolację. Max potrafi się zachować przy stole. To przejrzysta aluzja.

- Próbujesz wprosić się na kolację?

- Myślałem, że nigdy się nie domyślisz. Przyjmujemy zaproszenie. Mam coś przynieść? Wino, piwo, oranżada? Max ją bardzo lubi. Chyba przez bąbelki.

Helen niemal się wygadała, że Lucie też lubi bąbelki, ale w porę ugryzła się w język.

- Mój pies uwielbia napój grejpfrutowy - powiedziała, zamykając torebkę z karmą. - Potrzebne ci to jeszcze, skoro przychodzicie na kolację? Moja suczka je to, co ja, nawet jarzyny.

- Nie żartuj. Jak się wabi?
- Dziewiątka.
- Dziwnie.
- Była dziewiąta w miocie. Może to nieszczęśliwe imię, ale mnie się podoba- skłamała gładko Helen. Świetnie mi idzie, Boots, rozmawiam z mężczyzną.
- Więc o której ta kolacja?
- Wpół do ósmej.
- Nie jesteś, zdaje się, zbyt rozmowna? Ja czasem potrafię zagadać kogoś na śmierć. Tak twierdzą moi studenci. Rzadko zwracam uwagę, co mówią, chyba że mówią o mnie.
- Po prostu cię nie znam - powiedziała spokojnie Helen.
- Nic dziwnego-prychnął Sam.- Mieszkasz tu już dziesięć tygodni, a wiem o rym tylko dlatego, że pewnej pięknej niedzieli Jim się wyprowadził, a w następny weekend wprowadziłaś się ty. Nikt na piętrze cienie zna. Tu, w chmurach, jesteśmy ze sobą dosyć zżyci. Wiesz, pożyczamy sól, wieszamy razem pranie, plotkujemy, rozmawiamy o zwierzętach. Paczka przyjaciół. Pomyśleliśmy sobie, że nie chcesz, żeby ci zawracać głowę. Ja też bym cię nie niepokoił, ale potrzebowałem psiej karmy. Wszyscy inni na tym piętrze mają koty. To czadowy komputer, że się tak wyrażę. ComStar, ha? Czym się zajmujesz, Nancy Baker? A może to nie mój interes?
- Pracuję na pół etatu w sklepie w centrum handlowym, a poza tym sprzedaję bieliznę własnego projektu. Mam zamiar założyć kiedyś własną firmę. I nie jestem nietowarzyska. Po prostu nie miałam wolnego czasu. Pracuję, chodzę na kurs cztery razy w tygodniu, a w weekendy ślęczę nad moimi projektami.
- Skąd jesteś, Nancy?
- A ty skąd jesteś, Samie Tolliver?
- Właściwie to doktorze Tolliver, proszę pani. Urodziłem się i wyrosłem tutaj, w tej części stanu. A ty?
- Walterboro w Południowej Karolinie. To małe, zażytkowe miasteczko.
- Piękność z Południa, co? A gdzie się podział twój akcent?
- Nie mam, i tyle. Czy ty nie jesteś zbyt wścibski?
- Ja to nazywam: przyjacielski. - Sam uśmiechnął się szeroko. - Twoja rodzina nadal tam mieszka? - zapytał.
- Nie mam rodziny. A twoja?
- Mam siostrę, odkopuje ruiny gdzieś w Peru. Całe wieki jej nie widziałem. Mam trzydzieści trzy lata. Kawaler. Włosy moje, prawdziwe, i zęby w świetnym stanie. Kiedy się lepiej poznamy, pokażę ci moje znamię. Ty masz jakieś? Moglibyśmy sobie urządzić pokaz.
- Nie. Jestem bez skazy - zażartowała.
- Chyba powinienem już iść, żebyś mogła wrócić do swoich zajęć. Kiedy dzwoniłem, słyszałem, że było tu dość wesoło.

- Bawiłam się z psem.
- No właśnie. Max czuje się samotny, gdy tak siedzi zamknięty tyle godzin. Może moglibyśmy im urządzać dzień zabaw, tak jak rodzice dzieciom. On jest naprawdę łagodny. Nie skrzywdzi tej twojej futrzanej kulki. Jezus, co to za imię, Dziewiątka? Czy ona naprawdę na nie reaguje? Dlaczego nie Tiffany czy Samantha, czy nawet Myrtle? Widzę błyski w twoich oczach. Dobra, biorę, po co przyszedłem i się wynoszę. Ale mam jeszcze jedno pytanie. Czy Max je tutaj z nami i Dziewiątką, czy mam go nakarmić tym żalonym żarciem?

- To chyba zależy od tego, jak dużo jesz. Ja zjadam tylko plasterki białego mięsa, ale za to prawie całe nadzienie.

- No to do zobaczenia o wpół do ósmej. Nie muszę się ubierać wizytowo?

Helen patrzyła na tego wysokiego mężczyznę, przestępując z nogi na

nogę. Przypominał Clintę Eastwooda - szczupły, miał blond włosy, ogorzałą cerę i kilka piegów; ubrany był w powyciągany dres i rozdeptane tenisówki. Miał też najbardziej błękitne oczy, jakie w życiu widziała.

- Nie. Przyjdź tak, jak jesteś. Ale ręce umyj.

Gdy tylko trzy zamki zostały zatrzaśnięte, Helen porwała Lucie na ręce, pobiegła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Dopiero wtedy puściły jej nerwy. Czy Sam Tolliver jest tym, za kogo się podaje? Czy naprawdę tu mieszkał, zanim się wprowadziłam? Czy rzeczywiście ma stopień doktora i uczy w Mid-dlesex College? Czy odważę się mu zaufać?

- Jak myślisz, Lucie? Nawet mi się spodobał, ale w końcu Daniel też mi się podobał na początku. Ma psa. To duży plus. Jest w odpowiednim wieku. Boots mówi, że musimy się nauczyć ufać ludziom, i ma rację. Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Daniel. Wydaje się miły. Jeśli stwierdzimy, że nie lubimy ani jego, ani jego psa, nie musimy więcej się z nimi spotykać.

Lucie położyła łapkę na piersi Helen.

- Nienawidzę mówić na ciebie Dziewiątka, musimy jednak trzymać się zasad. A teraz pogrzebiemy trochę w Internecie i sprawdzimy, czy doktor Sam Tolliver jest tym, za kogo się podaje.

Rozdział 7

Helen dyskretnie zerknęła na zegarek. Była już za dziesięć jedenasta, a oni wciąż siedzieli w kuchni. Poczula skurcz w żołądku. Jak miała wyprosić Sama i nie wyjść przy tym na dziwaczkę? Wiedziała, że Boots niedługo się zgłosi, a ona tkwi tu, przy nieuprzątniętym stole, goszcząc obcego mężczyznę

i jego psa. Spojrzała z ukosa w stronę czekoladowego labradora, który bawił się z Lucie. Wszystkie jej zabawki, nawet ukochana, nowa myszka, leżały ułożone w stertę na środku podłogi w salonie. Lucie najwidoczniej ufała temu wielkiemu psu i jego właścicielowi.

- Twoja suczka podbiła serce Maksa - stwierdził Sam. - Zauważ, że zachowuje się jak dżentelmen i tylko opęda się łapą, chociaż ona postanowiła przegryźć mu ogon na pół.

- Chcesz powiedzieć, że moja suczka nie jest damą? Podzieliła się wszystkimi zabawkami, nawet swoją ulubioną myszką. Twój pies nic nie przyniósł na przyjęcie. I skoro już o przyjęciach mowa, jutro jest zwykły dzień pracy, a ja muszę jeszcze posprzątać.

- Pomogę ci. Sprzątniemy to wszystko migiem - oznajmił Sam, zrywając się z krzesła. - W kuchni jestem demonem szybkości. Max chciał przynieść swój kocyk, ale mu nie pozwoliłem. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że jest maminsynkiem.

- Nie, nie musisz mi pomagać. Sama poradzę sobie lepiej. Wiem, gdzie co leży, a ty nie. Chciałabym się położyć przed jedenastą piętnaście. Próbuję dać ci niezbyt delikatnie do zrozumienia, że powinieneś już wyjść.

- Raczej nie jesteś nieśmiałą panienką, Nancy Baker - powiedział pogodnie Sam. - Chyba nadużyłem gościnności. Kolacja była cudowna, towarzystwo również. Chciałbym to kiedyś powtórzyć, i to wkrótce. Myślę, że Max się zakochał. Zobacz, jak się do siebie czują.

- Moja suczka jest wysterylizowana - rzuciła Helen, desperacko spoglądając na kuchenny zegar.

- Max też. Idę już, idę. Jesteś maniaczką punktualności, czy co?

- Czy co.

- A więc, możemy to powtórzyć?

- No...

- Ja gotuję. Może pojutrze?

Kiedy duża wskazówka zegara dotarła do dwunastki, Helen gotowa była obiecać wszystko.

- Zgoda, pojutrze. Tak, tak. Masz fajnego psa. Dobranoc, Sam.

Spojrzał na nią trochę podejrzliwie, wreszcie zaczął wołać Maksa. Skończyło się na tym, że musiał wziąć pięćdziesięciokilogramowego labradora na ręce i wynieść go przez otwarte drzwi.

- Wiem, trzymasz w szafie kogoś, kto wychodzi punktualnie o jedenastej - rzucił zrzędlawie.

Helen zatrzęsła drzwiami. Roztrzęsiona, pobiegła do biurka i włączyła komputer. Po chwili była już zalogowana i czekała na zgłoszenie Boots. Spóźniła się tylko trzy minuty. O Boże, zapomniałam o twoich smakołykach, Lucie.

Musisz poczekać chwilę, aż Boots się zgłosi. Powinnam bardziej nad sobą panować. Jestem zbyt nerwowa.

Przygarbiła się z rezygnacją, gdy przeczytała dwa krótkie słowa:

- Spóźniłaś się.
- Miałam nieoczekiwanego gościa. Straciłam poczucie czasu.
- Jakiego gościa, MG?
- To sąsiad, nazywa się Sam Tolliver. Sprawdziłam go. Wszystko, co powiedział o sobie, jest prawdą. Wykłada w college'u. Jest nawet szefem działu księgowości. Ma stopień doktora. Przyszedł pożyczyć trochę kamy dla psa i mówiąc w skrócie, wprosił się na kolację. Nie wiedziałam, jak się wykręcić. Ma psa, Maksa, wielkiego, czekoladowego labradora. MG2 go uwielbia, on ją też.
- Jak się udał wieczór?
- Wspaniale. Dobrze się z nim rozmawia. Lubi jeść. Nie zadawał osobistych pytań. Rozmawialiśmy głównie o psach i metodach księgowania. Zorientowałam się, że jest późno, dopiero za dziesięć jedenasta. Przepraszam za spóźnienie.
- Nie ma sprawy. Czyli można uznać, że masz pierwszego przyjaciela?
- Zaprosił mnie na kolację, pojutrze, w jego mieszkaniu. Zgodziłam się, żeby tylko wreszcie wyszedł. Chyba mogę go uważać za przyjaciela. MG2 bardzo go polubiła. Pozwoliła mu się nawet wziąć na rękę.
- A co ty o nim sądzisz, MG?
- Rozweselił mnie. Kiedy już przestałam się denerwować, rozluźniłam się i miło spędziłam z nim czas. Chce mnie przedstawić innym sąsiadom. Nie wiem, czy jestem już na to przygotowana. A ty, co o tym sądzisz?
- To poważny krok w twoim nowym życiu. Bądź ostrożna. A teraz opowiedz, jak się miewa MG2? Przez ostatnie dwa miesiące zrobiliśmy duże postępy, więc dzisiaj możemy trochę zwolnić tempo. Zastanawiam się nawet, czy nie ograniczyć naszych sesji do trzech tygodniowo. Jeśli nie podoba ci się ta propozycja, jeszcze przez jakiś czas możemy kontynuować tak, jak jest.
- Wolalabym kontynuować.
- Zgoda, jak chcesz. A teraz opowiedz o twoich zamówieniach i o najnowszych psotach MG2, zamieniam się w słuch.

- Dostałam sześć zamówień na koszulki, te koronkowe z szerokimi ramiączkami. I na siedem kamizelek. A MG2? Musiałam kiedyś upuścić ziemniak albo wypadł przez dziurę w torbie, porwała go natychmiast i nosi wszędzie ze sobą. Chyba myśli, że to jej stara myszka, może pachnie identycznie. Trzyma go w swoim legowisku. Nawet pokazała go dzisiaj Maksowi, ale on tylko powąchał. Sam pytał, czy możemy zostawiać psy razem, żeby się bawiły, skoro siedzą tak długo same. Zgodziłam się, ale tylko u mnie. Nie zabiorę jej do niego.

- Słusznie. Jak zareagowała na Sama?

- Bardzo dobrze. Myślałam... bałam się, że będzie wariować w obecności mężczyzny. Psy wyjątkowo trafnie oceniają charakter ludzi. Czy ty miałaś kiedyś psa, Boots? Oj, przepraszam. Wiem, żadnych pytań.

- A co z twoim lękiem?

- Jest we mnie, ale jednocześnie jakby zniknął, nie wiem, czy mnie rozumiesz. Nawet kiedy jestem zajęta, czuję się samotna. Tęsknię za... innymi miejscami. Złe sny już mi tak nie dokuczają. Rzadko je teraz miewam. Chyba jestem naprawdę podekscytowana nową znajomością. Sam spodobał mi się. Chciałabym lepiej go poznać.

- To normalne.

- Nie wolno mi pytać, ale muszę... Czy wiesz... czy są jakieś wiadomości o... wiesz kim?

- Właśnie, nie pytaj i nie musisz. Tę część życia masz już poza sobą.

Przestań o tym myśleć. Jesteś bezpieczna.

Więc dlaczego nie czuję się bezpieczna? Dlaczego sprawdzam drzwi i okna po kilka razy, zanim pójde spać? Dlaczego boję się wynosić śmieci? Dlaczego wpadam w panikę, kiedy Lucie szczeka, a ja nie wiem, o co chodzi?

- Może w końcu się do tego przyzwyczaję.

- Czy chcesz skończyć dzisiaj wcześniej?

- Tak, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Porozmawiamy jutro wieczorem.

Helen westchnęła tak głośno, że Lucie obudziła się i zaskomliła.

- Wszystko w porządku, malutka. Posprzątam tylko ten bałagan i wyjdziemy na spacer. Weź swoją smycz i zaczekaj przy drzwiach.

Lucie zeskoczyła z wysokiego, kuchennego stołka i posłusznie wykonała polecenie. Dziesięć minut później Helen przypięła smycz do jej obroży, zeszła

spokojnie po schodach i odetchnęła ciepłym, balsamicznym powietrzem. Przystanąła na splachetku trawy, który był ulubionym miejscem Lucie.

- Pośpiesz się, Lucie, jest późno. Żadnego szczekania, już prawie pół noc i wszyscy śpią. O tak, grzeczny piesek. Co się dzieje?

Helen obejrzała się przez ramię, usiłując dojrzeć cokolwiek w ciemnościach. Czyżby ktoś tam był? Zachowanie Lucie wyraźnie na to wskazywało. Ktoś jeszcze wyprowadza psa? A może ktoś ją śledzi? Dreszcz przeszedł jej po plecach.

Nagle Lucie skoczyła do przodu z głośnym szczekaniem i pociągnęła Helen na wyprężonej smyczy w stronę ciemnej sylwetki na drugim końcu parkingu. Drugi szczek odpowiedział jej jak echo, ale dużo niższy i groźniej brzmiący.

- Nancy, to ty?

- Sam!

- Tak, tak, to ja. Spokojnie, Max, spokój. Wyprowadziłem go zaraz, jak od ciebie wyszedłem, ale musiał wiedzieć, że jesteś tutaj z Dziewiątką. Nie przestawał drapać do drzwi, aż w końcu znowu go wziętem na dwór. Kto to jest Lucie?

Znowu zadrżała. Wzięła głęboki oddech.

- Jaka Lucie?

- To ja ciebie pytam. Słyszałem, jak nazwałaś kogoś Lucie. Zdawało mi się, że mówiłaś do Dziewiątki.

- To nie ja. Może ktoś jeszcze spaceruje z psem - skłamała Helen bez zająknięcia.

- Wiesz co? Mam pomysł. Może wezmę Dziewiątkę na noc albo ty weźmiesz Maksa. Ciągnie ich do siebie. Max nie ruszył się od drzwi, kiedy przyszliśmy do domu.

- Ja wezmę twój ego psa. Słuchaj, muszę wracać. Robi się coraz później. A wstaję wcześniej.

- Dobra. Ale następnym razem moja kolej.

- Raczej nie. Moja suczka źle się czuje poza domem. Nie lubi się ze mną rozstawać, a ja nie lubię rozstawać się z nią. Możesz odebrać Maksa o szóstej.

- Oboje pracujemy i wychodzimy wcześniej, a psy zostają same. Nie masz nic przeciwko temu, żeby twój pies posiedział u mnie z Maksem? Tak dla towarzystwa.

- Owszem, mam. Nie.

- Coś ty taka ostra?

- Jest późno. Na litość boską, ledwie cię znam, a już zdażyłeś się wprosić na kolację i jeszcze chcesz mi podrzucić swojego psa na noc.

- Przecież obiecałem się zrewanżować. Dobra, dobra. Myślałem tylko...

- Wiem, co myślałeś. Innym razem, dobrze?

- Jasne, innym razem. Słuchaj, a może masz ochotę pojechać w sobotę na ryby? Do Doliny Okrągłej. To zaledwie godzinka drogi stąd. Wędkowanie

to fajna rzecz. Możemy rozpalić ognisko i usmażyć naszą zdobycz. Zawsze zabieram jedzenie, na wypadek, gdybym nic nie złowił. Psy mogłyby poszaleć, przyda im się trochę ruchu. Spacer po parkingu niezupełnie można nazwać ruchem. Odpowiesz mi jutro?

- Zastanowię się. Muszę w sobotę wysłać parę zamówień, ale myślę, że Lu... mój pies chętnie by trochę poszalał. Dobranoc, Sam.

- Dobra, Max, idziesz z tą ładną panią, zobaczymy się rano. Ale muszę jeszcze przynieść jego kocyk. Poczekaj tutaj.

To szaleństwo. Jestem szalona, że się na to zgadzam. Helen spojrzała na dwa baraszkujące psy. Lucie była taka szczęśliwa, taka rozbawiona. Jak mogła jej czegokolwiek odmówić? Wyciągnęła rękę i podrapała labradora za uchem. Polizał jej dłoń. Pałace lzy stanęły Helen w oczach.

- Znalazłem go przy drodze. Był taki zagłodzony, że ledwie się trzymał na nogach. Poprzedni właściciel bił go. Chyba czuje w tobie dobrego człowieka. Nie widziałem, żeby lizał kogoś po rękach, oprócz mnie. Pomógł mi przetrwać niejedną ciężką chwilę, jeśli chcesz wiedzieć - powiedział miękko Sam.

- Dobrze się nim zaopiekuję - odparła Helen zdławionym głosem.

- Nie, nie trzeba. Chyba naprawdę nadużyłem twojej uprzejmości. Wezmę go do domu.

- Nie musisz.

- Czy to znaczy, że znów jesteśmy przyjaciółmi?

Helen zadrżała, otwierając drzwi i biorąc od Sama kocyk Maksa.

- Tak-powiedziała po prostu.

- Uff, kamień spadł mi z serca - uśmiechnął się.

- Dobranoc, Sam.

- Dobranoc. Nancy. Chodź, chłopie, przybij piątkę!

Helen uśmiechnęła się, kiedy labrador uderzył łapą w otwartą dłoń swego pana. Patrzyła, jak mocuj ą się przez chwilę, zanim Sam poszedł wreszcie do siebie.

Zatrzasnęła wszystkie trzy zamki. Labrador patrzył na nią wyczekują ąco, zwróciła się więc do suczki:

- No dobrze, Lucie, pokaż Maksowi, gdzie śpimy. Weź jego kocyk. Za

chwilkę do was przyjdę.

Usiadła na kuchennym stołku i zapaliła papierosa. Robiła to tylko wtedy, gdy była wyjątkowo zdenerwowana. Tam, w świetle latarni na parkingu, wyczytała w oczach Sama Tollivera mnóstwo pytań, kiedy nazwała Lucie po imieniu. Czy uwierzył w jej kłamstwo? Wątpliwe. Boże, jak trudno czasem upilnować własny język. Postanowiła sobie w duchu, że będzie bardziej uważna.

Pogasiła światła i po raz ostatni sprawdziła drzwi - teraz mogła iść do łóżka. Wyszorowała zęby, umyła twarz i ręce i włożyła piżamę.

Kiedy weszła do sypialni, wybuchnęła śmiechem. Zobaczyła psy, wyciągnięte obok siebie na łóżku, na kocyku Maksa. Lucie wtuliła łebek w zagłębienie szyi labradora.

- Dziękuję, że zostawiliście mi trochę miejsca-powiedziała, kładąc się z brzegu. - Dobranoc, Lucie, dobranoc, Max.

Rankiem Helen obudziła się z trudem i natychmiast uświadomiła sobie, że coś się w jej życiu zmieniło. Tym „czymś” był pięćdziesięciokilogramowy labrador, wyciągnięty obok niej, z ciężką łapą przerzuconą przez jej pierś. Uśmiechnęła się, gdy Lucie przyczółgała się, by polizać japo twarzą. Max obserwował suczkę z zaciekawieniem, po czym sam liznął Helen nieśmiało w policzek i zeskoczył z łóżka. Obydwa psy wyczekująco patrzyły teraz na nią.

Helen znów się uśmiechnęła.

- Dobra, łobuzy, plan jest taki: wy tu czekacie, a ja idę do łazienki. Za pięć minut, jeśli twój pan jest punktualny, idziecie na spacer. Jeśli się spóźni, ja

was zabieram, a potem dostaniecie śniadanie.

Kończyła właśnie szorować zęby, kiedy rozległ się dzwonek. Max rzucił się do drzwi, a Lucie za nim.

Otworzywszy, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ubrany w lekki garnitur koloru wielbłądziej wełny, śnieżnobiałą koszulę i eleganckie półbuty, Sam wyglądał jak prawdziwy profesor college'u. I to, musiała przyznać, przystojny profesor college'u. Podobało jej się spokojne spojrzenie jego niebieskich oczu i dołeczek w brodzie. A na dodatek wspaniale pachniał. Powiedziała mu to i natychmiast zarumieniła się aż po uszy.

- Umyłem się porządnie-zażartował.

- No widzę właśnie. I to z samego rana! Możesz zostawić tu dzisiaj Maksa.

- Jesteś pewna? Nie chcę cię wykorzystywać.

- Oczywiście, zechcesz. Ale nic nie szkodzi. Lepiej go wyprowadź. Lucie zaskomliła u jej nóg. Trzymała w zębach swoją jasnoczerwoną smycz.

- Chwileczkę, malutka. Muszę się ubrać.

- Bardzo chętnie wyprowadzę twoją suczkę z Maksem. Zdaje się, że oboje tego chcą.

Helen ogarnęła nagle paniką.

- Nie, nie musisz... ja... sama to zrobię. Chodź, sunia, idziemy.

Sam nie zdążył nawet mrugnąć, gdy Helen błyskawicznie zapięła smycz i zbiegła po schodach, szurając kapciami. Lucie szczerzyła, oburzona tym dziwnym zachowaniem. Max wyrwał się Samowi i pognął za nimi jak burza.

- Szybko, Lucie, susiaj, zanim ktoś mnie zobaczy w szlafroku.

Suczka posłusznie wykonała polecenie. W następnej chwili Helen biegła już bez tchu na górę.

- Do licha, widzę, że obeszłaś się beze mnie - burknął Sam.
- Żaden problem. Chodźcie, idziemy - zawołała psy. Wzruszyła ramionami, widząc głupią minę Sama, gdy Max ruszył korytarzem w stronę jej mieszkania.
- Wpadnę po niego wieczorem.
- Dobra. - Helen zamknęła i zaryglowała drzwi.

Zwykle schludna i lubiąca porządek, tym razem zjadła śniadanie w biegu.

- Ty dostaniesz moczone chrupki, Max - oznajmiła, nalewając wrzątku do sporej miski. Kawę wzięła ze sobą do łazienki. Wyszła po dwudziestu minutach, gotowa do pracy. Zerknęła szybko na zegarek i stwierdziła, że może jeszcze wysłać maila do Boots. Wiedziała, że się trochę spóźni, ale z jej punktu widzenia nie było to aż tak istotne.

Wiadomość była krótka i zwięzła. „Boots, są postępy. Czy możemy się dziś połączyć o dziewiątej? Z góry dziękuję. MG”.

Napełniła dwie miski świeżą wodą, dosypała psich chrupkek do trzeciej i jak zwykle, kiedy wychodziła z domu, powiedziała:

- Nie rozrabiajcie, bądźcie grzeczni, dopóki nie wrócę.

Na parkingu zorientowała się, że spóźni się do pracy o wiele bardziej, niż sądziła. Samochód nie chciał zapalić. Zaczęła się denerwować. Może wysiadł akumulator? Nie wiedziała czy ma wrócić do mieszkania i zadzwonić po mechanika, czy przejść przez ruchliwą dwu pasmówkę i po prostu pójść do pracy na piechotę. A raczej pobiec. To drugie rozwiązanie wydało jej się lepsze. Wysiadła z samochodu. Oceniała, że spóźni się co najmniej pół godziny. Aż się spościła na myśl, że kiedyś, w przeszłości, Daniel rzuciłby nią o ścianę i skopał nawet za dwie minuty spóźnienia. Ruszyła na piechotę do centrum handlowego.

Trzydzieści siedem minut później weszła do sklepu z bielizną. Jak zawsze przyjrzała się właścicielce, by wyczuć jej nastrój, tak samo jak przez długie lata przyglądała się Danielowi. Serce zamarło jej ze strachu.

- Przepraszam, że się spóźniłam. Samochód nie chciał mi zapalić, musiałam przyjść na piechotę.

- Nie interesują mnie twoje problemy, Nancy. Mam dosyć własnych. Na czas, to znaczy na czas. Chciałam cię zatrzymać do końca tygodnia, ale zmieniłam zdanie. Nie nadajesz się do mojego sklepu. Jesteś za mało przebojowa. Nie uśmiechasz się i wiecznie spoglądasz na zegarek, jakbyś się dokądś wybierała. Klienci widzą takie rzeczy. Nie myśl, że nie wiem o twoim interesie na boku. Tu masz wypłatę. I nie próbuj się starać o zasiłek. Dopilnuję, żebyś go nie dostała.

- Pani mnie zwalnia?

- Ze słuchem też masz problemy?

- Nie, proszę pani, słyszałam wszystko doskonale. Nie podoba mi się tylko to, co pani o mnie powiedziała. Ciężko być przebojową, kiedy się wciska ludziom taki tandetny towar. Klienci wymagają szybkiej obsługi. Nie przychodzą tu na pogawędki i nie chcą głupich uśmiezków. Zauważyłam to już pierwszego dnia. Owszem, patrzę na zegarek. Liczę minuty, a nawet sekundy do wyjścia. Nie podoba mi się pani sklep i brzydę się tego obscurnego towaru, który pani nazywa ładnymi szmatkami. Nie podoba mi się też pani zasada, że nie przyjmuje się zwrotów. Czy ten czek ma pokrycie?

- Co za tupet! - parsknęła kobieta.
Helen tylko westchnęła.

- No i gdzie jest pani radosny uśmiech, pani Peters? - zawołała przez ramię, po raz ostatni przekraczając próg sklepu. Tak trzymaj, Helen. Postawiłam się jej. Powiedziałam prawdę w oczy. No i co z tego, że mnie zwolniła?

Spacerując bez celu po centrum handlowym, wjechała w końcu windą na piętro. Usiadła przy stoliku w ogródku kafejki i zamówiła kawę. Ale by sobie zapaliła!

Kelnerka, młoda dziewczyna, z którą Helen często rozmawiała, postawiła przed nią filiżankę.

- Wyglądasz, jakby ci ktoś umarł.
- Właśnie mnie zwolnili. Nie wiesz, czy ktoś w centrum nie potrzebuje pracownicy?

- Owszem, my. Płacimy tak samo jak reszta w sklepach. Napiwki są dla ciebie. Nie jesteś raczej typem kelnerki, ale taka praca pozwoli ci przeczekać, aż znajdziesz coś odpowiedniego dla siebie. Atmosfera u nas jest niezła. Sześciogodzinne zmiany. Sam fast-food, nie trzeba nosić ciężkich tac, nic w tym rodzaju. Za to musimy codziennie myć włosy. Jeśli jesteś zainteresowana, porozmawiam z szefem. Przychodzi dopiero w południe, ja otwieram interes rano.

- Myślisz, że mogłabym pracować od dziesiątej do czwartej?
- Pewnie. To tak, jak ja.
- Nawet nie wiem, jak się nazywasz - powiedziała Helen, nagle onieśmiewiona.

- Susan Little.
- Nancy Baker - odparła, wyciągając rękę.
- Bardzo mi miło - uśmiechnęła się Susan.
- Mnie też. Jak myślisz, kiedy mogę zacząć?
- Nawet od jutra. Pan Davis na pewno przyjmie cię z otwartymi ramionami. Na tych dzieciakach, co tu pracują, nie można polegać. Szuka ludzi odpowiedzialnych i dojrzałych. Jesteś odpowiedzialna i dojrzała, tak jak ja. Zgadza się?

Helen nie bardzo wiedziała, jak to jest z tą odpowiedzialnością, ale Susan na pewno była dojrzała.

- Zgadza.

Kolejna decyzja, kolejna przeszkoda. Poradziła sobie i z jednym, i z drugim. Dzięki Bogu.

Rozdział 8

Isabel Tyger wyskoczyła spod kołdry i usiadła na brzegu łóżka. Spojrzała na zegarek na nocnej szafce. Minęło zaledwie pięć minut od chwili, kiedy patrzyła na niego ostatnio. Długie lata bezsenności nauczyły ją, że nie pośpi już tej nocy. Równie dobrze mogła wstać i zaparzyć kawę. Albo herbatę. A tak naprawdę, podwójny burbon chyba najlepiej by jej zrobił.

Miniaturowa pudliczka, śpiąca na poduszce obok, ziewnęła i przeciągnęła się, jakby chciała powiedzieć: co, znowu nie śpimy?

Isabel zarzuciła na siebie znoszony, wygodny, flanelowy szlafrok. Stopy wsunęła w równie znoszone i wygodne kapcie. Podniosła suczkę i umieściła ją pod połą szlafroka, na swojej obfitej piersi. Pomyślała, że to zadziwiające, jak wiele pociechy daje jej ten mały piesek. A jakie poczucie bezpieczeństwa! Artie i Gerry śmiali się z niej, ale wiedziała, że to rozumieją.

- Nienawidzę tego domu. Naprawdę. Nie mam pojęcia, dlaczego w nim w ogóle mieszkam. Powinam się wprowadzić do kondominium, gdzie inni wszystko robią za człowieka. Potrzebny mi ten grobowiec? Przypomina tylko złe chwile. - Wylewała te żale za każdym razem, kiedy się budziła w nocy i nie mogła już zasnąć.

Nacisnęła kilka guzików na początku korytarza. Cały dom rozbłysnął światłem, z mroku wychynęły ponure portrety rodziny ze strony ojca, zawieszane na obu ścianach długiego korytarza - groźnie wyglądający mężczyźni, a wśród nich jej ojciec, i kobiety o twarzach bez wyrazu, z zaciśniętymi wargami, w zapinanych pod szyję, falbaniastych sukniach.

- Któregoś dnia spalę te cholerne obrazy co do jednego i wszędzie po rozwieszam zdjęcia z cyrku - mamrotała Isabel. Wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Ramiona opadły jej z rezygnacją.

Dom Tygerów zawsze był domem mężczyzn. Najpierw jej pradziadka, potem dziadka, ojca i brata. Kobiety, które odważyły się poślubić Tygerów, z jakiegoś dziwnego powodu umierały zawsze w pierwszych latach małżeństwa. Isabel żywiła w głębi duszy głębokie przekonanie, że umierały, by się uwolnić od swoich mężów. Ona była jedyną kobietą w rodzinie, która przetrwała, a to dzięki wyjątkowej determinacji, tak przynajmniej twierdzili Gerry

i Artie. I oto zbliżała się do siedemdziesiątki, sama w znienawidzonym domu, bez rodziny, bez kogokolwiek, komu mogłaby zostawić fortunę Tygerów.

Żałowała teraz, jak zawsze podczas bezsennych nocy, że nie ma z kim porozmawiać, że dla nikogo się nie liczy, dla nikogo nie jest ważna. Artie i Gerry powtarzali jej cały czas, że jest wyjątkową osobą, ale to nie to samo. Nie żył już nawet jej brat, pochowany w jakiejś zapomnianej przez Boga części świata. Brat, którego ledwie znała, choć był tylko cztery lata starszy od niej; brat, który oddał jej swoją część Tyger Toys, bo wolał swobodnie podróżować po świecie. Od ojca nie dostała nic, poza obietnicą, że może sobie mieszkać do końca życia w tym brzydkim, starym domu. A niechby przewracał się teraz w grobie, za to, jak ją traktował.

Weszła do oświetlonej jarzeniówkami kuchni i zamrużyła, oślepiąca. Niejeden by jej pozazdrościł. Było tutaj każde urządzenie kuchenne, znane rodzajowi ludzkiemu, ale Isabel parzyła tu tylko kawę lub herbatę. Naprawdę nie miała pojęcia, jak to wszystko działa. Jedynie kucharka, taka sama pomyłona dziwaczka jak ona, umiała obsługiwać te wszystkie wynalazki. Isabel święcie wierzyła, że umarłaby z głodu, gdyby kucharka zastrajkowała. Święcie wierzyła w mnóstwo rzeczy, które Artie i Gerry uważali za cudactwa.

Isabel potrząsnęła głową, by przepędzić głupie myśli. Nalała sobie od serca z butelki, którą trzymała w szafce pod kuchennym zlewem. Jej drugim nałogiem były papierosy. Wyjęła jednego ze zmiętej paczki w kieszeni szlafroka i zapaliła. Burbon, papierosy oraz pieniądze ojca doprowadziły ją do tego, czym była teraz, ale nie zamierzała psuć sobie przyjemności rozmyślaniami. Pudełek spał spokojnie pod szlafrokiem.

- Naprawdę nienawidzę nocy - mruknęła. Było ciemno i nic jeszcze nie zwiastowało wstającego dnia. Wyczytała gdzieś, że o tej porze Bóg podejmuje decyzje. Jej ojciec zmarł tuż przed świtem. I jeśli raport, przesłany jej przez ambasadę, był zgodny z prawdą, jej brat również.

W dniu, kiedy brat zrzekł się na jej korzyść swojego spadku, poszła na cmentarz i odtańczyła dziką polkę na grobie ojca. Już wtedy w jej głowie musiał rodzić się plan założenia schroniska dla bitych i prześladowanych kobiet. Nalała sobie jeszcze burbona i zapaliła kolejnego papierosa. Lekarze zakazali jej palić, a tym bardziej pić alkohol, ale nic sobie z tego nie robiła.

Nabrała nagle ochoty, by zrobić niespodziankę Helen Ward i wysłać jej pocztą elektroniczną długi list. Dotarłby do niej rano, gdy tylko włączy komputer. Wetknęła butelkę burbona do kieszeni szlafroka i podreptała długim korytarzem do dawnego gabinetu ojca. Zawsze nienawidziła tego pokoju, ale nie odważyła się nic tutaj zmienić, tak samo zresztą jak w całym domu. Nie miała pojęcia dlaczego.

Do licha! Jutro, a właściwie dzisiaj, to się zmieni. Jak tylko zrobi się jasno, zadzwonię po ekipę i każę przerobić ten cały cholerny dom, od strychu po piwnicę.

- Nie wiem, ile życia mi zostało, ale spędzę je w słońcu i otoczona kwiatami
- powiedziała na głos, siadając przy biurku. Włączyła komputer. Czekała, aż będzie gotów do pracy, rozejrzała się po półkach - stało na nich mnóstwo zabawek wyprodukowanych przez rodzinną firmę. Nie było tu nic, co choć trochę by się jej podobało. Żadna z tych zabawek nie nadawała się dla dziewczynki.

Tyger Toys była to staromodna fabryka zabawek, której wyroby słynęły jednak z trwałości. Dawała gwarancję, że zabawka przetrwa każdą torturę, jaką zdoła wymyślić dziecko, że się nie zepsuje. Zabawki marki „Tyger” przechodziły z pokolenia na pokolenie, twarde i odporne jak jej ojciec, znienawidzony staruch. Może dlatego nie obchodził jej cały ten interes. Woląла pozostawić zarządzanie w kompetentnych rękach sztywnych urzędników, którym płaciła niebotyczne pensje.

Komputer był gotów, mogła już pisać list. Ale co niby miała do powiedzenia tej młodej kobiecie, która stała się jej taka bliska? Była dzielna i ostrożna, wyjątkowo ostrożna z tym nowo poznanym mężczyzną, który pojawił się w jej życiu. Mogła pisać o jej małej firmie, o tym, że to nie koniec świata, że ją wylali z pracy. Podbudować jej samoocenę. Zapytać o Lucie i psa sąsiada. Zapytać o drobiazgi. Zapewnić, że zawsze może liczyć na pomoc, na schronienie.

W końcu nie napisała nic. Wyłączyła komputer i naląła sobie trzeciego drinka, trochę większego niż poprzedni. Pociągnęła łyk aromatycznego alkoholu.

- Do diabła, minęły już sześćdziesiąt dwa lata, a to mnie wciąż prześladowuje - burknęła niewyraźnie.

Jakimś cudem słuchawka telefonu znalazła się w jej ręce. Isabel wystukała numer Gerry'ego. Nie zdziwiła się, kiedy odebrał już po pierwszym sygnale.

- Nie możesz spać, Izzie?

- Ty, zdaje się, też. Może zadzwonimy do Artiego i urządzimy sobie telefoniczną konferencję?

- Nie robiłbym tego. On ceni swój sen. Ostatnio artretyzm daje mu się mocno we znaki. Jak dużo już wypiałś?

Isabel postanowiła zignorować pytanie.

- Gdy tylko zrobi się jasno, zadzwonię po robotników, żeby odnowili ten

cholerny dom. Potrzebuję słońca. Nienawidzę tego miejsca.

Wytłumacz mi

jeszcze raz, Gerry, dlaczego tu wciąż mieszkam. Albo nie. Idę na spacer.

Wracaj do łóżka. -1 rozłączyła się, zanim przyjaciel zdołał odpowiedzieć.

Ile już razy chodziła na ten spacer? Setki? Tysiące. Może nawet setki tysięcy razy. Potrafiłaby z zawiązanymi oczami odnaleźć drogę w ciemności.

Idąc, pociągała z butelki znajdującej się w kieszeni szlafroka. Odwaga w butelce. Nonsens. Nie miała w sobie ani krzty odwagi i zdecydowania, inaczej nie szłaby teraz tą ścieżką.

Dotarła już prawie do celu, kiedy z lewej strony ujrziała odbłask światła samochodu. Gerry. Albo Artie. Szła dalej.

Był tam przed nią. Może właśnie tego chciała, może dlatego dzwoniła. Podświadomość?

- Jest wpół do piątej nad ranem, Izzie.
- Za godzinę będzie jasno. Dlaczego przyjechałeś?
- Bo mnie potrzebujesz. Musisz z tym skończyć. To nie jest dobre dla ciebie. A już na pewno nie jest zdrowe - powiedział. - Izzie, to było tak dawno temu.
- Dla mnie to było wczoraj. Pewnie zadzwoniłeś po Artiego, co? Mówiłeś, zdaje się, że on ceni swój sen.
- Jesteś ważniejsza niż zdrowy sen Artiego.
- To bardzo miło, że tak myślisz, Geny. Chcesz drinka?
- A czemu by nie, do diabła - mruknął.
- Musimy z tym skończyć, Izz. - Artie, w piżamie i kapciach, z rozczochranymi włosami, przedarł się przez krzaki. - Podaj no mi tę butelkę. Chyba masz już trochę w czubie, prawda, Izz?
- I co z tego? Nie zapraszałam cię tutaj. Wracaj do domu.
- Miałbym zostawić moją najlepszą przyjaciółkę, żeby tu sama płakała? Ani myślę - odparł Artie.
- Artie mówi za nas obu. Przeżyliśmy to razem. Mieliśmy osiem lat. Nie mogliśmy nic zrobić. Twój ojciec nas wyrzucił. Wróciliśmy najszybciej, jak się tylko dało. Czy nie rozumiesz, że nie mogliśmy nic zrobić? - I leż to razy powtarzał już te słowa i ile razy jeszcze je powtórzy?
- Powinnam go była kopnąć, krzyknąć, żeby przestał. Mogłam to zrobić.
- Ależ zrobiłaś. Wszyscy zrobiliśmy. Po prostu wyparłaś to z pamięci. Byłaś jak dzika tygrysica. Artie i ja wykrzykiwaliśmy wszystkie przekleństwa, jakie znaleźliśmy. Do cholery, jak myślisz, niby dlaczego zostałam weterynarzem? A Artie? Dlaczego zaprojektował te programy i bazy danych dla weterynarzy? Byliśmy tylko dziećmi. I jeśli ci się zdaje, że nie myślę o tamtym poranku każdego dnia mojego życia, to jesteś w błędzie. I wiem, że mówię też za Artiego. Minęły sześćdziesiąt dwa lata i ciągle o tym myślimy. To cię zniszczy, Izzie. Musisz wziąć się w garść. To wszystko przez tę dziewczynę, Ward. Do licha, zaczynam żałować, że do ciebie wtedy zadzwoniłem.
- Ile razy będziemy to jeszcze przerabiać? - zapytał Artie, siadając na ziemi.
- Są rzeczy, o których po prostu nie da się zapomnieć. Gdybyście wy dwaj się na niego nie rzucili, pewnie by... Widziałam jego oczy. I wyście je widzieli. Może i byliśmy tylko dziećmi, ale wszyscy troje nie możemy się mylić. Masz rację, Geny. Tak, przez Helen Ward znowu to przeżywam. Ona jest taka sama jak ja. Nic na to nie poradzę.

- Pomagasz Helen. Dalaś jej nowe życie. Reszta zależy od niej - powiedział Artie. - A skoro już o tym mowa, jej mąż wyprowadził się z domu. \ Słyszałem, że ma niewielkie mieszkanie w mieście. Spieniężył swoją polisę emerytalną. Nieźle oberwał od urzędu skarbowego. Chodzą plotki, że nasza konkurencja próbuje go zwerbować. Pomyślałem, że może będziesz chciała to wiedzieć.

- Mam naprawdę złe przeczucia. Martwię się o Helen. On ją znajdzie. Nie wiem jak, ale zrobi to. Nie jest taki, jak ci, z którymi mieliśmy do czynienia. Jest inteligentny. Czuję się jakbym ją okłamała. Powtarzam jej wciąż, że jest bezpieczna, ale wszyscy wiemy, że to nieprawda.

- Nie możemy o tym porozmawiać jutro, Izz? Chciałbym już iść do domu. Mam zebranie o siódmej.

- Jeszcze tu chwilę posiedzę - odparła Isabel. Artie znów usiadł na ziemi.

- Do licha, będę teraz o tym myślał przez cały dzień.

- Ulżyj sobie, Izzie.

Wstała i poszła w stronę niewielkiej polanki, gdzie rosnęło mnóstwo polnych kwiatów i przyszyżonych krzewów. Upadła na kolana i wybuchnęła płaczem. Artie i Geny patrzyli bezradnie, jak czołga się między omszałymi kamieniami, na których wydrapali cyfry, od jeden do dziewięć. Oni też ukłękli, z trudem powstrzymując łzy. Wszyscy troje byli znowu dziećmi i przeżywali najbardziej przerażający epizod swojego dzieciństwa. Dzień, w którym Anson Tyger na ich oczach utopił suczkę Isabel i jej dziewięć nowo narodzonych szczeniąt. A kiedy zaczął szarpać Isabel, stanęli mężnie w jej obronie.

- To znak, nie widzicie? - szlochała. - Tamtej nocy Helen Ward wlała śnie do ciebie przyszła z Lucie. To nie przypadek. Była dziewiątą osobą, która zamieszkała w schronisku w grudniu. Lucie została nazwana Dziewięć A. To musi coś znaczyć. A znaczy to, że odpowiadam za nią własnym życiem.

I nie obchodzi mnie, co o tym myślą dwaj przerośnięci faceci.

Słyszycie? Mam

was gdzieś! Jeśli będę miała ochotę przychodzić tu o wpół do piątej rano

i wyplakiwać sobie oczy, będę to robić. Aż do śmierci. I mam nadzieję, że

kiedy umrę, a wy będziecie jeszcze żyli, będziecie tu przychodzić zamiast

mnie. Ta suczka była moją najlepszą przyjaciółką. Dzięki niej moje życie stało

się znośniejsze. Przyrzekłam opiekować się nią i jej szczeniętami.

Tak, jak

przyrzekła Helen Ward. Nie dotrzymałam słowa. Ufała mi bezgranicznie, a ja

nie potrafiłam jej pomóc. Miała najpiękniejsze, myślące oczy.

Szczeniaki były

prześliczne. Kochałam je wszystkie razem i każdego z osobna.

Kochałam je

bardziej, niż człowieka, który był moim ojcem. Jego nienawidziłam.

Ciągle go

nienawidzę. Tańczyłam na jego grobie. Ja miałam być następną.

Wiemy to

wszyscy troje, dlatego nigdy nie mogliśmy o tym zapomnieć. Mnie też by utopił. Gdybym była mężczyzną, nasikałabym na jego grób.

- Zrobiliśmy to za ciebie, lzz - powiedział łagodnie Artie.
- Właśnie, to właśnie zrobiliśmy - zawtórował mu Gerry.
- No i dobrze. Brawo. Trzeba to uczcić drinkiem - oznajmiła Isabel, wręczając przyjaciółom butelkę. - Zgadza się ze mną?

To był znak?

Obaj potrząsnęli głowami.

- W takim razie, panowie, proszę mnie wziąć pod ramię i odprowadzić do domu, którego wkrótce nie poznacie. Mam plan.

- Aa, ona ma plan - powiedział Artie.

- Uwielbiam plany. Szczególnie jeśli trzymają się kupy. Artie, może odpuść sobie to spotkanie, a lzzie poprosi gosposię, żeby nam upiekła swoje słynne belgijskie gofry - zaproponował Gerry.

- Zgoda, nawet jestem odpowiednio ubrany - odparł Artie, wskazując na piżamę i kapcie.

Isabel zatrzymała się i odwróciła, by spojrzeć w oczy przyjaciółom.

- Mówią, że człowiek jest bogaty, jeśli ma choć jednego dobrego przyjaciela. Ja jestem niewyobrażalnie bogata, skoro mam aż dwóch. Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

- Zaraz, zaraz, lzz. To Gerry i ja mamy szczęście. I kto by pomyślał, po tylu latach wciąż tu przychodzimy i wciąż jesteśmy przyjaciółmi - mruknął szorstko Artie.

- Zjemy na patio?- spytała Isabel.

- Niezły pomysł. Nie mogę się doczekać, żeby poznać ten twój plan -oznajmił Gerry, marszcząc brwi. - Chodzi o Helen Ward, prawda?

- Tak. Chodzi o Helen Ward.

- Jesteś gotowa? - krzyknął Sam przez zamknięte drzwi. - No już, ryby czekają, a ja mam ochotę zjeść dziś rybę. Zaniosę rzeczy do samochodu. Ty przyprawdź psy i weź wszystko, czego możesz potrzebować, dobra?

Helen otworzyła drzwi.

- Zawsze jesteś rano taki wesolutki?

Ptaki ćwierkały nad ich głowami, słońce zaczynało przeziierać spoza młodych liści na drzewach. Zapowiadał się piękny dzień.

- Próbuję cię przebłagać za to, że musiałem odwołać naszą kolację.

- Mówiłam ci, że się nie gniewam. Jest jeszcze ciemno, Sam.

- Co ty opowiadasz. Kiedyś zabiorę cię na nocne wędkowanie.

Księżyc, gwiazdy. Żadnego stresu, pośpiechu. Tylko ty i ryby.

- Jeśli jakąś złapię, wrzucę z powrotem do wody.

- Co zrobisz? - zapytał z udawanym przerażeniem.
 - Nie mogłabym zabić stworzenia, a potem go zjeść.
 - Ale przecież jadasz mięso?
 - Bardzo rzadko. Jestem właściwie wegetarianką. Ten kurczak, którego kiedyś upiekłam, to było pierwsze mięso, jakie jadłam od miesięcy. A czerwonego mięsa nie jem nigdy.
 - Ja jestem mięsożerny. - Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu.
 - Spakowałem lunch dla nas, tak na wszelki wypadek.
 - Możemy jechać. Czy Max zabiera ze sobą koc?
 - Nie, zostaw go. Będzie tak zajęty gonieniem wiewiórek i królików, że zapomni o wszystkim. No i ma do towarzystwa twoją suczkę.
 - Czy tam są kleszcze? Jeśli kleszcz wkręci się w kręgosłup, pies jest sparaliżowany, dopóki się go nie wyjmie.
 - Nie wiedziałem. Będziemy uważać. A ty skąd o tym wiesz?
 - Znalazłam w Internecie.
- Helen podniosła Lucie i posadziła ją na tylnym siedzeniu terenowego chowoleta blazera.
- Bądź grzeczną dziewczynką i nie szalej. - Uśmiechnęła się, gdy Max wskoczył do samochodu i odsunął pyskiem jej dłoń od Lucie.
 - On chyba próbuje ci coś powiedzieć - roześmiał się Sam.
 - Twój pies jest bardzo zaborczy. Nie wiem, czy mi się to podoba - stwierdziła, marszcząc brwi.
- Sam zatrasnął klapę bagażnika i przyjrzał się Helen badawczo.
- Ty mówisz poważnie, prawda?
 - Owszem.
 - Nie rozumiem. Nasze psy się lubią. Powinnaś się cieszyć, tak jak ja, że nie muszą siedzieć same całe dzień.
- Helen, zdenerwowana, obeszła samochód i usiadła na miejscu pasażera.
- Nie chcesz o tym rozmawiać czy może to nie mój interes?
 - Jedno i drugie-odpowiedziała.
 - Chyba muszę to uszanować. Wolisz pogadać o sytuacji na świecie czy o firmie, którą zakładasz? A przy okazji, jak tam nowa praca?
 - Wcale nie jest taka łatwa. I napiwki mniejsze, niż się spodziewałam. Za to ludzie są mili, to trochę pomaga. Mogę jeść i pić, ile zechcę. Godziny też mi odpowiadają, więc raczej nie mogę narzekać. Ale nie taką pracę sobie wymarzyłam. A ty, co będziesz porabiał latem?
 - Mam wykłady w Rutgers dwa razy w tygodniu, zawsze to parę groszy. Pomagam też moim najbardziej zdolnym studentom przygotować się do egzaminu wstępnego na zarządzanie. Aleja też pracuję w takich godzinach, że mogę robić inne rzeczy. Max lubi biegać, a ja wędkuję albo po prostu

wsiadam w samochód i jadę przed siebie. Kilka razy w czasie wakacji wyjeżdżam pod namiot. Prawdę mówiąc, prowadzę bardzo niefajne życie. Czasem idę do kogoś na grilla albo na randkę w ciemno. Znajomi bez przerwy mnie umawiają.

- Ach tak.
- Ach tak? Tylko tyle? Czy to ma znaczyć, że nie lubisz randek w ciemno czy że nie podoba ci się, że ja na nie chodzę?
- Czy z takich randek wynika coś więcej?
- Dla mnie nie. Wiesz, jak testuję nowo poznaną kobietę?
- Nie. Jak?

- Przedstawiam jej Maksa. Niektóre kobiety po prostu nie przepadają za zwierzętami, a szczególnie za psami. Natychmiast skreślam je z listy. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez zwierzaka. Czasem udają, że lubią Maksa, ale natychmiast to wyczuwam. Jeśli on nie polubi kobiety, którą zapraszam do domu, po prostu nie zapraszam jej drugi raz. Ciebie, na przykład, pokochał od razu. Nawet polizał cię po ręce. Kiedyś polubił bardzo jedną dziewczynę, ale ona nie lubiła mnie. Powiedziała mi prosto w oczy, że księżowi są nudni i bez wyobraźni i że nie ma zamiaru tracić czasu na kogoś takiego jak ja.

Helen roześmiała się.

- Naprawdę tak powiedziała czy wymyśliłaś to teraz?
- Jak mi Bóg miły. Projektowała kalosze. Wiesz, gumowe buty.

Do łowienia ryb i przeciwdeszczowe. We wszystkich kolorach tęczy. Czerwone, fioletowe i żółciutkie. Te dla dzieci sprzedają się jak świeże bułeczki.

Helen nie mogła przestać się śmiać.

- Śmiejesz się częściej. Jesteś wtedy taka ładna.

Lucie zaszczekała ostro, Max przytoczył się do niej. Helen roześmiała się znowu.

- Muszę o tym pamiętać.
- Powinnaś była powiedzieć, że ja jestem przystojny, kiedy się śmieję. Nie, nie, teraz już za późno.
- Właściwie to chciałam ci powiedzieć, że podziwiam twój dobry humor tak wcześnie rano. Naprawdę, podziwiam każdego, kto potrafi wcześnie wstać i być wesoły. Ja jestem prawdziwą marudą, dopóki nie wypiję trzech filiżanek kawy.
- Wybaczam ci. Umiesz usmażyć rybę?
- Masz na myśli całą rybę czy fileć?
- Bo co?
- Zakładając, że złapiemy jakieś ryby, że je wypatroszysz i oskrobiesz, myślę, że poradzę sobie z resztą. A co włożyłeś do kosza z jedzeniem?

- Najpierw ty mi powiedz, co zabrałaś - odparł Sam przebiegle.
- Ja zapytałam pierwsza.

Boże, ja z nim flirtuję. Helen poczuła, że ogarniają fala ciepła. Pomyślała, że to miłe uczucie. Prawie już zapomniała, jak to jest.

- Kanapki z masłem orzechowym i galaretką, i jabłka. Dobrze zaspokajają głód. A ty co masz?

- Sałatkę jajeczno - tuńczykową. Nie bardzo wiedziałam, którą zrobić, więc przygotowałam obie i zmieszałam razem. W sumie smakuje dość oryginalnie. Poza tym ciasteczka orzechowe, które sama wczoraj upiekłam, i jeszcze ćwiartki jabłek i pomarańczy. Kupiłam trochę psich przysmaków. Lu... moja suczka je uwielbia. Myślę, że głód nam nie grozi - paplała Helen, przestraszona, że znów nieomal się wygadała. Spojrzała ukradkiem na Sama, by sprawdzić, czy coś zauważył. Wyglądało na to, że nie.

Reszta drogi do Doliny Okrągłej upłynęła im na luźnej pogawędce, głównie o pogodzie, studentach Sama i na opowieściach o obu psach.

- O rany, myślałem, że będziemy tu pierwsi. Ale to znaczy, że ryba bierze. Dużo się dziś nauczysz, panno Baker.

- Nie mogę się już doczekać. A co z psami?

- Zostaw to Maksowi. Zna okolicę i wie, co mu wolno, a czego nie. Mam nadzieję, że wzięłaś gwizdek?

Helen pociągnęła za sznurek zawieszony na szyi.

- Na dwa sygnały mają wrócić. Na jeden zaszczekać, żebyśmy wiedzieli, gdzie są, zgadza się?

- Zgadza - odparł Sam, wyciągając wędki z bagażnika. - Jesteś zupełnie jak nadopiekuńcza matka. Czy jest po temu jakiś powód?

- Owszem.

- Ach tak. Hej, poczekaj, musisz zabrać część rzeczy - powiedział Sam, chwytając Helen za ramię i przyciągając ją do siebie.

Zbladła jak ściana i skulona przylgnęła do samochodu.

- Co jest? - Sam cofnął się i uniół dłonie do góry. - Spokojnie, Nancy.

- Ja... ja... przepraszam. Janie... chodzi o to... Nie lubię... być... dotykana.

- Nie ma sprawy. Uszanuję to. Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest.

- No to chodźmy łowić.

- Sam...

- W porządku, Nancy. Nie musisz mi nic wyjaśniać. Gotowa?

- Gotowa. I chcę się założyć. O dolara. Założę się, że złapię więcej ryb od ciebie.

- Zakład przyjęty, moja pani. Pokaż forszę.

Helen zmusiła się do uśmiechu i wyciągnęła z kieszeni dzinsów zmięty banknot

- A teraz ty pokaż swoją.
- Będiesz mi musiała zaufać. Zatrzasnąłem portfel w schowku na rękawiczki.

- Ciekawe, czy z tą dziewczynką od kaloszy też użyłeś tego starego wykrętu?

- Wiesz co? To ona była nudna. Ja jestem zabawnym facetem, nie uważasz?

- Jak najbardziej. - Helen zachichotała i zaczerwieniła się jak pensjonarka.

- Coś mi się zdaje, że nieczęsto się śmiejesz?

- O, jeszcze się zdziwisz, jak się potrafię śmiać - odparła rezolutnie.

- Doprawdy? Trzymam cię za słowo.

Najwyraźniej z nią flirtował. Zapowiadał się wspaniały dzień.

Kiedy tak szła powoli obok Sama, zauważyła, jak jasno świeci poranne słońce, jak odurzająco powietrze pachnie sosnami i jak pięknie migocze w słońcu woda. Zwyczajne rzeczy. Rzeczy, na które nigdy nie zwracała uwagi. Teraz nagle ujrzała to wszystko wyraźnie, jakby po raz pierwszy, również Sama. O tak, zapowiadał się cudowny dzień.

Rozdział 9

Helen włączyła komputer i czekała z nadzieją, że Boots połączy się z nią dziś wieczór. Miała jej tyle do powiedzenia, tyle się wydarzyło nowego, od kiedy rozmawiały po raz ostatni. Spojrzała na mały kalendarz stojący obok komputera. Czy naprawdę upłynęły trzy dni, odkąd ostatnio rozmawiasz z Boots? Wysłała chyba z tuzin maili, ale na żaden nie dostała odpowiedzi. Martwiła się, bo to nie było w stylu Boots, która traktowała swoją pracę bardzo odpowiedzialnie. To prawda, że minęło już ponad piętnaście miesięcy, odkąd Helen wprowadziła się tutaj i zaczęły się jej wieczorne sesje w sieci. Poza tym nie było konieczne, by co wieczór zdawała relację z wydarzeń dnia. Przynajmniej tak twierdziła Boots w ostatnim mailu, ale nie sądziła też, że czas już zostawić ją samej sobie. Helen poczuła, że serce uderza jej mocniej na samą myśl, że mogłaby zostać bez żadnego wsparcia. Boots na pewno przedyskutowałaby z nią tak poważną decyzję. Przecież wszystko funkcjonowało według określonych zasad, a w takich sprawach ostatnie słowo miała Isabel Tyger.

Żałowała, że wie tak mało o swojej doradczyni. Ale to, co wiedziała, podobało jej się i obie snuły plany spotkania w parku Asbury, oczywiście, gdyby zgodził się na to zarząd fundacji. Helen miała nadzieję, że tak się stanie. Zaangażowała się w ten plan tak bardzo, że nawet wysłała do Isabel Tyger list z prośbą o zezwolenie na to spotkanie. Chciała móc osobiście podziękować Boots. Mogłyby przejść się po deptaku czy po plaży, może coś razem zjeść. To miał być wielki dzień dla Lucie i Maksa. Boots kochała zwierzęta i mówiła, że bardzo chciałaby zobaczyć obydwu psy. Właściwie ostatnie sesje dotyczyły bardziej Lucie i Maksa niż samej Helen. Nie było w tym nic złego. Helen uwielbiała rozmawiać o psach. Nie czuła już potrzeby, by opowiadać o wszystkim. Z wyjątkiem może swoich obaw. Wiedziała, że strach nie minie, dopóki Daniel Ward żyje. Obecność Sama bardzo jej pomagała radzić sobie z tymi uczuciami. Zdarzały się teraz dni, czasem tygodnie, kiedy w ogóle nie myślała o Danielu. Gdzie jesteś, Boots?

Palce Helen śmigają po klawiaturze. Sprawdza swoją skrzynkę odbiorczą, sprawdza, czy ostatni mail, który posłała Boots, został otwarty i przeczytany, sprawdza też w starej poczcie, czy przez ostatnie dni nie przegapiła jakiejś wiadomości. Wszystko na nic. Zmarszczyła brwi. Coś było nie tak, czuła to wyraźnie. Jej palce jeszcze raz przebiegły po klawiszach. Weszła do „prywatnego pokoju”, gdzie ostatnio spędzały z Boots długie godziny na rozmowach. Był pusty. Poczowała się bezradna, zachciało jej się płakać. W końcu jednak postanowiła napisać jeszcze jeden list do Boots. Pisała szybko, wyrażając swój niepokój. Na końcu dodała:

Mam dziwne uczucie, że jestem obserwowana. Nie boję się, ale mój pies zrobił się nerwowy i to najbardziej mnie niepokoi. Chciałabym porozmawiać z Tobą o Samie Tolliverze. Nasza przyjaźń bardzo się pogłębiła w ciągu ostatnich miesięcy. Myślę, że on oczekuje ode mnie więcej, niż jestem gotowa mu dać. Byłam z nim bardzo szczerą. Powiedziałam, że w tej chwili nie chcę nic poza przyjaźnią. Wystarczy mi tak wspaniała przyjaźń jak nasza. Nauczył mnie uczuć, które znałam tylko z książek. Nigdy niczego nie żąda. Ufam mu. Naprawdę. Nigdy też nie zadaje pytań. Zachowujemy się jak para. Podoba mi się to. Byliśmy w New Hope, w Pensylwanii, i kupiliśmy mnóstwo rzeczy. Przeważnie różnych niepraktycznych drobiazgów, ale świetnie się bawiłam. Malowaliśmy jajka na Wielkanoc i zrobił dla mnie wielkanocny koszyczek.

Sam powiedział mi, że może wyjedzie na sześć tygodni. Ma okazję wykładać gdzieś w Vermont. Chciał, żebym z nim pojechała. Nie zgodziłam się.

Firma rozwija się powoli, ale sukcesywnie. Chyba będę musiała wynająć jakiś magazyn. W mieszkaniu pełno pudeł i materiałów, aż trudno się po nim poruszać. Trzy panie, które szyją dla mnie, muszą się nieźle starać, żeby zrealizować wszystkie zamówienia na bieliznę Sexy Lady. Zamierzam zatrudnić więcej osób. Pracuję jeszcze jako kelnerka, ale skróciłam sobie zmianę do czterech godzin dziennie, w południe. Płacę dzięki temu czynsz. Właściwie nie ruszyłam jeszcze pieniędzy, które pożyczyła mi fundacja pani Tyger.

To chyba tyle. Dobranoc, Boots.

Podpisała się tak jak zwykle podpisywała swoją korespondencję: MG.

Wyłączyła komputer i przez chwilę siedziała wpatrzona w pusty ekran. Pomyślała, że to zdumiewające: dzięki elektronicznemu urządzeniu i komuś, kogo nigdy nie widziała na oczy, stała się na powrót rozsądną, normalną, psychicznie zdrową osobą. Gdzie jesteś, Boots?

- Czas do łóżka, Lucie. Jutro ten bałagan posprzątam, kiedy zapakuje my nasze zamówienia. Gdy to wszystko stąd zniknie, zrobi się trochę luźniej.

Idź po smycz, wyjdziemy na spacer.

Lucie pobiegła do drzwi i pociągnęła smycz, wiszącą na kłamce. Helen przypięła karabińczyk do obroży.

- Dzisiaj tylko chwilkę, mała. Jestem naprawdę zmęczona.

Tęsknisz za

Maksem, prawda? Ja też. Tęsknię nawet za Samem. Nie sądziłam, że kiedyś

powiem coś takiego. Jest dobrym przyjacielem. Grzeczna mała. Dobra, zmykaj!

Lucie ruszyła w stronę schodów, prowadzących na drugie piętro. Podbiegła do drzwi Sama Tollivera, usiadła pod nimi i zaskomliła. Helen wzięła ją na ręce i, nucąc dla uspokojenia, zabrała do domu.

- Jeszcze tylko kilka dni, psinko. Założę się, że Max tęskni za tobą tak bardzo jak ty zanim. Sam musiał wyjechać. Jego najlepszy przyjaciel się żeni, a Sam jest drużbą. Nie chciał jechać bez Maksa. Zjedz ciasteczko i idziemy do łóżka.

Suczka czekała cierpliwie, aż jej pani zamknie wszystkie trzy zamki na drzwiach. Weszły do kuchni.

- No dobrze, dwa ciasteczka.

Lucie wzięła je delikatnie i podreptała do sypialni, gdzie zabrała się za nie ze smakiem, podczas gdy Helen szorowała zęby i przebierała siew piżamę.

W łóżku Helen poczekała, aż Lucie przytuli się do niej, i wyłączyła światło. Choć była zmęczona, sen nie przychodził. Dręczył ją niepokój. Często zdarzały się noce, kiedy nie mogła zasnąć, ale dziś czuła, że gnębi ją nie to, co zwykle. Czyżby aż tak tęskniła za Samem? Czy to możliwe, że zaczynała

czuć do niego coś więcej niż tylko przyjaźń? A może chodziło o coś zupełnie innego? O Boots? A może o Daniela?

Helen przesunęła Lucie i przekręciła się na bok. Powinna całkiem wymazać Daniela z pamięci. Brak wieści od Boots przez ostatnie trzy dni sprawił, że Daniel znów zaczął zaprzętać jej myśli. A jeśli się gdzieś pojawił? Czy urwany kontakt z Boots oznacza, że ludzie Isabel Tyger musieli się nim zająć, by zapewnić jej bezpieczeństwo? Cholera. Wszystko zawsze obraca się wokół Daniela. Zawsze.

A może właśnie trzeba o nim myśleć, zamiast udawać, że nigdy nie istniał. Może powinna złamać zasady i przypomnieć sobie te wszystkie straszne rzeczy, które jej zrobił. Może, może, może. Boots i znajomi z fundacji twierdzili, że Daniel Ward to przeszłość, że to tylko dawny znajomy, ktoś niewart jej myśli i uczuć.

- Problem polega na tym, Lucie, że ja nie chcę być Nancy Baker.

Chcę

znowu być Helen Stanley. Nie Helen Ward, ale Helen Stanley.

Chciałabym

się rozwieść. Nigdy się od niego nie uwolnię, dopóki jestem jego żoną.

Boję

się, że przez te wszystkie fałszywe dokumenty w końcu napytam siebie o biedę.

Ja po prostu nie umiem kłamać. Gdyby doszło do konfrontacji z policją, zwyczajnie się rozsypię. Jeśli Sam zechce poznać prawdę, nie wiem, co mu po

wiem. Rzecz nie w tym, że mam jakieś dobre czy ciepłe wspomnienia o Danielu. Ja po prostu nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział. To mój mały, brudny

sekret. Wstydzę się tego, czuję się gorsza, czuję się... głupia. Sam nigdy by

nie zrozumiał kogoś takiego jak Daniel. Nie zrozumiałby, dlaczego kobieta

pozwala się tak traktować. Może raz, ale nie stale. Jeśli ja sama tego nie

rozumiem, jak mogę oczekiwać, że zrozumie to Sam?

Co powie Samowi? W jakim strachu żyła? Od razu zapyta:

Dlaczego nie

odeszłaś? Dlaczego?

Helen podrapała Lucie po głowie; usiłowała przypomnieć sobie każdy policzek, każdy cios, każdy kopniak, każdy siniak, każdą ranę, złamaną kość, stłuczenie, każdą jazdę na ostry dyżur, każdą wizytę u lekarza, którego stale zmieniała, każde kłamstwo, które miało chronić jej męża.

Lucie przyczołgała się do poduszki Helen.

- Zostań tu, malutka. Zaparzę sobie herbaty i siądę do komputera.

Zegar u dołu ekranu pokazywał pierwszą trzydzieści sześć w nocy. Helen zalogowała się, poczekała na zgłoszenie i sprawdziła listę znajomych. W sieci była tylko RB, znana też jako Robin Bobbin. Natychmiast przesłała jej pytanie ekspresową pocztą:

- Czy wiesz, gdzie jest Boots?

- Nie.

Helen wysłała kolejną wiadomość.

- Kiepsko się dzisiaj czuję. Muszę pogadać. Chcesz wejść do „Prywatnego pokoju”?
- Oczywiście.

Robin Bobbin była „nówką” korzystającą z sieciowego doradztwa zaledwie od czterech miesięcy. „Nówką” użytkownicy sieci nazywali kogoś, kto od niedawna korzystał z komputera. Boots była również jej doradczynią. Helen niemal wyczuwała strach kobiety.

Błyskawiczna seria pytań wypłynęła spod palców Helen. Odpowiedzi RB były krótkie i niezbyt optymistyczne.

- Boję się napisać.
- Ja też - odpowiedziała Helen. - Trzymaj się zasad. Ktoś na pewno będzie z tobą w kontakcie. Coś się musiało stać. Może wysiadło im oprogramowanie. To się już zdarzało. Może Boots ma jakieś kłopoty, a może wyjechała. Wysyłaj regularnie maile, a jeśli masz jakieś obawy czy pytania, pisz o nich. Ktoś z fundacji na pewno się do ciebie odezwie. Ja też czekam. Możesz mnie złapać zawsze po dziesiątej. Moje sesje są zaplanowane na jedenastą. Jeśli się czegoś dowiem, przyślę ci maila. Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. Słuchaj, może ci się to wyda dziwne, ale czy masz jakieś zwierzę? Nie? Weź sobie kota albo psa. To bardzo pomaga. Idź do schroniska i uratuj jakiemuś zwierzątkowi życie. Boots cię pochwali. Wyślę jej maila i wyjaśnię, że to był mój pomysł. I nie przejmuj się tak, jutro też jest dzień. To trochę śmiesznie brzmi, już jest jutro. Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc, póki nie ma Boots?
- Boję się własnego cienia. Słyszę dźwięki, głosy i myślę... myślę, że on mnie jakimś cudem odnalazł.
- Skąd ja to znam. Mam na drzwiach trzy zamki. To już ponad piętnaście miesięcy. Czasem czuję, że to się nigdy nie skończy. Ale jeśli będziesz przestrzegać zasad, nie znajdzie cię. Masz rodzinę?
- Tak, dlatego jest mi tak ciężko. Tęsknię za nimi. Czytałam kiedyś książkę o Programie Ochrony Świadców. To zupełnie tak samo.
- Wiem. Ale żyjesz, spójrz na to od tej strony. Weź sobie zwierzątko. Musisz się nauczyć, jak znów kogoś pokochać. Od tego się zaczyna.

- Dzięki. Jutro się tym zajmę. Może nawet kupię dwa zwierzaki, psa i kota.
- Ale muszą być jeszcze małe, żeby się polubiły. GŚ. - Helen dodała symbol oznaczający „głośny śmiech”.

Wylogowała się z sieci, dopiła herbatę i zaparzyła sobie kolejną filiżankę. Wypaliła dwa papierosy, wpatrzona w ciemny ekran komputera.

Coś było nie tak. Znała to uczucie - ogarniało ją zawsze, kiedy wiedziała, że Daniel na pewno się na niej wyżyje. Nie miała szans na sen, co ją przerażało. Zamiast więc siedzieć beczynnie, sięgnęła po poradnik komputerowy.

Od czterech tygodni zastanawiała się nad założeniem strony internetowej - chciała sprzedawać bieliznę w sieci. Sam mówił, że to świetny pomysł, jeden z jego studentów mógłby zaprojektować taką stronę. Gdyby się na to zdecydowała, musiałaby zrezygnować z pracy w centrum handlowym i pomyśleć poważnie o wynajęciu jakiegoś lokalu. Czytała sporo o marketingu internetowym i wiedziała, że gdyby ten interes chwycił, pracowałaby po dwadzieścia godzin dziennie, by zrealizować zamówienia. Ale, jak mawiała Boots, bez pracy nie ma kołaczy.

Najtrudniej byłoby znaleźć szwaczki. I znów Sam okazał się pomocny, mówiąc, że kilka jego studentek chętnie podjęłoby taką pracę. Zgodziła się. Była naprawdę podniecona perspektywą rozwoju firmy. Trzy szwaczki, które już zatrudnia, mogłyby wycinać wykroje, a studentki zszywałyby je w wynajętym pomieszczeniu. Sklep i szwalnię urządziłaby w tym samym miejscu. Pakowanie odbywałoby się na zapleczu sklepu. Sam twierdził, że roboczą wersję strony internetowej dałoby się uruchomić w ciągu kilku dni. Mówił, że można by ją dopieścić już potem, w trakcie pracy. I nawet nie proszony, obiecał, że poprowadzi księgowość. Wszystko w imię przyjaźni.

Naprawdę potrzebowała rozmowy z Boots. Wiedziała, że potrafi sama podejmować decyzje i ciężko pracować, by jej mała firma funkcjonowała. A jednak chciała... nie, potrzebowała zgody Boots.

Czy mogła to zrobić? Czy potrafiła założyć firmę i ją poprowadzić? O tak. Może gdyby dobrze przyłożyła się do pracy, zarobiłaby nawet na mały domek z ogródkiem, żeby Lucie miała gdzie biegać. Dom z prawdziwą kuchnią, w której byłoby dość miejsca na wszystko. Dom z salonem i kominkiem na prawdziwe drewno. Gdyby zostawały jej jakieś pieniądze po opłaceniu rachunków, przekazywałaby je okolicznym schroniskom dla zwierząt - przyrzekła też sobie, że jeśli tylko będzie to możliwe, swoim wsparciem ułatwi choć trochę życie innej kobiecie.

Wyciągnęła szkicownik. Ołówek aż palił jej się w ręce, kiedy zaczęła rysować modele seksownej, koronkowej bielizny. Zachichotała na myśl o studencie,

który będzie je musiał przejrzeć, zeskanować i wprowadzić do komputera. Zapowiadała się niezła zabawa. Będzie musiała użyć na swojej stronie kilku obrazowych słów. Dekadencka. Smakowita. Zmysłowa. Sexy. Z całą pewnością sexy. I piórka. Musi mieć piórka na swojej stronie. Może nawet będzie potrzebowała żywych modelek. O rety. Znowu zachichotała. Życie zaczynało wyglądać naprawdę interesująco.

Była czwarta nad ranem, kiedy Helen wreszcie ułożyła swoje rysunki i notatki w schludny stosik. Rozejrzała się jeszcze raz po mieszkaniu, sprawdziła drzwi i pogasiła światła.

Lucie zaczęła się wiercić, by zrobić jej miejsce na poduszce. Helen zapadła w głęboki sen bez marzeń, przytulona do ukochanego pieska.

Zakopana po szyję w pudełkach, materiałach, książkach i dokumentach, Helen dostała gęziej skórki, usłyszawszy nagle rozdzierające wycie Lucie. Natychmiast skuliła się i schowała za jednym z większych pudeł.

- Lucie, chodź tutaj. Óóóóó.

Chodź tu, mała!

Ktoś stał pod drzwiami. Przyjaciół
czy wróg?

- Chodź tu, Lucie - powtórzyła Helen. Suczka przybiegła do kryjówki

swojej pani i wskoczyła jej na rękę. - Óóóóó, Lucie. Nie szczekaj - lekko

przycisnęła otwartą dłońią pyszczek psa. Był to gest, który Lucie znała jesz

cze z Kalifornii i dobrze go rozumiała - zadrżała w ramionach Helen.

Czekały na pukanie do drzwi. Kiedy się rozległo, obie trzęsły się jak galareta. Helen z trudem wciągnęła głęboki oddech, serce waliło jej w piersi. Czy już zawsze tak będzie? Wiedziała, że tak. Obcy to zawsze obcy.

Pukanie w metalowe drzwi rozlegało się głośno. Zbyt głośno. O wiele za głośno. Nienawidziła tego dźwięku. Niemal zemdląca, gdy usłyszała wołanie:

- Panno Baker, jestem Les Webster, z college'u. Dwa dni temu dzwoniła

pani do mnie w sprawie strony internetowej. Przesłał mnie profesor Tolliver.

- Wszystko w porządku, Lucie, Sam go przysłał. Tym razem to nic złego.

Helen, lawirując między pudłami, podbiegła do drzwi.

- Przepraszam, Les, byłem w drugim pokoju - skłamała. - Wejść. - Lucie siedziała bezpiecznie w jej ramionach.

- Fajny piesek - powiedział młody człowiek. - Świetny komputer. Najnowszy model. To mi się podoba - oznajmił, siadając i ćwicząc palce. - Chyba wiem, o co chodzi, po tym, co pani mi mówiła przez telefon i co mówił profesor Tolliver. Po prostu się za to wezmę, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Proszę sobie nie przeszkadzać. Nie będę pani zwracał głowy.

- Po prostu się za to weźmiesz? Nie chcesz żadnego wprowadzenia? Nie chcesz, żebym siedziała przy tobie i

mówił
a, jak
to
widzę
?

- Nie. Sprzedajemy seks. Znam się na tym. Mam tu wszystkie potrzebne rysunki. Seksowna bielizna. Trafiła pani na właściwego człowieka. Mam pięć siostr. Musi być wystrzałowo, artystycznie, kolorowo, a zwłaszcza bardzo, bardzo seksownie. Tak, trafiła pani na właściwego człowieka.

- Och. - Tylko to jedno słowo przyszło Helen do głowy.

- Moje siostry twierdzą, że potrzebuje pani czegoś zwiewnego, jeśli chce pani wprowadzić pióra do swojej, hmm, „niewinnej” kolekcji. Chmurki, mnóstwo koronek i troszkę pruderii, cokolwiek to znaczy.

Helen przyjrzała się chudemu chłopakowi, który stukał bez wytchnienia w klawiaturę. Lucie szczerknęła raz i drugi.

- Fajny pies. My mamy w domu trzy. Duże psy. Mnóstwo jedzą. Proszę

się postarać, żeby nie szczekała. Muszę się skupić.

Helen kiwnęła głową, zanim się zorientowała, że chłopak jej nie widzi. Nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat, pewnie się nawet jeszcze nie golił. Miał włosy koloru wyczyszczonej miedzi. Nie było chyba sposobu, by ujarzmić jakoś te poskręcane sprężynki, które sterczały na wszystkie strony. Pasowały idealnie do milionów piegów, które pokrywały twarz i ręce. Jego dżinsy były tak poprzecierane i podarte, że Helen miała ochotę je pozszywać. Z trudem się powstrzymała, by mu tego nie zaproponować. Sportowa koszulka była sprana i wyblakła, i z całą pewnością bardzo wygodna. Sam też taką miał. A i tenisówki chłopaka wyglądały jak buty Sama: przetarte prawie na wylot, zniszczone i brudne, z postrzępionymi i równie brudnymi sznurówkami. Les spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Nadam się?

- Aha. - Helen uznała, że jej się spodobał. - Chcesz się czegoś napić? Coli, kawy, herbaty?

- Może ziołowej herbaty, ale później.

Helen widziała, że zapomniał o niej w tej samej chwili, w której wypowiedział te słowa. Był tak pochłonięty tym, co robił, że nawet trzęsienie ziemi by go od tego nie oderwało.

- Dobra, Lucie, pójdziemy sobie na spacer. Przynieś smycz, malutka.

- Kiedy tu do pani przyszedłem, profesor Tolliver właśnie parkował samochód - rzucił przez ramię chłopak, gdy otworzyła drzwi.

- Naprawdę? - nie wiedziała, co powiedzieć. Sam wrócił. Lucie będzie taka szczęśliwa. Helen zakręciło się w głowie na tę myśl. Brakowało jej wielkiego labradora. Brakowało jej też Sama. Boże, ja naprawdę tęskniłam za Samem. Bardzo. Bardziej niż bardzo.

Lucie gwałtownie pociągnęła Helen korytarzem w stronę mieszkania Sama. Zaczęła ujadać. Po drugiej stronie drzwi odpowiedziało jej donośne szczekanie. Tańczyła i podskakiwała, dopóki Sam nie otworzył. Wtedy wpadła do środka i pobięła do Maksa, obskakując go ze wszystkich stron.

- Szkoda, że jej pani nie wita sąsiada tak, jak jej pies - mruknął zrzędlawie Sam.

- Cześć, Sam. Miło cię widzieć. Tęskniłyśmy za tobą. Ja za tobą tęskniłam. Naprawdę. A ta mała chodziła jak struta.

- Max tak samo. Z początku myślałem, że może jest chory. Potem pokazałem mu nasze wspólne zdjęcie. Pamiętasz? To, które zrobiłem na rybach, w Dolinie Okrągłej. Przypiąłem je do kocyka i zrobiło mu się jakby lepiej. Naprawdę za mną tęskniłaś czy tylko tak mówisz?

- Nie, naprawdę mi ciebie brakowało. Wiedziała, że psom będzie smutno. Co zrobimy, jeśli któreś z nas się wyprowadzi?

- Ja się nigdzie nie wybieram - powiedział Sam. - A ty planujesz przeprowadzkę?

- Na razie nie. Kiedyś chciałabym kupić domek z ogródkiem, żeby Lu... Dziewiątka miała gdzie biegać. - Do licha, wciąż jeszcze było jej trudno nazywać Lucie Dziewiątką.

- To „kiedyś” może nieprędko nastąpić - odparł ponuro Sam. - Wejdiesz na kawę? Przywożem aromatyzowaną, taką jak lubisz.

- Pewnie. Moje mieszkanie pęka w szwach. Nie mogę się już doczekać, aż wynajmę jakieś pomieszczenie i przeniosę to wszystko. Czuję się, jakbym mieszkała w magazynie. A tak przy okazji, zrezygnowałam wczoraj z pracy. Nie pożyczylbyś mi gazety? Chcę zacząć szukać lokalu. Wybierzesz się ze mną?

- Jasne, ale nie wiem, co znajdziesz w niedzielę po południu.

- Chcę się tylko rozejrzeć. Kiedy moja strona internetowa zacznie działać, będę potrzebowała więcej miejsca. Jeśli stworzę własny sklep, będę się czuła, jakbym chodziła do pracy. Jestem tym wszystkim taka podniecona. Nigdy przedtem nie robiłam nic podobnego. To mnie trochę przeraża.

- Od czegoś trzeba zacząć, nie przejmuj się. Może wypożyczymy sobie dziś jakiś film? Zamówimy pizzę albo chińszczyznę. Zjemy oczywiście u mnie.

Les będzie pracował przez cały wieczór, on też zgłodnieje.

Helen zaniepokoiła się. W oczach Sama dostrzegła coś, czego dotychczas nie widziała.

- To... całkiem niezły pomysł - odpowiedziała niepewnie.

- Moglibyśmy przespać się ze sobą. - Twarz Sama rozjaśnił uśmiech. - Moglibyśmy podzielić się swoimi sekretami. Moglibyśmy udawać, że jesteśmy małżeństwem i robić to, co robią ludzie po ślubie. Do diabła, mam ochotę na cokolwiek.

Helen poczuła, że blednie i że zaczynają mrowić w żołądku.

- Masz na myśli... no więc... posłuchaj, Sam. Myślałam, że się zrozumieliśmy co do naszej przyjaźni.

Ujął jej twarz w obie dłonie.

- Owszem, zrozumieliśmy się doskonale. Bardzo cię lubię, Nancy. Wiesz o tym. Jezus, uważam cię za najlepszą przyjaciółkę. Uwielbiam z tobą być, bardziej niż z innymi przyjaciółmi. Czasem przyjaźń przekształca się w coś poważniejszego. Może z naszą tak nie jest. Choć wciąż mam nadzieję, że jednak... Ale to sienie stanie, jeśli się trochę nie otworzysz. Nie jestem głupi. Nie jestem głuchy, ślepy ani tępy. Wiem, że podajesz się za kogoś innego. Podejrzewam nawet, że i twój pies nie ma tak naprawdę na imię Dziewiątka. I nigdy nie będzie między nami nic więcej. Jeśli mi się nie zwierzysz. Możesz mi zaufać, Nancy.

- Wiem o tym, Sam. Czasem żałuję, że w ogóle poznałam ciebie i pokochałam twój psa, a czasem tak bardzo się z tego cieszę. Ja po prostu nie mogę... To nie tak, że nie chcę... Ja nie mogę - powiedziała Helen ponuro. - Kiedy przyjdzie pora, będziesz pierwszą osobą, do której przybiegnę. Musisz mi zaufać. Czy możesz wytrzymać jeszcze trochę, Sam? - Dopóki nie złapię Boots i ona mi nie powie, że wszystko jest w porządku.

- Dobra, żeby była pełna jasność: obejrzymy film i zamówimy jedzenie. Nie prześpiemy się ze sobą. Będziemy oglądać wideo, trzymać się za ręce, przytulać i jeść prażoną kukurydzę, a psy niech sobie baraszkują obok.

- Tak, mniej więcej o to chodzi - odparła Helen. - Musi tak być, Sam.

- W porządku, Nancy.

Nie, to nie jest w porządku. Chcę ci powiedzieć, jak bardzo cię pragnę. Chcę poczuć, jak obejmują mnie twoje ramiona. Chcę się z tobą kochać. Chcę się rano zbudzić obok ciebie i kochać się z tobą znowu. Ale nie mogę iść do łóżka z kimś, kto myśli, że mam na imię Nancy. Z tobą będzie się kochać Helen Stanley. Żadna Nancy Baker i na pewno nie Helen Ward.

Rozdział 10

Sam Tolliver popatrzył w lustro. - No więc, nie jesteś Bradem Pittem ani George'em Clooneyem - wykrzywił się. - Ale patrząc z drugiej strony, Brad Pitt czy George Clooney nie są profesorami w college'u i właścicielami pięćdziesięcio kilogramowego, czekoladowego labradora. - Pokazał swemu odbiciu język. Max warknął i machnął ogonem, uderzając nim w nogę swego pana. W jego psiej mowie znaczyło to: „Rusz się wreszcie”.

Zaledwie kilka minut temu zadzwonił Les z wiadomością, że strona internetowa Nancy już działa. W pierwszym odruchu Sam chciał biec do mieszkania Nancy, by jej o tym powiedzieć, ale postanowił, że najpierw on rzuci na to okien¹

Aż gwizdnął z podziwu, widząc świetną grafikę, i zrobiło mu się ciepło na widok atrakcyjnej bielizny, zaprezentowanej na stronie Sexy Lady. To trzeba uczcić.

Z butelką wina w dłoni, świeżo ogolony, w czystej koszuli, czystych skarpetkach i bieliznie, poczuł się w nastroju do świętowania. Miał nadzieję, że Nancy też się ucieszy. Może powinien kupić jej kwiaty? Ale gdzie, u licha, znaleźć kwiaty o dziesiątej wieczorem? Nie znał takiego miejsca. Wino musiało wystarczyć.

- Tak, tak, idziemy, Max. Ale najpierw muszę zaplanować... no wiesz... jak jej to powiedzieć. To dla niej nie było co. Chcę, żeby wiedziała, że jestem tak samo podkręcony jak ona tym jej interesem. Poza tym, zdaje się, że się w niej zakochałem. Ale jeśli jej to powiem, wycofa się. Jest już i tak nieźle przestraszona. Dwa tygodnie temu, kiedy mi powiedziała, że może się wyprowadzi, myślałem, że zemdleję. To by znaczyło, że zabierze ze sobą psa. I co by nam wtedy zostało, Max? Guzik z pętelką, ot co. Ona dostaje paraliżu na samą myśl, że mógłbym spróbować czegoś więcej. Ale dość tego. Idziemy!

Nie zdążył nawet wstać z krzesła, a Max już czekał przy drzwiach, wywijając ogonem. Pobiegł pod drzwi Helen i zaszczekał, nim Sam zdążył przekręcić klucz w zamku.

- Mam nowinę! Dobrą nowinę! Wspaniałą nowinę! - krzyknął, wchodząc do mieszkania Helen.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, schylił się i zaczął skradać dla zabawy, wymachując butelką wina. I nagle jakby rozpętało się piekło - Lucie z wściekłością skoczyła mu do gardła, a Helen cofała się w stronę drzwi bledsza niż ściana, skulona z rękami skrzyżowanymi na piersi i oczami pełnymi przerażenia. Max, ślizgając się po podłodze, rzucił się na Lucie, złapał ją za sierść na karku, po czym rozszczekał się, okrążając najpierw Sama, potem Helen. Najwyraźniej nie wiedział, co ma robić, kogo bronić.

- Co u licha! - wybuchnął Sam. - Twój pies mało nie przegryzł mi gardła! Co ty wyprawiasz, Nancy? Co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś myślała...

o Jezuu, chyba wiem, co obydwie pomyślałyście. Leżeć, Max. Spokojnie...

Lucie. Dobry piesek. Nancy, chodź tu i usiądź. I to już! Myślałaś, że chcę cię uderzyć, prawda? Nigdy bym tego nie zrobił. Musimy porozmawiać. Na prawdę porozmawiać.

Helen wciągnęła głęboko powietrze, Lucie wskoczyła jej na kolana. Suczka trzęsła się tak bardzo, że Helen rozpięła sweter i okryła ją, przytulając mocno.

- To była naturalna reakcja obronna. Przepraszam. Przez moment wyglądałaś tak... groźnie. Chciałabym z tobą porozmawiać, ale nie mogę. Muszę przestrzegać zasad. Jeśli je złamię...

- Co się stanie, jeśli je złamię? - zapytał łagodnie Sam.

- Ja... nie oczekuję... że to zrozumiesz. Może będzie lepiej więcej się nie spotykać.

- O nie! To jakieś bzdury. Nie wyjdę stąd, dopóki mi nie wyjaśnisz, o co chodzi. Sam się chyba mniej więcej wszystkiego domyśliłem, ale chciałbym to usłyszeć od ciebie. Chciałbym, żebyś mi zaufała na tyle, żeby mi się zwieryć. Daję ci słowo, że nie pozwolę, by cokolwiek stało się tobie albo Lucie.

Helen przytuliła suczkę jeszcze mocniej.

- Ja ci ufam, Sam. Naprawdę. Lecz nie mogę ci nic powiedzieć, dopóki nie dostanę na to zgody. Kiedy się łamie zasady, program przestaje działać. To proste. Czy możemy to tak zostawić?

- Nie. Może bym się zgodził, gdyby mi na tobie nie zależało. Prawda jest jednak taka, że zaczynam się w tobie zakochiwać. Wydaje mi się też, że i tobie na mnie zależy. Może to zabrzmie dziwnie, ale musimy nawzajem sobie ufać, inaczej nic z tego nie będzie. Myślę, że ja bym ci powierzył swoje życie. Do diabła, powierzyłem ci nawet mojego psa! Nigdy nikomu nie zostawiałem zwierzaka. Lucie mnie lubi. Pozwala mi się brać na ręce, głaskać, przychodzi chętnie do mojego mieszkania, nawet kiedy ciebie tam nie ma. Co tu się stało przed chwilą? Czy jesteś objęta Programem Ochrony Świadców? Muszę to wiedzieć. Proszę, powiedz mi, Nancy.

Widząc troskę i niepokój w oczach Sama, Helen podjęła nagle decyzję. Wiedziała, że będzie tego żałować, ale miała to gdzieś. Oblizła zaschnięte wargi.

- Nie nazywam się Nancy Baker. Z całego serca nienawidzę tego nazwiska. Mam na imię Helen. To wszystko przez to, że wszedłeś w taki sposób, skradając się i wymachując butelką. Mój mąż pobił moją suczkę tak bardzo, że omal nie umarła. Mnie też bił. Miewałam połamane kości, stłuczenia, rany wszelkiego rodzaju i kształtu. Chodziłam do różnych lekarzy i na izbę przyjęć tyle razy, że straciłam rachubę. Ten wieczór, kiedy zaatakował... Dziewiątkę, był dla mnie punktem zwrotnym. Uciekłam z nią i pewien uprzejmy kierowca podrzucił nas do weterynarza. Doktor uratował jej życie, opatrzył moje rany i skontaktował się ze schroniskiem dla kobiet. Przyjęli mnie i zaczęłam nowe życie. To ich zasługa - powiedziała Helen, wskazując wszystko wokół. - Umieścili mnie tutaj, zapewnili pracę, fałszywe dokumenty, no wiesz, prawo jazdy, kartę kredytową, ubezpieczenie. W zamian musiałam tylko przestrzegać zasad. Właśnie je złamałam. A to oznacza, że nie mogę dłużej korzystać z programu ochrony.

- Jezu, dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał Sam.

- Chciałam, ale nie mogłam. Zawdzięczam życie, swoje i mojego psa, tym ludziom, którzy zatroszczyli się o nas i pomogli nam. Teraz muszę za-troszczyć się o siebie sama. Nie mogę narażać nikogo z nich. Łamiąc zasady, rezygnujesz z programu. To pierwsza rzecz, jaką wbijają ci do głowy.

- Nigdy nikomu nie powiem. Mówiłem ci, że możesz mi ufać.

Nigdy nie puszcę pary z ust na twój temat. Nikt się nie dowie, że mi się zwierzyłaś - nalegał Sam -

Helen rozplakała się.

- Aleja o tym wiem. Mamy obowiązkowe sesje terapeutyczne w Internecie. Brałam w nich udział, odkąd tu zamieszkałam. Teraz coś jest nie tak. Nie mogę się skontaktować z moją doradczynią. Wysłałam do niej dziesiątki maili, lecz nie odpowiada. Gdyby mieli zostawić mnie samej sobie, powiadomiliby mnie. Mam złe przeczucia i nie wiem, co robić. Ciągłe prześladowają mnie straszne myśli, lęk, że mój mąż mnie odnalazł albo że jest już blisko. On mnie znajdzie, to tylko kwestia czasu. Nie spytasz, dlaczego od niego nie odeszłam?

- Wiem dlaczego. Bałaś się, nie miałaś dokąd pójść, a ten drań powiedział ci, że cię zabije, jeśli to zrobisz.

- Skąd... skąd to wiesz?

- Kiedy pisałem pracę doktorską, zgłosiłem się jako ochotnik do Centrum Kryzysowego. To dla mnie żadna nowość.

- Modliłam się, żeby miał wypadek. Modliłam się, żeby umarł. Nienawidzę siebie za to, ale takie myślenie mi pomagało. Na swój sposób byłam tak samo chora jak on. Tyle że ja uzyskałam pomoc. A on nie. Nie mogę tu teraz zostać.

- Oczywiście, że możesz. Nigdzie nie pójdziesz, Helen. I wiesz co? Nigdy nie byłaś Nancy. Zawsze uważałem, że to imię do ciebie nie pasuje. A Dziewiątka - parsknął. - To już w ogóle śmiechu warte.

- W schronisku byłam dziewiątym grudniowym gościem. Posługiwałyśmy się numerami, dopóki nie przyszły nasze papiery. Ja byłam Numer Dziewięć, a ona Dziewięć A. Pomyliłam się tyle razy i nazwałam japo imieniu. Słyszałeś to, ale udawałeś, że nic nie wiesz. Jeszcze niedawno, gdybyś się z tym zdradził, uciekłabym w środku nocy.

- A teraz? - Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Nie wiem, Sam. Po prostu nie wiem. Chyba nie mogę się stąd ruszyć, dopóki nie skontaktuję się z Boots. To moja doradczyni.

- I co wtedy?

- Pewnie będę musiała sama sobie radzić. Zabiorą mi papiery i każą się wynieść. Będę musiała oddać pieniądze, które mi pożyczili.

- Mogłabyś wyjść za mnie, zmieniałabyś nazwisko. Mam w banku dość pieniędzy na pierwszą ratę za jakiś mały domek. Możesz mieć nową tożsamość jako moja żona.

- Sam, to bardzo szlachetne, ale nie mogę za ciebie wyjść. Nie jestem rozwiedziona. Widzisz, mój... mąż jest geniuszem komputerowym. Rozwodnicy są wprowadzani do oficjalnych baz danych. Dowiedziałby się o tym jakimś sobie znanym sposobem. Bezpieczniej było po prostu zniknąć i nie kusić licha.

- Kto jest bezpośrednim szefem Boots? Możesz się skontaktować z tą osobą?

- Nie wiem, kto to jest. Poza tym wszelkie pytania są zabronione. Według przepisów muszę czekać, aż ktoś z fundacji Isabel Tyger skontaktuje się ze mną. Taka jest procedura. Zdradziłam ludzi, którzy mi pomogli. To niewybaczalne.

- Uspokójże się wreszcie. Nikomu nie powiem. Do niczego cię nie zmuszam. Nie będę cię nazywał Helen przy ludziach i nie będę nazywał twojej suczki Lucie. Posłuchaj jeszcze raz, Helen: nikt, oprócz nas dwojga, nie wie, że mi cokolwiek powiedziałaś. Nadal jesteś bezpieczna. Tak naprawdę nic się nie zmieniło. Może zajrzyj do swojej skrzynki odbiorczej i sprawdź, czy Boots się z tobą nie skontaktowała.

- Już sprawdzałam, tuż przed twoim przyjściem. Wejdę do sieci o jedenastej, to pora mojej sesji. Zaloguję się tylko i sprawdzę, co słyhać-powiedziała Helen. - Kiedy przyszedłeś, byłeś czymś podekscytowany. Co się stało?

- Twoja strona jest gotowa. Les zadzwonił i prosił, bym ci to przekazał. Przyniosłem wino, żeby to uczcić.

- Och.

- Tylko tyle?! Och?

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Po prostu nie mogę się za bardzo cieszyć, skoro nie wiem, co ze mną będzie. Jak mam niby prowadzić firmę, jeśli będę musiała uciekać? To był świetny pomysł, ale teraz nie wiem, czy coś z tego wyjdzie. W mojej sytuacji nie mogę podejmować nowych zobowiązań.

- Ale możesz ją obejrzeć, tak zwyczajnie, dla frajdy. Może nawet masz już jakieś zamówienia, bo strona działa od kilku godzin. Jeśli o mnie chodzi, nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć.

Helen włączyła komputer.

- Czy Les podał ci adres?

- Tak: www.sexylady.com., wszystko małymi literami. Mówił, że dodał trochę muzyki dla lepszego efektu.

- O mój Boże! - pisnęła Helen. - Spójrz na to!

- Patrzę, patrzę. - Sam wyszczerzył zęby. - Ile kosztuje... eee... ten mały fatalaszek z piórami?

- Siedemdziesiąt pięć dolców - odparła Helen. - Mnóstwo szycia. Te pióra bardzo trudno przyczepić.

- Aha... A masz jakieś... hmm... próbki?

- Pełne pudło. Do wyboru: białe, czarne i czerwone - śmigala myszką po ekranie. - To naprawdę fantastyczne. Les wykonał kawał wspaniałej roboty. Muzyka jest... niesamowita. Nie grają takiej w lokalach ze striptizem?

- Mnie się pytasz? Wiesz przecież, co mówią o księgowych i nauczycielach księgowości. Pamiętasz panią od kaloszy? Podobno jesteśmy najnudniejszymi ludźmi na świecie. Więc nie mam pojęcia.

- I te wszystkie piórka! Te puszyste chmurki!
Rzeczywiście wyszło zwiewnie i skromnie. Te rzeczy naprawdę wyglądają niewinnie, cnotliwie, niemal dziewiczo - powiedziała z namysłem.

- Helen, w koronkowym pasie do pończoch nie ma nic cnotliwego. Kabaretki nie wyglądają dziewiczo, nawet jeśli są białe. Zapytaj pierwszego lepszego faceta. A o co chodzi z tymi szpilkami na obcasach jak żądła? Nie wiedziałem, że buty też sprzedajesz!

- Nie sprzedaję butów, pończoch też nie. Dodajemy je tylko dla lepszego efektu. Chociaż, jak się nad tym zastanowić, może opłaciłoby się kupić trochę dodatków. Powiedz mi coś, Sam. Gdybyś trafił na tę stronę i gdybyś był żonaty albo miał dziewczynę na poważnie, to czy kusiłoby cię, żeby coś zamówić?

Sam rozparł się na krześle i spojrzał lubieżnie na Helen.

- Zamówiłbym po sztuce wszystkiego! Mówiłaś, że masz próbki. Chciałbym to zobaczyć w naturze.

Helen wstała i zaczęła przebierać między pudełkami, piętrzącymi się w salonie. Była tak podniecona, że na chwilę zapomniała o swoich kłopotach.

- Jaki kolor?

- Czarny - zdecydował Sam.

Wyprostowała się, trzymając w ręce przezrystą szmatkę. Luźno przyłączone piórka uniosły się w powietrzu. Psy przyglądały im się z zaciekawieniem, nie większym jednak niż ich państwo.

- O tak, to z pewnością będzie przebój - stwierdził Sam, przeciągając słowa. - Nie zabawiłabyś się dla mnie w modelkę?

- Raczej nie. Ja nie... to znaczy... ja nie noszę takich rzeczy. Ja tylko zamierzam je sprzedawać. Może innym razem.

- Chciałbym się z tobą kochać - wypalił. Helen oblizła zaschnięte wargi.

- To było... Nie wiem, czy...

- To jak jazda na rowerze. Tego się nie zapomina. Zaufaj mi - odparł zduszonym głosem Sam.

- A psy?

- Psy zostaną tutaj, my idziemy tam. Zamkniemy drzwi. Proste, co?

Zanim zdążyła odpowiedzieć tak lub nie, porwał ją na ręce i zaniósł do

sypialni. Drzwi zamknął kopniakiem.

- Czujesz coś do mnie, wiem, że tak jest - mruknął z ustami w jej włosach. Odwrócił delikatnie jej twarz do siebie i zaczął muskać wargami szyję. Jego dłonie zawędrowały pod dekollet koszuli Helen.

- Sprawia ci przyjemność, kiedy cię tutaj dotykam? - Jego palce prześliznęły się lekko po miękkiej skórze wewnętrznej części uda. - A tutaj? - Rozpalone wargi znalazły drogę do jedwabistej doliny między jej piersiami.

Dotknął ustami pulsującego miejsca na szyi, poczuł wargami, jak szybko bije serce. Pragnął Helen, chciał, by jej skóra rozgrzewała się pod jego dłońmi. Czuł, jak budzi się w niej namiętność. Każda wypukłość, każde zagłębienie jej ciała kusily jego wargi, dłonie. Długie, ciemne włosy prześlizgiwały mu się między palcami, kiedy odwracał ją przodem do siebie. Gdy odnalazł ustami jej usta, rozchyliła je gorączkowo. Pogłębił pocałunek, chcąc ją rozbudzić, czekając na reakcję. Odpowiedziała na pieszczoty, kiedy wyszeptał jej imię, kiedy jego palce przebiegły miękko po jej ciele, a oddech zdradził pożądanie. Zaszlochała cicho, jak przestraszone dziecko, i zatonała w jego objęciach, uległa i spragniona.

Nagle poczuła, że jest naga, jego dłonie mogły teraz bez przeszkód błądzić po jej ciele. Chwytał ją delikatnie za ręce i położył je na pasku swoich spodni, zapraszając bez słów. Dżinsy zsunęły się na podłogę, a Helen rozgrzewała odsłonięte ciało pocałunkami, nie przestając go rozbierać - po chwili i on był zupełnie nagi. Pożądanie wzmagało się w nich jak uderzenia letniej ulewy, spragnione usta szukały się nawzajem, rozpalone dłonie odbywały szaloną wędrówkę.

Zmagali się jak w walce, szukając rozkoszy, którą mogli znaleźć tylko w swoich ramionach. Nie istniało wczoraj, nie istniało jutro, pozostało tylko tu i teraz. A kiedy podniecenie opadło, pocałunki stały się delikatniejsze, pieszczoty czulsze, leżeli objęci, z nabrzmiałymi wargami, ciałami błyszczącymi od potu, ciesząc się tą podróżą, którą wspólnie odbyli. Rozkoszowali się swoim ciepłem, wciąż jeszcze rozgrzani gorączką namiętności, zatopieni w tej cudownej chwili, którą można przeżyć tylko we dwoje.

- Sam - szepnęła Helen.

- Tak?

- Ja nie wiedziałam... Ja nigdy... nigdy przedtem tak nie było.

Sam, kocham cię. No, wydusiłam to wreszcie. Od miesiący chciałam ci to powiedzieć, ale się bałam. Kocham cię. Czasem miłość bywa bolesna, kiedy ma się związane ręce. Cieszę się, że mnie zmusiłeś, żebym ci wszystko wyznała. Jestem taka zmęczona. Ty też jesteś zmęczony?

- Wykończony. Może się zdrzemniemy?

- Och, świetny pomysł. A najprzyjemniej będzie obudzić się razem. Zostań na noc, Sam.

- Musiałabyś mnie wyciągać wołami, żeby się mnie stąd pozbyć. Nigdzie nie idę.

Helen wtuliła się w jego objęcia.

Spali mocno i spokojnie, jak zwykle zmęczeni kochankowie. Była druga nad ranem, kiedy Helen z błyskiem w oku usiadła za kuchennym stołem.

- No i co? Myślisz, że ten model się sprzeda? -zapytała, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Biorę tuzin-odparł Sam.

- Bądź poważny.

- Jestem poważny. Podaruję je pod choinkę wszystkim nauczycielkom na wydziale. Oczywiście anonimowo. W głowie mi się nie mieści, że chcesz sprzedawać majtki z dziurą w kroku!

- Popyt kreuje podaż. Fredrick w Hollywood sprzedaje coś takiego. Tak naprawdę nie są z dziurą w kroku. Jest... dodatkowy kawałek, jeśli... jeśli klient sobie życzy.

- Ach. To już zupełnie co innego - uśmiechnął się Sam. - Chcesz wina? Myślałem, że od razu je wypijemy.

- Oczywiście.

- I co masz zamiar teraz robić?

- Może pójść do sypialni?

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej.

- Kiedy? Teraz? Właśnie z niej wyszliśmy.

- A masz coś innego do roboty? - roześmiała się Helen.

- Ja? Nie. W nocy, o tej godzinie, nigdy nie mam nic do roboty. To jest pora, kiedy się... no wiesz, robi te rzeczy. Prawda? I to chyba nie szkodzi, że przed chwilą już to robiliśmy. W sumie niby się zdrzemnęliśmy, i tak dalej...

- No to na co czekasz? Jesteś najdelikatniejszym, najłagodniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu. Jesteś troskliwy i kochany. Pominęłam coś?

- Przystojny. Gotowy na każde wezwanie. Co z psami?

- Może zabierz je do swojego mieszkania. Chciałabym wziąć prysznic i przygotować się...

- Przygotować się. Tak, musisz się przygotować. Według rozkazu, oczywiście, że musisz się przygotować. Każdy musi. W rzeczy samej. Ja też to zrobię. I to zaraz.

Helen wręczyła mu pudełko psich przysmaków.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Samem, ruszyła w stronę sterty pudeł i wygrzebała torbę z niewykorzystanymi piórkami. Rozrzuciła jej zawartość po całym łóżku i popędziła do łazienki, by wziąć krótki prysznic. Owinięta ręcznikiem, spojrzała w lustro.

- Dzisiejszej nocy jestem Helen Stanley. Nie Helen Ward i nie Nancy Baker.

Zasłaniając się ręcznikiem, poczekała, aż Sam skręci w krótki korytarzyk do sypialni.

- Co myślisz na temat piórek, Sam? - Ręcznik uwodzicielsko zsunął się na podłogę.
- Uwielbiam je - wymamrotał Sam, patrząc na nią szklistym wzrokiem. Helen pchnęła go na łóżko.
- Ja też. Miałam przeczucie, że i ty jesteś miłośnikiem piórek. Łaskoczą, co?
- O tak.
- Będziesz zdziwiony, co potrafię z nimi zrobić.
- Wiesz, nigdy właściwie nie miałem do czynienia z piórkami. Ale widzę, że masz rację. O Boże, zrób to jeszcze raz. Nie przestawaj.

Rozdział 11

Helen przesunęła rękę pod poduszką, ostrożnie, by nie zbudzić Sama. Zaciśnęła mocno powieki, nie chciała patrzeć w ciemność. Ale słońce wzejdzie już niedługo. Nowy dzień! Co przyniesie? Więcej strachu czy wreszcie odrobinę spokoju? Jedno i drugie? Czy to możliwe, choćby na krótko? Złamała zasady. Tak, zaufała Samowi. Jak mogłaby mu nie ufać? Kochała się z tym cudownym człowiekiem aż trzy razy w ciągu tej długiej nocy. Oddała mu się całkowicie. To było coś, czego nigdy nie zrobiła dla Daniela. Co z nią teraz będzie? Sam poruszył się.

- Wiem, że nie śpisz. O czym myślisz, Helen? - szepnął.
- Myślałam o tym, jak było cudownie, i zastanawiałam się, co się teraz stanie. Słońce niedługo wzejdzie. Nadchodzi nowy dzień. Taki świeży, nietknięty, nic się jeszcze nie wydarzyło, nie wiem, czy mnie rozumiesz. Wszystko się zmieniło. Muszę podjąć teraz ważne decyzje. A tak naprawdę nie mam pojęcia, co robić.
- Kochasz mnie?
- Oczywiście, że go kochała.
- Tak - powiedziała głosem, w którym brzmiało szczęście. - Tak, Sam. Kocham cię.
- A ja ciebie. Tylko to się liczy i to jest najważniejsze. Musimy ze sobą poważnie porozmawiać, Helen. Możemy to zrobić teraz albo później. Ja osobiście wolałbym później.
- Odwróciła się na bok i uśmiechnęła.
- Może jednak porozmawiajmy teraz, miejmy to z głowy. Na inne sprawy mamy cały dzień. Jest weekend, wiesz?

- Rzeczywiście. Opowiedz mi o sobie wszystko, od dnia twoich urodzin.

Helen poczuła ucisk w żołądku.

- Aż tak daleko?

- Aha. Byłaś śliczną dziewczynką?

- Raczej nie. O ile pamiętam, miałam długie, chude nogi i włosy jak druty. Moja matka nie była... nie była najlepszą matką. Przeważnie to ja się nią opiekowałam. Nazywała mnie małą staruszką. Z nią było inaczej. Nie chciała się zestarzeć. Nosiła seksowne ciuchy i robiła sobie strasznie mocny makijaż. Zawsze kręcili się przy niej jacyś faceci. Nie znałam imion nawet połowy z nich, a kiedy już poznałam, znikali i zjawiali się inni. Nigdy nie widziałam swojego ojca. Śmieć z przyczepy kempingowej, tak nazywały mnie dzieci, z którymi chodziłam do szkoły. Kiedy byłam mała, nie mogłam się z tym pogodzić. Chodziłam w rzeczach wyświechtanych, ale zawsze porządnych i czystych. Kiedy wracałam ze szkoły, nigdy nie czekało na mnie mleko i ciasteczka. Miałam szczęście, jeśli w ogóle w lodówce było mleko. Mama pracowała jako kelnerka w drink barze, przynosiła jedzenie w styropianowych pojemnikach. Nie robiłyśmy nigdy spożywczych zakupów raz w tygodniu jak większość rodzin. Nie widziałam nigdy, żeby matka odkurzała czy słała łóżko. Nawet naczyń nie myła. Przeważnie do mycia były tylko szklanki, bo styropianowe tacki szły do śmietnika, a szućców używałyśmy z plastiku. Ubrania miałam z dobroczynnych zbiórek, od sąsiadów i ze sklepów z używaną odzieżą.

- A kiedy byłaś nastolatką? Jak było w szkole średniej? - zapytał Sam.

- Jeszcze gorzej - odparła Helen ponuro. - Pracowałam w drogerii jako ekspedientka, żeby mieć parę dolarów na ubranie. To były zawsze najtańsze rzeczy, bo nie zarabiałam wiele. Przeglądałam czasem w sklepie magazyny ilustrowane, fascynowała mnie bielizna. Zawsze taka ładna i kobieca. Obiecałam sobie, że pewnego dnia będę też mieć takie rzeczy. To były tylko marzenia, ale dzięki nim jakoś się trzymałam. Moja matka starzała się, a gruby makijaż jeszcze ją postarzał. Straciła pracę, najej miejsce przyjęto młodszą i ładniejszą kelnerkę, więc poszukała roboty w restauracji, w kuchni. Jej dłonie stały się szorstkie i czerwone i zawsze czuć ją było smażeniną. Powinna częściej myć włosy. Mężczyźni, których przyprowadzała, byli coraz bardziej prymitywni, pomiatali nią i kradli jej pieniądze. Ja swoje mizerne oszczędności trzymałam zawsze w szkolnej szafce. Miałam kupony na darmowy lunch w szkole i starałam się prawidłowo odżywiać. Dzieci, które mieszkają w przyczepach campingowych i jadają darmowe obiady, raczej nie mają przyjaciół. Mogę chyba powiedzieć, że byłam samotniczką. Chciałam tylko skończyć szkołę i się usamodzielnić. Liczyłam dni, godziny i minuty do matury. Kiedy

byłam w ostatniej klasie, sprawy jeszcze się pogorszyły. Ostatni mężczyzna, którego przyprowadziła matka, miał na mnie chętkę. Denerwowało mnie to, więc powiedziałam matce. Oskarżyła mnie, że z nim flirtuję i go uwodzę. Wydałam część oszczędności na porządny zamek, a magazynierze sklepu zamontował mi go w pokoju. Niewiele spałam w tamtym okresie. Wyprowadziłam się w dniu wręczenia świadectw. Wynajęłam maleńką kawalerkę, pracowałam w butik, a wieczorami chodziłam na studia. Zajęło mi to sześć lat, ale zrobiłam dyplom. Dostałam pracę w firmie graficznej. Potem poznałam Daniela Warda. Był starszy, zadbany, wydawał się bardzo miły i godny zaufania. Po kilku randkach pokazałam mu przyczepę, w której się wychowałam. Chciałam być wobec niego naprawdę uczciwa. Nie skomentował tego. Powiedział tylko, że to przeszłość, teraz jest inaczej, i że to nieważne, gdzie kto mieszkał. Był moim rycerzem na białym rumaku. Imponował mi. Zdawało mi się, że mnie lubi. Zabierał mnie na kolacje, koncerty, kupował drobne prezenty. Zalecał się. Trzy miesiące po skończeniu studiów wyszłam za niego. Nie byłam w nim zakochana. Po prostu chciałam kogoś mieć. Nie oczekuję, że to zrozumiesz. Potrzebowałam w życiu kogoś, komu by na mnie zależało. Myślałam, że jemu zależy. Miałam nowe, małe mieszkanie i lubiłam swoją pracę. Gdyby wszystko poszło normalnie, byłabym dla niego dobrą żoną. Wiedziałam, jak prowadzić dom, umiałam gotować. Myślałam, że nauczę się go kochać. Byłam tak głupio naiwna, że niedobrze mi się robi, kiedy o tym teraz pomyślę. Ale dotrzymałabym przysięgi małżeńskiej... Tak się cieszę, że nie mieliśmy dzieci. Nie zrozum mnie źle, Kocham dzieci. Po prostu nie chciałam jego dziecka.

- Powinnaś była odejść.

Helen podparła się na łokciu.

- Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Odejść dokąd, Sam? Z powrotem do przyczepy? Czy do tego małego mieszkania? Próbowałam porozmawiać z doradcą rodzinnym przy kościele. Usłyszałam, że powinnam szanować swojego męża. Rozmawiałam też z proboszczem, ale on potrafił mówić tylko o wybaczeniu i nadstawianiu drugiego policzka. Wtedy jeszcze Daniel wydawał mi się mniejszym złem. Próbowałam również rozmawiać z matką, ale powiedziała mi: jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Innymi słowy, dała mi do zrozumienia, że nie mam co marzyć o powrocie do przyczepy. Dorastałam, patrząc, jak mężczyźni pomiatali moją matką. Może gdzieś w głębi duszy byłam przekonana, że tak musi być. Wiem, że to chore, ale tak właśnie myślałam.-No, teraz wiesz już wszystko. I nigdy więcej nie chcę o tym rozmawiać, Sam.

- Nie miałaś żadnych krewnych?

- Nie, nikogo. Na początku Daniel tylko się wydzierał, może od czasu do czasu dał mi w twarz, ale następnego dnia zawsze był skruszony. Zaczęłam

myśleć, że może na to zasłużyłam, bo wyszłam za niego bez miłości. Nie byłam chyba wtedy zupełnie przy zdrowych zmysłach. A kiedy zaczęło się prawdziwe bicie, poznałam lęk. Daniel był taki gwałtowny, taki groźny, że bałam się o swoje życie. Nie można tego zrozumieć, jeśli się tego nie przeżyło.

- Teraz jesteś wolna - powiedział Sam, obejmując ją.
- Nie rozumiesz. Nigdy się od niego nie uwolnię. On mnie teraz szuka. A nigdy się nie poddaje. Nigdy.

- Myślę, że trochę przeceniasz tego faceta. Jak mógłby cię odnaleźć? Zdematerializowałaś się dzięki twoim przyjaciółom. Jestem pewien, że nie zostało po tobie śladu. Musiałby być Houdinim we własnej osobie, żeby cię znaleźć.

- Jest geniuszem komputerowym, prawdziwym czarodziejem. Potrafi zrobić z komputerem dosłownie wszystko. Uwierz mi.

- Dobrze, wierzę. Co masz zamiar zrobić?
- Nie wiem. Naprawdę mięczak ze mnie, skoro ci tyle powiedziałam - odparła z rezygnacją. - Muszę się skontaktować z Boots.

- No to wstajemy i włączamy komputer. Czy nie możesz do nikogo zadzwonić? Nie masz jakiegoś łącznika?

- Nie. Tylko pocztę elektroniczną. Ale znam kogoś, do kogo mogę zatelefonować w ostateczności, do tego weterynarza, który pomógł mi i Lucie. Przyrzekłam, że nigdy do niego nie zadzwonię. Jeśli to zrobię, narażę całą fundację, a tego nie chcę. Już to, że z tobą o tym rozmawiam, jest wystarczająco złe. Kto pierwszy idzie pod prysznic? - zapytała nagle, mając nadzieję zmienić temat.

- Ty idź pierwsza. Ja wyjdę z psami. Zapowiada się piękny dzień. Jedźmy na piknik.

Helen spojrzała na Sama, jakby mu nagle wyrosła druga głowa.

- Na piknik? Ja mam takie kłopoty, a ty chcesz jechać na piknik?

- Owszem, chcę. To nam obojgu dobrze zrobi. Może coś wymyślimy, żeby ci pomóc. Piknik to nie taki głupi pomysł, Helen. Czasem trzeba się zatrzymać w biegu i dać sobie chwilę wytchnienia. Psy będą zachwycone, że mogą trochę pohasać.

Helen poddała się.

- Zgoda, ale najpierw muszę sprawdzić, czy uda mi się złapać Boots. Muszę urządzić sklep, mam do załatwienia setki spraw. Dobra, dobra, jedziemy na piknik.

- Grzeczna dziewczynka. Wracam za moment. I znowu zabrakło nam czasu na te rzeczy.

- Wiem. - Helen mrugnęła do niego okiem. - Zajmiemy się tym później. Czyż nie po to urządzamy piknik?

- Tak, rzeczywiście. Wrzucę do bagażnika dodatkowy koc.

Helen weszła pod prysznic. Namydliła się i stała w strumieniach wody, próbując zapanować nad gonitwą myśli. Włożyła krótkie spodnie i dopinała właśnie koszulę koloru khaki, kiedy Sam wszedł z psami do mieszkania. Posłała mu całusa i zasiadła do komputera. Nie znalazła żadnych maili od Boots ani od nikogo innego. „Prywatny pokój” był pusty.

Kliknęła ikonę poczty elektronicznej i zaczęła nerwowo pisać. List był krótki i uprzejmy. „Wycofuję się z programu, jeśli nikt się ze mną nie skontaktuje. Dajcie znać, jak chcecie to załatwić i jak mam zwrócić pieniądze, pożyczone mi przez fundację”. Podpisała się „Nancy Baker, MG”. Postanowiła, że jeśli nie dostanie odpowiedzi również na ten list, zadzwoni wieczorem do doktora Davisa.

- No dobra, zabieramy się stąd - zarządził Sam.

- Kiedy wyjeżdżasz do Vermont?

- A, nie powiedziałem ci? Odwołałem to w zeszłym tygodniu.

Zostaję tutaj. Mam zamiar nie spuszczać cię z oka.

- Nie mogę na to pozwolić. Mówiłeś, że potrzebujesz pieniędzy.

- Nie aż tak bardzo. Mogę się zatrudnić w jakiejś ekipie budowlanej. Lubię pracować fizycznie. Robiłem tak zawsze w ferie, w czasie studiów. Do diabła, chyba wszystko już robiłem dla pieniędzy. To żaden problem. Pragnę ci pomóc, Helen. I jestem gotów na wszystko. Chcę tylko usłyszeć od ciebie obietnicę, że nie zrobisz nic głupiego, na przykład nie uciekniesz ode mnie. A tak przy okazji, nie powiedziałaś mi, skąd jesteś.

Helen poczuła niepokój.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Tak po prostu. To się nazywa zaufanie. Czy nie o to w tym wszystkim chodzi?

- Nie powiem ci, Sam. Nie musisz tego wiedzieć. Poza tym, lepiej dla ciebie, jeśli nie będziesz wiedział. Gdybym obiecała, że nie ucieknę, czy ty mi obiecasz, że przestaniesz zadawać pytania?

- Tak, chyba tak.

Helen miała nadzieję, że będzie mogła dotrzymać obietnicy.

- O Boże, Sam, zapomniałam zajrzeć na swoją stronę i sprawdzić, czy przysły jakieś zamówienia. Stale zapominam, że handluję teraz przez Internet. Do licha, to wszystko jest takie nowe. Muszę się za to wziąć, ale ciągle mi coś przeszkadza.

- Wiesz co? Ty tu zostań i posprawdzaj, co trzeba, a ja pójdę do spożywczego, bo wczoraj nie pomyślałem o zakupach. Kiedy wrócę, zapakujemy graty i zmykamy. Zgoda?

Helen wspięła się na palce i pocałowała go lekko.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Nie mam pojęcia. Biegała w kółko? Zatrzymaj psy, dobrze? I przygotuj jakiś prowiant na piknik.

- Tak jest, kapitanie - uśmiechnęła się i zasalutowała.

Kiedy siadała do komputera, serce waliło jej w piersi. Czy dostała już jakieś zamówienia na bieliznę? Jak mogła nie sprawdzić tego wcześniej? To wszystko było dla niej takie nowe, że tak naprawdę nie wierzyła, by udało jej się zarobić na życie za pomocą Internetu. Chyba musiała zupełnie zgłupieć albo zwariować, porywając się na ten interes. Pewnie jedno i drugie, pomyślała. Czy inaczej opowiedziałyby Samowi historię swojego życia?

Rozluźniła się trochę, kiedy przypomniała sobie, jak się kochali tej nocy. Był taki łagodny, delikatny, i taki namiętny. Z Danielem seks nigdy nie był przyjemny. On zawsze chciał zaspokoić tylko siebie. Proszę cię, Boże, nie pozwól, żeby Daniel mnie znalazł i to wszystko zniszczył. Proszę, proszę, proszę. Uśmiechnęła się, gdy jej strona internetowa otworzyła się wreszcie, przyciągając wzrok kaskadą białych piórek, śnieżących po ekranie. Uśmiech nie zniknął też z jej twarzy, gdy przeglądała swój skromny katalog. Zadowolona, że wszystko prezentuje się tak samo urzekająco, jak za pierwszym razem, kliknęła ikonę skrzynki odbiorczej, by sprawdzić, czy przyszły jakieś zamówienia. Zdumiona, zamrugła, a jej dłoń, trzymająca myszkę, zadrżała. Zaczęła liczyć trzęsącym się głosem. Jedenaście zamówień na czarny top, dziewięć na białą, koronkową koszulkę, osiemnaście na czarną kamizelkę w komplecie z pasem do pończoch i cztery na czarny stanik na fiszbinach, z koronkowymi ramiączkami. Klasnęła uradowana i zajrzała na stronę korespondencyjną. Odchyliła się z krzesłem i aż gwizdnęła z podziwu, czytając pytania o buty na szpilkach i ażurowe pończochy.

Spojrzała na psy, które przyglądały się jej uważnie.

- Panie i panowie, zdaje się, że zaczynamy robić interesy! -

Jeszcze raz

klasnęła w rękę. Lucie zaskomliła, a Max spróbował wskoczyć Helen na ko-

łana i wtedy Lucie ugryzła go w ogon. Po chwili oba psy goniły się, szczekając, po mieszkaniu.

Z ołówkiem w dłoni Helen skalkulowała koszty materiału, szycia i wysyłki, by dowiedzieć się, ile zarobi na czysto. Aż zachłysnęła się z wrażenia. Dwa tysiące dolarów, i to nie wliczając butów i pończoch. Nie była w stanie myśleć o podatkach i innych opłatach. Tym miał się zająć Sam.

- A najbardziej cieszy mnie to, że jeśli zdecyduję się wycofać z programu i wynieść stąd, mogę prowadzić ten internetowy interes gdziekolwiek.

Mogę wynająć jakiś mały domek z garażem, żeby mieć gdzie magazynować

materiały i opakowania - mruzczała do psów, które podbiegły do niej i przysiadły u jej stóp, gdy zaczęła mówić. - Proszę Cię, Boże, nie zabieraj mi tego.

Spraw, żebym sobie poradziła. Proszę, pozwól mi być znów Helen Stanley.

Helen przerwała połączenie z Internetem, by sprawdzić swoją prywatną pocztę. Nic. Niecierpliwie posłała kolejnego maila, o tej samej treści co poprzedni list. Jeśli przestali się nią interesować, dlaczego tak się przejmowała sytuacją z Samem? Czy to nie działa w dwie strony? Czy odważy się zadzwonić do Geralda Davisa? Oczywiście, że się odważy, lecz czy powinna to zrobić? Jeśli tak, to na pewno nie ze swojego domowego telefonu. Ale skąd? Na parkingu supermarketu była budka telefoniczna. Mogła zadzwonić stamtąd, dziś wieczorem. Może nawet jeszcze później, po pierwsze z powodu różnicy czasu między New Jersey i Kalifornią, a po drugie dlatego, że weterynarz lubił się rano wyspać. Poczula dziwne ciepło w sercu na myśl, że z nim porozmawia. Na pewno będzie wiedział, co się dzieje w fundacji, skoro przyznał się, że jest bliskim przyjacielem Isabel Tyger.

- Czterdzieści dwa zamówienia, moi mili. Jestem teraz właścicielką firmy, legalnej i z prawdziwego zdarzenia. To takie wspaniałe! Może przekąsicie z tej okazji po ciasteczku?

Słowo „ciasteczko” sprawiło, że labrador ruszył błyskawicznie do kuchni, gdzie usiadł grzecznie, czekając na przysmak. Lucie szczerknęła i przysiadła obok wielkiego psiska.

- Panie najpierw, Max - powiedziała Helen, otwierając paczkę waniliowych ciastek. Lucie natychmiast pochłonęła swoje, podczas gdy Max położył się ze smakołykiem między łapami i zabrał się zań tak, jak nauczył go jego pan: odrzucił wafelek i zaczął wylizywać krem. Helen śmiała się, zachwycona, gdy do kuchni wszedł Sam.

- Wie nawet, jak moczyć ciastka w herbacie. Zanim pojawiłaś się w naszym życiu, siadywaliśmy razem, oglądając *Z Archiwum Xi* mocząc ciastka. Nauczył się w piętnaście minut.

- Lucie jakoś nie mogła tego załapać - chichotała Helen.

- Max ją nauczył. Prawda, stary?

- Sam, mam już czterdzieści dwa zamówienia. I prośby o szpilki i kaba-retki. Jestem taka podekscytowana! Założenie tej strony było najlepszym pomysłem w moim życiu. Myślisz, że dalej też tak będzie?

- Oczywiście. Poczta pantoflowa będzie dla ciebie najlepszą reklamą, poza tym Les wprowadził cię do kilku wyszukiwarek, to też nie zaszkodzi. Gratulacje!

- Sam, piknik odwołany. Musimy poszukać lokalu. Chcę zrealizować te zamówienia. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przygotuję nam potem kolację.

- Ty decydujesz, Helen. Wiesz co? Jadąc do domu, myślałem, że już dawno nie byłem taki szczęśliwy.

- Wiem ja też. Dobra, jestem już gotowa, wyruszamy na poszukiwania. Ty weźmiesz psy czyja?

- Lucie za bardzo się denerwuje, kiedy ja ją zabieram. Musi mieć cię w zasięgu wzroku. Pozwala mi się wyprowadzać tylko wtedy, kiedy zostawiam otwarte drzwi do twojego mieszkania. Będzie lepiej, jak tyje weźmiesz.
- Jasne. No to w drogę! To taki wspaniały dzień, Sam!
- Czy to znaczy, że już przetrzymała sprawę swoich zwierzeń?
- Pogodziłam się z tym. Wszystko w porządku, na razie.
- Dlaczego u ciebie wszystko jest na razie?
- Bo nie da się inaczej.
- Zgoda, Helen. Mogę z tym żyć. Na razie!

Rozdział 12

Isabel Tyger poprawiła się na szpitalnym łóżku. Sterty papierów, porozkładane po całym postaniu, zsunęły się na podłogę. Prywatna pielęgniarka przybiegła błyskawicznie, słysząc jej soczyste przekleństwo.

- Chcę dostać swój laptop, i to już! I nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Rusz się! - burknęła.

- Ależ, pani Tyger, wie pani, że mi nie wolno. Doktor powiedział...

- Nie obchodzi mnie, co powiedział doktor. Mam powyżej uszu tych durnych mydlanych oper i teleturniejów. I mam dość środków uspokajających. Koniec z pigułkami. Ciebie też mam już powyżej uszu. Chcę stąd wyjść i to zaraz. A zaraz znaczy natychmiast, w tej chwili - oświadczyła Isabel. Jej nozdrza rozdęły się, oczy ciskały błyskawice.

Pielęgniarka przyjęła tę tyradę ze spokojem. Wysłuchiwała tego od wielu dni.

- I ja mam pani powyżej uszu. Jest pani najbardziej zwariowaną i wstrętną pacjentką, jaką kiedykolwiek się opiekowałam. Jest pani nieznośna - powie działa pogodnie.

Isabel skrzywiła się.

- To prawda. Nie zaprzeczam. Czy mogłabyś, z łaski swojej, zadzwonić po mojego lekarza? Chcę się z nim zobaczyć. Chcę, żeby usiadł i wysłuchał mnie, a nie wbiegł i wybiegł, jakby go ktoś gonił. On to robi celowo. A kiedy do niego zadzwonisz, powiedz mu, że jeśli nie zjawi się tu w ciągu godziny, może się pożegnać z moją darowizną dla oddziału geriatrycznego. To powinno podziałać. Pewnie jest na jakiejś cholemej lekcji golfa, wali kijem w małe piłeczki i rozrzuca je, gdzie popadnie. Do diabła, chcę się stąd wydostać! Mam już serdecznie dość tych wszystkich ludzi, którzy mnie poszturchują gapią się na mnie jak na jakiś okaz.

- Zdaje mi się, że doktor jest raczej na lekcji tenisa, pani Tyger. - Pielęgniarka mrugnęła okiem.

- Na jedno wychodzi - rzuciła Isabel. - No i wyładowałam na tobie cały mój zły humor, czy nie tak mawiasz?

- Owszem, proszę pani. A, jest poczta. To powinno panią zająć na jakiś czas. Proszę sobie czytać, a ja pomyślę o pani lunchu.

- Poproszę kanapkę z pieczoną wołowiną, pikle, frytki i czekoladowe ciastko z lodami na wierzchu.

Pielęgniarka uśmiechnęła się złośliwie.

- To ja jem taki lunch. Pani je gotowane warzywa z krakersami, a na

deser galaretkę. Pani poziom cholesterolu jest wciąż o wiele za wysoki.

Idźże już! - krzyknęła Isabel, nerwowo otwierając szarą kopertę, którą przysłała jej tego ranka Mona ze schroniska. Kolejna, tygodniowa porcja maili od MG i Robin Bobbin. Zmarszczyła brwi. Listy były coraz bardziej desperackie. Sytuacja wyglądała znacznie gorzej niż w zeszłym tygodniu. Musi coś z tym zrobić i to szybko. Nacisnęła guzik dzwonka przy łóżku. Pielęgniarka zjawiła się po kilku sekundach i spojrzała na Isabel pytająco.

- Przynieś moje ubranie! Wezwij kogoś, kto mnie zawiezie do domu.

Nawet karetkę, jeśli to konieczne. Tym razem mówię poważnie, Maggie. Nie

będę czekać, aż ten gogus weźmie prysznic po tenisie. Do cholery! Sama się

tu zapisałam i sama się wypiszę! Czemu tu jeszcze stoisz? Rusz się, dziewczyno!

Maggie pobiegła do dyżurki pielęgniarek, skąd zadzwoniła na pager lekarza Isabel. Oddzwonił po kilku minutach. Zaczęła trąkotać do słuchawki. Wiedziała, że zachowuje się nieprofesjonalnie, ale miała to gdzieś.

- Ona wychodzi, doktorze, i nie będzie czekać, aż pan weźmie prysznic.

Powtarzam tylko, co powiedziała. Kazała mi zadzwonić po karetkę. Pojadę

z nią, jeśli zechce. Nie mam żadnego innego przypadku, więc wszystko w po

rządku. Powiedziała też, że może pan zapomnieć o darowiznie dla geriatry.

Wiem, że są to niemiłe wiadomości, przykro mi, doktorze, ale ja tylko przekazuję, co pacjentka mówiła, nie mam na to wpływu.

Osobiście uważam, że

leżała tu o tydzień za długo. Wiem, że tak się robi z pełnopłatnymi pacjentami,

lekarze mają głębokie kieszenie. Do widzenia, doktorze Evans - Maggie rzuciła słuchawkę na widełki.

Rozejrzała się po twarzach pozostałych pielęgniarek, które patrzyły na nią z szacunkiem.

- Mądrała się znalazł - powiedziała ze złością.

- Ale za to przystojny mądrała - rzuciła jedna z pielęgniarek. Maggie uśmiechnęła z politowaniem.

- Nosi tupecik! I co ty na to?

- Nie!
 - Świetnie zrobiony! Nic nie widać.
 - A ty skąd wiesz? - zapytała inna pielęgniarka.
 - Po prostu wiem - wykręciła się Maggie.
 - O rany! - powiedziały chórem wszystkie trzy.
 - Pani Tyger, myślę, że doktor Evans zaraz tu będzie. Czy pani naprawdę zamierza wyjść? Bo jeśli tak, przygotuję pani rzeczy. Nie będzie pani łatwo w domu. Musi pani zdawać sobie z tego sprawę. Ale wiem, że pacjenci czasem świetnie sobie radzą, kiedy już znajdują się na swoich śmieciach. Bardzo chętnie z panią pojedę, chyba że pani wolałaby kogoś innego. To żaden problem.
 - Zdaję sobie sprawę. Jestem już stara i wiem to i owo o życiu. Będę spać na parterze. Mogę się poruszać z balkonikiem. Na litość boską, to przecież tylko złamane biodro. Poza tym jestem zupełnie zdrowa. Zgoda, zgoda, może i mam za wysokie ciśnienie, za dużo cholesterolu i powiększone migdałki. Ale to wszystko da się wyleczyć. A ty jesteś równie dobra, jak kto inny. Muszę zadzwonić - odparła cierpko Isabel.
 - Powinna się pani była wytknąć o telefon z doktorem - zrzędziła Maggie.
 - Z początku mi nie zależało. Nie chciałam, żeby ludzie tu do mnie wydzwaniali o każdej porze dnia i nocy. Natomiast teraz jest mi potrzebny, więc idź i przynieś jakiś.
 - To wbrew zaleceniom doktora, pani Tyger.
 - Isabel przestała wpychać listy do koperty i spojrzała na pielęgniarkę.
 - Chyba znasz już moje zdanie na ten temat. Telefon! Natychmiast!
 - Tak jest, proszę pani.
- Gdy tylko aparat został podłączony, Isabel zaczęła wystukiwać numery. Najpierw zadzwoniła do swojej gosposi, polecając jej zamówić szpitalne łóżko, które miało być zainstalowane w gabinecie. Następnie telefonowała do Gerry'ego i do Artiego. Kiedy wreszcie odłożyła słuchawkę, teatralnym gestem otrzepała dłoń.
- Z peruką czy bez, doktor rzeczywiście był wysoki i przystojny.
- Więc jednak wziął pan prysznic - powiedziała Isabel, wskazując na wilgotne włosy lekarza. - A ja tu czekam. Wychodzę, doktorze Evans. Mam dość tych oglupiających leków, przez które nie wiem, jaki jest dzień tygodnia. Koniec z tymi pigułkami, słyszy pan?
 - Słyszę doskonale. Myśli pani, że to rozsądna decyzja? Jeszcze pani nie wypisałem.
 - Z pańskiego punktu widzenia pewnie nie, ale z mojego, owszem. Z moją głową i mózgiem jest wszystko w porządku. Mam tylko złamane biodro. Mogę się poruszać z balkonikiem. Jestem w stanie sama pójść do toalety. Mogę

brać leki, które mi pan przepisze, w domu, równie dobrze, jak tutaj. Nawet pielęgniarki nie zmieniam. Sama się wypisuję. Więc o co panu, do diabła, chodzi?

- Problem polega na tym, że chciałbym panią uważnie obserwować. Nie jest pani w najlepszej formie, pani Tyger. Wiem, że nie była tu pani najszczęśliwsza, ale czy nie lepiej pocierpieć trochę i się wyleczyć? Wymaga pani opieki.

- Niech pan przestanie pieprzyć, doktorze Evans. Szpital nie chce stracić moich pieniędzy, tysiąca dwustu dolarów dziennie. Płacę za te luksusowe pokoje, po których nie wolno mi się nawet przejść. Jak ma mi się poprawić, jeśli nie pozwala mi pan wstać i trochę pochodzić?

- Kości musiały się zrosnąć. Wie pani dobrze, że pierwsze dwie próby się nie powiodły. I wie pani również, że ma osteoporozę. Taka osoba jak pani musi być bardzo ostrożna.

- Tego już za wiele! Tym razem naprawdę dość! To, że jestem niska, nie daje panu prawa, by mówić o mnie „taka osoba”. Zwalniam pana z odpowiedzialności. Jeszcze jeden dzień tutaj i wyląduję w wariatkowie. Nie rozumie pan? Nie zniosę tego dłużej! - Isabel niemal płakała z wściekłości.

- Mówiąc „taka osoba”, miałem na myśli stan pani zdrowia, pani Tyger. Pani wzrost i waga nie mają z tym nic wspólnego - próbował się usprawiedliwiać młody lekarz. - Poza tym, droga pani, są pewne procedury...

- Wie pan, co pan może zrobić ze swoimi procedurami? Powinien mnie pan wypisać tydzień temu. Ja to wiem i pan to wie. Wypisuję się na własną prośbę. A jeśli chce pan, żebym pozostała pańską pacjentką, będzie pan musiał przyjść do mnie do domu. Dziękuję, może pan odejść, doktorze Evans.

Maggie odwróciła głowę, by ukryć uśmiech. Słyszała, jak przystojny doktor z ociąganiem szura nogami po podłodze. Wyczuwała jego niezdecydowanie i upokorzenie.

- Czy ma pan jakieś nowe zalecenia, doktorze Evans?

- Nie, nie. Rozpatrzę jeszcze raz przypadek pani Tyger i zadzwonię do pani jutro. W domu pacjentki proszę postępować tak samo, jak tutaj. Skąd się wziął ten telefon?

- Ktoś mi go dał w prezencie - powiedziała obojętnie Isabel, widząc, że młoda pielęgniarka chce się przyznać do winy. - Mam jechać karetką czy własnym samochodem?

- Zaraz pójde po karetkę, a po drodze wezmę dla pani dokumenty wypisu - oznajmiła Maggie. - Lepiej, żeby pani pojechała w szlafroku, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Pomogę się pani ubrać, kiedy będziemy w domu.

- Nie ma sprawy. Nie mogę uwierzyć, że wreszcie jadę do domu. Nienawidziłam go kiedyś, ale kazałam go odnowić i stał się prawdziwym domem.

To wspaniałe słowo: „dom”. Przysłowie mówi: „nie majak w domu”, i to

szczerą prawdą. Zgadzasz się ze mną?

- Tak, proszę pani, w zupełności.
- Jesteś dobrą pielęgniarką i umiesz sobie ze mną radzić - rzuciła przebiegle Isabel, uważnie obserwując dziewczynę.
- Dziękuję. Czy pani ma zamiar przestrzegać zaleceń doktora, pani Tyger, czy będziemy się o to kłócić? To dla pani własnego dobra, przecież pani wie.
- Owszem, będę przestrzegać zaleceń doktora, jeśli nie będą głupie. Nie wybieram się na tamten świat. Czeka mnie jeszcze parę spraw do załatwienia. ..
- Teraz mówi pani rozsądnie - odparła Maggie. - Powinnam wszystko pozalać w jakieś dwadzieścia minut. A potem pojedzie pani do domu i będzie mogła klepać sobie w swój laptop, ile dusza zapagnie.
- Mam tylko nadzieję, że nie jest za późno - mruknęła Isabel.

- Zaprosiłam przyjaciół na kolację, Maggie, więc możesz wziąć wolny wieczór. Jedź do miasta i idź do kina z tym swoim nowym chłopakiem. Przygotuję zapiekankę: brokuły i łosoś, i dietetyczny sorbet na deser. Wypiję jeden kieliszek wina, według zaleceń doktora, i wezmę lekarstwa. Gosposia pomoże mi się położyć. Idź i baw się dobrze. Byłaś tu zamknięta jak w więzieniu parę ładnych dni. Musisz się trochę rozerwać.

- Mój chłopak nie jest taki znów nowy, spotykam się z nim już prawie miesiąc. Jest pani pewna, że mogę iść, pani Tyger?
 - Najzupełniej. Chcę spędzić trochę czasu z moimi przyjaciółmi i nie życzę sobie, żebyś sterczała nade mną. Możesz mi zaufać. Pytanie tylko, czyja ci mogę zaufać w sprawie tego twojego chłopaka? - Isabel spojrzała surowo, czekając na odpowiedź.
 - Chyba nie musi się pani o mnie martwić. To ja się będę martwić o panią, bo potrafi pani być bardzo przebiegła, pani Tyger.
 - Potraktuję to jak komplement.
- Maggie roześmiała się.
- Mój facet będzie zachwycony, że wreszcie mam wolny wieczór. Trochę trudno utrzymać związek, kiedy się pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę.
 - Więc niech to będzie niezwykły wieczór, postaraj się. Wiesz, naprawdę świetnie ustawiłaś mi to krzesło i komputer. Idź już i baw się dobrze. Jutro wszystko mi opowiesz.
 - Umowa stoi. Chyba słyszę pani gości. Wpuszczę ich i zmykam. Kiedy wrócę, zajrzę do pani, nawet gdyby pani spała.

Isabel skinęła głową i włączyła komputer. Gdy tylko na ekranie pojawiło się okno poczty elektronicznej, natychmiast zapomniała o pielęgniarce.

- Już trzeci dzień siedzisz przy komputerze, Izz. Jesteś pewna, że ci wolno? - zapytał Artie, wchodząc do pokoju.

- Oczywiście. Witajcie. Zróbcie sobie po drinku i nalejcie mi herbaty. To nowa nazwa burbona. Muszę uważać, co mówię i do kogo - oznajmiła kwaśno Isabel.

- Wolno ci pić, Izzie? - Gerry zmarszczył brwi.

- Oczywiście, że nie. Ale dzisiaj mamy małe święto. A kiedy się świętuje, pije się alkohol. Jestem w domu. Z tej okazji zapalę też papierosa. A potem zjem gównianą kolację, podczas gdy wy, panowie, będziecie mieć pyszne żarcie. Coś za coś. Przestańcie się tak na mnie gapić. Umrę, kiedy przyjdzie na mnie pora, burbon tego nie zmieni. Czy wyjaśniliśmy to sobie raz na zawsze?

- Wszystko jasne, Izzie - westchnął Gerry. - A teraz mów, co nowego?

- Artie?

- Ja też zrozumiałem, Izz.

- Dobrze. A co nowego? Helen Ward. Ptaszek chce odlecieć z klatki. Radziła sobie bardzo dobrze, kiedy byłam w szpitalu. Nerwy trochę jej puszczają, bo nie miała ze mną kontaktu. Trzy tygodnie to nie wieczność. Pewnie by się tak nie niepokoiła, gdyby nie ten facet, którego poznała. No więc poznała go i... chyba nie muszę kończyć?

- Mówiłaś, że on jest w porządku. Podobno go sprawdziłaś.

- Owszem, mówiłam tak i jest tym, za kogo się podaje.

Zakochał się w Helen i ona chyba w nim też. Helen sprzedaje bieliznę w Internecie. Chodźcie tu, pokażę wam jej stronę. Tylko proszę się nie ślinić, panowie.

- Uuuu - mruknął Artie.

- Bardzo... hmm... ładne - stwierdził Gerry. - Zawsze podobały mi się piórka. I ta koronka też nawet ładna. W czerwonej bieliźnie jest coś takiego...

- Ta dziewczyna ma głowę - powiedziała Isabel, udając, że nie widzi rumieńca na twarzy Gerry'ego. - Kiedy zwolniła jąta niemożliwa baba, u której pracowała, zatrudniła się jako kelnerka. Wiemy wszyscy, że to ciężka praca i kiepski zarobek. Zdołała jednak uruchomić tę stronę w Internecie i, jeśli wierzyć ostatniemu mailowi, zamówienia sypią się jak z rękawa. Wynajęła lokal i zatrudniła więcej szwaczek. Lucie ma się dobrze, a pies pana Tollivera jej nie odstępkuje. Bawią się razem. To miło, prawda? Helen mówi, że się uwielbiają, a kiedy sieje rozdzieli, płaczą przy drzwiach. Nie pomyliłam się co do niej. Ale złamała zasady. Chyba mogę to zrozumieć. Jeśli się idzie do łóżka z mężczyzną, chce się to zrobić z właściwych powodów i nie chce się od kłamstwa zaczynać związku, który może nawet doprowadzić do małżeństwa.

- A dokąd ją doprowadzi, Izzie? - zapytał Gerry.

- Jest uczciwa, potrafi ciężko pracować. Jest również troskliwa i kochająca. Jej rezygnacja to częściowo moja wina, bo przerwałam nasze sesje. Zostawiłam ją bez oparcia, ale przecież to było tylko dwadzieścia jeden dni. Biorąc pod uwagę okoliczności, poradziła sobie bardzo dobrze. Chodzi o to, czy mamy pozwolić jej zostać w programie, skoro wiemy, że powiedziała wszystko Samowi Tolliverowi, czy puścimy ją wolno? A ponieważ jesteśmy trzyposobowym zarządem, każde z nas ma głos. Ja głosuję za nią.

- Niech zostanie - powiedział Artie.
- Zgadza się - dodał Gerry.
- Wszyscy za, jednogłośnie.
- Co byś zrobiła gdybyśmy powiedzieli „nie”?
- Złamałoby mi to serce, ale posłuchałabym was. Czy wiesz coś nowego o Danielu Wardzie, Artie? - zapytała Isabel.
- Pracował przez jakiś czas jako konsultant Lomax Industries. Wyłącznie jako wolny strzelec. Jeden z moich menedżerów powiedział mi, że kilka tygodni temu widział go w restauracji. Z kobietą. Mówił, że Ward wyglądał inaczej niż w czasach, kiedy u nas pracował. Podobno robił wrażenie człowieka, któremu się źle wiedzie.
- Co on knuje? - mruknęła Isabel. Nie znosiła, kiedy sprawy toczyły się niezgodnie z planem. Sama też nie zaplanowała, że potknie się o wiadro z odpadkami, które zostawiła gosposia, ale musiała sobie z tym teraz radzić, najlepiej jak umiała. Daniel Ward to wyjątkowy przypadek. I Helen będzie musiała stawić mu czoło.
- Ja ci powiem, co on knuje - odparł Artie. - Próbuje znaleźć żonę. Przeczesuje każdą bazę danych w kraju, a może nawet i poza krajem. Ma nadzieję, że prędzej czy później ona popełni jakiś błąd, a wtedy on ją dopadnie. Może powinnaś już teraz przenieść ją gdzie indziej, Izz. Jest w New Jersey szesnaście miesięcy.
- Nie chcę tego robić, dopóki nie muszę. Takie przeniesienie to ogromny stres. Helen ma już dość. Lucie też. Sytuacja się zmieniła, pojawił się pan Tolliver i jego pies. Jeśli ten człowiek rzeczywiście jest taki, na jakiego wygląda, nie pozwoli, by Helen stało się coś złego. Kiedy ktoś jest zakochany, opiekuje się tym, kogo kocha. Wynajmę prywatnego detektywa, żeby śledził Warda. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Szkoda że wcześniej tego nie zrobiłam. Nie rozumiem, dlaczego o tym nie pomyślałam.
- Dlatego że Daniel Ward był tutaj, a Helen bezpiecznie wyjechała do innego stanu. Ward wciąż jest tutaj, a to znaczy, że nie ma pojęcia, gdzie ona się podziewa - dedukował Gerry.
- Ona jest wyjątkowa. Nie patrz tak na mnie. Widziałeś ją tamtej nocy, Gerry. Powiesz mi może, że się mylę?

- Nie. Też tak myślę. Lecz zaczynasz się w to osobiście angażować, a przecież umawialiśmy się, że nie powinniśmy do tego dopuszczać. Prawdę mówiąc, zaangażowałaś się to od samego początku.

- Niektóre zasady są po to, żeby je łamać - stwierdził Artie. - Myślę, że prywatny detektyw to świetny pomysł. Wand mógłby się nam wysłiznąć, mógłby zwać w środku nocy, a my zostalibyśmy z niczym. Widocznie wpadł na jakiś trop, bo inaczej przyjąłby którąś z dobrze płatnych posad, jakie mu oferowano. Nie wyżyje z honorariów za konsultacje. Spieniężył ostatnio swoją książeczkę oszczędnościową, to znaczy, że wkrótce zabraknie mu pieniędzy. Wardowie byli zadłużeni po same uszy. Zdumiewające, jak mało wie się o ludziach... A tak przy okazji, zdecydowałem, że pierwszego stycznia przejdę na emeryturę.

- Nareszcie - krzyknęła Isabel. - Będziesz mógł spędzać więcej czasu z nami.

- Popelniasz błąd, Artie - powiedział Gerry. - Na emeryturze człowiek tyje i się rozleniwia. Obiecujesz sobie, że będziesz robić mnóstwo wspaniałych rzeczy, ale ich nie robisz. Zanim się obejrzysz, zaczynasz oglądać telewizję po kilkanaście godzin na dobę, jeść jakieś świństwa i skarżyć się, że dzieci sąsiadów za bardzo hałasują, a ty nie możesz się zdrzemnąć wtedy, kiedy masz ochotę. Nie rób tego!

- Właśnie że zrobię! I wcale nie mam zamiaru leniuchować po całych dniach. Mam zamiar pomagać i chcę też pomóc tobie w lecznicy. Pewnie będę pracował ciężiej niż teraz. Oczywiście pod warunkiem, że wy dwoje zechcecie skorzystać z mojej pomocy.

- To naprawdę godne pochwały, Artie - wzruszyła się Isabel.

- Oczywiście, że przyda mi się twoja pomoc - dodał Gerry.

- Widzicie? Zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie. Napiszę dziś wieczór do Helen. Uzgodniliśmy, że na razie zostaje w New Jersey. Daniela Warda niech śledzą ludzie z tej samej agencji, która ochrania twoją firmę, Artie.

- Kiedy zamierzasz powiedzieć Helen, kim naprawdę jesteś? - zapytał Gerry.

- Nigdy. Zna mnie jako Boots i nie potrzebuje wiedzieć więcej. Z Boots może czuć się swobodnie. Isabel Tyger wystraszyłaby ją na śmierć. Nie pytajcie mnie, skąd to wiem. Po prostu wiem. Pora na kolację, panowie. Nie, nie, dam sobie radę sama. Tyle że zajmie mi to trochę więcej czasu. A poza tym nie śpieszy mi się do tego żalostnego żarcia, przy którym upiera się mój lekarz. I nie chcę od was słyszeć, że to dla mojego własnego dobra.

- Więc nie usłyszysz tego, prawda, Artie? - uśmiechnął się Gerry.

Artie zatrzymał się i odwrócił.

- I z, powinnaś żyć wiecznie. Nie potrafię sobie wyobrazić swojego życia bez ciebie i Gerry'ego. Czy to takie trudne słuchać lekarza? Jeśli nie

chcesz tego robić dla siebie, zrób to dla mnie i Gerry'ego. Dla Helen i Lucie. One cię potrzebują, tak jak my. No, koniec przemówienia. A, jeszcze jedno: kiedy zapraszasz nas na kolację, jemy to, co ty. Nie jesteśmy wyjątkowi. Bładoniebieskie oczy Isabel napelniły się łzami.

- Żebyś ty wiedział, jak bardzo jesteście wyjątkowi. Kocham was obu tak gorąco, że to czasem aż boli. Minęło tyle lat, a my wciąż stanowimy paczkę przyjaciół. Niesamowite.

- Do diabła, to prawdziwy cud - roześmiał się głośno Geny. - Tym bardziej że jesteś najbardziej nieznośną, zrzędliwą i upartą kobietą, jaką znam.

- Z ust mi to wyjąłeś - Artie poklepał Gerry'ego po plecach.

- Widzicie, i dlatego właśnie was kocham. Nie owijacie niczego w bawełnę. Niestety, właśnie taka jestem.

- Ale jesteś też najbardziej hojna, troskliwa i skromna... - powiedział Artie.

- To też-zażartowała Isabel.

- Potrzebuję chwili spokoju, Sam. A to znaczy, że musisz iść do domu. Mam mnóstwo spraw do przemyślenia. Jeśli chcesz, możesz zostawić Maksa - powiedziała Helen.

- Nie planujesz chyba zrobić nic szalonego, co? - zapytał Sam, obejmując ją-

- Nie. Przeszła mi ochota na wszelkie szaleństwa, nie mogę myśleć, kiedy jesteś przy mnie. Mam natomiast ochotę zedrzeć z ciebie ciuchy i kochać się z tobą. Mam ochotę przytulać się do ciebie i do psów. Ale muszę zrobić parę rzeczy, zając się kilkoma sprawami.

- Już dawno wszystko zrobiliśmy. Twój sklep jest otwarty. Ubezpieczyłaś go nawet, towar, ładnie spakowany, leży w pudełkach, wszystkie zamówienia realizujesz na czas. Twój nowy komputer jest podłączony w kantorku, dzięki nowej sieci możesz przysyłać zamówienia bezpośrednio do szwaczek. Jeśli powiesz mi, co masz tak pilnego do zrobienia, że przeszkadza ci moja obecność, zrozumieć. Nic nie zabija miłości szybciej niż takie bycie ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mnie wystarczy dwadzieścia.

- Nie dzisiaj. Spróbuję skontaktować się z Boots i chyba zbiore się na odwagę, żeby zadzwonić do doktora Davisa. Może on potrafi mi wyjaśnić, co się dzieje. Muszę to jeszcze przemyśleć, dręczą mnie wyrzuty sumienia. Czuję się, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg. Chcę odzyskać pewność siebie. A teraz już idź, Sam.

- Okej. Zadzwoni, jeśli zmienisz zdanie. Będę na drugim końcu korytarza. Max może zostać. A teraz pocałuj mnie aż do utraty tchu.

- O nie. Wiem, jak to się skończy. Przyjdź na śniadanie, dobrze?
Obiecuję o tobie śnić. Przez całą noc.

- Zgoda.

- Coś łatwo się poddałeś - Helen spojrzała na niego podejrzliwie.

- Mój przyjaciel mawiał: zostawiaj kobietę, kiedy jeszcze cię pragnie - Sam uśmiechnął się szeroko, otwierając drzwi.

- Czy to ten przyjaciel, który się żenił już cztery razy?

- Ten sam - zawołał przez ramię.

Gdy zamknął za sobą drzwi, Helen, zamysłona, wpatrzyła się w metalową powierzchnię.

- Dobrze mu tak - mruknęła, zatraskując wszystkie trzy zamki.

Psy siłowały się, walcząc na niby o skórzaną kość do gryzienia. Helen zaparzyła sobie świeżą kawę. Czekając, aż napelni się dzbanek ekspresu, włączyła komputer i zajrzała do skrzynki odbiorczej. O mało nie zemdląła, kiedy zobaczyła, że przyszedł do niej mail. I to nie było jakie. Od Boots.

- Dzięki Ci, Boże. Dzięki.

Gapiła się w ekran, aż kawa przestała kapać do dzbanka. Przez chwilę miała nawet ochotę nie otwierać listu, poczekać z tym do rana. Co też Boots napisała? Czy groźba, że wycofa się z programu, spowodowała, że jej doradczynie wreszcie postanowiła odpowiedzieć? A może odpowiadała, bo Helen przyznała się do złamania zasad? Czy z tego listu dowie się, że umowa została zerwana?

Helen poczuła, że ze strachu żołądek podchodzi jej do gardła. Nalała sobie kawy, posłodziła i dodała mleka. No więc przyszedł wreszcie ten list, na który czekała przez ostatnie trzy tygodnie. A jednak ociągała się z przeczytaniem go. Czy zostanie pozbawiona bezpiecznej sieci asekuracyjnej? Zrób to! Po prostu zrób to i niech się dzieje, co chce! - krzyczała na siebie w duchu.

Nagle dostała mdłości. Zakręciło jej się w głowie. Wyciągnęła rękę i oparła się o kuchenny stół. Niech się dzieje, co chce, Helen. Otwórz i przeczytaj ten cholerny list. Zdobyła się wreszcie na odwagę i kliknęła ODCZYT.

List wyglądał normalnie, jak inne maile od Boots. Niezbyt długi, nic nadzwyczajnego. Zaniknęła na moment oczy. Otworzywszy je, zaczęła czytać powoli, zastanawiając się nad każdym słowem.

DOBRY WIECZÓR, MG

Najpierw przeprosiny. Bardzo mi przykro, że się niepokoiłaś, ale okoliczności, na które nie miałam wpływu, nie pozwoliły mi kontynuować naszych spotkań. Nie, to nie był żaden test, jak sugerowałaś w jednym z maili. Po prostu życie czasem układa się nie po naszej myśli.

Niektóre z Twoich listów bardzo mnie zaniepokoiły. Złamałaś zasady, MG. Już samo to powoduje automatyczne wyrzucenie z programu. W pierwszym odruchu chciałam skompletować i wypełnić formularze, i wysłać ci je natychmiast. Ale zarząd fundacji głosował za tym, by dać Ci jeszcze jedną szansę, jeśli ja Cię poprę, mimo że zawiodłaś nasze zaufanie. I choć rozumiem, co czujesz, nie znaczy to, że pochwalam Twoje postępowanie. Naraziłaś na szwank własne bezpieczeństwo. Prawdopodobnie również bezpieczeństwo innych. Jak mogę Ci znów zaufać?

Fundacja sprawdziła dokładnie Twojego sąsiada: jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje. To znaczy, że jesteś bezpieczna. Na razie. Ale co będzie, jeśli ON się wygada, MG? To wszystko jest dla niego nowe. W swoim zapale, by Cię chronić, może niechcący popełnić błąd. I co wtedy? Powtarzam: co wtedy? Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że narażasz jego życie na równi z Twoim własnym. Miłość to bardzo potężne uczucie. Wiem, co czujesz, przez co przechodzisz. Potrzeba Ci więcej czasu, MG. Ciągłe jeszcze przystosowujesz się do nowego życia. Zarząd rozumie, że się zakochałaś. Nie rozumieją tylko, dlaczego musiałaś koniecznie tak się przed nim odsłaniać. Musimy wiedzieć, co dokładnie powiedziałaś temu człowiekowi i kiedy to się stało, i poznać dokładnie jego reakcję. Nawet nie myśl o tym, by skłamać. Sądziłam, że jesteś twardsza, MG. Bar-, dzo się na Tobie zawiodłam. A w końcu najbardziej liczy się moja opinia. Będę czekać na wieści od Ciebie. Niezależnie od naszej decyzji zostaniesz o niej powiadomiona.

List był podpisany: Boots.

Helen wyłączyła komputer. Zdrętwiała, oparła się bezwładnie o ścianę. Poczwała ucisk w krtani, z gardła wyrwał się szloch. Psy podbiegły natychmiast, zaalarmowane nieznanym dźwiękiem. Helen zsunęła się z krzesła na podłogę, wstrząsana płaczem, tuląc się do zwierząt, które usiłowały ją pocieszyć.

Długą chwilę później, kiedy nie miała już siły dłużej płakać, pogłaskała Maksa i Lucie jeszcze raz. Jej dłonie i psia sierść były mokre od łez. Czwała się taka zmęczona. Zwinęła się na podłodze, z Lucie przytuloną do piersi, i zamknęła oczy. Zasnęła natychmiast.

Psy spojrzały na siebie porozumiewawczo. Max pobiegł do salonu i przyniósł swój kocyk. Dotąd go ciągnął i szarpał, aż ułożył tam, gdzie chciał - na

ramionach Helen. Lucie zaskomlała. Max wyciągnął się obok, położył łapę na grzbiecie Lucie, a wzrok utkwił w zamkniętych drzwiach wejściowych. Pod jego strażą Helen była bezpieczna.

Rozdział 13

Helen obudziła się, czując na piersi ogromny ciężar. Z trudem chwyciła głęboki oddech. Co się dzieje? Czyżby miała atak serca? Gdzie jest? Spróbowała się poruszyć i wtedy przygniatający ją ciężar przesunął się trochę. Max!

- Jeszcze odrobinę, wielkoludzie. Już dobrze, Lucie - wyszeptała.

Przekręciła się na bok. Psy patrzyły na nią wyczekująco. Przez szczelinę

między zasłonami wpadało światło księżyca. Aha, więc wciąż jeszcze jest noc. Świecące wskazówki budzika połyskiwały w półmroku: trzecia dziesiąta. Wstała, czując, że potrzebuje gorącego prysznicu. Bolały ją wszystkie kości.

- I co dalej? - wymamrotała. Oczy piekły ją, jakby miała piasek pod powiekami. Chwiejnym krokiem ruszyła do łazienki i odkręciła wodę. Aż się zachłysnęła na widok swojego odbicia w lustrze.

Owinęła w puszysty szlafrok, weszła do kuchni i zaparzyła świeżą kawę. Komputer czekał za jej plecami. Boots czekała. Członkowie zarządu czekali na jej odpowiedź. I co im powie? A nawet gdyby znalazła właściwe słowa, jak mogła napisać do nich tak bezosobowo? Przypomniała sobie, co mawiała Boots: można zrobić wszystko, jeśli się jest w odpowiednim nastroju. Musi się więc tylko odpowiednio nastawić - i jazda. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać.

Lucie pociągnęła za brzeg szlafroka, wyczuwając dziwny nastrój swojej pani. Helen schyliła się i podniosła suczkę. Max oparł się łapami o jej ramiona.

- Chodźcie, posiedzimy na kanapie i poczekamy, aż zrobi się kawa. Nie mogę cię podnieść, Max. Jesteś za ciężki.

Zwinęła się w rogu kanapy ze skomlącą Lucie na kolanach. Labrador wskoczył obok i szturchnął ją nosem w otwartą dłoń, dopominając się, by go podrapała za uszami.

- Nie mam pojęcia, co robić.

Lucie zsunęła się z jej kolan i przytuliła do Makska.

- No cóż, to chyba jest odpowiedź. Chodźcie, łobuziaki, dla mnie kawa,

dla was ciasteczka. Już wszystko w porządku. Naprawdę. Jakoś sobie poradzimy. Nie wiem jak, ale sobie poradzimy.

Tym razem bez wahania usiadła przed ekranem. Włączyła komputer i zaczęła pisać:

DROGA BOOTS

Cieszę się, że nic Ci nie jest. Martwiłam się o Ciebie. Z początku nie wiedziałam, co myśleć. W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że może mnie sprawdzasz. Szybko jednak zdałam sobie sprawę, że to bzdura. Czułam się potwornie samotna i bezbronna, gdy tyle czasu nie miałam wieści od Ciebie. Trzy tygodnie to dla mnie bardzo długo. Zaczęłam się bać, tak bardzo że pojawiły się kłopoty ze snem. Moim zdaniem to niewybaczalne, że naraziłaś mnie na coś takiego, chcący czy niechcący. W waszej potężnej organizacji musi być choć jedna osoba, która powinna mi przysłać maila i dać znać, że wszystko jest w porządku. Po starannym przemyśleniu sprawy doszłam do wniosku, że nie mogę przyjąć Twoich usprawiedliwień.

Nie mam słów, by wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Dotrzymywałam warunków umowy, przestrzegałam zasad. Zawiodłam dlatego, że pozostawiliście mnie bez oparcia. To pewnie dowodzi, że jestem słaba. Przecież właśnie dlatego potrzebowałam pomocy. Ale dzięki Tobie i ludziom, którzy poświęcili mi swój czas i uwagę, zmieniłam się. Może jeszcze jestem trochę przestraszona, ale za to młoda i zdrowa. Nie boję się ciężkiej pracy. Boję się tylko dwóch rzeczy: że coś się stanie mojemu psu i że zapomnę, kim jestem i po co w ogóle przystąpiłam do programu ochrony. I nikogo poza sobą nie mogę winić za moją słabość.

Tak, zakochałam się. Już sam ten fakt wydaje mi się cudem. On jest dobrym, łagodnym człowiekiem i bardzo troszczy się o mnie i mojego psa. Jeśli w tym wszystkim chodzi o zaufanie i prawdę, to owszem, zasługuję na jeszcze jedną szansę. Nie zamierzam z niej jednak skorzystać. Mam świadomość, że nie poprosiliście mnie wprost, bym zrezygnowała z mężczyzny, którego kocham. Tak naprawdę jednak o to chodzi. On rozumie sytuację. Myślę, że gdyby zaszła konieczność, broniliby mnie i mojego psa z narażeniem życia. Gdyby sytuacja była odwrotna, ja zrobiłabym to samo dla niego.

I w końcu ostatnia, choć nie najmniej ważna sprawa. Nie mogę rozdzielać psów. Przywiązały się do siebie, wspinał się widzieć je razem. Nie byłabym w stanie tego zrobić. Nie oczekuję, by członkowie zarządu zrozumieli

takie uczucia, ale tak właśnie to wygląda. I w tej kwestii zdania nie zmienię.

Zwrócę pożyczone mi pieniądze, gdy tylko dasz mi znać, gdzie przesłać czek. Gdybyście zechcieli sporządzić wykaz wydatków, poniesionych z mojego powodu, spłacę je również. Zajmie mi to trochę czasu, ale spłacę swoje długi.

Boots, przykro mi, że nie spotkamy się nigdy osobiście. Widocznie nie było nam przeznaczone.

Nie wiem, czy mam prawo prosić o coś takiego, lecz zaryzykuję: czy mogłabyś, z łaski swojej, przekazać moje podziękowania Isabel Tyger? Do śmierci będę jej wdzięczna za uratowanie życia mnie i mojemu psu. Rozmawiam często z Lucie i powtarzam jej, że Pani Tyger musi być wspaniałą osobą. Myślę, że mnie rozumie. Żałuję, że Cię zawiodłam, Boots. Nie zawiodłam jednak ani siebie, ani mojego psa. To jest dla mnie najważniejsze.

Zamierzam zrezygnować z tego prywatnego łącza. To dodatkowy wydatek, na który nie mogę sobie teraz pozwolić. Jeśli kiedykolwiek zechcesz się ze mną skontaktować, skorzystaj z mojej strony internetowej. Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

MG i, MG2

Helen przygryzła wargę i wyłączyła komputer. Zamknął się kolejny rozdział w jej życiu. Chciałaby wiedzieć, co w przyszłości czekają i Sama. Stanowili teraz jedno. Ale z drugiej strony, może to i lepiej, że nie wie, co mesie przyszłość. Żyj z dnia na dzień, Helen - powiedziała sobie w duchu. - Dzień po dniu.

Spojrzała na psy leżące u jej stóp.

- Postąpiłam słusznie. Właściwie nie miałam innego wyjścia. Wszystko będzie dobrze. Zaopiekuję się nami. Obiecuję. A teraz chyba już czas się położyć. Chodźcie. Jest późno, a Sam przychodzi na śniadanie. Może rano popatrzę na świat z większym optymizmem. Nie bardzo w to wierzę, ale warto tak myśleć - powiedziała ze znużeniem, idąc krótkim korytarzem prowadzącym do sypialni.

Pięć tysięcy kilometrów dalej, w Kalifornii, Isabel Tyger przemierzała długi korytarz swojego domu. Poruszała się z balkonikiem, który wydawał głuche odgłosy. Kolejna bezsenna noc. Isabel ostrożnie usiadła w wygodnym fotelu przy biurku. Czuła się zupełnie niepotrzebna. Wyciągnęła szyję, by wyrzeć przez okno biblioteki. Chciała sprawdzić, czy samochód Maggie Eldridge

jest zaparkowany w pobliżu garażu. Przez chwilę zastanawiała się, co też może w tej chwili robić jej pielęgniarka. Nie była wścibską świętoszką, ale dochodziła już czwarta w nocy, a dziewczyny ani widu, ani słyhu. Według Isabel, kiedy się miało „wolny wieczór”, powinno się raczej wrócić przed północą. A może teraz wszystko jest inaczej? Może powinna była wyrażać się bardziej precyzyjnie, kiedy informowała pielęgniarkę o jej obowiązkach.

- Przynajmniej nie płącze mi się pod nogami - wymamrotała, włączając komputer. Chciała wiedzieć, co Helen Ward myśli o jej liście. Czy ma zamiar odpowiedzieć natychmiast, czy może da sobie trochę czasu na przemyślenie sprawy? Zamrugła z niedowierzaniem, widząc małą, migającą kopertę w rogu ekranu. Czyżby Helen?

Isabel przeczytała list trzy razy, po czym zwycięskim gestem podniosła pięść do góry.

- Tak! - zachichotała. Sekundę później trzymała już w ręce słuchawkę. - Pobudka, Geny. Mój ptaszek kazał mi się odwalić. To tak się teraz mówi, prawda? Słyszałam to w jednej z tych mydlanych oper, kiedy leżałam w tym przeklętym szpitalu. Mówiłam ci, że to dziewczyna z charakterem. Nie pomyliłam się co do niej. Ma zamiar zrezygnować z programu, więc pozwolimy jej myśleć, że się na to zgadzamy, ale będziemy trzymać rękę na pulsie. Napisała, że nie chce rozdzielać psów. Nieźle, co? Boże, Geny, uwielbiam mieć rację. Dlaczego nic nie mówisz? Przecież nie spałeś, więc nie udawaj. No powiedz coś.

- Ja też uwielbiam, kiedy masz rację, Izzie. A tak przy okazji, wyjdiesz za mnie?

- Nie mamy czasu na małżeństwo, Geny. Nie teraz. Może później. Jest tyle do zrobienia. Nie mówię, że małżeństwo zniszczyłoby nam życie, ale wszystko by się zmieniło. Zawsze cię kochałam. I wierzę ci, kiedy mówisz, że i ty zawsze mnie kochałeś. Po co nam jakiś kawałek papieru? Odpowiedź brzmi: nie.

- Któregoś pięknego dnia przestanę cię o to prosić. Gdybyśmy się pobrali, miałabyś z kim grać w szachy o czwartej nad ranem.

- Pielęgniarka jeszcze nie wróciła, Geny. Dałam jej wolny wieczór. Czy kiedy się komuś daje wolny wieczór, to nie znaczy, że ten ktoś powinien wrócić przed północą?

- Chyba to właśnie znaczy. Ale dzisiejsze dzieciaki nic sobie z tego nie robią. Balują całą noc, przychodzą na śniadanie i idą do pracy. Ja bym chyba umarł, gdybym tak robił.

- To dlatego, że jesteśmy starzy, Gerry. Czuję się bardzo stara, a na dodatek nie czuję się najlepiej.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Izzie? - zapytał Geny. W jego głosie brzmiał niepokój.

- Chcę powiedzieć, że nie czuję się sobą. To pewnie przez te wszystkie lekarstwa, którymi mnie faszerają. Nie będę tego więcej brać.

- No to nie bierz. - Długie lata przyjaźni nauczyły Gerry'ego, że jeśli tylko na coś się zgodzi, Isabel zrobi dokładnie odwrotnie.

- Może wpadniesz na śniadanie, Geny?

- Dobrze. A czy teraz mogę wrócić do łóżka?

- Nie chcesz ze mną porozmawiać?

- O czym, Izzie?

- Wiesz, o czym. Czy to nie wspaniałe, jak ona sobie radzi?

- Nie. Postępuje naprawdę głupio.

- Ona tak nie myśli. Głęboko wierzy, że przejmuje kontrolę nad swoim życiem. I powiedzie jej się, niezależnie od tego, co zrobimy lub powiemy. Jest pełna determinacji. Na pewno żyje w lęku. Ale ma rację, nie jest już tą słabą osobą, która przyszła do ciebie tamtej nocy. Zresztą to ona użyła słowa „słaba”, nie ja.

- A co powiesz na słowo „lekkomyślna”, Isabel? - zapytał Geny.

Zamrugła zdziwiona. Geny używał jej pełnego imienia, tylko kiedy był

na nią zły.

- Wcale mi się nie podoba, Geraldzie.

- I jak teraz postąpisz?

- Nie mam pojęcia. Muszę to przemyśleć.

- Świetnie. Czy mogę już wrócić do łóżka?

- Idź, prześpij całe życie - odcięła się Isabel i przerwała połączenie. Najwygodniej, jak mogła, zwinęła się w starym, wysiedzianym fotelu. Za

każdym razem, gdy Geny prosił ją o rękę, czuła się jednakowo poruszona.

- Czasem żałuję, że za niego nie wyszłam. Może mielibyśmy dzieci, dużą,

kochającą się rodzinę - mruzczała. To było możliwe. Geny nie dostrzegał jej

brzydoty, o której była przekonana, i jej koślawej nogi. Och, nie. Nie potrafiła

zapomnieć o przeszłości. Postarał się o to ojciec, swoim złośliwym językiem.

Wracały do niej echem wszystkie okrutne rzeczy, które kiedyś powiedział.

Końska twarz, królicze zęby, chuderlawa, koślawka jak kulek w płocie. A to

jeszcze najmniej nieprzyjemne określenia. O tych najgorszych pozwalała sobie myśleć, tylko gdy była sama, w kompletnych ciemnościach, by nikt, na

wet ona, nie mógł zobaczyć jej wstydu. Przeżywanie go było już wystarczają

cym koszmarem. Spojrzeć sobie w oczy? - to zbyt trudne. Nie wiedziała, czy

ojciec nienawidził jej od tego okropnego dnia, w którym się urodziła, czy od

chwili, gdy wykrzyknęła: „Kiedy będę dość duża, zabiję cię za to, co zrobiłeś!” Mówiła wtedy poważnie. Niemal żałowała, że nie spełniła tej groźby.

Przez wiele lat myślała, że Geny się nad nią lituje i dlatego wciąż się oświadcza. Potem uznała, że to z wdzięczności za pomoc w ukończeniu studiów

i założeniu lecznicy. Ale w dniu, kiedy ojciec leżał umierający i własnej córki nie chciał widzieć w swoim pokoju, zrozumiała, że sam jej wygląd jest dla niego wstrętny i doszła do wniosku, że na pewno inni muszą myśleć tak samo. Nawet Geny i Artie, choć mówią, że to nieprawda. Kiedy została pozbawiona spadku, chciała się zabić. Ale oni byli przy niej cały czas, dzień i noc. Przyjaźń. Przyjaźń to nie miłość, myślała. - Jesteś głupią, starą torbą, Isabel - burknęła.

Ścianę gabinetu omiotły światła samochodu. Isabel szybko zgasiła lampkę i dźwignęła się z fotela. Postukując balkonikiem, ruszyła pośpiesznie korytarzem do swojej sypialni i po chwili leżała już w łóżku.

Czekała.

Dom był cichy. Zbyt cichy. Od czasu remontu nic nie skrzypiało, nie jęczało. Grube obicia i dywany tłumiły wszystko.

Minął kwadrans, a uchylone drzwi sypialni nie poruszyły się. Wyciągając szyję, Isabel mogła wyrzeć przez okno wychodzące na skrzydło domu w kształcie litery L, gdzie znajdował się gabinet. Palilo się w nim światło. Zmarszczyła brwi. Co pielęgniarka robi w jej gabinecie? Czyżby sądziła, że za piętnaście piąta nad ranem zastanie swoją pacjentkę przy komputerze? A może szuka jakiejś książki? Która dziewczyna miałaby ochotę czytać po całonocnej randce? A może grzebie w biurku? Jeśli tak, to czego szuka? Czyżby szpiegowała swoją pracodawczynię?

Isabel obserwowała okno, jednocześnie kontrolując godzinę na zegarze, który wisiał na wprost łóżka. Duże, świecące czerwono cyfry wskazywały dwadzieścia pięć po piątej, kiedy światło w gabinecie wreszcie zgasło. Isabel przekręciła się na bok, by lepiej widzieć drzwi. Nocna lampka, wetknięta do gniazdka po lewej stronie wejścia, dawała słabe, ale wystarczające światło. Przeszył ją dreszcz. Kiedy drzwi poruszyły się, zamknęła oczy, udając, że śpi. Poczowała perfumy Maggie i coś jeszcze. Dym papierosowy? Tytoń fajkowy. Artie palił fajkę, znała więc aromat dobrego tytoniu. Ale co ta mała robiła w jej gabinecie? Pielęgniarka, zadowolona z inspekcji, przytknęła drzwi.

Gdyby Maggie próbowała użyć komputera Isabel, szybko przekonałaby się, że potrzebne jest hasło, którego nie znała. Komputer żąda hasła zaraz po włączeniu. Isabel, z natury podejrzliwa, odrzuciła możliwość, że pielęgniarka przez czterdzieści minut szukała sobie czytała do poduszki. Nie. Z jakiegoś powodu interesował ją komputer.

Przerzuciła nogi przez krawędź łóżka i sięgnęła po balkonik; przesuwała go bezgłośnie przez całą drogę do gabinetu. Znała ten pokój na pamięć, więc najpierw zaciągnęła ciężkie zasłony, by światło nie było widoczne z zewnątrz. Następnie zamknęła drzwi na klucz. Włączyła komputer. Gdy zapytał o hasło, zalogowała się i, oparta wygodnie w fotelu, zaczęła szybko przebierać palcami po klawiaturze, by sprawdzić, kiedy wylogował się ostatni użytkownik. Jej

podejrzenia się potwierdziły: piąta zero dwie. Pielęgniarka próbowała dostać się do komputera. Pozostawało pytanie: po co?

Isabei siedziała cicho, intensywnie się zastanawiając. Przemyślała jej przez myśl najbardziej nieprawdopodobne przypuszczenia. Większość odrzuciła, innym przyjrzała się uważniej. Czyżby ta ładna, wesoła dziewczyna była czyjąś wtyczką? Ale dla kogo mogła szpiegować? Gerry i Artie umarliby ze śmiechu, gdyby choć słowem wspomniała o takiej możliwości. Powiedzieliby, że naoglądała się za dużo telewizji, a przecież od telewizji wolą raczej dobrą książkę.

Zamknęła oczy, by łatwiej przypomnieć sobie wygląd swojej nocnej szafki. Buteleczki z przepisаныmi lekarstwami i dzbanek z wodą. Przynajmniej sześć różnych fiolek. Jej oczy zwęziły się podejrzliwie. Skoro już przychodzą jej do głowy te wszystkie szalone myśli, czemu nie posunąć się dalej? Telefony. W każdym pomieszczeniu w tym domu, nawet w łazienkach i garażach, były gniazdka telefoniczne. Skoro boi się, że ktoś ją szpieguje, może jutro zadzwonić po montera i kazać je zlikwidować. Jeśli zajdzie potrzeba, zainstaluje centralkę i prywatną linię w gabinecie i sypialni, wtedy nikt nie mógłby podsłuchiwać jej rozmów. Może powinna też kazać odłączyć interkom, na wypadek gdyby zapomniała go wyłączyć w którymś z pokoi. Żołądek ścisnął jej się ze strachu.

Co tak naprawdę wiedziała o swojej młodej, pogodnej pielęgniarce? Nic. Kiedy po wypadku przyjęto ją do szpitala, przez kilka dni żyła poza rzeczywistością. Gdy oprzytomniała, pielęgniarka siedziała już przy niej, robiąc na drutach. Gerry powiedział, że to on ją zatrudnił. Prawdopodobnie przez jakieś biuro pośrednictwa usług medycznych. Isabei niełatwo było przestraszyć, ale teraz zaczęła ją ogarniać prawdziwa panika.

- Dałam się podejść jak dziecko. Albo do reszty już zwariowałam -
zrzędziła, wyłączając komputer. Rozsunęła zasłony i spojrzała nad horyzont:
blady, lawendowy róż oznajmiał początek nowego dnia. Jej oczy wyrażały determinację i wolę walki.

Półtorej godziny później siedziała przy stole, kończąc śniadanie. Punktualnie o siódmej do kuchni weszła promiennie uśmiechnięta Maggie Eldridge.

- Miałam zamiar przynieść pani śniadanie do pokoju, pani Tyger.

- Nie jestem kaleką, panno Eldridge. Muszę odzyskać formę. Chcę wrócić do normalnego życia i swoich zajęć.

- A czym się pani właściwie zajmuje, pani Tyger? Nigdy mi pani nie mówiła - rzuciła pielęgniarka, nalewając kawę.

- Zasiadam w kilku radach nadzorczych, prowadzę fabrykę zabawek, zajmuję się dobroczynnością, koresponduję z przyjaciółmi, takie tam różne - powiedziała obojętnie Isabei. -
Opowiedz mi o swojej randce. Dobrze się bawiłaś?

- Wspaniale, ale czułam się winna, że zostawiłam panią samą.
- Niepotrzebnie, bo nie byłam sama. Była ze mną gospoia.
- Dobrze pani spała tej nocy?
- Jak zabita. - Isabel uśmiechnęła się. - A ty? Przyzwyczaiłaś się już do nowego łóżka?
- Spała pani mocno, kiedy wróciłam. Zajrzałam do pani, tak jak obiecałam. Ja też spałam jak zabita. Nigdy nie miałam kłopotów ze snem, a łóżko jest bardzo wygodne.
- Dokąd cię zabrał twój amant?
- Do przemyłej chińskiej restauracji, a potem obejrzeliśmy dwa filmy na wideo. Mieliśmy wino, ser, owoce, i oczywiście kiedy zaczęło się robić interesująco, musiałam wyjść. - Isabel z dezaprobatą klasnęła językiem o podniebienie, na znak, co o tym myśli. - Wróciłam około wpół do pierwszej.
- Te pigułki nasenne zupełnie zwały mnie z nóg. Nic nie słyszałam.
- Dlatego doktor je pani przepisał. Potrzebuje pani snu. Jak się pani dzisiaj czuje?
- Kwitnąco.
- Gotowa do kąpieli i masażu?
- Jak najbardziej.
- Proszę mi powiedzieć, co pani jadła na śniadanie. Niektóre leki powinna pani brać po posiłku. Musimy wszystkiego przestrzegać.
- Jadłam beztłuszczowy jogurt, pół grejfruta, dwie grzanki z niesłodzonym dżemem i wypłam ziołową herbatę.
- Widzę, że rozsądek zwyciężył - rozpromieniła się pielęgniarka.

Isabel zastanawiała się, jak zareagowałaby ta uśmiechnięta kłamczucha, gdyby się dowiedziała, co naprawdę jadła jej podopieczna: dwa jajka, cztery plastry bekonu i trzy filiżanki kawy.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie sama. Chyba zacznę już używać laski zamiast balkonika.
- Możemy spróbować, ale nie wydaje mi się...
- I nie będę się myła gąbką na siedząco. Wezmę prysznic.
- W porządku - zgodziła się pielęgniarka. - Poczekam pod drzwiami kabiny.
- Jak uważasz - powiedziała Isabel. Skręcając, odepchnęła balkonik, niemal podcinając nogi dziewczynie. Cholerna kłamczucha - pomyślała.
- Pokuśtykała do łazienki.
- Poczekaj tu, w garderobie. Wolalabym zostać sama, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Gdybym cię potrzebowała, zawołam. Próżności, twe imię niewiasta - pomyślała, szarpiąc się ze szlafrokiem i nocną koszulą. Płonęła ze wstydu za każdym razem, gdy widziała swoje nagie ciało. A jednak Geny'emu

jakoś nie przeszkadzała jej koślawa noga, wałki tłuszczu, wystający brzuch i obwisłe piersi. Ohydne ciało, jak powiedział jej kiedyś ojciec, kiedy jeszcze była mała. Gdy tylko zrozumiała znaczenie słowa „ohydny”, nauczyła się maskować ubraniem swoją wyimaginowaną brzydotę.

W kabinie prysznicowej Isabel usiadła na okrągłym, plastikowym taborecie z przyssawkami na nogach, które utrzymywały go w miejscu. Gorąca, parująca woda była wspaniała, uspokajała ją i wyciszała. Kłamliwa gówniara. Co ona kombinuje? Czy Artie i Gerry uznaliby ją za kompletną wariatkę, gdyby powiedziała im, że dziewczyna spotyka się z Danielem Wardem? Może jednak nie jest to takie nieprawdopodobne - stwierdziła.

- Czy wszystko w porządku, pani Tyger?

- Jasne. Uwielbiam gorącą wodę. Opowiedz mi coś więcej o swojej randce. Lubię słuchać o romansach młodych ludzi. Sypiasz z nim?

- Pani Tyger!

- Sypiasz czy nie?

- Kiedy mam czas. Nie uważa pani, że wtrąca się w moje życie? Tak jak ty używasz mojego komputera i okłamujesz mnie.

- Nie. Czym on się zajmuje? Może go znam.

- Wątpię. Jest konsultantem. I specem od komputerów.

- Znam wszystkich w San Jose. Jak się nazywa? Może zaprosimy go na kolację?

- Jest zbyt zajęty. Nawet spotkania ze mną musi wciskać między swoje zajęcia. To wcale nie jest romantyczne. Nazywa się Donald McDermott. Zna go pani?

- Nie! - odrzyknęła Isabel przez szum wody. Założę się, że znam jego prawdziwe nazwisko - pomyślała złośliwie. - Cholezna mała kłamczucha.

Wstała i wyszła spod prysznicy, nie zakręcając kurków. Ubrała się sama, ale zmęczyła się przy tym potwornie. Zakręciła wodę i krzyknęła:

- Skończyłam!

- Boże, wyobrażam sobie pani rachunki za wodę.

- Jestem bogata. Stać mnie na to - powiedziała Isabel, przyglądając się uważnie, jak pielęgniarka zareaguje na takie oświadczenie.

- To samo mówił Donald. Nie miałam pojęcia, że to pani jest właścicielką tej fabryki zabawek. Jak to jest mieć tyle pieniędzy? - zapytała dziewczyna.

- Dużo lepiej niż nie mieć. Ale oddaję ich większą część. Jest tylu potrzebujących, którzy korzystają z mojej pomocy.

- Donald mówił też, że pani poświęca mnóstwo czasu i pieniędzy na pomoc bitym kobietom. Czytał o pani w jakiejś gazecie. Nic o tym nie wiedziałam. Przeprowadziłam się do San Jose, bo miałam dość zimnego klimatu

na Wschodzie. Ja nigdy nie pozwoliłabym, żeby jakiś facet wyładowywał się na mnie jak na worku treningowym.

- Na początku wszystkie tak mówią - ucięła Isabel.

- Mogłabym popracować w weekendy w którymś z pani schronisk. Też bym chciała trochę pomóc.

- Nie ma potrzeby. Wolontariuszy nam nie brakuje. Sądzisz, że wytrzymałabyś drobiazgowe śledztwo na temat przeszłości twojej i wszystkich osób z twojego najbliższego otoczenia?

- Oczywiście - rzuciła pielęgniarka. Uśmiechnęła się, przekonana, że wywiodła w pole złośliwą Isabel.

- Chcę cię prosić o załatwienie paru spraw. Pójdiesz do księgarni i odbierzesz nowe powieści, które zamówiłam. Potrzebuję też pasty do zębów i szamponu. A skoro już będziesz w mieście, możesz odebrać moje rzeczy z pralni. Ja sobie poradzę. Mam zamiar posiedzieć i dokończyć książkę.

- Pani Tyger, proszę się nie obrazić, ale nie jestem tutaj na posyłki. Jestem pielęgniarką. Doktor na pewno nie byłby zadowolony, że zostawiam panią samą.

- To również należy do twoich obowiązków. Jak ci się nie podoba, możesz odejść. I niewiele mnie obchodzi, co myśli lekarz. Zdawało mi się, że to jasne. Jeśli uważasz mnie za idiotkę, to popełniasz duży błąd.

- Uchowaj Boże. - Pielęgniarka była wyraźnie zdenerwowana. - Skąd pani przysłała do głowy taka myśl? Na pewno pani dobrze spała tej nocy?

- Sama mi ją podsunęłaś. Mówiłam ci już, że spałam kamiennym snem. A teraz, raczysz pozajątwiać moje sprawy czy nie?

- Jeśli tego sobie pani życzy - odparła Maggie, tym razem bez uśmiechu.

- Świetnie. Lista jest na kuchennym stole. Księgarnia dopisze należność do mojego rachunku, tak samo pralnia i drogeria. Nie śpiesz się. Zjedz lunch na mieście.

- Dlaczego mam wrażenie, że pani próbuje się mnie pozbyć?

- Bo tak właśnie jest. Nie lubię, kiedy ktoś nade mną bez przerwy sterczy. Nigdzie ci nie ucieknę. Jeśli będę zmęczona, zdrzemnę się. Idź, zrób swojemu chłopakowi niespodziankę i zaproś go na pizzę.

- Najpierw musi pani wziąć lekarstwa.

- Już je wzięłam - skłamała Isabel. - Jeśli mi nie wierzysz, sprawdź butelki. Powiedziałam ci, nie jestem idiotką. Wiem, że leki mi pomagają. Zaoszczędziłam ci tylko kłopotu i sama je wzięłam. Postaw ptaszek na swojej liście. Zanim wrócisz, połknę grzecznie następną porcję.

- To mi burzy porządek dnia. Pani, zdaje się, w ogóle już nie potrzebuje pielęgniarki - powiedziała Maggie, udając obrażoną.

- Zgadzam się. Musimy to przemyśleć. Może wystarczy, by ktoś zaglądał do mnie co drugi dzień. Wiesz, żeby sprawdzić puls i temperaturę, pomóc przy kąpieli i ubieraniu. Płaczą się człowiekowi pod nogami, zupełnie tak jak ty - rzuciła Isabel z nadzieją, że zdenerwuje pielęgniarkę.

- Jest pani wyjątkowo skwaszona dziś rano. Wrócę mniej więcej za godzinę. Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić, zanim wyjdę?

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Isabel odczekała jakiś czas, by upewnić się, że Maggie rzeczywiście wyszła, po czym ruszyła do gabinetu. Natychmiast zadzwoniła do prywatnego detektywa, z którego usług korzystała już wcześniej.

- Mówi Isabel Tyger. Mam dla pana nowe zadanie...

Rozdział 14

Helen pozbierała resztę swoich rzeczy i zaniósła je pod drzwi. Zastanawiała się, czy będzie tęsknić za tym małym mieszkankiem, które było jej domem przez tyle miesięcy.

- Czy to już wszystko, kochanie?

Uśmiechnęła się. Sam nazywał ją po imieniu tylko w łóżku. Ciągle uśmiechnęta, zamknęła za sobą drzwi.

- Mów. - Sam również uśmiechnął się szeroko. - Chcę wiedzieć, co cię tak cieszy. Zaczyna się nasza przygoda. Jeszcze nie jest za późno, wiesz, że możesz zmienić zdanie.

- Myślałam o tym, że mówisz do mnie po imieniu tylko w łóżku. Boisz się, żeby się nie wygadać. Ale skoro wiesz, kim naprawdę jestem, wszystko w porządku. Odpowiada mi to. Nie dałam im mojego nowego adresu, zawiadomiłam jedynie Boots. Oni będą dalej robić swoje, a ja będę żyć swoim życiem. To proste. Teraz najważniejsze pytanie brzmi: czy ty jesteś pewien, że chcesz ze mną zamieszkać?

- Spróbuj tylko się mnie pozbyć. Oczywiście, że jestem pewien. Max też. Zabrał swój kocyk. Możemy ruszać.

- Dobrze, że masz własne meble. Inaczej spalibyśmy na podłodze. Rzeczy w moim mieszkaniu należą do wyposażenia. Nie jestem tylko przekonana, czy się przyzwyczaję do wypchanych fasoł fotelików i dziesięć-calowego telewizora - uśmiechnęła się Helen.

- Pokochasz to.

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- To prawda, Sam. Pokocham. Nic mnie nie zniechęci, dopóki ty i Max jesteście przy mnie. To następny krok na długiej drodze mojego nowego życia. I chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Zgodziłam się zamieszkać z tobą, bo cię kocham. Nie dlatego, że się boję czy potrzebuję obrońcy. Jeśli Daniel jakimś cudem zdoła mnie odnaleźć, poradzę sobie z nim. Ja, nie ty. Naprawdę chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli w tej kwestii.

- Akceptuję wszystko, kochanie. Jeśli sprawy zaczną wyglądać naprawdę nieciekawie, zawsze możemy się przenieść do Vermont. Mogę tam dostać pracę jako wykładowca, kiedy tylko zechcę. Pamiętaj o tym. I jeszcze jedno: obiecaj, że jeśli cokolwiek zobaczysz, jeśli poczujesz się zagrożona, powiesz mi o tym. Co dwie głowy to niejedna. A w tym akurat przypadku moja jest trochę trzeźwiejsza. Cokolwiek się stanie, nie wpadaj w panikę. I to jest to, co ty z kolei musisz zrozumieć i zaakceptować.

- Dobrze, Sam.

- No to zabierajmy się stąd. Les i chłopaki ze szkoły powinni wstawić meble do domu, zanim tam dotrzemy. Pudła możemy rozpakować byle kiedy. Jedźmy dzisiaj do Centrum Sztuki. Moglibyśmy wysłuchać koncertu na wolnym powietrzu i zabrać ze sobą psy.

- Jeśli pojedę, pomożesz mi z zamówieniami? Mamy dwa tygodnie spóźnienia.

Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu. Podobało mu się to „my”. Znaczyło, że stanowili jedność, parę. Helen nareszcie dopuszczała go do udziału w swoim prawdziwym życiu.

- Les i chłopaki pomogą nam, kiedy skończą wyładowywać meble. Nie mogę uwierzyć, że minęły już trzy tygodnie, od kiedy... no wiesz.

- Kiedy kochaliśmy się pierwszy raz, a w tydzień później wycofałam się z programu? Jakby to było wczoraj - zachichotała. - Ja ciągle nie mogę uwierzyć, że włożyłam dla ciebie tamten stanik.

- A ja wierzę - uśmiechnął się lubieżnie Sam. - Dobra, jedziemy! Następny przystanek to nasz nowo wynajęty dom, z dwiema sypialniami i łazienkami, z kuchnią i jadalnią, kominkiem na prawdziwe drewno i ogródkiem od tyłu dla naszych ukochanych psiaków.

- Gadasz jak handlarz nieruchomościami. Jestem gotowa. - Helen uśmiechnęła się szeroko, siadając na fotelu pasażera obok Sama. Nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa. Nigdy. Pomodliła się w duchu, by wszystko poszło dobrze.

- Uwaga, Metuchen, nadciągamy!

- Znasz dobrze tę dzielnicę?

- Trochę. Jest całkiem sympatyczna. Mnóstwo drzew na ulicach. Fajne sklepy. Biblioteka i komisariat policji. Wszędzie można dotrzeć na piechotę.

Blisko do parku Roosevelta. Możemy tam zabierać psy, żeby pobiegały. Jest też sadzawka, zimą można pojeździć na łyżwach. I na sankach. Na szczycie wzgórza jest centrum handlowe. Z domu mamy dwa kroki do trasy numer jeden i autostrady dwadzieścia siedem, do szkoły spokojnie dojadę w dziesięć minut. Twój sklep też jest niedaleko. Najwyżej dziesięć minut jazdy. W okolicy praktykuje dobry weterynarz, do którego możesz chodzić z Lucie, skoro doktor Lo zamknął swoją lecznicę. Myślę, że nam obojgu będzie tu dobrze.

- To prawdziwe Boże błogosławieństwo, Sam. Zamówienia przychodzą w takich ilościach, że w głowie mi się kręci. Wczoraj musiałam poprosić mojego dostawcę o dodatkową partię materiału. I jeszcze mam Ciebie. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa. Chcę, żebyś o tym wiedział.

- Ja też. - Ujął jej dłoń. - Ja też.

Isabel Tyger szła powoli, podpierając się laską. Burzowe chmury za oknem wyglądały równie groźnie i ponuro, jak jej oczy. Gęsty deszcz, tłukący wściekle o szyby salonu, doprowadzał ją do jeszcze większej pasji. W dłoni trzymała szarą teczkę, którą przed chwilą przyniósł jej posłaniec.

- Pani sobie wspaniale radzi, pani Tyger. Nigdy bym nie uwierzyła, że to możliwe. Za jakiś tydzień w ogóle nie będzie pani potrzebowała balkonika, nie mówiąc już o mnie. Czuję się winna, biorąc od pani pieniądze w takiej sytuacji - powiedziała Maggie Eldridge, odkładając gazetę.

- Doprawdy? - rzuciła ze złością Isabel, mając świeżo w pamięci zawartość teczek. - A cóż takiego wprawia cię w poczucie winy, Maggie?

- Pani tak świetnie daje sobie radę. Sama pani bierze prysznic. Sama łyka pigułki. Je pani wszystko, co przygotuje kucharka. Doskonale gra pani w szachy, ogrywa mnie pani za każdym razem. Jestem tu tylko po to, by dopilnować, czy wszystko w porządku. Przywykłam pracować na swoją pensję. A w porównaniu z innymi przypadkami to są prawdziwe wakacje. I pani jest taka wspaniałomyślna, dając mi tyle wolnego czasu. Tak jak mówię, to prawie wakacje. Czy pani dobrze się czuje, pani Tyger? Wygląda pani... na rozgniewaną.

Isabel spojrzała na młodą pielęgniarkę. Oczy Maggie były takie błękitne, takie niewinne. Usiadła wygodniej w swoim fotelu.

- Tak się składa - powiedziała, uderzając kopertą po nodze - że jestem

bardzo rozgniewana. Czy wiesz, co trzymam właśnie w ręce?

Maggie zachichotała.

- Ależ, pani Tyger, skądże ja mogę wiedzieć, co jest w tej kopercie?

Dopiero ją przyniesiono. Przed chwilą widziałam posłańca.

- A co z innymi kopertami, które przynoszono przez ostatnie dwa i pół tygodnia? I tymi, które przynoszono, kiedy leżałam w szpitalu?

- Nie rozumiem. Czy pani zadaje mi pytanie, czy usiłuje mi coś powiedzieć?

Isabel zauważyła, że pielęgniarka zaczyna tracić pewność siebie.

- Jedno i drugie - rzuciła.

- Obawiam się, że nie rozumiem. - Niewinne oczy patrzyły teraz z wahaniem, podejrzliwie.

- Pozwól, że opowiem ci pewną historyjkę. Kiedy skończę, powiesz mi, czy mam rację.

- Dobrze - zgodziła się Maggie. Na jej pobludłe policzki wystąpiły okrągłe, czerwone placki.

- Kiedy się przewróciłam i złamałam biodro, zdarzenie to dostało się do lokalnej prasy i wiadomości telewizyjnych. Gdy mój przyjaciel zatrudnił cię jako moją prywatną pielęgniarkę, twoje zdjęcie też trafiło do gazet. Jakiś fotograf pstryknął cię, kiedy wchodziłaś do szpitala. Wyobrażam sobie, że niedługo po tym na scenie pojawił się twój nowy chłopak. To było prawdopodobnie przypadkowe spotkanie w hallu czy też w jakiejś okolicznej restauracji.

- Poznałam Donalda w pralni. Próbowaliśmy oboje skorzystać z jedynej wolnej suszarki. Ja byłam pierwsza.

- Przystojny - ciągnęła dalej Isabel. - Bardzo szarmancki. Zaprosił cię do kina lub na kolację, a ty się zgodziłaś. Powiedziałaś mu, czym się zajmujesz, a on powiedział ci to, co chciał. Prawda jest taka, że nic nie wiesz o człowieku, z którym się spotykasz. Odkąd tu pracujesz, wszelkie informacje, które wyniosłaś z mojego domu, były spreparowane specjalnie dla ciebie. Dla ciebie i pana McDermotta. Innymi słowy, zastawiłam na ciebie pułapkę. Wiem, co robisz, od dnia, gdy przyjechałyśmy do domu. Widziałam, jak myszkujesz po moim gabinecie pierwszego wieczoru, kiedy dałam ci wychodne.

- Pani Tyger, co pani mówi? Czy raczej o co mnie pani oskarża? Dlaczego tak się pani interesuje moim chłopakiem? Dlaczego pani wkracza w moje prywatne życie? Tego nie było w umowie o pracę.

Słyszając roztrzęsiony głos pielęgniarki, Isabel upewniła się, że jest na właściwym tropie.

- Szpiegowania też nie było w umowie. Co robiłaś w moim gabinecie?

- Szukałam książki-odparła cicho Maggie.

- Bzdura! - ucięła Isabel. - Zadam ci jedno pytanie. Wierzę, że masz na tyle rozsądku, by mi powiedzieć prawdę. Dla własnego dobra. Jeśli nie, podam cię do sądu - skłamała. - Stracisz uprawnienia zawodowe. Jesteś dobrą pielęgniarką, Maggie. Nie chciałabym, żeby tak się to skończyło.

- Co... Co pani chce wiedzieć?

- Moje panie, skąd te ponure miny? Wyglądacie obie, jakby wam ktoś umarł - zagrzmiał Arthur King, wchodząc rażnym krokiem do salonu. Z jego parasola kapąła na dywan woda.

- Coś koło tego, prawdę mówiąc. Maggie właśnie miała odpowiedzieć mi na pewne pytanie. Nalej sobie kawy, Artie. Słuchaj, Maggie. Kiedy opiekowałaś się mną w szpitalu, czy przeglądałaś moją pocztę elektroniczną i kopiowałaś ją dla swojego chłopaka, Donalda McDermotta?

Arthur King zakrztusił się kawą. Chwycił stertę serwetek leżących na ruchomym barku i wpatrzył się w dziewczynę, czekając na jej odpowiedź.

- Tak.

- Nie słyszę cię, Maggie. Mów głośniej.

- Tak - powtórzyła pielęgniarka zbolalym tonem.

- Na litość boską, dlaczego? - zapytał Artie.

- On mnie o to prosił. Ja... chciałam mu się przypodobać. To były tylko prywatne listy, nie zawierały nic poważnego. Nawet je czytałam. Nie wyobrażam sobie, do czego były mu potrzebne.

- A powiedział ci do czego? - naciskał zimno Artie.

- Mówił... powiedział, że... potrzebował adresów, żeby móc wysłać reklamy przez Internet. Wiedziałałam, że to nie całkiem legalne, ale on twierdził, że tak jest taniej, niż kupować listę adresów. Przepraszam, że to zrobiłam. Od razu wiedziałam, że źle postępuję. Nie mam żadnego usprawiedliwienia i jeśli chce mnie pani zwolnić, zasłużyłam sobie na to. Ale chciałabym zapytać o kilka rzeczy - odparła, dzielnie patrząc Isabel w oczy. - Po co wynajęła pani detektywa, żeby śledzić mnie i Donalda? Czy to ma coś wspólnego ze szpiegostwem przemysłowym? Czy ktoś próbuje ukraść pani projekty zabawek?

- Nie, Maggie. Twój chłopak próbuje ukraść komuś życie.

- Donald? Ukraść komuś życie? To zupełnie bez sensu. Jak można ukraść komuś życie? - parsknęła Maggie.

Isabel westchnęła.

- Artie, zostawiam to tobie. Wyjaśnij jej sytuację. Ja muszę posiedzieć przy komputerze. Gdzie jest teraz twój chłopak, Maggie?

- Chyba w domu, przygotowuje się do podróży w interesach.

Czy pani każe go aresztować? Co się dzieje?

- Powiedz jej, Artie - poprosiła Isabel, idąc do drzwi. - Powiedz jej, jak on się naprawdę nazywa, i zatrzymaj ją tu, dopóki nie wróci.

W gabinecie Isabel opadła na fotel z głośnym kłapnięciem. Robiło jej się niedobrze na myśl o zdradzie pielęgniarki. Bezpieczeństwo programu zostało zagrożone. Ze swoimi umiejętnościami Daniel Wand mógł się dowiedzieć wszystkiego, czego chciał, używając adresów internetowych. A ona nie mogła mu nic

zrobić, nic udowodnić. Był przebiegły. Na pewno wykombinował coś, by móc potwierdzić wersję, którą opowiedział Maggie: że potrzebuje adresów, by reklamować się w Internecie. To było nagminne. Daniel wiedział o tym, wiedziała też Isabel.

- To wszystko moja wina - mamrotała. - Dlaczego nalegałam, żeby Mona przynosiła mi pocztę i dane o schroniskach? Bo - odpowiedziała sama sobie - musisz we wszystko wtykać swój przekłety nos. Uważasz, że tylko ty znasz się na rzeczy. Teraz widzisz, do czego doprowadziło cię takie myślenie.

Ekran komputera rozświetlił się. Isabel usiadła wygodniej w fotelu i czekała, aż pojawi się okienko poczty elektronicznej. Wpisała adres strony internetowej Sexy Lady i poczekała na połączenie, by móc wysłać maila do Helen.

Czy wścibskie oczy Daniela Warda zobaczą ten list? Możliwe. Musiała jednak jakoś ostrzec Helen. Napisała:

Chciałabym zamówić obie wersje MG i MG2. Proszę zadzwonić do mnie natychmiast po otrzymaniu tej wiadomości, gdyż chodzi o prezent na specjalne zamówienie. Mój numer to...

Zdawało jej się, że wieki minęły, zanim dotarła z powrotem do salonu. Oczy zwężiły jej się na widok tonącej we łzach pielęgniarki.

- Płaczesz, bo żałujesz tego, co zrobiłaś, czy dlatego, że ten drań, który wydawał ci się taki cudowny, pasuje do naszego opisu? - rzuciła ostro.

- Pokazałem jej grupowe zdjęcie z firmy, zrobione w zeszłym roku, kiedy jeszcze Daniel pracował z nami - wyjaśnił Artie.

- Czy masz choćby blade pojęcie, co narobiłaś? - warknęła Isabel.

- Przepraszam. Naprawdę, naprawdę przepraszam.

- To nam w niczym nie pomoże. Jak mu to przekazywałaś? Co miałaś jeszcze zrobić?

- Zwykle dzwonię do niego w porze lunchu. Jeśli ma czas wieczorem, a ja mogę się wyrwać, spotykamy się na kolacji albo idziemy do kina. Czasem wracamy do jego mieszkania. Jeśli... jeśli chce, żebym zrobiła coś... no, specjalnego, zwykle mówi mi o tym w nocy. Ale przeważnie prosi tylko, żebym miała oczy otwarte i przeglądała pani pocztę. On... bardzo się rozzłościł, kiedy nie mogłam zdobyć hasła do pani komputera. Chciał, żebym pani dała jakieś lekarstwa i wypytała o to hasło, kiedy pani będzie nieprzytomna. Odmówiłam. Nie mogę uwierzyć, że to ten sam człowiek. Jest taki miły, troskliwy i łagodny. Owszem, czasem się złości, aleja też. I pani również, pani Tyger. Każdy czasem wpada w gniew.

- Są różne rodzaje gniewu, Maggie. Gniew Daniela Warda o mało nie zabił człowieka. To samo mogło się przytrafić tobie, ale tak się nie stało.

Chwała Bogu, miałaś na tyle rozsądku, że nie podałaś mi narkotyków - powiedziała Isabel. Artie skrzywił się, słysząc ton jej głosu.

- Czy pani wezwie policję? - zapytała przestraszona Maggie.

- Nie wiem. Wiem tylko, że na razie nigdzie nie pójdziesz.

Zostaniesz tutaj, żebym miała cię na oku. Artie, zadzwoń do detektywa i powiedz mu, żeby przyjechał popilnować tej młodej damy.

- Pani mnie zatrzymuje wbrew mojej woli! To niezgodne z prawem - prychnęła oburzona pielęgniarka.

- Wolisz, żebym zawiadomiła policję i szpital, który tak hojnie wspieram finansowo? Mam zaprzyjaźnionego komisarza na policji. Wybieraj.

- Zostaję.

- Wiedziałaś, że zrozumiesz, dlaczego tak postępuję. I chciałabym, żebyś zdjęła uniform pielęgniarki. To mnie obraża. Uważam, że na niego nie zasługujesz. Idź z nią na górę, Artie. Odłącz telefon w jej pokoju i sprawdź, czy nie ma komórki.

Skinął głową.

- A, zapomniałbym. Moi najlepsi ludzie już tu jadą, żeby sprawdzić twój komputer. Do wieczora zainstalujemy najnowszy system zabezpieczający. On nie będzie w stanie go złamać.

- A co z...

- Wszystko pod kontrolą. Rusz się, panienko! - warknął Artie najgroźniej, jak potrafił.

Helen uporządkowała stół do pracy, układając kartki w schludny stosik. Rozejrzała się wokół. To było wspaniałe, cudowne uczucie, wreszcie pracować u siebie. Tęskniła jednak za psami, a za Samem jeszcze bardziej. Dzwonił do niej trzy razy. Może nawet cztery. Uśmiechnęła się. Dziś wieczorem ugotują spaghetti. Razem. Sam obiecał przygotować swój słynny czosnkowy chleb. Znaczyło to, że wstąpi do supermarketu, kupi zamrożony bochenek chleba i przyprawi czosnkiem. Starał się i to było najważniejsze.

Spojrzała jeszcze raz na wystawę. Rano bielizna musi wyglądać ładnie i świeżo. Szkło błyszczało świeżo wymyte płynem do szyb; była to zwykle ostatnia jej czynność przed wyjściem. Dziś do sklepu przyszło tylko sześcioro klientów, ale kupili towar za siedemset dwadzieścia dolarów. Zamówienia z Internetu były warte cztery razy tyle. Jeszcze jeden rzut oka na zamówienia, i może wracać do domu. Stukała niecierpliwie nogą, czekając, aż na ekranie pojawi się jej strona internetowa. Przegląd zamówień zajął kolejną minutę. Do jednego z nich dołączona była wiadomość. Helen przeczytała ją trzy razy, zanim dotarła do niej treść. Ręce zaczęły się jej trząść. Przeczytała wiadomość jeszcze raz i wykręciła

podany numer. Coś było nie tak. Oddychała nierówno, czekając, aż ktoś odbierze telefon.

- Halo.
- Tu Sexy Lady, dzwonię w sprawie zamówienia - wykrztusiła z trudem Helen.

- Czekałam na twój telefon - powiedziała Isabel.
- Czy to Boots?
- Tak. Boots. Obawiam się, że mam złe wieści.

Helen słuchała, blednąc coraz bardziej, aż jej twarz stała się tak biała, jak bielizna na wystawie. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, usiadła więc na stołku za ladą.

- Przykro mi, że tak się stało, MG.
- Do diabła, Boots, nazywaj mnie po imieniu. Muszę poczuć, że to się naprawdę dzieje. Co mam teraz zrobić?
- Chcę, żebyś się przeprowadziła. Możemy wszystko załatwić do jutra. Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna. To moja wina i biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

- Jaka tam twoja wina. Mówiłam ci, że prędzej czy później Daniel mnie znajdzie. Poradzę sobie z nim, Boots. Nigdzie się nie przeprowadzam. Podoba mi się tu, gdzie jestem. Psy mają ogródek do zabawy. Dom jest ładny. Kocham Sama. Prowadzę własną firmę. Po raz pierwszy mam własne, prawdziwe życie. Nie zrezygnuję z niego.

- On może ci odebrać to życie. Albo Samowi. Tego chcesz? Musisz lepiej zabezpieczyć ten ogródek, gdzie bawi się MG2.

- Nie zamierzam tego słuchać! - krzyknęła Helen. - Kupię sobie pistolet. Będę się bronić. Po to wasi ludzie uczyli mnie strzelać.

- Twój mąż jedzie w podróż służbową. A że nie ma żadnej stałej pracy, należałoby się zastanowić, dokąd się wybiera. Pilnujemy go, zatrudniliśmy nawet prywatnego detektywa. Bądź czujna. Nie chcę, żeby coś się stało tobie ani... twoim bliskim.

- Powtarzam, nie mam zamiaru dłużej tego słuchać. Doceniam twoją życzliwość. Zatrąszczę się o nas najlepiej, jak potrafię. Uważaj na siebie, Boots. Przestań się o mnie martwić i wracaj do zdrowia. Może jeszcze kiedyś porozmawiamy. A tak przy okazji, czy fundacja zgodziła się na nasze spotkanie?

- Nie. Uznali, że to zbyt ryzykowne. Sama na nie czekałam.
- Ja też, Boots. Kiedy to wszystko się skończy... Nie skończy się, prawda?

- Nie. Obiecuj mi, że będziesz ostrożna i czujna.
- Obiecuję.

Łzy płynęły z oczu Helen, gdy odwieszała słuchawkę i wyłączała komputer. Jak o tym wszystkim powie Samowi? Może wcale nie powinna. Ale jeśli mu nie powie, jego życie też zostanie wystawione na niebezpieczeństwo. On również musi być ostrożny i czujny. Jak długo to wytrzyma, zanim będzie miał dość?

Energicznie rozprostowała ramiona. Zrozumiała, że jest zdolna nawet zabić. Jeśli będzie musiała, zabije, by ochronić to życie, które zbudowała dla siebie. Jutro z samego rana wystąpi o pozwolenie na broń. Na jakie nazwisko? - zapytał wewnętrzny głos. Helen Ward? Jeśli to zrobi, równie dobrze może wysłać Danielowi swój adres. Nazwisko Nancy Baker nie wchodzi w grę. Poza tym wszystko się wyda, jeśli policja zechce sprawdzić jej przeszłość. Gdy zdała sobie sprawę, że jednak nie kupi pistoletu, poczuła ogromną ulgę. Pistolety zabijają ludzi. Nie, to nie tak. To ludzie zabijają ludzi.

- Będę musiała zabić cię gołymi rękami, Danielu, jeśli zajdzie taka po
trzeba. Jest we mnie wystarczająco dużo nienawiści.

Zakręciło jej się w głowie. Powinna iść do domu, do Sama. Przy nim poczuje się lepiej. I jeśli zechce, będzie mogła tulić Lucie przez całą noc. Postanowiła, że jutro weźmie ze sobą do sklepu obydwie psy. Będą mogły się bawić w małym magazynie, może je wyprowadzać nawet co godzinę. Nie ma mowy, teraz nie spuści Lucie z oka ani na chwilę.

- Nienawidzę cię, Danielu Ward! Nienawidzę cię z całego
serca!

- Jak długo zamierza mnie pani tu trzymać, pani Tyger? -
zapytała Mag-gie Eldridge.

- Możesz odejść, kiedy zechcesz.

- A jeśli odejdę, pani każe komuś mnie śledzić?

- Tak.

- Nawet jeżeli dam pani słowo, że nie zobaczę się z
Donaldem... Danielem czy jak się tam nazywa?

- Nawet wtedy. - Isabel patrzyła w ciemność za oknem. Jej
myśli biegły na drugi koniec kraju, do New Jersey.

- Słyszała pani, jak z nim rozmawiałam w południe.

Powiedziałam mu, że pani wyjeżdża z Kalifornii na wycieczkę. Wie,
że nie dostarczę mu więcej informacji. Jestem dla niego
bezużyteczna. A jeśli zechce mnie zabić?

- Tacy jak Daniel Ward nigdy się nie poddają. Pamiętaj o tym -
powiedziała Isabel ze znużeniem.

- Chyba nie ma sensu, żebym tu siedziała. Tak bardzo mi
przykro, pani Tyger. Chciałabym móc odwrócić to, co...

- Oszczędź mi swoich przeprosin. Nie jestem w nastroju. Już późno. Chcesz iść, to idź.
 - Jeśli mogę jakoś wynagrodzić...
 - Nie możesz. Gospościa spakowała twoje rzeczy. Walizki są przy frontowych drzwiach.
 - Do widzenia, pani Tyger - powiedziała Maggie płaczącym głosem.
- Isabel zignorowała pielęgniarkę, wciąż zapatrzona w ciemność za oknem.

Odwróciła się dopiero, gdy usłyszała, że dziewczyna zapala silnik samochodu. Nigdy, jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie czuła się taka samotna. Wiedziała, że jeśli zadzwoni do Artiego lub Gerry'ego, przybiegną natychmiast. Są tacy oddani. Czasem zastanawiała się, czy zasługuje na ich miłość, na ich poświęcenie dla tej przyjaźni, zawartej tak dawno temu, gdy byli jeszcze dziećmi.

Zgasiła światło i ruszyła korytarzem do swojej sypialni. Gdy tam dotarła, zrobiła coś, czego nie robiła od wielu lat. Przyklękła z trudem na jedno kolano i zaczęła modlić się żarliwie.

O nic nie prosiła. Nic nie przyrzekała. Po prostu się modliła.

O trzeciej nad ranem, kiedy nie mogła już dłużej znieść przewracania się z boku na bok, wstała, ubrała się i zarzuciła wełniany szal, który wisiał na klamce.

Szła powoli, choć знаła każdy kamyk, każde źdźbło trawy na tej ścieżce. Tym się stało moje życie - pomyślała smutno. - Spacerem w środku nocy. Rozmową z psem, który umarł sześćdziesiąt jeden lat temu. A może jest wariatką, może straciła rozum, tylko nikt nie ma odwagi jej o tym powiedzieć? Może powinni ją gdzieś zamknąć.

- Jesteś tylko głupią, naiwną, starą kobietą, Isabel Tyger - mamrotała, siadając na zimnej ziemi. Zastanowiła się przez chwilę, czy nie dostanie hemoroidów, tak jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. -Bzdura! -wypowie
działa głośno swoje ulubione słowo.

Siedziała spokojnie, oparta plecami o pień drzewa, z wyprostowanymi nogami. Wiedziała, że będzie jej diabelnie trudno wstać, ale miała to gdzieś. To było jedyne miejsce na świecie, w którym czuła się naprawdę dobrze. I rozmawiała z suczką o imieniu Boots i jej dziewięcioma szczeniakami, pochowanymi tuż obok. Kiedy przyszedł ból, był ostry i krótki, tak, jak się spodziewała. Usłyszała nad głową głośne, powitalne szczekanie.

- Już idę, Boots. Idę.

Rozdział 15

Helen cisnęła ze złością na podłogę czytaną gazetę. Po jej policzkach płynęły łzy. Chciała do kogoś zadzwonić, zażądać, by pozwolono jej wziąć udział w nabożeństwie żałobnym, odprawianym w intencji Isabel Tyger w Kalifornii. Dlaczego rodzina pani Tyger czekała z tą uroczystością ponad dziesięć tygodni? Wysłała ze trzydzieści albo i więcej maili do Boots, z prośbą o pozwolenie na uczestnictwo w tej mszy. Spodziewała się jakiejś odpowiedzi, ale nie doczekała się żadnej.

Nie wiedziała nawet o śmierci Isabel. Dopiero po tygodniu Sam przyznał się, że czytał o tym w gazecie. Przez wiele dni Helen była w rozpacz. Nie mogła pozbyć się uczucia, że zdradziła tę kobietę, której tyle zawdzięczała, która poświęciła całe życie, by pomagać ofiarom przemocy.

Patrzyła teraz na ekran komputera i czytała list, przesłany na jej stronę internetową.

W nabożeństwie żałobnym Pani Tyger mogą uczestniczyć wyłącznie najbliżsi przyjaciele. Zasady obowiązujące w fundacji pozostają w mocy i nie ulegają zmianom. Drogie sercu Pani Tyger osoby dziękują za kondolencje. Pani dobro i bezpieczeństwo są dla fundacji sprawą najwyższej wagi. Życie musi toczyć się dalej - to przesłanie, które Pani Tyger pozostawiła wszystkim tym, którzy uzyskali pomoc dzięki jej mądrości i szczodrości.

List był podpisany przez Arthura Kinga i Geralda Davisa. Czyżby nie wiedzieli, że Helen nie jest już pod ochroną fundacji?

Pobiegła do magazynu i wybuchnęła płaczem. Zakończył się kolejny rozdział jej życia i znów została bez oparcia.

Spojrzała na telefon wiszący na ścianie. Mogła podnieść słuchawkę i zadzwonić do Arthura Kinga, dawnego szefa Daniela. Była prawie pewna, że porozmawiałby z nią. Mogłaby też zatelefonować do doktora Davisa. Program już jej nie dotyczył, żadne zasady nie zabraniały jej zadzwonić. Musiała coś zrobić.

Mogłaby zamówić rozmowę z przywołaniem z budki telefonicznej. Potrzebowała tylko garści drobnych. Pieniądze rozmieni w banku First Union, dwa domy dalej. Automat jest przy następnej przecznicy.

Postanowiła jednak nie zawracać sobie niepotrzebnie głowy. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do informacji. Zapisała dwa numery, wzięła głęboki oddech i zamówiła dwie międzymiastowe z przywołaniem.

Połączenia uzyskała po pięciu minutach. Przygarbiła się z rezygnacją na wieść, że Arthur King wyjechał z miasta. W lecznicy doktora Davisa odezwała się automatyczna sekretarka z informacją, że została zamknięta na czas nieokreślony, a pacjentów przejął doktor Charles Goodwin.

Helen osunęła się na podłogę, by być bliżej psów.

- Widzicie? Właśnie o to mi chodzi. Nie mam żadnych praw.

Wciąż nie

jestem wolna, inaczej doktor Davis zadzwoniłby do mnie. Ktoś z fundacji by

się ze mną skontaktował. Boots już zupełnie się mną nie przejmuje. -

Głaskała po głowach zaspane psy. - Tak to już jest. Nic nie mogę

zmienić - mamrotała do siebie, wstając z podłogi. - Ruszcie się,

mamy chyba czas na krótki

spacerek, ale wyjdziemy tylko na podwórko od tyłu. Dziś po południu

czeka

mnie mnóstwo roboty.

Psy zapiszczały z radości, kiedy znalazły się na dworze. Zaczęły

się wyrwać ze smyczy na widok pręgowanego kocura, który

wyszedł zza śmietnika. Kocisko spojrzało na nie z pogardą i

powędrowało sobie leniwie na drugi koniec podwórka. Max przestał

wściekle ujadać, gdy Lucie zaczęła skomleć. Próbował polizać jej

mały pyszczek, jednak Helen schyliła się i wzięła ją na rękę.

Wiedziała, że coś jest nie tak i że to nie przez kota Lucie tak się

denerwuje. Natychmiast zabrała psy z powrotem do magazynu i

zaryglowała drzwi. Pobiegła do oszklonych drzwi frontowych,

sprawiła, czy są zamknięte, i opuściła żaluzję.

Strach to okropne uczucie. Lucie trzęsa się w ramionach

Helen, więc zanuciła jej cicho i posadziła ją obok Maksa. W

przeciwieństwie do swojej pani Lucie nie bała się byle czego,

zwłaszcza gdy Max był w pobliżu. Przerazenie suczki tylko

potwierdziło dziwne przeczucia, które prześladowały Helen od kilku

tygodni. Wiele razy zdawało jej się, że ktoś ją obserwuje. Nawet

wczoraj, kiedy poszła do banku obok, by wpłacić pieniądze, miała

nieodparte wrażenie, że ktoś się na nią gapi. Tak samo

przedwczoraj, gdy szła kupić sobie kanapkę w bistro po drugiej

stronie ulicy. Uczucie, że niewidzialne oczy wwiercają się w jej kark,

było tak silne, że pobiegła z powrotem do sklepu i zamknęła się z

psami w magazynie.

Daniel?

Czyżby wreszcie ją odnalazł? Czy to dlatego Lucie przed chwilą

tak się przeraziła? Natura obdarzyła psy instynktem, który je

ostrzega. Helen poczuła nagle, że robi jej się zimno. Pocierała

ramiona, by się rozgrzać, gdy zadzwonił telefon. Odbierać? Nie

odbierać? To mógł być Sam. Podniosła słuchawkę.

- Sexy Lady. - Jej głos brzmiał pewnie. Cisza. - Halo? Kto

mówi? -

Nie doczekała się odpowiedzi, odwiesiła więc słuchawkę. Dostała tak

silnych

dreszczy, że musiała się oprzeć o ladę.

Daniel?

Lucie wtuliła się między przednie łapy Makska. Pies oparł swój duży pysk na jej grzbiecie. Helen podziękowała Bogu, że ten piękny labrador jest z nimi. Wiedziała, że Max będzie bronił jej i Lucie z narażeniem życia. Nagle zapragnęła coś rozwalić, rąbnąć w coś pięścią, tak po prostu, z czystej złości.

W sklepie czuła się bezbronna. Najchętniej wróciłaby do domu, pozamykała drzwi na klucz i czekała na Sama. Po chwili zdała sobie sprawę, że może tak zrobić.

- To przecież mój sklep - mruknęła. - Muszę tylko zamknąć drzwi i możemy jechać. Jeśli Daniel gdzieś tam jest i mnie obserwuje, pojedzie za mną - pomyślała. Zaprowadzę go prosto do domu.

Skoczyła jak oparzona, gdy ktoś szarpnął za klamkę frontowych drzwi. Kiedy podciągnęła żaluzję, zobaczyła dwie rozchichotane nastolatki w bluzach miejscowego liceum. Otworzyła drzwi i wpuściła dziewczyny do środka.

- Są stringi? - zapytała jedna z nich.

- W sklepie nie, ale mam kilka modeli na stronie internetowej. Sprowadzam je tylko na zamówienie. Mogę włączyć komputer i pokazać paniom ofertę.

To była normalna rozmowa o interesach. Uspokój się, Helen - pomyślała. - Obsłuż dziewczyny i jedź do domu.

- Pewnie! - powiedziały chórem licealistki.

- Bardzo proszę. - Helen obróciła monitor, by dziewczyny widziały ekran. Słuchała ich jednym uchem, spojrzeniem przeczesując ulicę za szybą. Wszystko wyglądało zwyczajnie. - Znalazły panie coś dla siebie?

- Jeszcze pani pyta! Ja chcę po parze z każdego rodzaju - oświadczyła jedna z małych.

- Ja też - zawtórowała koleżanka.

- Wezmę siedem par - zdecydowała pierwsza. - Dwie czarne, dwie różowe, dwie czerwone i jedną białą.

- Dla mnie to samo-oznajmiła druga dziewczyna.

- Na pewno? Są bardzo drogie. Osiemnaście dolarów za parę. Musiałabym dostać depozyt - powiedziała Helen. Zastanawiała się, skąd uczennice mają tyle pieniędzy.

Dziewczyny wyciągnęły portfele i położyły na ladzie po pięćdziesiąt dolarów każda. Helen zapisała zamówienie i wydrukowała pokwitowania.

- Powinny przyjść za jakieś trzy dni. Mam je wysłać czy odbiorą panie same?

- Odbierzemy same.

W końcu drzwi zamknęły się za dziewczynami. Helen była ciekawa, czy same biorą swoje rzeczy, i co też ich matki powiedzą na takie majteczki. Jakby to był jej problem. Przypomniała sobie swoje szkolne czasy, gdy idąc piechotą do domu, mijała elegancki sklep z bielizną. Każdego dnia zatrzymywała się przed nim i patrzyła zachwycona cieniutkim materiałem, drobniutkimi, ręcznymi szwami, pięknym krojem poszczególnych modeli, każdego dnia innych. Kiedyś nawet wmawiała sobie, że właściciel zmienia wystawę specjalnie dla niej, bo przystawała codziennie, by poudawać, że kupuje te śliczne szmatki. W tamtych czasach miała szczęście, jeśli stać ją było na najtańsze, bawełniane majtki.

- Jedziemy do domu - oznajmiła psom, ale nawet się nie ruszyły. Wie

działy, że nie pojedą wcześniej, nim usłyszą szcęk zamka w drzwiach frontowych i sygnał wyłączanego komputera. Dopiero wtedy ziewały, przeciągały się i wstawały, czekając, aż Helen zapnie ich smycze.

Starannie zatrasnęła tylne drzwi sklepu, trzymając mocno smycze w dłoni. Lucie znów zaskomlała.

- Pokaż mi, Lucie. Pokaż mi, o co ci chodzi.

Suczka podreptała przed siebie, obwąchując ziemię i narożnik budynku. Max szedł przy niej. Lucie nie zatrzymała się obok furgonetki. Max szcęknął ostro na znak, że nie podoba mu się takie dziwne zachowanie. Dlaczego nie zatrzymali się przy samochodzie?

- Ćśśśś - uciszyła go Helen.

Kiedy Lucie wreszcie się zatrzymała, labrador zaczął drapać ziemię pazurami. Suczka szcęknęła, trzęsąc się od czubka nosa po ogonek. Max podniósł tylną nogę i zaznaczył miejsce, które wskazywała Lucie.

- Mam cię! Doskonale, Max. Dobry pies. - Jeśli Daniel stał tu i obserwował ją, Max znał teraz jego zapach. - W porządku, Max, do samochodu - powiedziała, odsuwając drzwi forda explorera. Odpięła psy ze smyczy i wpuściła je na tylne siedzenie. - Przypnij się. - Uśmiechała się zawsze, kiedy

Max zapinał pas Lucie, a potem swój, jak nauczył go Sam.

Uśmiech zniknął jednak z jej twarzy, kiedy wyprowadziła furgonetkę z podwórka. Przejechała ulicę Dwudziestą Siódmą, zawróciła do centrum i zaczęła krążyć po mieście, by zorientować się, czy nikt jej nie śledzi. Minęła Liceum Świętego Józefa, restaurację Charlie'ego Browna i skręciła w aleję Stephen-ville. Brązowy ford escort i granatowa honda trzymały się za nią, dopóki nie skręciła w Calvert, a potem w Grove, gdzie znów skręciła w prawo, a potem w lewo, w ulicę Świętego Jakuba. Brązowy escort zniknął, natomiast honda była wciąż za nią. Helen przejechała na światłach dwupasmową ulicę Lincolna i pojechała dalej, aleją Parsonage, aż do centrum handlowego Menlo Park.

Honda była nadal za jej plecami, Helen skręciła więc na podziemny parking. Wyjechała z niego prawie natychmiast, zawróciła na skrzyżowanie z aleją Parsonage i zjechała na parking domu towarowego Target. Zaparkowała explorera na wolnym miejscu i rozejrzała się. Po granatowej hondzie nie było śladu.

Helen odczekała dziesięć minut, zanim wyjechała z parkingu i ruszyła w stronę domu, bez przerwy spoglądając w tylne lustro.

Lucie przestraszyła się czyjś zapachu. Jeśli to rzeczywiście był Daniel, to prawdopodobnie wiedział już, gdzie mieszkają. Niewykluczone, że właśnie w tej chwili czał się gdzieś w pobliżu jej domu. Lucie wiedziała o tym. Przez cały ubiegły tydzień suczka zachowywała się dziwnie, w ciągu dnia i wieczorami. Wczoraj na przykład nie chciała wyjść z domu na ostatni spacer. Nasiusiała na gazetę, którą Helen zostawiała przy drzwiach kuchennych w razie jakiegoś „wypadku” w nocy.

Helen przyhamowała i skręciła na podjazd. Zaparkowała obok chevroleta Sama. Wrócił dziś wcześniej.

- Bogu dzięki - mruknęła. - Jesteśmy w domu - powiedziała do psów.

Uśmiechnęła się znowu, widząc, jak Max łapą odpina pasy bezpieczeństwa.

Lucie przeskoczyła do przodu, na jej kolana. Labrador zrobił to samo, gdy

tylko się uwolnił. - No dobrze, szybki sprint po podwórku i jazda do środka.

Sio!

Otworzyła bramę jednym z kluczy przy breloczku, po czym zamknęła ją za sobą i weszła do domu przez garaż.

- Ładnie pachnie. Co to? - zapytała.

- Klops Anny Landers. Wiele lat temu wyciąłem ten przepis z gazety. Od czasu do czasu nachodzi mnie ochota na mielone. Jest całkiem niezły - Sam uśmiechnął się. - Co się stało? Widać po tobie, że coś ci się przydarzyło. Siadaj. Zrobię kawę, ale najpierw wpuszczę psy. Sie ma, stary - powitał labradora, który wspiał mu się łapami na ramiona, popychając go, aż oparł się o lodówkę. Lucie zaszczekała i wskoczyła Samowi na rękę.

- Zamknij drzwi na klucz - poprosiła Helen.

- Może lepiej napijemy się piwa. - Sam wyciągnął rękę, by przekręcić zamek.

- Niech będzie piwo. Czemu nie. Lubię piwo. Naprawdę.

- Aha. No dobra, mów, co się stało. - Sam otworzył dwa budweisery. Helen opowiedziała mu o wszystkim.

- Niczego nie widziałeś? To tylko przecucia? - wypytywał.

- Przecucia, plus dziwne zachowanie Lucie. On tu jest, Sam. Ja to wiem. Czuję to. Lucie też.

- Chcesz iść na policję?

- Tylko w ostateczności. Nawet jeśli on tu jest, to nic nie zrobił. I co im powiem? Mam przeczucie, że mąż mnie śledzi, bo mieszkam z innym mężczyzną? Jak by to wyglądało?

- Próbowałaś skontaktować się jeszcze raz z Boots?

- Posyłam jej maile od wielu dni, dzisiaj też. Próbowałam nawet dodzwonić się do Arthura Kinga i doktora Davisa. Lecznica jest zamknięta do odwołania, a pan King wyjechał z miasta. Ale nie dzwoniłam z powodu Daniela. Chciałam zapytać, czy przekażą wiadomość rodzinie lub przyjaciółom pani Tyger. Ciągle zapominam, że ona nie miała rodziny. Zamierzałam... chciałam...

- Wiem, co chciałaś. Ale myślę, że będziesz musiała dać sobie z tym spokój. Boots się odezwie, tak jak poprzednim razem. Wtedy też się martwiłaś, a ona była w szpitalu. Może jakiś nawrót.

- Ona dzwoniła, żeby mnie ostrzec, Sam. Minęły już ponad dwa miesiące. Mówię ci, Daniel tu jest. Może nawet stoi teraz w krzakach pod domem.

- Co on kombinuje, Helen?

- O to chodzi, że nie wiem. Tacy sadyści, jak on, przechodzą różne fazy. Boots twierdzi, że teraz mógłby nawet zabić. Wiem, że to wydaje się przesadą, ale tak właśnie jest. Chce mnie ukarać za to, że odeszłam, że stracił pracę, i za wszystko, co mu się potem przydarzyło. Daniel to bardzo inteligentny facet. Przez lata całe potrafił wszystkich oszukiwać. Mało brakowało, a w jego firmie wybrano by go Człowiekiem Roku, ale w końcu wygrał Ted Wexler. W czasie ceremonii był taki wspaniałomyślny. Za to pofolgował sobie, kiedy wróciliśmy do domu. Tytuł Teda Wexlera kosztował mnie złamany obojczyk.

- Jezu Chryste, Helen! Dlaczego go wtedy nie zostawiłaś? - wybuchnął! Sam.

- Nie mogłam chodzić. Słuchaj, to było dawno, teraz mamy co innego na głowie. Ostrzegałam cię, że tak będzie. Powiedziałeś, że sobie z tym poradzisz.

- I radzę sobie. Denerwuję się, bo nienawidzę słuchać, jak ten sukinsyn cię krzywdził.

- Już mnie więcej nie skrzywdzi. Wiesz, na co tak naprawdę mam ochotę? Chciałabym pojechać do Kalifornii i odzyskać swoje dokumenty. Moje prawo jazdy. Moją własną kartę kredytową. Dane medyczne moje i Lucie. Chcę iść do prawnika i wystąpić o rozwód. Doktor Davis ma zdjęcia, które zrobił mi z Billie tamtej nocy. Jestem pewna, że pan King pomógłby mi go odnaleźć, żebyśmy mogła odebrać te zdjęcia.

- Twoje dokumenty i dane ściagnę pocztą lub faksem. Nie mogę wyjechać, a samej cię nie puszcze. O rozwód mogłabyś wystąpić tutaj. Ktoś z fundacji przecież ci pomoże, prawda?

- Nie, Sam. Oni nie pomogą. Nie mogę ich w to wciągać. Dałam słowo.

- Chwilami gubię się w tym wszystkim. Jesteś w końcu w tym programie czy nie?
 - I tak, i nie. Nie mam żadnych dokumentów, stwierdzających, że nazywam się Helen Stanley Ward. Mam tylko fałszywe papiery na nazwisko Nancy Baker. Dopóki nie odzyskam własnej tożsamości, w programie wciąż jestem Nancy Baker. Nie mogę tak żyć. To nie fair wobec ciebie.
 - Już ty się nie przejmuj, co jest fair wobec mnie. Musimy oboje dobrze ruszyć głową i ustalić plan działania. Tutaj nic nam nie grozi, bo dom ma system alarmowy. Plakietka na bramie powinna go zniechęcić do włamania, kiedy jesteśmy w domu. Od dzisiaj będziemy też włączać alarm, wychodząc do pracy.
 - Daniel upora się z nim w pół sekundy. Nie doceniasz go, Sam. Wczoraj w sklepie miałam głuchy telefon. Możliwe, że to była zwyczajna pomyłka, ale ktokolwiek dzwonił, nie rozłączył się, kiedy usłyszał mój głos. To ja odwiesiłam słuchawkę.
 - Helen ja naprawdę wiem wszystko o świrach. Wiem jak sobie radzić z szaleńcami. Ale martwię się o ciebie. Zaczynasz panikować. Jeśli stracisz zimną krew, to już po tobie. Musisz zachować rozsądek.
 - Jestem tego świadoma. Ale odkąd uciekłam do schroniska, prześladował mnie koszmarny sen, że to się stanie. I mój koszmar się spełnił. Czuję to. I Lucie też.
 - Bierzesz pod uwagę przeprowadzkę do Vermont?
 - Nie, Sam. Nie ma mowy. Nie będę więcej uciekać. Nie mogę ci tego zrobić. Twoje życie jest tutaj. I moje też. Jeśli się przeprowadzę... przeprowadzimy, to dlatego że będziemy tego chcieli. - Helen zastanawiała się, czy rzeczywiście tak będzie, czy to tylko jej pobożne życzenie.
 - Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo cię kocham, Helen.
 - Pewnie tak samo, jak ja ciebie. Damy sobie radę, prawda?
 - Do diabła, oczywiście, że tak.
- Sięgnęła przez stół i uścisnęła jego dłoń.
- Jak to dobrze, że spotkałam ciebie, nic lepszego w życiu nie mogło mi się przydarzyć. A teraz powiedz, co jemy, oprócz klopsa Anny Landers?
 - Mini marchewki, zielony groszek, który wygląda jak małe szmaragdy, i piure z ziemniaków. No i sos. Ty masz za zadanie zrobić surówkę.
 - A co na deser?
 - Ty jesteś na deser, moja droga. - Sam wyszczerzył zęby.
 - Koniec wieńczy dzieło - roześmiała się Helen.
- Sam promienieje szczęściem - pomyślała. - Nie pozwolę ci tego zniszczyć, Danielu. Nie pozwolę.

Rozdział 16

Helen zebrała pocztą z podłogi pod drzwiami wejściowymi i rzuciła plik listów na kuchenny stół, nawet na nie nie patrząc. Wypuściła psy i nastawiła ekspres do kawy. Przebrała się w dres. Zastanawiała się, czy nie zrobić Samowi niespodzianki i nie upiec pieczeni. Uwielbiał mięso z jabłkiem. Mówił, że jabłko zaostrza smak sosu. Mogła dodać marchewkę i ziemniaki -kolacja zrobiłaby się praktycznie sama. Helen nie jadła czerwonego mięsa, wystarczyłyby jej więc warzywa i surówka, a Sam do końca tygodnia miałby pieczeń do kanapek. Tymczasem mogła popakować w garażu zamówione rzeczy. Dzięki temu spędziłaby później więcej czasu z Samem.

Rozejrzała się po kuchni, kuchni jej i Sama Spędzali w niej wspaniałe chwile, przy wspólnym gotowaniu i pieczeniu, sprzątaniu czy po prostu przy filiżance kawy. Sam i Max byli teraz dla niej wszystkim. Spojrzała na kolorowy kalendarz, przyczepiony na lodówce. Czerwonymi iksami zaznaczyła dni, kiedy czuła się obserwowana. To już prawie miesiąc. A może jednak dawała się ponieść wyobraźni? Lucie już od tygodnia zachowywała się normalnie. Ani w sklepie, ani w domu nie było więcej głuchych telefonów. Helen powoli się uspokajała, choć nie wiedziała, czy wyjdzie jej to na dobre. Ulubione powiedzonko Sama brzmiało „nie śpij, bo cię okradną”. To znaczyło, że powinna być czujna.

Dzbanek napełnił się kawą. Helen nalała sobie filiżankę i postawiła ją na stole. Zaczęła przeglądać pocztę, układając katalogi, ulotki i inne szpargały na spodzie, a ważniejsze rzeczy z wierzchu, by Sam mógł zdecydować, co chce zatrzymać, a co się nadaje do wyrzucenia. Zmarszczyła brwi, widząc swoje nazwisko na kremowej kopercie. List był zaadresowany do Nancy Baker. Wysłano go z San Jose, z Kalifornii, z kancelarii prawniczej Johnson, Carlisle & Stevens. Serce Helen mocniej zabiło. Nigdy nie słyszała o takiej firmie. Fundacja korzystała z usług firmy Spindler & Spindler.

Przyjrzała się kopercie i odsunęła list od stosiku poczty Sama, jakby był zatruty. Używając serwetki, przysunęła go do swojej filiżanki. Zastanawiała się, co by było, gdyby podarła go na kawałki i przepuściła przez młynek do odpadków w zlewie. Pewnie zlew by się zatkał. Mogła też spalić list. Albo wrzucić go do sedesu. Żałowała, że nie ma niszczarki do papierów. W końcu jednak otworzyła kopertę i przeczytała dwa krótkie, lakoniczne zdania.

DROGA PANI BAKER

Proszę zadzwonić możliwie szybko do naszego biura, w sprawie najwyższej wagi. Pokryjemy koszty połączenia.
Podpisano: Seymour Johnson

- Jeszcze czego - mruknęła Helen, drąc list na drobne kawałki i podpalając je w wielkiej popielniczce. Patrzyła, jak elegancki papier zmienia się w czarny popiół. Zniosła pozostałości do zlewu i włączyła młynek. Wlała nawet trochę soku z cytryny, by usunąć nieprzyjemny zapach spalenizny.

Zajęła się kolacją, tak jak zaplanowała. Podsmarzyła mięso, obrała warzywa. Dała psom po ciastku i zeszła do garażu. Uspokój się, nie myśl o liście -powtarzała sobie. - Rób, co masz do zrobienia. Nie myśl o liście. I nawet się nie waż mówić o tym Samowi.

Przyłożyła się do pracy - rozpakowywała pudła i sortowała to, co ma wysłać szwaczkom, co klientom, a co zabrać ze sobą do sklepu. Piła już trzecią filiżankę kawy, gdy w garażu zjawił się Sam.

- Nie wiem, co gotujesz, ale pachnie smakowicie. A myślałem, że dziś dojadamy resztki. Stęskniłem się za tobą- powiedział, wyciągając rękę.

Helen wtuliła się w jego objęcia. To było wspaniałe, cudowne uczucie.

- Zaslugujesz na coś więcej niż resztki. Och, przytul mnie, przytul jeszcze - westchnęła szczęśliwa.

- Jesteś jakaś spięta. Co powiesz na mały masaż ramion?

- Byłabym zachwycona małym masażem ramion. I innych części ciała też.

- Nie tak prędko. - Sam uśmiechnął się szeroko, ugniatając palcami ramiona Helen. - Jak ci minął dzień? - Pytanie niezobowiązujące, ale trzeba było coś odpowiedzieć.

- Zwyczajnie. W sklepie niewielki ruch, ale przez Internet nadeszło tyle zamówień, że byłam zajęta cały wieczór. Codziennie dostaję trzy czy cztery nowe zamówienia, a i stali klienci nie dają mi spokoju. Nie spodziewałam się.

- Więc dlaczego jesteś taka spięta?

Wzruszyła ramionami.

- Lucie idzie jutro do weterynarza. Czy Max czegoś potrzebuje?

- Nie. Jest zdrow jak ryba. Coś ci się przypaliło?

- Można tak powiedzieć. Przyszedł do mnie list, na nazwisko Nancy Baker, od jakichś prawników z San Jose. Spaliłam go i spuściłam do zlewu. -A obiecywała sobie, że nie piśnie mu słowa.

- Czego chcieli?

- Prosilili, żebym zadzwoniła do ich biura, w sprawie najwyższej wagi. Ale nie mam zamiaru. Tamten rozdział mojego życia jest zamknięty.

Sam odwrócił się i ukląkł przed nią. Wziął ją za rękę.

- Czy to mądrze, Helen? A jeśli to nie ma nic wspólnego z twoim mężem? A jeśli chodzi o twoją matkę albo o Boots?

- Nie chcę tego wiedzieć, Sam. Matka nie zna mojego drugiego nazwiska, więc na pewno nie chodzi o nią. Fundacja współpracuje z inną firmą. W przyszły poniedziałek mam spotkanie z tutejszym prawnikiem w sprawie

rozvodu. Jak myślisz, dlaczego tak dużo czasu zajmuje ściągnięcie duplikatu mojego praw jazdy z Kalifornii?

- Odpowiedź leży na stole w kuchni - odparł Sam ponuro.

- Dostałeś odpowiedź? Świetnie. Jutro w przerwie na lunch mogę wyskoczyć do wydziału komunikacji. Boże, kamień spadł mi z serca.

- Nic nie rozumiesz, Helen. Przyszedł list z informacją, że nie żyjesz. To znaczy, że ludzie z fundacji musieli jakimś cudem spreparować twój akt zgonu. Strasznie trudno będzie ci to odkręcić. Kiedy pójdziesz do prawnika, opowiedz mu swoją historię. Niech się zajmie stroną papierkową. Wszyscy poważniej potraktują list od prawnika niż ode mnie czy od ciebie. Jeśli sami spróbujemy, pogorszymy tylko sytuację.

- Nie żyję?

- Nie żyjesz. Musisz zdobyć kopię swojego aktu urodzenia, dowód ubezpieczenia społecznego i wszelkie dokumenty z parafii, jakie tylko się da. Nie sądzę też, żeby fundacja próbowała oszukać organy bezpieczeństwa czy archiwum państwowe. Prawo jazdy to trochę inna sprawa. Mówiłaś, że niedobrze by było, gdyby twoje papiery dostały się w ręce władz.

- Nie żyję? To okropne, Sam.

- Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wygląda to okropnie.

Zakładam, że twoja sytuacja wymagała podjęcia drastycznych środków. Możliwe, że po prostu fundacja działa w ten sposób.

Oczy Helen ciskały pioruny.

- Uśmiercając kogoś?!

- W pewnym sensie Helen Ward naprawdę umarła. Dali ci nową tożsamość. Twoi dobroczyńcy mieli wszelkie podstawy sądzić, że będziesz się trzymać programu i posługiwać nowym nazwiskiem. Już nigdy nie miałaś być Helen Ward. Bezpieczniej było ją uśmiercić.

- Nigdy mi o tym nie mówili.

- Może myśleli, że rozumiesz, z czym wiąże się uzyskanie nowej tożsamości. Jeśli dostaniesz kolejny list, Helen, odpowiedz.

- Ani mi się śni. Będziemy się o to kłócić?

- Nie, nie będziemy. Ale wydaje mi się, że jestem trochę bardziej obiektywny niż ty.

- Nie, Sam. Nie jesteś. Kochasz mnie. Nie mów, że jesteś obiektywny.

- Pokłócić się zawsze można. Nie cierpię tego. Kłótnia prowokuje tylko złe uczucia. Wiesz, jak to się mówi: czyńcie miłość, nie wojnę.

Helen zachichotała.

- Kto tak mówi?

- Sam Tolliver, jeden z najmądrzejszych ludzi w New Jersey. Co powiesz na małe bara-bara przed kolacją?

- Najlepsza propozycja dzisiejszego dnia. Mam wyłączyć piecyk?
 - Lepiej wyłącz - odparł Sam, przerzucając ją przez ramię.
- Helen chichotała aż do chwili, kiedy znaleźli się w sypialni.
Do kolacji siedli piętnaście po dziesiątej.

Następnego dnia Helen zamknęła sklep pół godziny wcześniej, by zdążyć z Lucie do weterynarza.

- Wszystko w porządku, Max. Zostań w aucie. Zaraz wracamy.

Lucie

musi się zaszczepić przeciw wściekliznie i dostać pigułkę na odrobaczenie.

A ty pilnuj furgonetki. - Uchyliła okna na dwa centymetry i zatrzasnęła labradora w samochodzie. Wzięła Lucie na ręce. - Cicho, nie bój się. Nic ci nie będzie.

Otworzyła drzwi Lecznicy dla Zwierząt Shady'ego Elma i odetchnęła z ulgą, widząc pustą poczekalnię. To znaczyło, że wszystko potrwa nie więcej niż dziesięć minut, jeśli tylko nie wda się w pogawędkę.

Po skończonej wizycie Helen wyjęła trzydzieści pięć dolarów i podała pieniądze recepcjonistce.

- Nie musi pani płacić za odrobaczenie. Pani mąż zapłacił, kiedy był tu

w zeszłym tygodniu. Bardzo dba o Lucie, prawda?

Helen pokiwała.

- Tak - wykszusiła. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. -

Proszę

powiedzieć doktorowi, że na następną wizytę umówię się telefonicznie.

Gdy Lucie siedziała już bezpiecznie w samochodzie, Helen opadła ciężko na fotel. Czuła, że zaraz zemdleje, opuściła więc głowę między kolana. Daniel odnalazł ją. Nie miała żadnych wątpliwości, że to on był tu tydzień temu. Sam chodził z Maxem do weterynarza w alei Parkowej w South Plainfield. Gdyby wpadł tutaj zapłacić za odrobaczenie, powiedziałby jej o tym.

Nie miała pojęcia, jak dojechała z powrotem. Kiedy była już bezpieczna w domu, rozejrzała się zdziwiona, jakim cudem dotarła tu cała i zdrowa. Spojrzała nieprzytomnie na pocztę leżącą na podłodze w przedpokoju. Do ulotki Pizzy Hut przykleiło się awizo na list polecony. Była też kolejna kremowa koperta z San Jose w Kalifornii. Tym razem podała awizo i kremową kopertę na strzępy, nawet nie czytając listu, wrzuciła je do sedesu i spuściła wodę. Dzięki Bogu Sam uparł się, by zastrzec numer telefonu. Gdyby nie to, pewnie dzwoniłby teraz jak wściekły.

Psy wyszły z łazienki, by zrobić jej więcej miejsca, baczenie ją jednak obserwowały. Helen chodziła w tę i z powrotem po korytarzu, zupełnie ich nie zauważając. Od czasu do czasu waliła pięścią w ścianę albo ją kopała, nie czuła na ból.

Ogarnął ją strach i gniew. Do licha, może Sam miał rację. Może trzeba było przeczytać drugi list od prawnika. Prychnęła ze złością. I co nowego chcieli jej zakomunikować? Ze Daniel Ward ją odnalazł? To już wiedziała. Czy powinna powiedzieć Samowi? Czy może spakować się i uciec? Zadzwoić do schroniska? A może raczej na policję?

- Nie, nie, nie-mruczała.

Uspokój się - beształa sama siebie. -Nie jesteś już tamtą dawną Helen. Jesteś teraz silniejsza, odważna i wytrzymała. Nie poddawaj się strachowi. Tego właśnie chce Daniel. Już od dawna nie robisz tego, czego chce Daniel. Nie jesteś jego własnością. Możesz go przechytryć.

Pognała do sypialni i wyszarpnęła szufladę komody. W jednej z wełnianych skarpet trzymała zapas gotówki na takie właśnie nagłe sytuacje. Uważnie przeliczyła pieniądze - tysiąc trzysta dolarów. Wystarczy, by dojechać z Lucie do Kalifornii. Sam nigdy nie zrozumie, jeśli tak po prostu ucieknę. Rozplakała się. Sam jest zbyt spokojny, ufny we własne siły. Nie ma pojęcia, do czego zdolny jest Daniel. Gdyby wyjechała, czy Sam byłby bezpieczny? Jeśli Daniel obserwował ją, Sama i dom, będzie wiedział, że związała. Czy pojedzie za nią, czy zostanie, by skrzywdzić Sama?

Ogarnęła ją prawdziwa furia, jakiej nigdy do tej pory nie doświadczyła. Musiała rozwiązać tę sytuację. Dla dobra całej czwórki. Przedtem była sama z Lucie. Teraz martwiła się jeszcze o Sama i Maksa. Zastanawiała się, jak przed tym wszystkim uchronić Sama. Tak świetnie wyczuwał jej nastroje. Natychmiast zorientuje się, że coś jest nie tak.

Dobry Boże, jak wyglądałoby moje życie w ciągłej ucieczce, bez Sama?

- Nienawidzę cię, Danielu! - krzyknęła i zalała się łzami.

Przestraszona

Lucie wskoczyła jej na ręce, Max dotknął łapą jej nogi. Do Helen wreszcie

dotarło, że psy się niepokoją. Usiadła na podłodze i przygarnęła je do siebie.

Przytuliły się, próbując ją pocieszyć.

Poczuła pulsujący ból w skroniach. Zaczynał się atak migreny. Już w Kalifornii miewała takie bóle głowy, ale skończyły się, odkąd przyjechała do New Jersey. Jedynym skutecznym środkiem był zaciemniony pokój i sen. Trzy dni w takich warunkach i może uda jej się zapobiec wymiotom, które nękały ją w przeszłości. Trzy dni wyłącznie na myślenie. Trzy dni na planowanie. Ten ból mógł być doskonałą wymówką.

- Co, do cholery, robimy na tym cmentarzu, na deszczu, Geny?

- Nie wiem, jak ty się wytłumaczysz, skoro powinieneś być na wakacjach, aleja siedzę tutaj i czytam testament Izzie. Poza tym skutecznie się upijam. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza, Artie?

- Podaj no tę butelkę.
- A co z twoim wrzodem żołądka?
- Pieprzę mój wrzód. I tak pewnie obaj umrzemy na zapalenie płuc, dlatego nie będę się przejmował wrzodem. To o ciebie się martwię, Gerry. Ona odeszła i nic na to nie poradzimy.
- Wiem. Wiem dokładnie, co masz zamiar powiedzieć, więc daruj sobie. Dlaczego nie pojechałeś na wakacje?
- Nie miałem ochoty. Artretyzm daje mi wycisk. Wrzód daje mi wycisk. Jestem w żałobie. Co by to były za wakacje? Nie zostawię cię, żebyś sam się borykał ze sprawami Izz - skrzywił się Artie. -1 ciągle mnie gnębi, że tak się myliłem co do Daniela Warda. Myślisz, że kogoś znasz, a tu nagle bum! I okazuje się, że nic nie wiesz o ludziach.
- Jestem zbyt pijany, nie rozumiem, o czym mówisz. Musisz się wyrażać, hep!... jaśniej.
- Przez wszystkie lata małżeństwa moja żona nie powiedziała nigdy złego słowa o Isabel. Aż pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, ulżyła sobie. Byłem przekonany, że nie przepada za Isabel i nie podoba jej się nasza przyjaźń. Nie przyszło mi do głowy, że tak zażarcie jej nienawidzi. Ciebie też nienawidziła. Nie wiedziałem o tym, jak nie wiedziałem, że Daniel Ward jest takim złym człowiekiem. Marie umarła już dość dawno temu. Dlaczego o tym wszystkim myślę? Może w końcu zwariowałem?
- Nie. Dawaj butelkę.
- Powiedziała dosłownie: nienawidzę jej odwagi. Ona nigdy nas nie rozumiała. Nawet nie udawała, że rozumie. I jeszcze do tego wszystkiego pomagała w schronisku. Izz mówiła, że była prawdziwym aniołem, zesłanym z nieba. Jak sądzisz, jestem największym dumniem na tym świecie czy tylko zwyczajnym głupkiem? Pewnie i to, i to. Chodziłem do sześciu psychiatrów, Gerry, i to długie lata. Żaden z nich nie potrafił mnie rozgryźć.
- Gerry skinął poważnie głową.
- Rozumiem, co cię trapi. Masz, utop swój wrzód, może przestanie boleć. - Podał z rozmachem butelkę.
- Alkohol nie da odpowiedzi. -Artie sięgnął po butelkę. -Mam nadzieję, że znajdzie się jeszcze jedna. Ta jest prawie pusta. Dlaczego czytasz testament?
- Bo ty i ja jesteśmy jego wykonawcami. Musimy zrobić tak, jak chciała Izzie. Wszystko opisane szczegółowo. To będzie praca na pełny etat. Zamknąłem lecznicę do odwołania. Ten przyglup, Sanders, chce mnie wykupić. On się ubiera jak szmaciarz, Artie! Ci przekłęci yuppie myślą, że pozjadali wszystkie rozumy.
- Idę na emeryturę. Nie będę nawet czekał do stycznia. Siedemdziesiątka to w sam raz pora, żeby sobie dać spokój. Dobrze mówię?

- No. I co będziemy robić?
- Pilnować, żeby wypełniano zalecenia Isabel. Nadzorować wszystko. Rozliczyć nas, kiedy się znowu spotkamy. Wiesz przecież, jaka ona jest. była.
- On by ją wtedy utopił, kiedy już skończył z psami. Utopiłby ją w tym rowie, gdybyśmy na niego nie wyskoczyli z krzaków. Dlaczego nigdy o tym nie rozmawialiśmy? A przecież powinniśmy, Artie. Gdybyśmy o tym rozmawiali, spojrzeli prawdzie w oczy, Izzie może umarłaby trochę szczęśliwsza. Czy kiedykolwiek powiedziałeś o tym swoim sześciu psychiatrom?
- Jezuu, nie! Nie rozmawialiśmy o tym, bo byliśmy dziećmi i chyba myśleliśmy, że nam się zdawało. Nie sądzę, żeby Izz zdawała sobie sprawę...
- Jak to nie. Ona wiedziała. To ona pierwsza do tego wróciła. Wspomniała o tym, kiedy ostatnio byliśmy tutaj razem. Ale teraz już po wszystkim. Życie toczy się dalej. Jak myślisz, co będzie, kiedy ten testament zostanie opublikowany?
- Mało kto będzie zachwycony. Przejmujesz się tym, Geny?
- Jedyne, czym się zajmuję, to jak spełnić życzenia Izzie. A potem niech się dzieje, co chce. A ty się zajmujesz?
- Nie bardzo. Jesteśmy tylko parą starych dziwaków, którzy dożywają swoich dni. Może powinniśmy zrobić coś, no wiesz, godnego pamięci. Nie wiem czemu, ale zdawało mi się, że Izz będzie żyła wiecznie, że przeżyje nas obu. Nie byłem na to przygotowany. A teraz czuję taką... straszną pustkę. Budzę się z przyzwyczajenia o czwartej nad ranem i czekam, aż zadzwoni telefon. Przemokliśmy do nitki, Gerry. Wiem, że masz klucz do domu Izz. Chodźmy się wysuszyć. Zaparzymy sobie kawę i posiedzimy w kuchni, jak dawniej. Muszę ci pokazać raport detektywa na temat Daniela Warda. Żadnych konkretów, niestety. Ten skurczybyk zniknął wiele tygodni temu. Tak sobie myślałem, że może pojechalibyśmy na Wschód i spotkali się z Helen Ward. Moglibyśmy osobiście przekazać jej to wszystko. Jeśli ten pomysł ci się nie podoba, to może zadzwonimy do niej.
- Izzie by się nie spodobał, Artie, lubiła trzymać się zasad. Z wyjątkiem tych przypadków, kiedy je zmieniała. - Gerry z trudem wstał, gdyż długo siedział skulony na mokrej ziemi.
- Starość to prawdziwe piekło - mruknął Artie.
- Oto lekarstwo - powiedział Gerry, wymachując butelką. - Obaj mamy już dość. - Odwrócił butelkę do góry dnem i patrzył, jak bursztynowy płyn rozlewa się u jego stóp. - Ona tu jest, wiesz. Wszędzie wokół. I jest tu ten jej mały kawałeczek, który pochowaliśmy obok Boots. To nasze miejsce, Artie. - Gerry potrząsnął głową, by oprzytomnieć. - Więc co zdecydowaliśmy? Zwalimy to na prawników czy postąpimy wbrew życzeniom Izzie?

- Niech lepiej prawnicy się tym zajmą. My moglibyśmy coś spartaczyć.
- Dobra. - Geny zatoczył się w stronę domu Tygerów.
- Chce mi się wyć-oznajmił Anie.
- To wyj.
- I będę.
- Ja też, Artie, ja też. Już nigdy nie będzie tak samo. Zawsze myślałem, że złota jesień jest wspaniała. Ciekawe, kto wymyślił to kłamstwo. Chętnie dałbym mu w zęby.
- To lzz tak mówiła, jeśli dobrze pamiętam - powiedział Artie, wycierając głośno nos.
- Ach.

Rozdział 17

Kochanie, chyba powinniśmy usiąść i porozmawiać. Minęły trzy tygodnie, odkąd dostałaś tamte listy, i nie powiedziałaś ani słowa, co zamierzasz z tym zrobić. Całe nasze życie jest jakby w zawieszaniu. Nawet ja. Szanowałem twoje uczucia, ale myślę, że pora coś postanowić. Podskakujesz na każdy szelest. Ja sam zaczynam być niespokojny, więc rozumiem, co ty przeżywasz. Psy także wyczuwają twój nastrój. Porozmawiajmy.

Helen sięgnęła po swoją filiżankę. Pomyślała, że powinna znacznie ograniczyć picie kawy.

- Jeśli pytasz, co zamierzam zrobić w sprawie tamtych listów, to odpowiem, że nic. Nic mi też nie mówi nazwa tej firmy prawniczej. Mogą wiedzieć o mnie wyłącznie od Daniela. I dlatego do nich nie zadzwonię. Chcesz powiedzieć, że na moim miejscu postąpiłbyś inaczej?

- Oczywiście, że tak.

- Łatwo ci mówić, Sam. W twoim życiu nie ma Daniela Warda.

- Więc pozbadźmy się go i z twojego życia, raz na zawsze.

Marudzisz od tygodni, że masz tego dość, a odwołałaś spotkanie z adwokatem. Musimy coś wreszcie ustalić.

Helen wyjrzała przez kuchenne okno.

- Rozumiem, że tak to odebrałaś. A prawda jest taka, że dziś przyszedł mój bilet lotniczy.

- Kiedy miałaś zamiar mi powiedzieć?

- Że wyjeżdżam czy że przyszedł bilet?

- Jedno i drugie-rzucił ostro Sam.

- Chciałam o tym porozmawiać dziś wieczorem. Wiedziałam, że będziesz zadawał mnóstwo pytań, ale ja nie znam odpowiedzi. Wyjeżdżam w przyszły wtorek. W środku tygodnia jest trochę taniej.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem. Nie potrafię przewidzieć, ile czasu mi to zajmie, ale wrócę na pewno. A kiedy wrócę, będę naprawdę Helen Stanley.

- Jesteś Helen Stanley - oświadczył stanowczo Sam i rozczochrał palcami swoje kręcone włosy.

- Nie, Sam. Oficjalnie jestem nieżyjącą Helen Stanley Ward. Mam zamiar to zmienić. Myślę teraz zupełnie trzeźwo. Te listy... zachowanie Lucie... trochę mnie wtedy poniosło. Teraz już wiem, co muszę zrobić, i zrobię. Pozwól mi załatwić to po mojemu.

- Zgoda, kochanie. Kupiłem nam coś dzisiaj.

- Prezent?

- Niezupełnie. Pagery. Poczuję się lepiej, jeśli będziesz nosić jeden przy sobie. Mam też jeden dla Lesa, gdybym ja nie mógł podejść od razu do telefonu. Są bardzo proste w obsłudze. Możemy poćwiczyć, aż nabierzemy wprawę. A gdybyśmy tak rozpalili dziś ognisko i uprażyli trochę kukurydzy?

- Świetny pomysł. Chętnie oderwę się na chwilę od pakowania. To naprawdę miło, że pomyślałeś o pagerach.

- Bo jestem naprawdę miłym facetem. A teraz idziemy grabić liście. Psy mogą pobiegać w ogródku. Nie patrz tak na mnie, Helen. Nie będziemy się chować. Będziemy żyć normalnie.

- A wskoczmy w liście, jak już będą zagrabione? Po drodze do domu widziałam, że robiły tak dzieciaki sąsiadów.

- Oczywiście. Jest trochę zimno, więc ubierz się odpowiednio. Prawdę mówiąc, chyba zanosi się na śnieg.

Reszta dnia i wieczór minęły Helen jak sen. W nocy spała mocno, ale obudziła się wcześniej niż zwykle. Sam przyczłapał do kuchni dopiero po godzinie.

- Coś mnie ominęło? - wymamrotał zaspany.

- Nic ważnego. Lucie musiała wyjść, więc pomyślałam, że właściwie mogę się już nie kłaść. Wykorzystałam tę godzinkę na pakowanie, kurier może wcześniej odebrać paczki. Jeśli chcesz, usmażę placki.

- Nie, dziękuję. Dla mnie tylko kawa. Mam zebranie o wpół do ósmej. Dobrze się czujesz, kochanie? - Helen skinęła głową. - Nie zapomnij zabrać pagera.

- Nie zapomnę.

Wciąż jeszcze w piżamie i puchatych kapciach, Helen pracowała spokojnie, pakując i adresując zamówienia. Kiedy Sam wyszedł z domu, wskoczyła pod prysznic.

O wpół do dziesiątej była gotowa, by zacząć nowy dzień. Serce biło jej trochę za szybko, gdy kładła pudła do furgonetki i wpuszczała do niej psy. Przez kilka minut siedziała za kierownicą, wyciągając szyję i zaglądając w boczne lusterka, by sprawdzić, czy na ulicy nie stoi żaden podejrzany samochód. Zadowolona z inspekcji, cofnęła wóz na podjazd i ruszyła do sklepu.

Piętnaście minut później wpuściła psy do magazynu, nastawiła ekspres i włączyła komputer.

To była ulubiona część jej dnia pracy. Siadywała wtedy w kąciku, który przeznaczyła na biuro, popijała kawę i paliła pierwszego papierosa. Prowadziła firmę, miała nawet własny sklep, sprzedawała własne projekty i zarabiała na życie. Daniel Ward nigdy by w to nie uwierzył. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze czterdzieści pięć minut, zanim podciągnie żaluzje i otworzy drzwi. Chwila dla Helen, jak mawiał Sam. Czekala na telefon od niego. Zawsze dzwonił, nim otworzyła sklep. Rzadko się myliła, zwykle co do minuty wyczuwała, kiedy zadzwoni. Spojrzała jeszcze raz na zegarek i zaczęła odliczanie. Telefon odezwał się niemal natychmiast.

- Sexy Lady - powiedziała wesoło.

- Cześć, kochanie.

Zniżyła głos, mrużąc jak kotka.

- Cześć. Właśnie o tobie myślałam. Bardzo cię kocham. Chcę, żebyś o tym wiedział.

- I wiem. Ja też cię kocham. Masz swój pager?

- Tak, mam. A ty swój?

- No pewnie. Czuję się z nim ważniejszy. Muszę lecieć, kochanie. Za dziesięć minut zaczyna się następne zebranie. Mam nadzieję, że wysprzedasz dziś cały sklep.

- Ja też. Kocham cię.

Wskazówki zegarka pokazały dziesiątą pięćdziesiąt, kiedy Helen wypłukała filiżankę i zgmiotła papierosa w popielniczkę. Chciała właśnie otworzyć

drzwi z magazynu do sklepu, gdy usłyszała pukanie do głównego wejścia.

Klient? Daniel? Kto to? Psy usiadły natychmiast, czekając, co zrobi Helen.

Mimo że uchylila drzwi tylko na dwa centymetry, udało jej się zajrzeć do

pograżonego w półmroku wnętrza sklepu. Wstrzymała oddech, widząc, że

klamka się porusza. Solidne zamki, które zamontował Sam, były pozamykane. Wypuściła powoli powietrze i patrzyła na drzwi. Przez pergaminową rolę

tę przebijały sylwetki dwóch ludzi. Podziękowała Bogu za ostre, październikowe słońce. Dwóch? Po co dwóch mężczyzn miałoby przychodzić do jej

sklepu? Przez cały czas, odkąd prowadziła ten interes, obsłużyła tylko trzech

klientów płci męskiej, z czego jeden przyszedł z żoną.

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się śmiesznie, ale nic sobie z tego nie robiła. Zdjęła buty i, nisko pochylona, otworzyła cicho drzwi magazynu. Na czworakach przekradła się za ladą do małego okienka we frontowej ścianie. Mrużąc oczy, spojrzała przez dziurki w roletcie, obok sznurka do regulacji. Dwóch nieznajomych. Starszy i młodszy. Obaj z teczkami w rękach. Wyglądali jak bankierzy albo maklerzy z Wall Street. Helen przygryzła wargę.

Klamka poruszyła się znowu, pukanie rozległo się głośniejsze. Helen przeszła na czworakach z powrotem do magazynu, nie domykając za sobą drzwi.

- Ćśśśś - szepnęła do psów. - Macie, zajmijcie się tym - podała im dwie kości do chrupania.

Nalała sobie świeżej kawy, zdziwiona, że nie trzęsą jej się ręce. Zdumiewał ją własny spokój. Ale kiedy zadzwonił telefon, omal nie opuściła filiżanki. I po spokoju. Kiedy umilkł sygnał, oklapła jak przekłuty balon. Drżącą dłonią wybrała numer dostępu do swojej poczty głosowej i wstukała kod, a następnie wcisnęła dwójkę, by odsłuchać wiadomość. Wstrzymała oddech, gdy automat podawał jej datę i godzinę ostatniego połączenia. Wysłuchiwała nagrania, zachowała je, po czym odsłuchiwała jeszcze trzy razy.

Panno Baker, mówi Seymour Johnson, radca prawny z San Jose. Jest pewna sprawa, niezwykle ważna, którą muszę z panią omówić. W tej chwili dzwonię sprzed drzwi pani sklepu, który jest najwyraźniej zamknięty. Zatrzymałem się w hotelu Clarendon, przy Dwudziestej Siódmej, w Edison. Proszę jak najszybciej do mnie zadzwonić. Zostawiałem dla pani wiadomości we wszelkich możliwych miejscach, wysłałem do pani maila i list polecony. Musimy porozmawiać, zanim łowcy sensacji dowiedzą się o tej historii.

Helen wzięła głęboki oddech, by powstrzymać falę mdłości. Łowcy sensacji? O jakiej historii? Programu Isabel Tyger czyjej żalostnego małżeństwa z Danielem? Spojrzała na pager przyczepiony do paska spodni. Pokręciła powoli głową. Nie może w to wciągać Sama. Nieważne, co mówił, nie może narażać go na utratę pracy.

Powinna pojechać do domu, i to natychmiast. Ale wszystko po kolei.

Zalogowała się do komputera i weszła na swoją stronę w Internecie. Zredagowała prostą, zwięzłą informację dla wszystkich klientów Sexy Lady.

Z powodu dużego zapotrzebowania na nasze towary na pewien czas zawieszamy sprzedaż wysyłkową. Gdy tylko będziemy w stanie zrealizować zamówienia, zawiadomimy

Państwa na naszej stronie internetowej. Dziękujemy za zainteresowanie. Postaramy się jak najszybciej rozwiązać ten - mamy nadzieję - chwilowy problem.

Następne piętnaście minut spędziła kopiując swoje dane na dyskietki. Wrzuciła niewielką paczuszkę do torebki. W pośpiechu pozgarniała cienką jak pajęczyna bieliznę z wystawy i gablot, zostawiając wszędzie porzucane pudła i bibułę. Smieci wtoczyła na siłę do grubego worka i była gotowa do wyjścia.

Nadszedł czas, by zrealizować swój plan.

Bez Sama.

Psy skomliły na tylnym siedzeniu.

- Wszystko będzie w porządku - powtarzała Helen w kółko, aż sama zaczęła wierzyć w te słowa. Jak cokolwiek mogło być w porządku, dopóki prześladował ją Daniel? A prześladował ją. Niemal czuła jego zapach.

Wcisnęła guzik pilota do drzwi garażu, choć od własnego podwórka dzieliły ją jeszcze trzy domy. Przemknęła przez podjazd i wjechała do garażu. Ponownie wcisnęła guzik. Drzwi zamknęły się za nią w kilka sekund. Była bezpieczna.

- Szybko, do domu. Ciasteczka dla wszystkich - dodała zachęcająco na widok reakcji Maksa, któremu nie podobały się te dziwne porządki. Skoro jednak usłyszało swoim ulubionym przysmaku, wstał łaskawie i poszedł za nią do kuchni.

Helen nie traciła czasu. Pobiegła natychmiast do sypialni i spakowała się. Skarpetkę z pieniędzmi wetknęła do torebki. Podróżną torbę Lucie, jej myszkę i ulubiony, podarty ręcznik upchnęła razem z własnymi rzeczami.

Może powinna zostawić Samowi wiadomość? Oczywiście, że nie. Im mniej wiedział, tym bezpieczniej dla niego. Przepraszam, Sam. Tak straszni mi przykro. Nie mogę ryzykować, że Daniel zrobi ci krzywdę. Żałuję, że muszę tak postąpić, ale nie znasz Daniela. Gdybyś go znał, uciekałbyś, gdzie pieprz rośnie. Na dłoń Helen kapnęła pojedyncza łza.

Kiedy niosła ortalionową torbę przez kuchnię do garażu, odezwał się dzwonek przy drzwiach. Mało brakowało, by zemdląła, jej pozorny spokój prysł.

- Cicho! Ani mru-mru. Ćśśśś - syknęła. - Zostań, Max. Pilnuj Lucie

Gong rozległ się po raz drugi w chwili, gdy Helen biegła korytarzem do

sypialni. Wyrzała przez cienkie żaluzje. Pod drzwiami stali ci sami dwaj mężczyźni z identycznymi, zniszczonymi aktówkami. Spojrzała na drugą stronę ulicy i przy krawężniku zobaczyła srebrny samochód. Daniel!

Wpadła w panikę. Uległaby jej całkowicie, gdyby nie psy, które podbiegły do niej i przewróciły ją na podłogę. Przyłgnęła do nich kurczowo, walc z mdłościami i usiłując zapanować nad ogarniającą ją słabością.

- Cicho. Nie ruszajmy się stąd, to nas nie zobaczą. Musimy być cicho
Bardzo, bardzo cicho.

Lucie wdrapała się, skomląc, na jej kolana. Max chodził w tę i z powrotem po pokoju, warcząc gardłowo, ale usłuchał polecenia Helen i nie szczekał.

Czy tych dwóch było z Danielem? A może wręcz odwrotnie, to Daniel był z nimi? Czy wszyscy trzej śledzili ją w drodze ze sklepu? Może, jak w kiepskiej komedii, każdy śledził każdego? Czy wiedzieli, że ona tu jest, że się przed nimi chowa? A może zwyczajnie sprawdzali, czy zastaną ją w domu. Zgrzytnęła zębami - ogarnął ją gniew, jak zwykle za późno.

Co mogę zrobić? - zastanawiała się. Zdała sobie sprawę, że możliwości ma raczej niewielkie.

Objęła dłońmi kolana, na których kuliła się Lucie. Mogła zadzwonić po Sama czy Lesa. Przyjechaliby natychmiast. Ale miała przeczucie, że jeśli to zrobi, przydarzy im się coś straszego. Nie wolno jej ryzykować. Trzech mężczyzn przeciw kobiecie i dwóm psom - szanse nierówne. Mogłaby spróbować uciec, pojechać w jakieś miejsce publiczne. I co potem? Miała bilet lotniczy. Jak wygląda lotnisko w Newark? Nigdy tam nie była. Musiałaby zaparkować samochód i z niego wysiąść. Sama. Gdyby zostawiła wóz przed wejściem, zostałby odholowany. Tak, możliwości nie było zbyt wiele.

A jeśli...

Wyciągnęła rękę po telefon na nocnej szafce. Wykręciła numer, który zapamiętała chyba na całe życie. Czekala, ledwie oddychając, aż ktoś podniesie słuchawkę. Odezwał się dzwięczny, wesoły głos.

- Mówi Mona. W czym mogę pomóc?

- Mona, tu... Nancy Baker. Mój mąż mnie znalazł. W tej chwili siedzi w srebrnym samochodzie pod moim domem. To chyba nissan. Do drzwi dzwoni dwóch dziwnych facetów. Byli już wcześniej w moim sklepie. Nie otworzyłam im. Wyszłam od tyłu i wróciłam do domu. Wiem, że gdzieś tu w okolicy jest schronisko. Czy ktoś mógłby po mnie przyjechać? Proszę, potrzebuję waszej pomocy.

- Daj mi twój numer, Nancy. Oddzwonię za piętnaście minut.

- Dobrze.

Helen dyktowała powoli, wyraźnie wymawiając każdą cyfrę. Oparła się o ścianę i czekała. Po dwóch minutach mężczyźni przy drzwiach poszli sobie. Pięć minut później usłyszała, że ich samochód odjeżdża. Natomiast Daniel nie ruszył się z miejsca. Było dokładnie piętnaście minut od zakończenia rozmowy z Moną, kiedy telefon zadzwonił.

- Posłuchaj uważnie, Nancy, zrobisz tak...

Minęła godzina, potem kolejna. Wpół do trzeciej usłyszała na ulicy policyjną syrenę. Wyjrzała przez żaluzję i zobaczyła policjanta idącego w stronę srebrzystego samochodu. Po dziesięciu minutach policyjny wóz, mrugając światłami, odeskortaował Daniela do końca ulicy.

- Chodź, Max. Muszę cię zamknąć w pokoju Sama. Boże, nie chcę cię zostawiać, ale nie mogę cię zabrać ze sobą. Gdybym tylko mogła, wzięłabym cię. Ja tu wrócę. Obiecuję. Przywiozę ci Lucie. Nie wiem, kiedy to będzie. Do licha, nie mogę cię zostawić. Ty też jesteś częścią mojego życia. Sam będzie musiał to zrozumieć. Chodź, jedziesz z nami. Szybko. Biegnij po swój kocyk. Dobry pies - powiedziała, wpychając kocyk do ortalionowej torby. - Szybko, teraz do garażu. Ktoś po nas przyjedzie. Musicie być cicho i zachowywać się grzecznie. Wybacz mi, Sam. Nie wiedziałam, co zrobić. Na pewno dobrze się zaopiekuję Maksem. Lucie zaskomlała i przytuliła się do swojej pani.

Helen chodziła niespokojnie po pokoju. Psy, zwinięte obok siebie w rogu łóżka, obserwowały ją uważnie. Od czasu do czasu schylała się, by pogłaskać je po głowach. Mruczała coś do siebie, a może do nich? Sama nie wiedziała, ale to nieistotne. Była bezpieczna. Psy były bezpieczne. Dokąd zabrali Daniela? Czy policja go aresztowała? Bzdura. Przecież tylko siedział w samochodzie. Daniel potrafił oczarować każdego, jeśli tylko chciał. A ci dwaj mężczyźni? Gdzie się podzieli? I czy naprawdę byli adwokatami, za których się podawali? Czy ludzie ze schroniska nimi też się zajęli?

Usiadła, gdyż nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa. Psy przyczołgały się bliżej i położyły obok.

- Jest prawie tak samo, jak w tamtym schronisku, Lucie. Pamiętasz, jakie bezpieczne się tam czułyśmy? Nie wiem, czy program jeszcze nas chroni. Nie wiem, czy możemy tutaj zostać. Ale na razie to dla nas najlepsze. A potem będzie, co ma być.

Chciało jej się płakać, wyc i wrzeszczeć. Miała ochotę dorwać Daniela i dać mu porządny wycisk. Lecz myślenie o tym to jedno, a realizacja takich pragnień - w czym Daniel celował - to zupełnie inna sprawa.

Helen upiła łyk letniej, ziołowej herbaty i rozejrzała się po małym pokoiku. Kobieta, która ją tu przyprowadziła, włączyła wcześniej gazowy kominek. W przeciwieństwie do jasnego, przestronnego pokoju w Kalifornii, ten, z swoimi grubymi zasłonami i dywanem, był zaciszny i przytulny. Dwa psie legowiska, małe i duże, leżały obok kominka. Bezpieczny raj.

Dom, o ile zdołała się zorientować po przyjeździe, był rozplanowany mniej więcej tak samo, jak ten w Kalifornii. Dowiedziała się, że tu też jest patio z ogrodem, w zimie zamknięte. Mogła jednak wyprowadzać tam psy. Widziała też wielki salon, z oknami wychodzącymi na ogród, gdzie zbierały się pensjonariuszki na terapię grupową, i z dużym kominkiem z polnych kamieni, na

prawdziwe drewno. Helen miała ochotę pójść tam teraz, ale musiała czekać, aż zdecydują, co z nią zrobić.

Zdrzemnęła się w wygodnym, bujanym fotelu. Podskoczyła wystraszona, gdy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Serce zabiło jej szybciej. Max z wyszczerzonymi zębami czekał tylko na komendę.

- Spokojnie, Max, spokojnie. Wszystko w porządku. Proszę! - zawołała.

Do pokoju weszła mała, niepozorna kobieta. Blizny na twarzy mówiły

o gehennie, którą przeszła. Kiedy nieufnie spojrzała na psy, wydała się Helen podobna do przerażonego, małego ptaka. Ważyła może ze czterdzieści kilo. Potknęła się o dywan i przeprosiła, prostując się.

- Jeszcze nie całkiem wyzdrowiałam - mruknęła.

Helen znów poczuła, że chce jej się płakać.

- Pamiętam, jak to jest. Długo myślałam, że w ogóle nie wyzdrowieję. Ale udało się.

- Więc czemu jesteś tu z powrotem?

- Mój mąż mnie znalazł.

- Och.

- Co mam teraz zrobić? - zapytała Helen.

- Julia prosiła, żeby cię przyprowadzić. Ona kieruje tym schroniskiem. Pijemy herbatę w salonie. Rozmawiamy, zwieramy się, rozładujemy emocje. Skoro już tu byłeś, to pewnie wiesz, jak to wygląda. Chcesz wyjść z psami? Ja miałam kotkę.

- Miałaś? Nie wzięłaś jej ze sobą?

Oczy kobiety napełniły się łzami.

- Nie mogłam wziąć martwego kota. Chciałam. Właściwie to nawet próbowałam, ale... on... on wtedy... wyrzucił ją przez okno. Wówczas uciekłam kuchennymi drzwiami.

- I chwała Bogu. Jak ci na imię?

- Jeszcze nie wiem. Jestem tu dopiero cztery dni. Nazywaj mnie Numer Osiem. Ty będziesz Numer Dziewięć. A to Dziewięć A i B - wskazała psy.

Helen przeszedł dreszcz. Czyżby to był znak?

- Na kolację jest irlandzki gulasz. Pieczemy też chleb i szarlotkę. Tak

dobrze nas tu karmi. Ten... ta osoba, z którą mieszkałam, przepijała wszystkie nasze pieniądze. Przeważnie niewiele zostawało najedzenie.

A ja myślałam, że przeżyłam piekło.

- Jestem gotowa-powiedziała głośno.

- Nie, nie jesteś! - wybuchnęła kobieta. - To tylko słowa. Żadna z nas nigdy nie jest gotowa. Dobrze o tym wiesz.

- Chciałam powiedzieć, że jestem gotowa zejść na dół.

- Och.

Psy trzymały się blisko nóg Helen, kiedy szła korytarzem i schodami, prowadzącymi na parter.

W hallu zobaczyła potężne drzwi frontowe, takie jak w Kalifornii, z metalowymi sztabami między dwiema warstwami mahoni. Spojrzała kątem oka w stronę okien i zauważyła kraty. To wszystko służyło zapewnieniu bezpieczeństwa.

Z kuchni pachniało pieczonym chlebem i irlandzkim stekiem. Helen nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna. Zdziwiła się, że w takiej sytuacji w ogóle może myśleć o jedzeniu.

Zatrzymała się chwilę w progu, słuchając na pozór zwyczajnej rozmowy niewielkiej grupki kobiet. Usłyszała słowa „Święto Dziękczynienia” i „dynie”. Ktoś powiedział, że temperatura spadła aż o dziesięć stopni w ciągu paru godzin. Kiedy ją przedstawiano, starała się uśmiechać, ale nikt nie zrewanżował się jej tym samym. Wtedy, za pierwszym razem, ona też się nie uśmiechała.

- Wezmę moje psy na chwilę na dwór, jeśli pozwolicie.

- Włóż kurtkę. Zrobiło się bardzo zimno - powiedziała kobieta o imieniu Julia.

Helen skinęła potakująco głową. Julia tak przypominała Monę, że aż trudno było uwierzyć. Wiedziała, że zanim wróci do salonu, Julia opowie o niej kobietom tyle, ile mogą się dowiedzieć. Powtórne pobyty zdarzały się rzadko. Powrót Helen do schroniska prawdopodobnie przestraszył kobiety i podważył ich wiarę w skuteczność systemu bezpieczeństwa fundacji.

Psy były roztrzęsione, spacerowały po ogrodzie, obwąchując wszystko i powarkując. Nie biegały ani nie bawiły się ze sobą. Wciąż odwracały głowy, by się upewnić, że Helen ich nie zostawiła.

- To tylko na razie - powiedziała cichym, uspokajającym głosem. - Nie

zostaniemy tu na zawsze, tylko na trochę, damy sobie z tym radę.

Jesteśmy

razem. Ty masz swój koc, Max, Lucie ma swoją myszkę, a ja mam was.

Będę się wami opiekować, przyrzekam. A teraz wracamy do środka.

Czeka

ją na nas.

Psy posłusznie weszły za nią do domu i usadowiły się obok jej fotela, czujne i z podkulonymi ogonami.

Helen słuchała, co mówią kobiety. Słyszała to wszystko już przedtem. Przeżyła to. Zaczęła myśleć o Samie. Jak się miewa? Co robi? Czy jest w domu? Czy w ogóle już wie, że wyjechała? Żałowała, że zostawiła pager na komodzie. A może nie? Może w ostatniej chwili wrzuciła go do torby? Po prostu nie pamiętała. Ale co za różnica? W schronisku i tak nie miała dostępu do telefonu.

Dyskusja toczyła się leniwie. Helen głąskała Maksa po głowie, prawie nie słysząc, o czym mówiły siedzące wokół niej kobiety. Z jakiegoś powodu

tym razem nie czuła się częścią tej grupy, czuła natomiast, że to nie jej miejsce, jakby popełniła jakieś oszustwo. Wyrzuciła z siebie te słowa, zanim zdała sobie sprawę, że mówi na głos. Kobiety spojrzały na nią zdziwione.

- Nigdy nikogo nie odprawiamy z kwitkiem. Jesteśmy tu po to, by po

móc każdej z was - powiedziała Julia.

Słowa padały z ust Helen jak strzały z karabinu.

- Zakochałam się. I to był mój błąd. On jest dobrym, wspaniałym, cudownym człowiekiem. Na początku miałam tyle wątpliwości. Ale przez te wszystkie miesiące stałam się silniejsza. Zrozumiałam, że moje życie będzie takie, jakim je uczynię. Pomogliście mi zacząć to nowe życie. Ale ono było, i w dalszym ciągu jest, kłamstwem. Próbowałam to wytłumaczyć mojej doradczyni, ale coś poszło nie tak. Ona miała jakieś osobiste problemy i zostawiła mnie na lodzie. Przynajmniej wtedy tak myślałam. Nie chcę być fikcyjną postacią. Mam święte prawo być tym, kim się urodziłam. Wszyscy mi mówili... że on... tamta osoba... nigdy mnie nie znajdzie. Chciałam w to wierzyć, całym sercem. Potrzebowałam tej wiary, ale zawsze, gdzieś w głębi duszy, tkwiło we mnie przekonanie, że jakimś sposobem on mnie odnajdzie. I odnalazł. Dlatego tu jestem. Gdyby chodziło tylko o mnie i mojego psa, nie prosiłabym o uniemożliwienie mi powrotu. Jestem tu, bo boję się o życie człowieka, w którym się zakochałam. Wszystko układało się świetnie. Miałam własną firmę i zarabiałam na siebie. Pierwszy raz w życiu poczułam, co to miłość i zrozumienie. Nie chciałam tego stracić. Byłam taka szczęśliwa. W końcu stałam się taką osobą, jaką zawsze pragnęłam być. Moje marzenia zaczęły się powoli spełniać. Teraz to wszystko przepadło. Powiedzieliście, że on mnie nie znajdzie. Obiecaliście, że będę bezpieczna. A teraz siedzę tutaj i pytam, co poszło nie tak? Czy to przeze mnie? Czy przez niego? A może przez was? Muszę wiedzieć, kto nawalił. Muszę to wiedzieć, żebym mogła odzyskać moje życie. Nie chcę tu być. Nie mam zamiaru tu zostać. Chcę odzyskać swoją osobowość. Nie chcę być Nancy Baker. Nienawidzę Nancy Baker. Chcę być Helen Stanley. Chcę, żebyście to usłyszały. To moje nazwisko. Helen Stanley.

- Wystarczy, panno Baker. - Julia zatrzepotała rękami w powietrzu. - Proszę nie mówić nic więcej.

- Nie, to jeszcze nie koniec. Trzymałam się zasad, dopóki nie zostawiliście mnie samej sobie. Nie miałam się do kogo zwrócić, więc powiedziałam prawdę temu wspaniałemu mężczyźnie, którego kocham. I wiecie co? Nie żałuję. Zrobiłabym to powtórnie. I kiedy znowu obiecacie jakiegóż... jak nas tam nazywacie, że zawsze ktoś będzie w kontakcie, że wystarczy włączyć komputer, to, do cholery, dotrzymujcie słowa. Wszystkie te bzdury, którymi karmiliście mnie za pierwszym razem, to były tylko słowa. Ja dotrzymałam

warunków umowy. Wy nie. A teraz, jeśli chcecie, żebym się wyniosła, to się wyniosę, ale potrzebny mi jakiś pojazd.

- Proszę się napić herbaty, panno Baker - powiedziała Julia.

- Nie chcę żadnej cholery herbaty. Chcę odpowiedzi. I to natychmiast = Chcę wiedzieć, co się dzieje z moim życiem, to moje prawo. Muszę się opiekować tymi dwoma zwierzakami. Do moich drzwi pukają jacyś dziwni faceci . z teczkami. Ten skurczybyk sadysta, za którego wyszłam za mąż, siedział pod > moim domem. Nawet nie jestem rozwiedziona. Chcę się rozwieść. Chcę, żeby go zamknęli. Chcę wnieść sprawę, powiedzieć wszystko na sali sądo-wej. Do diabła, chcę odzyskać swoje nazwisko. A odzyskać go nie mogę, bo oświadczyliście, że Helen Ward nie żyje. Umarła! Aleja żyję. Siedzę tu z wami i mówię do was.

Na jakiś niewidzialny sygnał kobiety podniosły się i wyszły z pokoju. Helen opadła na oparcie fotela, czując pod powiekami piekące, powstrzymywane, / od dawna łzy wściekłości.

- Proszę wypić swoją herbatę, panno Baker.

- Nie mieliście prawa mnie uśmiercić. I nawet nie pofatygowaliście się, żeby mi o tym powiedzieć. Gdybyście mi powiedzieli, nie zgodziłabym się na to wszystko. Helen Stanley nie może wyjść za tego wspaniałego, troskliwego człowieka, którego kocha, bo nie żyje. Chcę wyjść za mąż i mieć dzieci, ale żeby tak się stało, muszę się rozwieść. A nie rozwiodę się, bo umarłam. I proszę mnie nie namawiać, żebym żyła w grzechu. Proszę mi nie mówić, że cel uświęca środki.

- Pani przypadek wymagał ekstremalnych posunięć. Pani Tyger osobiście podejmowała decyzje w pani sprawie. Wtedy wydawało nam się to trochę dziwne, ale nie kwestionuje się postanowień swojego dobroczyńcy. Nie i próbuję na nikogo zrzucić winy. Zapytała pani, co się stało, więc odpowiadam. Nie wiem, jakim sposobem mąż panią znalazł. Pracujemy nad tym. Nie wiem też, kim byli ci dwaj mężczyźni z teczkami, może to po prostu akwizytorzy. Obiecaliśmy pani bezpieczeństwo. I jest pani bezpieczna, prawda?

- A co z Samem? Co się z nim stanie?

- Nie wiem. Nasi ludzie są w pogotowiu. Powinna była pani zostawić mu tego psa, zawsze to jakaś ochrona przed napadem.

- Powinam była zrobić wiele rzeczy, ale tak się nie stało.

Zacznijmy od początku, chcę poznać odpowiedzi na kilka pytań. Musi być u was ktoś, kto potrafi mi wyjaśnić parę rzeczy. Proszę mi pozwolić skorzystać z komputera. Proszę mi pozwolić zadzwonić. A jeśli nie, proszę mi dać samochód, żebym mogła opuścić to miejsce.

- Nie może pani wyjechać. Zna pani zasady.

- Chce mi pani powiedzieć, że jestem więźniem w tym domu?

- W pewnym sensie. Niech pani pomyśli o tych zwierzakach, które są z panią. Dokąd pani pójdzie? Tu jest pani bezpieczna. Uzyska pani odpowie
dzi na swoje pytania, ale musi pani być cierpliwa. Wiem, jakie to trudne...

Helen. Daj nam szansę to naprawić.

Po policzkach Helen potoczyły się łzy.

- Nie sądzę, byście mogli cokolwiek naprawić. Chodźcie, idziemy na górę - powiedziała do psów, odwracając się od Julii.

- Hej, banda! Już jestem! - krzyknął Sam, otwierając drzwi z kuchni do garażu. - Spodziewam się smakowitych zapachów i słodkich buziaków!

Zrozumiał natychmiast, że Helen odeszła. Nie tylko brak smakowitych zapachów, wesołego szczekania i pocałunków powiedział mu, że dom jest pusty. Kiedy wjeżdżał na podjazd, już ciemne okna dały mu do myślenia. Poza tym Helen włączała ogrzewanie, gdy się ochłodziło. Dom był zimny, niemal lodowaty. Sam chodził po pokojach, gwizdząc na Maksa, choć wiedział, że labradora nie ma. Helen nie zostawiłaby go, żeby tęsknił za Lucie. List. Może przynajmniej list zostawiła. Nie miał złudzeń, lecz mimo to szukał. Najpierw sprawdził pod poduszką, Helen często kładła tam liściki z zapewnieniem, jak bardzo go kocha. Czasem przyklejała kartkę do jego pianki do golenia albo do butelki budweisera. Bez przekonania zajrzał do łazienki i do lodówki.

W domu panował porządek, wręcz przesadny. Ale przecież była tutaj, skoro jej samochód stał w garażu. Sam przebiegł po pokojach, szukając kocyka Maksa. Odetchnął z ulgą. Wzięła ze sobą labradora i zachowała na tyle przytomność umysłu, że zabrała również jego koc. To znaczyło, że nie została porwana. Wyjechała z własnej woli. No i co, Samie Tolliver? Jak to o tobie świadczy? Boże, Helen, dlaczego nie miałaś na tyle zaufania, żeby do mnie zadzwonić? Obiecałem, że cię ochronię. Na pewno znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie. Zapiekiły go oczy, kiedy podnosił z podłogi zabawkę Maksa. Wetknął ją do kieszeni i zszedł do garażu. Jeszcze w kuchni nacisnął guzik pilota. Wsiadł do samochodu i wycofał go z garażu. Gdy czekał na podejście, aż zamkną się automatyczne drzwi, w okienko pasażera zastukał sąsiad. Sam niemal wpadł w popłochu. Opuścił okno do połowy.

- Coś się stało, Harry? - Nie poznał własnego, zduszonego głosu.

- Właśnie chciałem cię zapytać o to samo. Żona powiedziała mi, że były tu po południu gliny i przegoniły jakiegoś faceta w srebrnym samochodzie. Mówiła, że chyba obserwował wasz dom, przynajmniej tak to wyglądało. Na dodatek przyszło do nas jakichś dwóch gości i pytali moją żonę, czy nie wie, kiedy będziecie w domu. Jill powiedziała, że nie jest waszym aniołem stróżem, i zamknęła drzwi. Prosiła, żebym ci powtórzył. Staramy się tu żyć w przyjaźni

z sąsiadami. Nie chcę wtykać nosa w twoje sprawy, ale gdybyś potrzebował mojej pomocy, daj znać, dobra?

- Na pewno, Harry. Dzięki za informację. - Głos Sama wciąż brzmiał obco i głucho. Począł, aż sąsiad i toczący się za nim zapasiony pudel wejdą na swoje podwórko. Wyjechał na ulicę. Może w sklepie znajdzie list albo jakąś wskazówkę? Wiedział, że to próżna nadzieja, ale co mu szkodziło sprawdzić?

Pół godziny później zapalił światło w sklepie Helen. Spojrzył zdziwiony na puste gabloty. Włączył komputer, wprowadził hasło Helen i wszedł na stronę Sexy Lady. Zamrugał zdziwiony, czytając krótką wiadomość dla klientów. Helen zaplanowała to wszystko. Miała czas, żeby zamknąć interes, ale nie miała czasu, żeby zostawić list dla niego. Uprzątnęła towar, a mimo to nie zabrała ze sklepu najdroższej rzeczy: komputera z drukarką. Bez chwili wahania zaczął odłączać kable. Kursował trzy razy, zanim załadował wszystko do furgonetki. Zastanawiał się, czy nie wywiesić na drzwiach kartki, że sklep zamknięto z powodu kłopotów osobistych, w końcu jednak stwierdził, że pozamykane drzwi i zaciągnięte rolety wystarczająco zniechęcą klientów.

Nie mając nic lepszego do roboty, poszedł do bistra po drugiej stronie ulicy. Helen zwykle zamawiała tutaj kanapkę, jeśli nie przywozła sobie nic z domu. Zdażył zmarznąć, zanim przebiegł przez parking banku i ulicę i dotarł do ciepłego wnętrza. Zobaczył pusty boks z tyłu sali. Posiedzi tam.

- Poproszę kanapkę z pastami, podwójną, ostrą musztardę i rosół z makaronem - powiedział do kelnera. To był ulubiony lunch Helen. Smarowała chleb musztardą tak grubo, że aż łzawiły jej oczy. Czy i jemu pociekną łzy?

Czy kiedykolwiek siedziała w tym boksie? Czy może w tamtym od frontu?

A może zamawiała jedzenie na wynos? Żałował, że tego nie wie.

Z zamyślenia wyrwało go chrząknięcie kelnera.

- Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żeby dosiadł się do pana jeszcze jeden klient?

Owszem, miał wiele przeciwko temu, ale nie chciał być samolubem i kazać ludziom czekać, skoro sam zajmował stolik dla czterech osób. Kiwnął głową. Kelner przywołał gestem gościa stojącego przy kasie.

- Bardzo pan miły - powiedział mężczyzna, siadając. - Donald McDer-mott - dodał, wyciągając rękę. Samowi nie pozostało nic innego, jak podać mu dłoń na powitanie.

- Sam Tolliver.

- Strasznie zimno się nagle zrobiło.

- Jak zwykle o tej porze roku - uciął szorstko Sam. Szkoda, że nie ma gazety. Gdyby czytał, tamten może zniechęciłby się do rozmowy.

- Za parę dni Święto Dziękczynienia. A to znaczy, że Boże Narodzenie tuż-tuż. Ja osobiście bardzo lubię święta, ale Boże Narodzenie szczególnie.

- Jak większość ludzi - odparł Sam. Do licha, ile czasu robi się kanapkę i napełni miskę zupą? Gdybym jadł, nie musiałbym rozmawiać.
- Długo pan tu mieszka? - zapytał nieznajomy.
- Całe życie. A pan?
- Od niedawna. Przenieśli mnie. Moja rodzina przyjedzie dopiero w przyszłym tygodniu. Pan ma rodzinę?
- Nie utrzymuję kontaktu.
- Żadnej żony ani dzieciaków? - zażartował mężczyzna.
- Nie. Nawet psa.
- Szkoda. Lecz pewnego pięknego dnia zjawi się ta jedyna, i to w najmniej spodziewanym momencie.
- Och, już się zjawiła, a jakże, ale poszła sobie. Na dodatek zabrała mojego psa. Nie można ufać kobietom. Mówią jedno, a potem robią coś dokładnie odwrotnego - wyrzucił z siebie Sam wbrew własnej woli, nie wiedząc, że tymi słowami ratuje swoje życie.
- Moja żona nie jest taka. Jest ideałem. Wie, że nie toleruję żadnej niedoskonałości. Nie chciałbym się przechwalać, ale moja żona żyje tylko dla mnie. Zależy jej wyłącznie na tym, żeby mi sprawiać przyjemność, to jej życiowa misja.
- Doprawdy? - zapytał kwaśno Sam. - A co pan robi dla niej?
- Jak mam to rozumieć?
- No cóż, jeśli ona robi dla pana to wszystko, to co pan robi dla niej? Czy to nie powinien być układ dwustronny?
- A, o to panu chodzi. Dzięki mnie nie musi się martwić o pieniądze. Stać ją na manikiur, pedikiur, fryzjera. Nie musi też pracować. Ma kartę kredytową i może sobie kupować, co chce. To dobry układ. Obojgu nam odpowiada - odparł mężczyzna.
- A czy ten pański skarb nie chce własnej kariery? Większość kobiet chce coś robić - powiedział Sam.
- Nie, nie moja żona. Zajmowanie się mną to praca na pełny etat. Lubię mieć koszule wyprasowane w domu. Prasuje mi też podkoszulki, a nawet skarpetki. To dla niej przyjemność. Zmienia codziennie pościel, bo wie, że to lubię. Lubię mieć podane porządne śniadanie, tak samo, jak i kolację. To wszystko wymaga czasu i uwagi. Moja żona wielbi ziemię, po której stąkam.
- Mnie to pachnie niewolnictwem - mruknął Sam, odbierając od kelnera kanapkę. Nareszcie. Teraz nie będzie musiał brać udziału w tej głupiej dyskusji.
- Ona kocha tę niewolę – zachichotał nieznajomy, odbierając swoje zamówienie. - Niech pan powie, co się stało? Czemu pańska dziewczyna odeszła?

- Nie mam pojęcia. Po prostu zwiąła. Z moim psem. - Od ostrej musztardy Samowi pociekły łzy.

- Może pan był zbyt pobłażliwy. Czasem kobiecie trzeba pokazać, gdzie jej miejsce.

Sam łyknął jednym haustem pół szklanki wody, po czym zdrapał musztardę z kanapki. Prychnął na znak, co sądzi o takim *dictum*.

- To nie średniowiecze, do cholery. Kobiety robią, co im się podoba, i mnie to odpowiada. Chyba zabiorę tę zupę ze sobą. Przyjemnie się z panem rozmawiało.

- Dzięki, z panem też. Miłego Święta Dziękczynienia.

Sam nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Podał kelnerowi swoją miskę rosółu.

- To na wynos. I proszę mi zrobić jeszcze jedną kanapkę, ale rym razem

bez musztardy. I zapakować razem z zupą.

Wrzucał właśnie resztę do kieszeni, kiedy przygodny znajomy podszedł do lady, by zapłacić rachunek.

- Do zobaczenia-rzucił Sam.

- Wątpię-mruknął mężczyzna półgłosem.

Sam nie oglądając się, przebiegł przez ulicę i parking. Kiedy wsiadł już do samochodu i włączył ogrzewanie, jego ciałem wstrząsnął szloch. Czy zobaczy jeszcze kiedyś Helen i Maksa?

Rozdział 18

Z psami przy nodze Helen weszła do małego, przytulnego biura. Zastała Julię pracującą przy komputerze, chrząknęła więc cicho, by oznajmić swoją obecność. Kobieta uniosła dłoń na znak, że zaraz się nią zajmie. Helen czekała więc, szurając nogą po dywanie, wpatrzona w plecy administratorki. Ten mały gabinet bez okien był niezwykle podobny do biura Mony w Kalifornii: takie same szafki z segregatorami, krzesła w neutralnym kolorze, nawet rośliny wyglądały tak samo. Teraz, kiedy już lepiej znała się na komputerach, stwierdziła, że sprzęt elektroniczny był najwyższej klasy. Gdy ekran zgasł, Julia obróciła krzesło przodem do Helen.

- Co mogę dziś dla ciebie zrobić?

- Mogłabyś mi powiedzieć, jak macie zamiar anulować mój akt zgonu i kiedy mogę liczyć na jakiś pojazd. Jesteście mi to winni. I nie pozwolę się zbyć byle czym. Nie szukam tu azylu, tak jak za pierwszym razem.

- Wiesz dobrze, że nie na tym polega nasza praca - wyjaśniła cierpliwie Julia.

Jest bardzo ładna - pomyślała Helen. - Dobrze się czuje we własnej skórze. Ciekawe, czy ona też była kiedyś bita, czy po prostu tutaj pracuje? Wygląda, jakby się niczym nie przejmowała.

- Wiem, na czym powinna polegać. Powiedz, ogłoszono kiedyś, że nie żyjesz? Czy którakolwiek z tych kobiet została uznana za zmarłą, czy ja jestem jedyna?

- Nie wiem. Nikt nie ogłaszał mojej śmierci. Widocznie twój przypadek był wyjątkowo trudny, skoro fundacja zastosowała tak drastyczne rozwiązanie. Wiesz, że nie powinnam o tym z tobą rozmawiać. Wysłałam maila i zadzwoniłam do fundacji. Czekam na odpowiedź, a kiedy ją dostanę, nie wiem. Właśnie uaktywnił się kolejny wirus komputerowy, mieliśmy ich ostatnio całą serię. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

- Ale mój mąż mnie znalazł. Ktoś musi mi to wyjaśnić. Nie będę zaprzeczać, że fundacja bardzo mi pomogła. Dzięki tej pomocy jestem teraz tym, kim jestem. Trzymałam się zasad, dopóki z waszej strony coś sienie załamało. Pewnie tak musiało być. Teraz przynajmniej wiem, że mimo najszczerzych chęci nie możecie zapewnić mi bezpieczeństwa. Założę się, że wasze problemy z wirusami to jego sprawka. Muszę stąd odejść i po swojemu rozwiązać ten problem. Wszyscy są narażeni na niebezpieczeństwo, dopóki tutaj jestem. Proszę cię, zadzwoń jeszcze raz. Jeśli w ciągu godziny nie dostaniesz odpowiedzi, wynoszę się stąd. Spróbuję się dostać do domu, do mojego samochodu. Czy to jasne? A tak w ogóle, to gdzie się wszyscy podziali?

- Sana specjalnej terapii grupowej, w jadalni. To potrwa cały dzień. Zaparzyłam świeżą kawę. Rano przyszły nowe gazety, idź do salonu i postaraj się zrelaksować. Przydałoby się chyba dołożyć do kominka. A ty wyglądasz na niewyspaną. Drzemka dobrze by ci zrobiła.

Helen nawet nie odpowiedziała. Wypiła już tyle kawy, że trzęsły jej się ręce. Drzemka może i zrobiłaby jej dobrze po nieprzespanej nocy, ale Helen wiedziała, że nie zaśnie.

W salonie rozgarnęła drewno w kominku i dorzuciła kilka kawałków. Snop iskier wystrzelił w górę. Max warknął groźnie, a Lucie wspięła się łapkami do jej kolan, prosząc, by wzięła ją na rękę.

Pomyślała, że jeszcze jedna filiżanka kawy już jej nie zaszkodzi. Nalała sobie spory kubek, dodając prawdziwej śmietanki i cukru. Lśniąca okładka nowego numeru „People” kusila żywymi kolorami. Tak jakby Helen obchodziły losy światowych sław, kiedy jej własny był tak niepewny. Gdzie jest Sam? Co robi? Czy znenawidził ją za tę ucieczkę, czy zrozumiał, że uciekła

dla jego dobra? Czyjego serce też było złamane? Westchnęła tak głośno, że oba psy spróbowały wskoczyć jej na kolana.

- Co będzie, to będzie - powiedziała, głaszcząc je po głowach.

Pięć minut później mocno spała.

Obudziła się nagle, z uczuciem, że coś jest nie tak. Usiłowała pojąć, co się wokół niej dzieje, w głowie miała totalny zamęt. Kiedy oprzytomniała, zobaczyła potężne, rozdygotane ciało Maksa gotowego do skoku. Przyczajony warczał wściekle, czekając na hasło do ataku.

- Spokojnie, Max, spokojnie. Dobry pies. Lucie, chodź tutaj. -

Suczce

nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wskoczyła na kolana Helen i zaczęła warczeć. - W porządku, nic nam nie grozi - szeptała Helen, zastanawiając się, czy to rzeczywiście prawda. Wszystko ostatnio wydawało się jednym wielkim kłamstwem.

Wściekłość psów wywołali dwaj mężczyźni, którzy stali z Julią w progu, salonu. Ci sami, którzy byli wcześniej w sklepie i w domu. Helen wzięła głęboki oddech, próbując zapobiec zawrotom głowy. Nikomu nie można ufać.

- Możemy wejść do pokoju? - zapytała zdenerwowana Julia.

- Nie, nie możecie. Czego chcesz? Kim są ci ludzie i po co tu przyszli? To ci, o których ci mówiłam. Każ im wyjść albo poszczuję Maksa.

- Młoda damo, nie chcemy pani skrzywdzić - powiedział spokojnie starszy z mężczyzn.

- Już to słyszałam. Nie znam was. I nie chcę znać. Proszę wyjść -w jej głosie brzmiała panika. - Jeśli chodzi o ochronę gości przed intruzami, to miejsce pozostawia wiele do życzenia. W Kalifornii tak nie było. Zabierz ich stąd - zwróciła się do Julii, która przyglądała się uważnie jej, psom i dwóm mężczyznom, próbując ogarnąć wzrokiem wszystkich jednocześnie.

- Jesteśmy prawnikami. Wysyłałiśmy do pani listy, ale pani nie odpowiadała. Nie mieliśmy innego wyjścia, przyjechaliśmy więc osobiście. Chcielibyśmy wejść do tego pokoju i zamknąć drzwi. Tylko my dwaj. Pani Julia zostanie na zewnątrz. Czy przytrzyma pani psa?

- Nie podoba mi się to. Jak mnie znaleźliście? - wybuchnęła Helen. -Możecie powiedzieć mojemu mężowi, że traci czas.

- Nie mamy nic wspólnego z pani mężem. Jesteśmy pełnomocnikami w sprawie majątku pani Tyger. A skoro pani pyta, pani adres dali nam panowie Arthur King i Gerald Davis, dwaj pozostali członkowie zarządu fundacji. Czy teraz możemy wejść?

- Po co? Nie mam z Isabel Tyger nic wspólnego, poza tym, że dała mi nowe życie. Niestety wskutek tego zostałam uznana za zmarłą. Czy potraficie to odkręcić?

- Będzie to wymagało mnóstwa czasu i papierkowej roboty.

- Nie mam mnóstwa czasu, panowie. Mój mąż próbuje mnie znaleźć. A właściwie już znalazł. Dlatego jestem tutaj. Kiedy wy wczoraj dzwoniście do moich drzwi, siedział po drugiej stronie ulicy i obserwował was. Ciekawa jestem, gdzie są ci wszyscy ochroniarze, których podobno macie. Znalazł mnie, mimo że ogłosiliście moją śmierć. To mi mówi wszystko na temat waszej organizacji. Nie mam nic więcej do dodania.

Przyjrzała się młodszemu z nich. Był ubrany tak, jak ubierał się Daniel, który dbał o „władczy wygląd”. Kaszmirowa marynarka, śnieżnobiała koszula, drogi krawat i buty od Braci Brooks. Z tą tylko różnicą, że z oczu tego mężczyzny wyciekało niezdecydowanie, a od Daniela biła zawsze pewność siebie i arogancja.

- W porządku. Proszę zamknąć drzwi i przejdźmy do rzeczy. Od razu zaznaczam, że oddałam wszystkie pieniądze, które pożyczyla mi fundacja. Owszem, mam zaległy rachunek, ale spłacam go na raty. I wygląda na to, że zajmie mi to trochę czasu, bo najpierw muszę uregulować swoją sytuację i wrócić do pracy. Dobrze, proszę mówić. Nie rozluźniajcie się za bardzo, bo nie zabawicie tu długo - dorzuciła ze złością.

- A pies?

- Pies czuwa. Zrobi to, co mu każę, i wtedy, kiedy mu każę. Lepiej w to uwierzcie. Mógłby rozerwać wam gardła. Jeśli nie będziecie wykonywać gwałtownych ruchów, nic się wam nie stanie.

Podejrzliwe oczy młodszego prawnika spojrzały z powątpiewaniem. Helen poczuła ukłucie strachu.

Starszy mężczyzna otworzył aktówkę i wyciągnął dokument wpięty w niebieską, papierową okładkę.

- To jest ostatnia wola, testament Isabel Tyger. Mogę go pani przeczytać, odać skróconą wersję z pominięciem darowizn na cele charytatywne, może też pani przeczytać go sama.

Helen nie ruszyła się z miejsca. Wciśnięta jak mogła najgłębiej, w czekoladowo-brązowy fotel, czekała.

- Najwyraźniej uważacie, że to jest coś, z czym powinnam się zapoznać, ale nie mam zielonego pojęcia, o co może chodzić. Więc, panowie, co tam jest napisane i dlaczego to testament Isabel Tyger ma być dla mnie interesujący?

- Ponieważ zgodnie z nim dziedziczy pani majątek Isabel Tyger. Dziwne, że pani jeszcze nie wie. Od kilku dni trąbią o tym w wiadomościach.

Helen zamrugła z niedowierzaniem. Od razu przyszło jej na myśl, że to oszustwo. Omal nie zemdląca, kiedy przed oczami zamajaczyła jej twarz Daniela. Zastanawiała się, ile zapłacił tym facetom i w jaki sposób to zaaranżował. Roześmiała się z wysiłkiem, choć nie było jej do śmiechu.

- Dobra, koniec zabawy. Idźcie już sobie. Widać macie mnie za kompletną idiotkę. Nawet nie znałam Isabel Tyger, i, o ile wiem, byłam dla niej tylko jeszcze jedną cyfrą w rejestrze. Jej pracownicy upozorowali moją śmierć. Jak nieżyjąca osoba może odziedziczyć po kimś majątek?

- Jest pani jedyną spadkobierczynią majątku pani Tyger. Pani Helen Ward alias Nancy Baker - powiedział zimno młody prawnik.

- Nie obchodzi mnie, co tam jest napisane. Nie wierzę wam. Nie zostawia się majątku w spadku zupełnie obcej osobie.

- Owszem, większość ludzi nie zrobiłaby czegoś takiego, ale pani Tyger postąpiła inaczej. Ten dokument jest prawdziwy, jego autentyczność została poświadczona. Może to pani potwierdzić w sądzie w San Jose. Może pani też zadzwonić do którejkolwiek ze stacji telewizyjnych czy radiowych i spytać, czy podawali taką wiadomość. W gazetach też o tym pisano. Może tu, na Wschodzie, nie, ale w Kalifornii naprawdę było o tym głośno - odparł spokojnie siwowłosy prawnik.

- Nieważne. Nie chcę tego. Dajcie to komuś innemu.

- Tak się nie da. Pani stała się nagle kimś bardzo bogatym.

Około roku potrzeba, nim sprawa zostanie zamknięta, ale póki co może się pani śmiało wprowadzić do domu pani Tyger. Część pieniędzy jest odłożona do pani użytku, dopóki wszystko nie zostanie uporządkowane. Jak już powiedziałem, jest pani teraz bardzo bogata.

Helen zakręciło się w głowie. Jej umysł zaczął pracować ze zdwojoną szybkością. Daniel zawsze uważnie śledził wiadomości, lubił wiedzieć, co się dzieje na świecie. Jeśli ci dwaj mówili prawdę, Daniel o wszystkim wiedział. Skoro był jednym z projektantów oprogramowania fundacji, niewykluczone, że dotarł do niej przez Isabel Tyger, mimo że Arthur King zmodernizował cały system. Przy swoich umiejętnościach Daniel prawdopodobnie wiedział o testamencie od samego początku.

- Co to znaczy: bogata? - zapytała Helen.

Głos młodego adwokata stał się jeszcze bardziej lodowaty, choć myślała, że to już niemożliwe. Jego spojrzenie wyrażało teraz prawdziwą nieufność.

- Bardzo bogata. Życia pani nie starczy, by wydać tyle pieniędzy. Są też różnego rodzaju nieruchomości, fabryka zabawek, samochody, jacht, prywatny samolot, prywatna wyspa, akcje i obligacje, a także ranczo.

Może to jednak była prawda. A może jeden z koszmarnych snów.

- Dlaczego ja?

- Myśleliśmy, że pani nam to powie - powiedział młodszy.

- Co wam powiem? Nie znałam tej kobiety. W życiu z nianie rozmawiałam. Chyba nawet nie wiem, jak wygląda... wyglądała. To na pewno jakaś pomyłka. Nie znałam Isabel Tyger.

- Znała ją pani bardzo dobrze. Dlaczego pani kłamie? - Młody adwokat szumął butami. - Zresztą, to żadna różnica. Testament jest niepodważalny. Nie ma nikogo, kto chciałby go obalić. Pani Tyger była przy zdrowych zmysłach, kiedy został spisany. Jej dwaj najlepsi przyjaciele, Arthur King i Gerald Davis, są świadkami i wykonawcami testamentu.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że dobrze ją znałam? Kto panu to powiedział?

- Sama pani Tyger. Korespondowała z panią regularnie pod pseudonimem Boots.

- Boots? To znaczy, że Boots to była Isabel Tyger? - Helen szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Jakby pani nie wiedziała - rzucił złośliwie młody prawnik. - Ale to nie należy do tematu. Przyszliśmy tu zawiadomić panią o spadku. Zrobiliśmy to, więc zabieramy się stąd. Reszta zależy od pani.

- To nasza wizytówka. - Starszy pełnomocnik podał jej mały, biały kartonik.

- Chwileczkę, panowie - Helen utkwiała wzrok w młodszym mężczyźnie. - Nie obchodzi mnie, co pan o mnie myśli. Ani trochę. Chyba wiem, co pan mi próbuje zasugerować, i nie podoba mi się to. Pan mi się nie podoba i nie podoba mi się, że Isabel Tyger zostawiła mi swoją fortunę. Jeśli to prawda. Pan sugeruje, że w jakiś sposób nakłoniłam Boots, żeby... więc nie zrobiłam tego. Nie wiedziałam, że Boots to Isabel Tyger, dopóki pan mi nie powiedział. Dla mnie była tylko doradczynią z fundacji. Nic więcej. Proszę. - Rzuciła niebieską teczkę w kierunku starszego adwokata. - Proszę to zabrać. Nie chcę tego i nie mam zamiaru przyjąć spadku. Ani teraz, ani w przyszłości. Chcę tylko, i zawsze chciałam, odzyskać swoje życie. Mogą panowie wyjść. I proszę nie wracać, bo mnie tu nie będzie. Czy to dla panów jasne? Pogoń ich, Max, strasznie się grzebią.

Wystarczyło, że Max warknął, pokazał zęby i położył uszy po sobie, a obaj prawnicy dostali skrzydeł. Drzwi trzasnęły za nimi tak głośno, że Helen aż podskoczyła.

Opadła z powrotem na oparcie fotela. Więc Boots to była Isabel Tyger. W życiu by nie zgadła. Tak dobrze się dogadywały. Helen opowiadała jej o swoich marzeniach, o koszmarze, który przeżyła, o dzieciństwie i dorastaniu. Boots ją rozumiała. Była dla mej więcej niż doradczynią. Była przyjaciółką. Dobrą przyjaciółką. I kochała zwierzęta. Zawsze najpierw pytała o Lucie, czy też MG2, jak ją nazywała.

Dlaczego? Dlaczego Isabel Tyger uczyniła ją swoją spadkobierczynią? Czy kiedykolwiek się tego dowie? Zamknęła oczy i pomyślała o całym tym bogactwie i co przyjęcie go mogło oznaczać. Mogłaby wynająć ochroniarzy, którzy przez całą dobę strzegliby jej przed Danielem. Mogłaby wyjechać na stałe za granicę. Do końca życia siedzieć na słońcu, popijając mrożoną herbatę. Mieć manikiur, pedikiur i masaż siedem dni w tygodniu, kucharza i kelnera, który podtykałby jej wszystko pod nos. Mogłaby cieszyć się wspaniałym życiem. Gdyby tylko chciała.

A ja chcę tylko żyć normalnie. Chcę Sama. Chcę być przy nim, kiedy spłaci resztę studenckiej pożyczki. Chcę zobaczyć, jak wyrzuca fasolowe foteliki i kupuje prawdziwe meble. Chcę zasypiać i budzić się obok niego. Chcę jeździć z nim i z psami na ryby do Doliny Okrągłej. Chcę prowadzić Sexy Lady, bez niczyjej pomocy. Chcę wyjść za Sama i mieć z nim dzieci.

- Jezus, Boots! Dlaczego? Myślałaś, że nie utrzymam w tajemnicy, że to ty jesteś Isabel Tyger? Nigdy nie zawiodłabym twojego zaufania, gdybyś mi powiedziała. Nic mi nie jesteś winna, Boots. Nie umiem być bogata. I tak naprawdę chyba bogata być nie chcę. Chcę być sobą i żyć po swoje mu, najlepiej jak potrafię. Nie jestem w stanie sobie z tym wszystkim poradzić. To ty mi kiedyś powiedziałaś, że jeśli się nie wie, co robić, nie należy robić nic.

Psy słuchały uważnie jej monologu. Kiedy wreszcie przestała mamrotać do siebie, zaczęły prosić, żeby wzięła je na dwór.

Helen, zbyt oszołomiona, nawet nie pomyślała, by włożyć kurtkę. Poruszała się niezgrabnie, zeszywniała od długiego siedzenia. Trzęsąc się z zimna, patrzyła, jak psy gonią się po ogrodzie. W jej głowie panował taki chaos, że w końcu dała spokój rozmyślaniom i zagapiła się w przestrzeń.

Wróciwszy do środka, siadła przy ogniu, próbując przemyśleć sytuację. Gdyby tylko zechciała, mogła stać się bogata. Kto przy zdrowych zmysłach odrzuciłby taki spadek? Przecież i tak nie zniknie, nie oszuka Daniela, a on, mając chrapkę na taką fortunę, podwoi wysiłki, żeby ją odnaleźć. Bogactwo i władza były dla niego najważniejsze, a właśnie to oznaczał testament Isabel Tyger. Czy Isabel nie wiedziała, że Daniel upomni się o spadek, skoro Helen nie jest z nim rozwiedziona? I niby jak nieżyjąca osoba ma wnieść pozew o rozwód i przejąć spadek? Może w kręgach prawniczych uważano to tylko za drobną, techniczną kwestię.

Jej życie znów się zmieniało, a ona nie mogła nic na to poradzić.

Sam wiedziałby, co zrobić. Sam potrafił w jednej chwili zobaczyć wszystkie plusy i minusy każdej sprawy. Kocham cię, Samie Tolliver.

- Przyniosłam ci herbatę - powiedziała Julia, stawiając tacę na stoliku.

- Masz wypieki, Helen. Dobrze się czujesz?

- Drapie mnie w gardle i jestem cała obolała. To chyba przez to, że się nie wyspałam tej nocy. Wiesz już coś o samochodzie? Macie tu aspirynę?

- Mamy mnóstwo aspiryny. A o samochodzie nic nie wiem. Spodziewam się, że wkrótce nadejdzie jakaś wiadomość. Przestałaś się już bać tych dwóch prawników? Nie będę udawać, że nie wiem, o co chodzi. Słyszałam w wiadomościach, jakie szczęście cię spotkało. Gratulacje!

- To zależy od punktu widzenia. Powiedziałam im, że nie chcę tego spadku. Chcę się tylko stąd wydostać i odzyskać swoje życie. Pewnie uważasz, że mówię bzdury, ale ten majątek nic dla mnie nie znaczy. I raczej mnie nie zmuszą, żebym go przyjęła.

- Jezu, ja na pewno bym wiedziała, co zrobić z czymś takim. Pomyśl, ile dobrego mogłabyś zdziałać dzięki tym pieniądzom. Mogłabyś nakarmić wszystkich bezdomnych, zatroszczyć się o chore i porzucone zwierzęta, mogłabyś fundować stypendia dla młodych ludzi, którzy chcą iść na studia. Mogłabyś uratować więcej bitych kobiet. Ta lista nie ma końca. Nie musisz przecież zatrzymać dla siebie tych pieniędzy, jeśli ich nie chcesz. Pomyśl o dzieciach, którym mogłabyś pomóc, tyle ich czeka na operacje i nie doczeka się, z braku pieniędzy. Tak jak mówię, mogłabym wyliczać bez końca. Przyniosę ci aspirynę.

Helen westchnęła. Julia miała rację. Teraz dopiero było o czym myśleć. Julia wróciła z trzema tabletkami aspiryny w papierowym kubeczku. Helen połknęła wszystkie trzy naraz.

- Przed chwilą powiedziałaś do mnie Helen. Dlaczego?

Kobieta uśmiechnęła się, w jej puciołowatych policzkach zrobiły się głębokie dołeczki.

- Przecież powiedziałaś, że tak masz na imię. Uważam, że nasza pomoc nie jest ci już potrzebna. Wiem, przez co przeszłaś, naprawdę. I trochę ci chyba zazdroszczę odwagi i siły. Sama czasem zapominam, jak naprawdę mam na imię, bywa, że tęsknię za swoimi stronami tak bardzo, że chce mi się płakać. Ale to mija. - Zniżyła głos do szeptu. - To dla mnie szokujące, że spreparowali twój akt zgonu. To takie... drastyczne. Nie wiem, jak bym sobie z tym poradziła. Ale to mi nasuwa jeszcze jedno pytanie. Ta osoba... twój mąż... czy on?...

- Wiem, o co chcesz zapytać. Odpowiedź brzmi: nie mam pojęcia. Nie jestem rozwiedziona. Ja nie żyję. Ale wciąż jestem jego żoną. Kręci mi się od tego wszystkiego w głowie, mózg mi staje.

- Pożyczę ci mój samochód, jeśli oni ci żadnego nie dadzą. To raczej mało prawdopodobne, skoro jesteś spadkobierczynią takich dóbr, ale nigdy nie wiadomo. Och, to ciasto z dyni wspaniale pachnie - dodała nagle.

- Nic nie czuję - powiedziała Helen, pociągając nosem. - Naprawdę dałabyś mi swój samochód?

- Oczywiście. Przecież mieszkam tutaj. W razie potrzeby mogę używać służbowej furgonetki.

- W domu, w garażu, stoi mój ford explorer. Jeśli wymyślisz jakiś sposób, żeby go sprytnie wydostać, jest twój. Możemy się zamienić.

- Helen, teraz najlepsze wyjście dla ciebie to jechać do Kalifornii. Tam będziesz bezpieczna. Bogactwo ma swoje dobre strony. Jeśli chcesz odzyskać swoje życie, musisz zacząć od początku. Zastanów się nad tym, co ci powiedziałam, pomyśl, ile dobrego mogłabyś zrobić. To dla ciebie wielki szok, ale na pewno sobie poradzisz. Chyba widzę w tobie to, co zobaczyła Boots. W hallu wisi jej motto: wytrwałość zwycięża wszystko.

Helen uśmiechnęła się.

- Nieważne, skąd przychodzisz. Ważne, dokąd zmierzasz i jak chcesz się tam dostać.

Julia klasnęła w dłonie.

- Właśnie. Przyniosę ci świeżej herbaty i doleję koniaku. Jeśli rozbiera cię choroba, powinnaś się wypocić.

- Dzięki.

- Zawień się w koc i pooglądaj telewizję. Puszczają powtórkę *Dirty Dancing*. Chyba każdy lubi ten film. I nie łam sobie za bardzo głowy, od tego jest jutro. Rano lepiej się myśli, to moje motto. Odpoczywaj. Pójdę po herbatę.

Gdzie jesteś, Sam? Co teraz robisz? Tęsknisz za nami? Helen przytuliła się do psów. Wstrząsana dreszczami, zapadła w drzemkę, zupełnie nieświadoma zamieszania, które spowodowała.

- Ostrzegałem ją, Artie. Sam słyszałeś. Ty też ją ostrzegałeś, ale nie posłuchała, jak zwykle. Wiedziałem, że to wszystko przyniesie odwrotny skutek. Co mamy teraz zrobić? Nie możemy pozwolić, żeby ta młoda kobieta tak się szamotoła z powodu krótkowzroczności Izzie - powiedział zirytowany Geny Davis.

- Myślę, że trzeba zamówić bilety na samolot i sprowadzić ją tutaj. Albo wyśle po nią samolot firmy. Tyger Toys też ma własny odrzutowiec. Według mnie należy zaryzykować.

- Artie, ja nie sądzę, żeby ta dziewczyna chciała wracać do Kalifornii. Julia mówiła, że prosiła tylko o samochód. Wiedziałem, że tak będzie. Uprzedzałem Izzie. A najgorsze jest to, że Helen nie chce słyszeć o spadku. Dlaczego Izzie nie wzięła tego pod uwagę? Powiedz, co z tym począć?

- Jeśli Daniel Ward jest w New Jersey, to znaczy, że udało mu się przechwycić jakiegoś maila od Julii do Izzie i zna adres schroniska. Pewnie zna

też adresy pozostałych trzech. Przeklinam dzień, w którym wynajęłam dla Izzie tę kochliwą pielęgniarkę. Zachowała się karygodnie.

- Nie rozgrzebuj tej sprawy na nowo, Artie. Izzie też nie była tu całkiem bez winy. Uparła się, żeby Mona przynosiła jej do szpitala całą pocztę. Izzie nawet do głowy nie przyszło, że pielęgniarka może zawieść zaufanie. Miała świetne referencje. Do tej pory była bez zarzutu. W jej życiorysie nie było wzmianki, że nie jest zdolna się zakochać. A na pewno zakochała się w tym draniu, w przeciwnym razie nie zgodziłaby się szpiegować Izzie.

- Co się stało, to się nie odstanie. - Artie zżymał się i wściekał. Gerry nie mógł go uspokoić. - Czy masz pojęcie, ile ludzi będzie miało kłopoty przez tę historię? Nie można tak sobie ogłaszać czyjeś śmierci. Lekarze, niezależnie od tego, jak dużo Izzie im zapłaciła, nie powinni byli podpisywać aktu zgonu. A ty i ja, Gerry, zgodziliśmy się na to. Nawet pomagaliśmy Izzie fałszować dokumenty nieistniejącej firmy ubezpieczeniowej, żeby spłacić matkę. Dręczyły mnie przez to koszmarnie sny, Gerry. Mogliśmy wylądować w więzieniu! Ciekawe, czy byłoby nam do twarzy w pasiakach.

- Tak, może jeszcze sami po nią polecimy, co? - powiedział zręcznym głosem weterynarz. - Helen Ward nie będzie chciała wrócić do Kalifornii. Zakochała się, a mężczyzna, którego kocha, jest w New Jersey. Musimy pamiętać, że to już nie ta pobita, zastraszona kobieta, która przyszła wtedy do mnie. Sądzę, że teraz jest rozwścieczona i przekonana, że wygra z Danielem Wardem. Do diabła, może to i prawda. Izzie mówiła, że Helen ma wyjątkowo silną osobowość. Chyba właśnie to najbardziej ją martwiło. Nie spodziewała się, że dziewczyna zrobi takie szybkie postępy i uniezależni się od jej pomocy. Proponuję dać Helen ten samochód i zobaczyć, co z tego wyniknie. Jeśli będzie nas potrzebowała, wie, gdzie nas szukać. Nawet nie myśl o podróży do New Jersey. A, i jeszcze jedno, Artie. Musimy obaj trochę wytrzeźwieć. Alkohol w niczym nam nie pomoże.

- A co z jej matką? - Artie, ignorując słowa Gerry'ego, nalał sobie szkockiej na dwa palce do jednej z ulubionych, kryształowych szklaneczek Isabel.

- Z jej matką? - zapytał kwaśno Gerry.

- Czy ktoś nie powinien jej powiedzieć, że Helen nie umarła?

- Nie wydawała się zbyt przejęta, kiedy powiedzieliśmy jej o śmierci córki. Obchodziły ją tylko pieniądze z ubezpieczenia. Nawet nie próbowała udawać, że jej smutno. Jest zimną, nieczułą kobietą. Teraz wiesz, dlaczego wolę zwierzęta od ludzi.

- Nie możemy tak tu siedzieć i nic nie robić! - wykrzyknął Artie ze złością.

- A niby co chcesz robić, Arthurze?

- Uważam, Geraldzie, że powinniśmy przynajmniej ostrzec Helen, że jej mąż już się dowiedział, gdzie jest schronisko. I że jeśli chce wyjechać, to

powinna to starannie zaplanować. Znam Daniela Warda. On na pewno wie, że Helen została dziedziczką fortuny Izz. Wciąż jest jej mężem. Ma prawo do połowy majątku, a jeżeli coś się stanie Helen, to do całości. Myślę, że Helen też już na to wpadła i dlatego nie chce spadku. Gdybyś się odkleił od tej butelki, zrozumiałbyś, że musimy coś zrobić.

- Przecież robimy. Rozmawiamy.
- Nie mamy żadnego planu, Geny, a jakiś mieć musimy.

Jesteśmy rozsądnymi, inteligentnymi ludźmi. Skończyliśmy studia. Ja prowadzę wielką korporację, ty jesteś najlepszym weterynarzem w całej cholernej Kalifornii. Na pewno potrafimy coś wymyślić. Najlepszym rozwiązaniem byłoby ściągnięcie Helen tutaj. Chyba powinniśmy do niej zadzwonić i dowiedzieć się, co o tym wszystkim myśli. Może sama ma już jakiś plan. I powinniśmy przestać wysiadywać w domu Isabel. Nie mieszkamy tutaj. W świetle prawa włamaliśmy się, wtargnęliśmy do cudzego mieszkania. Ten dom jest teraz własnością Helen Ward. Idę dzwonić - oznajmił Artie.

- Więc przestań wreszcie gadać i zrób to - uniósł się Geny.

Pięć minut później w głośno mówiącym telefonie Isabel odezwał się zaspany głos Julii.

- Julia? Tu Arthur King. Chciałbym pomówić z Helen Ward.

Wiem, że

jest późno, ale to ważna sprawa. Zgodziliśmy się dać Helen samochód, jeśli

po tej rozmowie jeszcze będzie go chciała. Szczegóły podam pani później.

Poszła obudzić Helen - powiedział do Geny'ego. - Ty chcesz z nią poroz

mawiać czyja mam to zrobić? Ty pewnie znasz ją lepiej. Rzadko pokazywała

się na imprezach ComStar. Wyleczyłeś jej psa, więc do ciebie będzie miała

więcej zaufania.

Geny zdziwił się, słysząc zachrypnięty głos.

- Chyba jest chora - szepnął do Artiego. - Helen, tu Geny Davis. Przepraszam, że panią obudziliśmy, ale musimy z panią pomówić. Wydaje nam się, Arthurowi i mnie, że pani mąż zna adres schroniska. Jest pani bezpieczna, dopóki siedzi pani w środku. Jeśli pani wyjedzie, będzie panią śledził. Chcielibyśmy, żeby pani przyjechała z powrotem do Kalifornii. To by było najlepsze rozwiązanie. Oczywiście zapraszamy panią razem z pani przyjacielem. O ile wiemy, ma pani nawet ze sobą psa. Oczywiście nie możemy pani do niczego zmusić. Zgodziliśmy się dać pani samochód, jeśli pani go jeszcze potrzebuje.

- Czy może pan anulować mój akt zgonu, doktorze Davis?
- Z czasem. Nie od razu.
- Moja matka myśli, że umarłam. Jak mogliście zrobić nam coś takiego'.

Geny wziął głęboki oddech.

- To nie była łatwa decyzja, Helen. Isabel sądziła, że tylko w ten sposób

zdoła panią ochronić. Bardzo się o panią troszczyła. Miała wręcz obsesję n

punkcie pani bezpieczeństwa. My dwaj zgodziliśmy się na ten pomysł. Zajmie to trochę czasu, ale na pewno wszystko wyprostujemy. Na razie pani największym problemem jest mąż.

- Pan myśli, że będzie chciał mnie zabić, żeby móc położyć łapy na pieniądzech pani Tyger? Aleja ich nie chcę. Powiedziałam to już tym dwóm prawnikom. Nie mam zamiaru ich przyjąć. A poza tym, jak nieżyjąca osoba może odziedziczyć majątek? Dla Daniela to drugorzędna sprawa. Przede wszystkim chce się policzyć ze mną. I jedynie moja śmierć ugasi jego żądzę zemsty. Nie jestem głupia, doktorze Davis.

- Nigdy tak nie uważałem. Co pani zamierza?

- Nie wiem. Nie mieliście prawa tak się bawić moim życiem. I w dodatku to wszystko na nic. Daniel mnie znalazł. Śledzi mnie. Już nie wierzę, że zdołacie mi zapewnić bezpieczeństwo. Lepiej poradzę sobie sama.

Artie przechylił się przez stół.

- Helen, mówi Arthur King. Proszę nas posłuchać. Chcemy tylko pomóc. Mój firmowy odrzutowiec może wylądować na lotnisku w Newark za pięć godzin. W godzinę później może pani być już w drodze do Kalifornii. Proszę nam dać jeszcze jedną szansę. Nie wie pani wszystkiego o tej sprawie, musi pani zrozumieć parę rzeczy. Proszę.

- Który z was powie mojej matce, że żyję? - zapytała Helen ochryple.

- Obaj możemy jej powiedzieć, jeśli tego pani chce.

- Owszem, chcę. Jej to wprawdzie nie obchodzi, ale chcę, żeby wiedziała. A tak z ciekawości, jakie dostała odszkodowanie?

Geny skrzywił się.

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Pewnie nie posiada się ze szczęścia.

- Owszem - odparł Geny. - Przyjedzie pani?

- Nie. Mam tu swoje życie, mam firmę. Mam człowieka, którego kocham i który kocha mnie. Przepraszam, miałam to wszystko. Teraz zamierzam to odzyskać. Sama, bez żadnej pomocy z waszej strony. Chcę tylko, żebyście zaczęli załatwiać formalności, bym odzyskała własną tożsamość. Jeśli nie możecie tego zrobić, powiedzcie od razu.

- Zajmiemy się tym od rana. - W głosie Artiego brzmiała rezygnacja.

- Świetnie. A teraz powiem wam, czego od was oczekuję.

Śluchacie uważnie, panowie?

- Śluchamy, Helen.

Rozdział 19

Byla prawie pewna, że to sen, bo na jawie nigdy nie zgodziłaby się rozmawiać z Danielem. Nie odezwałaby się do niego za żadne skarby, ani słowem. Nie spojrzałaby na niego, nie odpowiedziała na żadne pytanie, chyba że zmusiłby ją siłą,

- Jak myślisz, Helen, co my poczniemy z tymi wszystkimi pieniędzmi? Może podróż dookoła świata? A może popływamy sobie tym pięknym jachtem, który odziedziczyłaś. Ach, już to widzę: stoimy oboje na pokładzie, z włosami rozwianymi na wietrze, i popijamy szampana, wznosząc toast za nasze nowe, bogate życie.

- To będzie przedtem czy po tym, jak pobijesz mnie prawie na śmierć? Nienawidzę cię, Danielu. Nie ma żadnego my. Wybij to sobie lepiej z głowy. Nigdzie się z tobą nie wybieram ani teraz, ani nigdy. Jeśli nie wyjdiesz, zadzwonię na policję.

Patrzyła, jak się do niej zbliża, ale nie czuła strachu. Wyraźnie utykał. Widząc to, poczuła się dumna z siebie. To było jej dzieło, ale wtedy miała broń - teraz tylko własne ręce i nogi.

Kiedy rzucił się do przodu, wyskoczyła w powietrze i kopnęła obiema nogami. W następnej chwili poczuła, że leży na podłodze, a psy liżą ją po policzkach.

- Już dobrze, dobrze. To był tylko sen. Daniel dawno mi się nie śnił.

Wszystko w porządku. Brrr, jak zimno, wracamy do łóżka.

Marzyła pod puszystym kocem, czuła, że ma gorączkę, dostała dreszczy. Nie mogę się teraz rozchorować - myślała. - Muszę się stąd wydostać. Muszę się upewnić, że Sam jest bezpieczny. Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przeziębila się zimą. Trzy lata temu. Czuła się wtedy znużona i apatyczna, choroba ciągnęła się całymi tygodniami. Wieki minęły, zanim doszła do siebie, bo Daniel nie miał dla niej litości. Zeszłej wiosny też się przeziębila, ale trwało to tylko parę dni, bo nianczył ją Sam. Poił grzanym winem i bulionem, wziął nawet wolny dzień, żeby dopilnować, czy łyknęła aspirynę i czy wlała w siebie odpowiednio dużo płynów. Sam się o nią troszczył. Sam ją kochał.

- Helen, wszystko w porządku? Usłyszałam jakiś hałas - zapytała Julia, uchylając drzwi.

- Śniło mi się, że Daniel był w moim pokoju. Walczyłam z nim i spadłam z łóżka. Chyba jednak jestem chora. Nie mogę się rozgrzać - wyjaśniła Helen, szcękając zębami.

Julia włączyła nocną lampkę i położyła dłoń na czole Helen.

- Jesteś rozpalona. Przyniosę ci grzany rum z masłem i aspiryną.
Chcesz elektryczny koc? Powinniśmy gdzieś jeden mieć. Muszę go tylko poszukać.

I podkręcę ogrzewanie. Nie wychodź z łóżka, zaraz wracam.

Po kilku minutach Julia ściągnęła z Helen przykrycie i włączyła elektryczny koc.

- Na razie włączę go na maksimum. Jak się nagrzej, wyłączę z gniazdka. Jakoś nie mam zaufania do takich urządzeń. Pójdę po grog i aspirynę. A tak przy okazji, kto wygrał?

- Nie wiem, spadłam z łóżka, ale chyba miałam przewagę.
Najdziwniejsze było to, że wcale się nie bałam.

- Brawo. Zaraz wracam. Rozgrzejesz się błyskawicznie.

Dwadzieścia minut później Julia podała Helen gorący napój.

- Rum pomoże ci zasnąć - westchnęła ze współczuciem. -

Pewnie

zacznieś się pocić. Posiedzę tu przez moment. Jeśli chcesz, możemy porozmawiać.

Helen pomyślała, że chyba nie zaśnie już nigdy w życiu.

- Ty mów. Ja posłucham. Powiedz mi jak to jest prowadzić takie schronisko.

- Są jasne i ciemne chwile. Robię, co mogę, by nie angażować się osobiście w kłopoty kobiet, które tu przyjmujemy. Ale to nie wychodzi. Na przykład martwi mnie, że jesteś taka zawzięta na panią Tyger i odrzucasz spadek. Przecież ona tylko chciała cię chronić, najlepiej jak potrafiła. Owszem, zastosowała ekstremalne środki. Ale wierzę, że w twoim przypadku to było konieczne. Wiesz, poznałam ją kiedyś.

- Naprawdę?! Przyjechała tutaj?

- Nie. Ja pojechałam do Kalifornii. Chciała, żeby wszystkie cztery admini-stratorki poznały się osobiście. Taka ciepła i miła, traktowała nas jak królowe. Nie wiem na pewno, ale myślę, że była nieszczęśliwa. Przeżyła chyba jakąś tragedię. To jest... była najbardziej współczująca osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam. Poznałyśmy też pozostałych dwóch członków zarządu, Arthura Kinga, właściciela jakiejś wielkiej firmy i Geralda Davisa, weterynarza. Doktor nazywał panią Tyger Izzie, a pan King Izz. Byli bardzo dobrymi, bliskimi przyjaciółmi, mieli dla siebie wiele ciepłych uczuć. Myślę nawet, że doktor Davis był w niej zakochany. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że jest niska, gruba i że utyka na nogę.

Helen z trudem usiadła na łóżku.

- Oczy pełne ciepła. Mnóstwo loków. Nie mamowała słów bez potrzeby...

- Tak, całkiem niezłe ją opisałaś. Zobacz, mam tu zdjęcie ich trojga. Mówiłaś, zdaje się, że jej nie znasz.

- To ona! Nie wiedziałam, że ją znam. Tej nocy, kiedy doktor Davis przyjął mnie w swojej lecznicy, wezwał do pomocy pewną kobietę, Billie.

Widocznie zdecydowali, że lepiej mi nie mówić, kim była naprawdę. Była dla mnie taka miła. I zakochała się w moim psie. Myślałam, że to wolontariusz-ka. Widziałam ją jeszcze tylko raz, kiedy wiozła mnie do schroniska. Teraz wiem, że była moją doradczynią, ale kiedy rozmawialiśmy co wieczór w sieci, o tym nie wiedziałam. Umiała dotrzeć do sedna każdej sprawy. Nie marnowałyśmy czasu. Boots... ją jedyną mogłabym nazwać przyjaciółką. Ale to i tak nie wyjaśnia, dlaczego wybrała mnie spośród wszystkich kobiet, które przewinęły się przez schroniska.

- Może doktor Davis albo pan King potrafią ci to wyjaśnić.

Wiesz już, co chcesz zrobić?

- Przed wszystkim wyjeżdżam. Nie dopuszczę, żeby Daniel dopadł Sama. Wie, że od niego odeszłam, prawdopodobnie wie też o tym domu i że ja tu jestem. Myśli, że zacznę uciekać i będę próbowała go zgubić. Muszę pomyśleć, jak go przechytryć. Policja tu nie pomoże. Przecież nic nie zrobił, tylko mnie wystraszył. Nie mogę udowodnić, że mnie bił. Na pewno pozacierał ślady. Powtarzam każdemu do znudzenia, że jest geniuszem komputerowym i dlatego mnie znalazł. Nie wiem jak, ale fakt pozostaje faktem. Jest tutaj. Widziałam go na własne oczy. Więc, sama przyznasz, te ekstremalne metody zupełnie się nie sprawdziły. Przedał się przez wszelkie zabezpieczenia. W jednym z moich snów powiedział mi, że wykasował wszystkie dane medyczne z moich wizyt na ostrych dyżurach i u różnych lekarzy. Mógł to zrobić z łatwością i nie mam żadnych wątpliwości, że naprawdę to zrobił.

- A co z Samem?

- Wyjechałam, żeby Samowi nic się nie stało, żeby nie był w to zamieszany. Nawet mu nie powiedziałam, że odchodzę. Za to ukradłam mu psa. Chciałam, żeby wiedział, że Max jest ze mną i że jestem bezpieczna. Mam nadzieję, że zrozumiał. Może to nie było zbyt mądre, ale tylko tyle potrafiłam wymyślić.

- Helen, on się musi zamartwiać na śmierć.

- Wie, że Max będzie mnie pilnował. Zbyt kocham Sama, by narażać go na niebezpieczeństwo.

- Czy to nie powinna być jego decyzja?

- Sam nie może się mierzyć z Danielem. Nie wiem, czy miałam rację, tak czy siak, już tego nie zmienię. Nie myśl, że robię z siebie męczennicę. Po prostu zbyt mocno go kocham i nie chcę dopuścić, by stała mu się krzywda z powodu mojej przeszłości. Sama muszę sobie z tym poradzić. Jeśli mi się nie uda, cała pomoc fundacji pójdzie na marne.

- Zrobię ci jeszcze jeden kubek grogu. Dreszcze ustępują?

- Tak. Pomógł mi ten gorący koc. Tobie się to wszystko nie podoba, prawda?

- Myślę, że prędzej czy później każdy postępuje według własnych przekonań. Jeśli myślisz, że zdołasz wykonać swój plan, trzymaj się go. Ja osobiście nie miałabym tyle odwagi. Tutaj wiem, na czym stoję. Boję się nieznanego i nie umiem podejmować ryzyka. Kobiety, które się tędy przewijają, w większości też nie mają zbyt wiele siły przebicia. Na twoim miejscu wróciłabym do Kalifornii jak najszybciej. Wynajęłabym uzbrojonych ochroniarzy, żeby mnie pilnowali całą dobę. Zrobiłabym wszystko, żeby czym prędzej odzyskać tożsamość, i wyjechałabym za granicę.

- To najprostsze wyjście. I chyba źle by o mnie świadczyło. Ci dwaj prawnicy, którzy tutaj byli, uważali, że w jakiś sposób skłoniłam Boots do zapisania mi majątku. Niewiele mnie obchodzi, co oni myślą, ale naprawdę nie zależy mi na pieniądzach. Nigdy nie miałam wiele, więc i teraz to bez znaczenia. Tobie pewnie trudno w to uwierzyć. Gdybym musiała wybierać między Samem a spadkiem, wybrałabym Sama, nie mrugnawszy okiem. Pieniądze nie dają szczęścia.

- Mnie by dały - powiedziała Julia, wstając. -1 dlatego co tydzień kupuję los na loterię. Kto wie, może kiedyś zgramę główną wygraną. Przecież to możliwe. Szanse niewielkie, ale marzenia też są coś warte. Chcesz, żebym wyprowadziła psy?

- Nic im nie będzie. Chyba sobie daruję drugi kubek rumu. Zachciało mi się wreszcie spać. To naprawdę miło, że ze mną posiedziłaś.

- Śpij dobrze. - Julia pochyliła się, by wyłączyć lampkę. - Nie zamykam drzwi. Gdybyś czegoś potrzebowała, zawołaj.

- Dobrze.

Po kilku minutach Helen mocno spała.

- Jesteśmy recydywistami, Gerry. Wracamy na miejsce zbrodni. Równie dobrze mogliśmy to załatwić z mojego biura, twojej lecznicy czy z domu. Do diabła, nawet z kawiarni internetowej. Ale nie, musieliśmy przyjść specjalnie do domu Izz. Co ta dziewczyna zamierza zrobić, Gerry?

- Chciałbym to wiedzieć. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że będzie próbowała jakoś przechytrzyć tego sukinsyna. Dzwoniłeś już do tego twojego prawnika, co bierze pięćset dolarów za godzinę?

- Owszem, i zajął się sprawą. To zajmie sporo czasu. Kazałem mu odłożyć na bok wszystkie inne zobowiązania i skupić się na przypadku Helen. Zgodził się. Nie patrz tak na mnie, Gerry. Nienawidzę prawników tak samo jak ty. Powiedział, że głupotą z naszej strony było wdawać się w takie machlojki. Dokładnie tak się wyraził: „machlojki”. Kurczę, jest taki sam stary, jak my, więc używa takich słów.

- Nie chcesz się czasem przejść, Artie?
- Jeśli masz na myśli cementarz, to nie.
- Musimy przestać tu bywać. To tylko odnawia rany. Załatwmy już tę sprawę, Artie.

Arthur King poszedł za weterynarzem do gabinetu Isabel.

Włączył komputer.

- Myślę, że to niezły pomysł, Geny. Naprawdę. Całą noc myślałem o tej pielęgniarce i Danielu. Równie dobrze może się wkłęcić w otoczenie Tollivera, a on nie będzie miał o tym pojęcia, skoro Helen wyjechała. Już widzę, jak ten drań próbuje się wkraść w jego łaski, tak jak to zrobił z Mag-gie Eldridge. Ale nawet jeśli się przebierze, Tolliver powinien uchwycić podobieństwo. To są profesjonalne zdjęcia zrobione w dobrym oświetleniu do naszego katalogu. Zeskanują się idealnie. Mam internetowy adres Tollivera, mogę wysłać je i do college'u, i do domu. Tak czy owak, dostanie te zdjęcia dzisiaj. A to znaczy, że musimy tu poczekać na jego odpowiedź. Zgadzasz się, Gerry?

- Zgadzam. Ty się tym zajmij, a ja się przejdę.

- Poczekaaj chwilę, pójdę z tobą. Muszę tylko napisać wiadomość i zeskanować zdjęcia.

- Mówiłeś, zdaje się, że nie chcesz tam iść.

- Mówiłam. Cóż, człowiekowi wolno przecież zmienić zdanie. Takie stare przyki jak my są z tego znane.

- Chyba masz rację. Do licha, to jedyne miejsce, w którym czuję się jak w domu - powiedział Geny.

- Wiem. W porządku, poszło. Gotowe.

- Jak myślisz, kiedy odpowie? - zapytał weterynarz.

- Pewnie zaraz jak to dostanie.

- Wprawiliśmy się w czekaniu. Ja nie mam nic innego do roboty. A ty, Artie? Twoje plany?

- Zanim umarła lzz, miałem tak zapchany dzień, że nie starczało mi na wszystko czasu. Potem nagle świat się zawalił. Nic mnie już nie obchodzi. Myślę, że obaj wpadliśmy w depresję. Co to jest depresja, tak dokładnie? Czy psy też na to chorują?

- Chcesz długą wersję czy streszczenie?

- Nieważne. Powiedz mi tylko, że to uczucie pustki kiedyś minie.

- Zapewne tak.

- Tylko tyle? Zapewne tak? - burknął Artie.

- Nie leczę ludzi, jestem weterynarzem.

- Ale za to cholemie dobrym. Nie zaprowadziłbym swojego psa do nikogo innego.

- Ty nie masz psa, Artie.
 - Ale gdybym miał, przychodziłbym z nim wyłącznie do ciebie.
- Powiedz, to wszystko dobrze się skończy, prawda?
- Do diabła, mam taką nadzieję.

Sam Tolliver apatycznie spojrział na zegarek. Czas nie miał dla niego ostatnio żadnego znaczenia. Nie cierpiał wracać do zimnego, pustego domu, w którym mieszkał kiedyś z Helen i psami. Mógłby pójść do centrum handlowego i wcześniej niż zwykle zrobić świąteczne zakupy. Albo zostać tutaj, udając, że jest zajęty. Lub wdepnąć do najbliższego baru i zalać robaka. Ale najlepiej zrobiłby, gdyby poszedł do domu, włączył ogrzewanie, pozapalał wszystkie światła i zajął się zamówieniami na bieliznę, które wpłynęły, zanim na stronie Sexy Lady ukazała się informacja Helen. Znał się na tym wystarczająco, żeby wysłać zamówienia do szwaczek, zadzwonić do dostawców i do kurierów, żeby odebrali paczki. Tak, to dobry pomysł. Postanowił zredagować nową informację dla klientów. Coś dowcipnego, żeby Helen się uśmiechnęła, kiedy to zobaczy. Jeśli to zobaczy. Mógłby zjeść resztki chiń-szczyzny i pracować do późna. Prawdopodobnie pojawiło się mnóstwo zamówień. Łzy zapiekły go pod powiekami. Zaczął pakować swoje rzeczy do teczki.

Do licha, nienawidził tej pory dnia. Było dopiero wpół do piątej, a na dworze ciemno. Czekala go długa noc. Musiał jeszcze tylko wyłączyć komputer, pogasić światła i zamknąć gabinet. Krótki przystanek w delikatesach, i do domu. Potem wczesna kolacja. Spojrzął na kalendarz stojący na biurku. Święto Dziękczynienia już za niecały tydzień. Długi, czterodniowy weekend. Co on pocznie ze sobą przez całe cztery dni?

Właśnie miał wyłączyć komputer, kiedy znaczek skrzynki odbiorczej zawirował i zabrzączał, sygnalizując nową wiadomość. Sam zmarszczył brwi. Kto mógł mu przysłać maila o tej godzinie? Nie marudź, Tolliver. Otwórz list, to się dowiesz.

Usiadł i skrzyżował palce na szczęście. Proszę - modlił się w duchu -niech to będzie od Helea Kliknął ikonę ODCZYT; zmarszczka na jego czole pogłębiła się. Przeczytał wiadomość dwa razy, zanim obejrzał dołączone zdjęcie. Ze zdumienia szerzej otworzył oczy.

- Cholerny sukinsyn! - krzyknął ze złością, tak głośno, że usłyszano go w pozostałych gabinetach.

Zaczął przebierać palcami po klawiszach, pisząc odpowiedź. Kliknął WYŚLIJ, i w tej samej chwili zobaczył na końcu listu numer telefonu. Złapał słuchawkę, wystukał numer i z głośnym świstem wypuścił powietrze z płuc. Jeszcze raz skrzyżował palce. Miał nadzieję, że wreszcie się dowie, co się

właściwie dzieje. Wykonał triumfalny gest pięścią, kiedy w słuchawce odezwał się mrukliwy głos.

- Halo?

- Mówi Sam Tolliver z New Jersey. Właśnie dostałem od panów maila.

Rozdział 20

To on! - szepnął głośno Artie. - Pewnie dostał zdjęcie! - Naruszamy w ten sposób wszystkie zalecenia Izzy - skrzywił się Ger-ry. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak, tak, tak. Ale nie można inaczej, Geny. A teraz bądź cicho, bo nie słyszę, co mówi.

Pochylili się nad biurkiem Isabel, by lepiej słyszeć Sama Tollivera.

- Panie Tolliver, mówi Arthur King. Dziękujemy, że tak szybko odpowiedział pan na wiadomość. Czy zdjęcie jest wystarczająco wyraźnie? Tak?

To dobrze. Widział pan kiedyś Daniela Warda? Jadł pan z nim kolację! To

niedobrze, panie Tolliver. To bardzo niedobrze.

Geny włączył głośnik telefonu.

- Chcę wiedzieć wszystko i nie życzę sobie okrojonej wersji - usłyszeli głos Tollivera.

Arthur King ostrożnie jednak dobierał słowa, przekazując Samowi tylko niezbędne informacje. Gerry kiwał potakująco głową, słuchając, jak to nazwał Sam, okrojonej wersji. Wiedział, że Artie nie zdradzi niczego, co mogłoby zaszkodzić Helen czy też samemu Tolliverowi.

- Chcę wiedzieć, jakim cudem ten skurczybyk ją znalazł. Helen opowiadała mi dokładnie o waszej organizacji i zabezpieczeniach.

- Panie Tolliver, doktor Davis i ja na pewno się tego dowiemy. Ale musi pan wiedzieć jeszcze jedno, jeśli się pan sam nie domyślił. Helen uciekła z pana powodu. Zęby pana chronić. Tak, jak tamtej nocy uciekła, żeby chronić swojego psa. Pan musi się z tym pogodzić.

- Jedyne, co muszę, to płacić podatki i umrzeć. Helen wie, że broniłbym jej i Lucie z narażeniem życia.

- I o to chodzi, panie Tolliver. Helen nie chce, żeby pan bronił jej z narażeniem życia. Za bardzo pana kocha. Czy chwaliła się panu, że była najlepsza na kursie samoobrony w schronisku? Każdy gość ma codziennie dwugodzinną lekcję samoobrony, przez okrągły tydzień. Jest też świetnym strzelcem. Helen miała osiemdziesiąt pięć dni kursu. Potrafi się obronić. A najlepsze, co

pan może zrobić, to siedzieć i czekać. Pewnie trudno to panu zaakceptować, lecz w tym momencie nie ma pan zbyt wielkiego wyboru.

- Wiem wszystko o waszych kursach, ale jakoś mnie to nie uspokaja. Lekcje to jedno, rzeczywistość natomiast to zupełnie co innego. A kiedy ja tu będę siedział i gryzł palce, co wy, stare pryki, macie zamiar robić? - wypalił Sam. - Z całym szacunkiem, oczywiście, ale Helen mówiła, że obaj jesteście po siedemdziesiątce. Ja nie skończyłem jeszcze trzydziestu pięciu lat. To chyba daje mi nad wami pewną przewagę. Nie wspomnę już, że jestem w świetnej formie i cholernie mi zależy, żeby znaleźć Helen. Dlatego stawię czoło temu palantowi, który był jej mężem. Myślę, że wyraziłem się jasno. Czy dalej zamierza mnie pan karmić tymi bzdurami?

- Nie był, a jest jej mężem, panie Tolliver. Helen wciąż jest żoną Daniela Warda. Dyskrecja i bezpieczeństwo to fundamentalne zasady naszej organizacji. Jeśli nazywanie tego bzdurami poprawia panu samopoczucie, proszę bardzo. My musimy przestrzegać tych zasad. I prawdę mówiąc, właśnie łamię jedną z nich, rozmawiając z panem. Ale rozważyliśmy możliwe skutki i zdecydowaliśmy, że pańskie bezpieczeństwo jest ważniejsze niż przepisy.

- No widzi pan. Skoro złamał pan jedną zasadę, może pan równie dobrze złamać następną. Chcę odnaleźć Helen.

- Czy spadek ma coś wspólnego z tą pańską goriwością? - zapytał kwaśno Artie. Ta rozmowa coraz mniej mu się podobała. Geny najwyraźniej czuł to samo.

- Jaki spadek? - zdziwił się Sam.

Przyjaciele spojrzeli na siebie. Geny wzruszył ramionami. Artie zacisnął wargi, aż utworzyły cienką kreskę.

- Isabel Tyger zostawiła Helen całą swoją fortunę. Pisały o tym gazety i trąbiła telewizja. Pan chce powiedzieć, że o niczym nie wie? Bardzo trudno mi w to uwierzyć.

Usłyszeli, że Sam głośno wciąga powietrze.

- Nie, nie wiedziałem o tym. Przysięgam na życie Helen, że nie wiedziałem. Jest mi wystarczająco źle, żebym jeszcze dokładał sobie, oglądając te wszystkie okropności w telewizji. Gazetę też czytałem ostatnio jakieś trzy tygodnie temu. Co więcej, pracuję w tylu komisjach, że nie mam czasu na nic, a już najmniej na telewizję. Helen nie wspomniała mi o tym ani słowem.

- Dowiedziała się dopiero po wyjeździe. I powiedziała, że nie chce tego spadku. Zależy jej wyłącznie na panu i na psach.

- Naprawdę tak powiedziała? Cholera, wiedziałem, że za coś ją kocham. A skoro tak mówi, to pewnie tak myśli. Ona nigdy nie rzuca słów na wiatr.

- I my, choć jesteśmy starymi prykami, doszliśmy do tego samego wniosku. Niestety, Daniel Ward nie podziela naszego zdania. Czy pan teraz rozumie, w czym tkwi problem?

- Palnąłem głupio o tych starych prykach... proszę się nie obrażać. Zachowałem się nieładnie, przepraszam.

- Nie obraziliśmy się i przyjmujemy przeprosiny. Może miał pan trochę racji. Ale z wiekiem przychodzi też odrobina mądrości. Proszę nam pozwolić się tym zająć.

- Co zamierzacie zrobić?

- Jeszcze nie wiem, panie Tolliver. Musimy to przemyśleć. Helen jest bezpieczna. Psy są bezpieczne. To w tej chwili najważniejsze.

- To tak wygląda ta pańska mądrość?

- Wszystko w swoim czasie, panie Tolliver. Będziemy w kontakcie. Jeśli coś wymyślimy, przyślemy panu maila.

- Chciałbym się przynajmniej dowiedzieć jak ten drań ją wytropił. Was to też powinno interesować. Czy wasza fundacja nie jest teraz zagrożona?

- Będziemy w kontakcie - powtórzył Arthur King i przerwał połączenie. - Zdaje się, że ten młody człowiek nie ma o nas zbyt dobrego zdania, Geny.

- A niby skąd ma mieć? Co prawda, to prawda. Sam kiedyś nazwałeś nas starymi prykami. Pogódź się z tym, Artie. Jesteśmy starzy. Najlepsze lata już za nami. Coraz częściej szwankuje nam pamięć. Trzęsiemy się nad każdą drobnostką, martwimy byle czym. Nie mamy już tyle ikry, co kiedyś. Na miejscu Tollivera też byłbym nieufny. Tacy ludzie, jak on, wierzą tylko w konkrety, a nasze konkrety gdzie są? Uwierzyłem, kiedy powiedział, że nic nie wie o spadku Helen.

- Helen nie chce pieniędzy... Izz pewnie się w grobie przewraca. Ciekawe, czemu nigdy nie przyszło jej to do głowy - powiedział Artie.

- Nie wiemy, czy nie przyszło. Metody działania Izzie zawsze były dla mnie tajemnicą. Wiesz, co powinniśmy według mnie zrobić? Mógłbyś przejrzeć zapiski Izzie i odnaleźć w raportach tego prywatnego detektywa adres Daniela Warda. A potem zabawialiśmy się w Jamesa Bonda. Mam skrzynkę z narzędziami. Zawsze to jakiś plan. Może coś znajdziemy, tym bardziej że Ward wyjechał w pośpiechu. Jeśli nas złapią, trudno. Powiemy, że jesteśmy jego wujkami. Albo dziadkami. Zobaczą siwe włosy, może nam uwierzą. Co ty na to?

- Faktycznie, to jest jakiś plan. Zgoda. Zróbmy tak.

- Czy potem przestaniemy tu przychodzić, Artie?

- Przestaniemy, kiedy Helen nas stąd wykopie.

- A tak między nami mówiąc, moglibyśmy kupić od niej ten dom.

- Ja nie chcę go mieć. Ja tylko chcę tu przychodzić. Jeśli zostaniemy właścicielami, to nie będzie to samo.

- Tak, racja. Znajdźmy adres tego gnojka i zajrzyjmy tam. Potrzebna nam broń?

- Czemu nie? Izz miała pistolet, powinien tu gdzieś być. Zdajesz sobie sprawę, że dla nas broń palna to czarna magia?
- Wiedząc to, każdy potraktuje nas poważnie ze strachu, że moglibyśmy wystrzelić i niechcący w coś trafić - odparł Gerry, szperając w szufladach biurka Isabel.
- Piętnaście minut później Arthur King trzymał w jednej ręce szarą kopertę, w drugiej pistolet.
- Czy to jest włączone? - zapytał nerwowo Gerry.
- Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Czy to ma jakiś wyłącznik?
- Kompletnie nie znam się na pistoletach. Nie wtykaj go za pasek, tak jak na filmach. Izzie by wiedziała, co z tym zrobić. Ona wiedziała wszystko.
- Oczywiście, że by wiedziała. W końcu to jej pistolet. Ja go... może... może wrzucę go do tej koperty, tak będzie bezpieczniej.
- To chyba kolejny dobry plan - roześmiał się Gerry. - Jesteśmy na to za starzy, Artie. Powinniśmy grać w karty albo w szachy, a zamiast tego kombinujemy, jak zapakować pistolet, i planujemy włamanie do domu twojego byłego pracownika.
- Izz byłaby zachwycona. - Artie wyszczerzył zęby.
- Owszem, byłaby - prychnął Gerry. - Jak tylko wyłamałibyśmy drzwi, pewnie zepchnęłyby nas z drogi i weszła do środka, wymachując pistoletem. Sami to na pewno schrzaniemy, wiesz o tym, prawda?
- Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko nie dojdzie do strzelaniny. A War-da przecież nie ma. Bierzemy broń tak na wszelki wypadek.
- No to jedźmy - powiedział Gerry, podciągając spodnie na swoim chudym brzuchu. - Kto prowadzi?
- Prowadź ty. Ja wezmę pistolet. Muszę go pilnować, skoro nie wiemy, gdzie jest wyłącznik. Nie jedź po wybojach. Gerry poczuł przyływ łobuzerskiej fantazji.
- Kto cię kocha, mała? - zapytał, udając Kojaka.
- Ty - odparł Artie, przyłączając się do zabawy.

Sam poczuł się bardzo zmęczony, kiedy wreszcie zamknął drzwi swojego gabinetu. Był taki podekscytowany, gdy przyszedł mail od Arthura Kinga. Teraz opuściła go nawet ta resztką nadziei. A co gorsze, kobieta, którą kochał, została multimilionerką. Czy zechce w ogóle zadawać się z kimś takim jak on? Miał niezłą zabawę z tymi dwoma starszankami, ale z samej rozmowy nic nie wynikło.

Idąc przez parking, usłyszał, że burczy mu w brzuchu. W połowie drogi do samochodu zauważył, że zapomniał zabrać z gabinetu kurtkę, ale co tam! Równie dobrze mógł dostać zapalenia płuc. Tęsknił za Maksem.

Po półgodzinnej jeździe przycisnął guzik pilota i drzwi garażu podniosły się do góry. Zaparkował blazera i zgasił silnik. I co dalej, Samie Tolliver? Miałeś, zdaje się, plan, jak przetrwać noc. Ale wszystko po kolei. Przebierz się w dres i idź pobiegać. Może zimne powietrze trochę ci rozjaśni w głowie. Gdy wrócisz do domu, weźmiesz prysznic i zjesz te resztki chińszczyzny, które trzymasz od pięciu dni w lodówce. A potem, jak już spakujesz zamówienia Helen, zwalisz się do łóżka i będziesz śnił o niej i o Maksie aż do rana.

- Rusz się, Tolliver - mruknął do siebie. -1 co z tego, że w domu jest zimno i ciemno? Zapalisz światło, podkręcisz ogrzewanie. Jeśli zechcesz po-
hałasować, włączysz sobie muzykę. No rusz się.

Odczekał chwilę, by się upewnić, że drzwi garażu zamknęły się dokładnie, po czym przycisnął guzik elektrycznego zamka przy kuchennych drzwiach. Gdy usłyszał szcęk zasuw, zwykłym kluczem otworzył kuchnię.

Doznał szoku na widok zniszczenia, który ukazał się jego oczom, gdy kuchnia rozjarzyła się światłem. Drzwi szafek zwisały na wpół wyrwane z zawiasów. Drzwiczki piekarnika leżały na środku podłogi, lodówka była otwarta na oścież, z automatycznego systemu rozmrażania ciekła woda. Wszystko było zasypane mąką, kawą i cukrem. Po dużej, wiszącej paproci, którą Helen z takim sercem pielęgnowała, pozostały porozrzucone liście oraz grudy ziemi na krzesłach, na stole i na jednej z tacek w piekarniku.

Sam wziął głęboki oddech, zanim włączył światło w korytarzu. Jego ukochane, fasolowe fotele, które kupił jeszcze na studiach, leżały rozprute; fasola była wszędzie. Mały telewizor i wieża, zgniecione na miazgę, zamieniły się w masę pogruchotanego plastiku w pokoju i w korytarzu. Wziął kolejny głęboki oddech i wszedł do sypialni, którą dzielił z Helen.

Tu wszystko było poprute, pocięte i wypatroszone, szuflady wylamane, ich zawartość zniszczona. Zasłony wisiały w strzępach, żaluzje - kompletnie pogięte. Sam zamrugnął ze zdumienia na widok deski klozetowej pośrodku tego, co było kiedyś jego łóżkiem. Wetknął głowę do łazienki i zobaczył drzwi kabiny prysznicowej wyrwane z prowadnic, na podłodze i w wannie pełno potłuczonego szkła. Spojrzał pod nogi, gdy poczuł, że stoi w wodzie prawie po kostki. Zbiornik spluczki leżał obok sedesu, z którego przelewała się woda. Człapiąc po zalanej podłodze, podszedł do zaworu i zakręcił kurek.

Kiedy wyszedł z łazienki, zgarbił się na myśl, że musi zajrzeć jeszcze w jedno miejsce: do pracowni Helen, gdzie pod sam sufit piętrzyły się pudła z towarami. Czy i tam ujrzy krajobraz po bitwie?

- We włamywacza się bawi! - prychnął. Wiedział, kto splądrował dom, i nie był to nie znany, przypadkowy włamywacz. To był Daniel Ward. Sam nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Zrób to - rozkazał sobie. - Otwórz te cholerne drzwi i zobacz, do czego ten skurczybyk się posunął. Zrób to, Tolliver. Miej to za sobą.

Wyciągnął rękę i złapał za klamkę. Nie wiedział, czy ma tam wpaść znieczuś, krzyknąć ostrzegawczo, czy zapalić światło, zrobić więc wszystko naraz.

- Hej! - huknął, uginając nogi w kolanach i jednocześnie sięgając w górę, by włączyć sufitowe światło. Wyprostował się, nie wierząc własnym oczom. Na każdym wolnym kawałku ściany przypinana była zszywkami bielizna Sexy Lady, a na każdej sztuce widniał świński napis. „Dziwka”, „kurwa” i „suka” były jeszcze najłagodniejszymi słowami. Sam zaczął zrywać bieliznę ze ścian. Z obrzydzeniem dotykał rzeczy, które miał w rękach Daniel Ward. Zastanawiał się, czy ten drań zawsze nosi przy sobie zszywacz i czerwoną farbę w spreju. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Pognął do łazienki.

Kiedy torsje ustały, usiadł na brzegu wanny i wpatrzył się w wodę na podłodze. Skąd, do diabła, Helen wytrzasnęła tego psychopatę? Poczł, że żołądek znów podchodzi mu do gardła. Z trudem zachowywał spokój. Myśl, Tolliver. Nie reaguj. Myśl.

Dom był ubezpieczony. Ubezpieczyli go z Helen zaraz po przeprowadzce. Mógł zadzwonić po ekipę z firmy zajmującej się takimi przypadkami, która to wszystko posprząta. Ubezpieczenie pokryje koszt. Nie wiedział, czy składać doniesienie na policję. Nie był w stanie udowodnić, że to Daniel Ward zrujnował dom. Nie był w stanie udowodnić nawet tego, że Daniel Ward był w pobliżu, że musiał dostać się przez garaż i wyłączyć system alarmowy. Helen mówiła, że jest prawdziwym geniuszem. Jemu wyglądał raczej na niebezpiecznego psychopatę. Jęknął na myśl, że Helen będzie musiała stawić czoło temu człowiekowi. Powtarzała nieraz, że nikt nie może się mierzyć z Danielem Wardem. Miała rację!

Wtedy, w barze, wpadł prosto w jego ręce. Był zły i rozgoryczony. Może to dlatego Ward go nie prześladował. Ale jeśli to prawda, to czemu, do cholery, zniszczył dom? Może myślał, że Helen odeszła na dobre i że Sam nie jest już dla niego żadnym zagrożeniem. Czyżby to jednak było ostrzeżenie?

Nie mógł się skupić. Człł, że musi się wydostać z tego pobojuwiska. Powinien spakować parę rzeczy i jechać do motelu. Prychnął, rozejrzawszy się jeszcze raz. Ward postarał się, by nie było co pakować. Sam postanowił, że zamelduje się w motelu Best Western i pojedzie do supermarketu kupić jakieś nowe ubrania. Potem ze swojego gabinetu zadzwoni po sprzątaczy i wyśle maila do Arthura Kinga.

Chwycił aktówkę, pogasił światła i wyprowadził samochód. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie chciał mieszkać w tym domu. Z Helen czy bez. Nie zwracał sobie głowy alarmem. Nie było sensu.

- To tutaj, Gerry. Trochę zapuszczone miejsce, nie uważasz?
- Artie patrzył na zardzewiałe rowery, wózki i śmieci w ogródkach kompleksu mieszkalnego. Spojrzył wyżej, na okna, w których wisiły pokrzywione żaluzje i oberwane rolety. Z ram okiennych i drzwi do mieszkań, brudnych i odrapanych, farba łuszczyła się płatami. Śmierdziało tu jak w śmietniku. Ulice zastawione były zardzewiałymi samochodami bez opon i bez siedzeń. Artie zadrżał na widok całej tej nędzy.
- Myślisz, że można tu zostawić auto? - zapytał niespokojnie Gerry.
- To gruchot. Ciemność działa na naszą korzyść. Chyba nikt nie zwrócił na nas uwagi. Mam nadzieję, że nikt też nie zauważy, kiedy wejdziemy do środka i zapalimy światło.
- W takich miejscach nikt nic nie widzi i nie słyszy. Nie sądzę, żeby ktoś z mieszkańców chciał się cokolwiek wplątać. Założę się, że Daniel Ward nawet nie znał sąsiadów. A to znaczy, że i oni go nie znali. Tym lepiej dla nas.
- Chodź, miejmy to z głowy - odparł Artie. Wysiadł z trudem z samochodu, przeklinając artretyzm w kolanach. Idąc za Gerryem popękany chodnikiem, który prowadził do drzwi Warda, starał się oddychać ustami, by nie czuć smrodu.
- Zamknięte - oznajmił Gerry, poruszając klamką. - Masz mój zestaw narzędzi? Jak wejdziemy do środka?
- Te drzwi da się otworzyć zwykłą kartą kredytową. W takich miejscach nikt nie dba o bezpieczeństwo lokatorów. Zamek z supermarketu, najwyżej dziesięć dolców - stwierdził Artie, grzebiąc w szparze drzwi swoją kartą Visa. - Otwarte! A nie mówiłem? - triumfował.
- Pozaciągaj rolety, ja trzymam rękę na wyłączniku. - Gerry wyraźnie się denerwował.
- Boże wszechmogący - wykrzyknął Artie, gdy w pokoju zapaliło się światło.
- Jezu. - Gerry nie wiedział, co powiedzieć.
- Spojrzeli po sobie z otwartymi ustami.
- Wytapetował całą tę norę zdjęciami Helen. W głowie się nie mieści. Biedna kobieta. Popatrz, Artie, gdziekolwiek usiadł, dokądkolwiek poszedł, a nawet jeśli sienie ruszał z miejsca, widział jej zdjęcia. Skąd, do licha, tyle ich wziął?
- Przyjrzyj się dobrze. To kilka powielonych zdjęć. Pewnie je zeskanował i powiększył do różnych rozmiarów. To się wszystko da zrobić na komputerze. A skoro już o tym mowa, ma tu potężną maszynę. Idę o zakład, że sam go złożył.
- Dlaczego go zostawił? - zapytał Gerry.

- Bo jest tak diabelnie pewny siebie, że nie sądził, byśmy tu kiedyś dotarli. Na pewno wziął ze sobą laptop - mruknął Artie, włączając komputer.
 - Może to jakaś pułapka. - Gerry odsunął się od składanego stolika, na którym stała maszyna.
 - Nie, żadna pułapka, ale Ward mógł skasować wszystkie dane. Diabeł jeden wie, jak pracuje mózg tego faceta. Pewnie wymyślił jakieś skomplikowane hasło, którego nie odgadniemy - odparł Artie. - Miałem rację. Komputer pyta o hasło.
 - Wiedziałem! I co teraz? Strasznie tu śmierdzi. Ten gość chyba nie lubi gotować - powiedział Gerry, wskazując na stertę pojemników, torebek i pudełek po pizzy, z niedojedzonymi resztkami. Na brudnej podłodze wały się butelki po piwie i mocniejszych alkoholach. - Co dalej, Artie? Co my tu w ogóle robimy? - zapytał, zgniatając butem wielkiego karalucha.
 - Próbuje się dowiedzieć, jak Ward odnalazł Helen. Odpowiedź znajduje się w jego komputerze. Daniel Ward nie jest typem człowieka, który facygowałby się osobiście, by szukać jej tradycyjnymi metodami. Wie mniej więcej, jak działa program fundacji. Mówię ci, że odpowiedź jest tutaj. To mi chwilę zajmie, Gerry. Poszukaj sobie czegoś do siedzenia.
 - Zabrałeś jedyne krzesło - prychnął Gerry.
 - To oprzyj się o ścianę.
- Artie zasiadł za komputerem, Gerry zajął więc do niesamowicie brudnej kuchni oraz równie brudnej łazienki i sypialni. Twarz Helen patrzyła na niego ze wszystkich ścian. Zrobiło mu się niedobrze. Czy policja uznałaby coś takiego za obsesyjne prześladowanie? A może stwierdziliby, że człowiek ma pełne prawo wytapetować sobie dom zdjęciami żony? Pewnie to jego zamknęliby za włamanie, a Artiego razem z nim. Przeszedł go dreszcz i poczuł się bardzo, bardzo stary.
- No i jak, Artie?
 - Nic. Próbuję myśleć jak Daniel Ward i mam z tym kłopoty. Wypróbowałem już wszystkie słowa, jakie przyszły mi do głowy, a które mogły mieć dla niego jakieś znaczenie. Figa z makiem. To prawdopodobnie bardzo proste słowo, coś, na co w życiu byśmy nie wpadli. A ty nie ruszyłyś mózgownicą?
 - Ja? Może zmienił swoje stare hasło na coś, co ma związek z wydarzeniami w jego życiu, od kiedy Helen go opuściła. Nie spodziewał się tego, a kiedy to się stało, nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Mówiłeś, że jest zarozumiały i arogancki. I nagle stracił pracę, a żona mu zwiła.
 - Dobra, myśl dalej, skoro i tak podpierasz tylko ścianę - burknął Artie. Po długiej chwili uniósł z rezygnacją rękę. - Poddaję się!
 - Nie możesz się poddać. Ten facet znajdzie Helen i zrobi jej krzywdę. Jaka była jego największa pasja? Wiesz coś o tym?

- Pieniądze.
- Spróbujmy od tego zacząć. Mówiłeś, że to on wysyłał te wszystkie wirusy do twoich komputerów firmowych. Mówiłeś też, że zniszczył oprogramowanie w komputerach Izzie. Wiemy, że grzebał w komputerze Izzie, kiedy Maggie Eldridge dała mu jej maile. Prawdopodobnie szybko odkrył, że hasło brzmiało „Boots”. A to znaczy, że wiedział o jej testamentie. Jesteś specem od komputerów, Artie. Jak mógł się dowiedzieć o spadku?
 - Przechwytyjąc jej maile. I do mnie, i do ciebie przysłała kilka, z informacją, co zamierza zrobić. Jesteś chyba na właściwym tropie, Gerry. Dla niego to było jak wygrana na loterii. Pozostało mu tylko odnaleźć Helen i przekonać ją, że się zmienił na lepsze. Jak każdy damski bokser był święcie przekonany, że Helen wpadnie prosto w jego ramiona razem z wielką wygraną. Jak to się mówi na główną wygraną na *loterii, jackpot?* - Nagle krzyknął: - To jest to, Gerry!
 - Gerry schylił się nad stolikiem, patrząc, jak Artie swoimi sękatymi palcami wpisuje słowo *jackpot*. Zamrugnął, zdumiony, kiedy ekran komputera nagle ożył.
 - Jesteś geniuszem! - Artie promieniał.
 - Czy możesz skopiować to, co tam znalazłeś? Musimy się stąd wynosić.
 - Poczekaj, pootwieram pliki. Skopiuję tylko to, co dotyczy sprawy.
 - Ile czasu ci to zajmie? Cały się trzęsę. Nie podoba mi się to miejsce. Te , wszystkie zdjęcia Helen... Chcę wracać do domu. Jak ją wytropił? Wiesz już?
 - Nie do końca. Ale chyba zaczynam rozumieć. Wygląda na to, że ten sukinsyn sprawdził wszystkie bazy danych w tym kraju i dowiedział się, do którego weterynarza zabrała swojego psa. Musiała ostatnio zmienić lecznicę i podać prawdziwe imię psa. Fundacja pilnuje takich rzeczy i używa zawsze kombinacji liter z cyframi. Nie jestem pewien na sto procent, ale chyba tak właśnie było. Ten drań musiał pracować przez okrągłą dobę, siedem dni w tygodniu, przeczesał każdy stan, każde miasto, sprawdzając każdego weterynarza. W końcu mu się opłaciło. To tylko przypuszczenie, jednak bardzo prawdopodobne. Helen żyła w ciągłym strachu. Spójrz na siebie. Nawet go nie znasz, a i tak cię przeraził samym wyglądem mieszkania. Strach to potężna broń, Gerry. Jeśli dodasz do tego siłę woli, zrozumiesz Helen.
 - To tutaj mieszkał, kiedy się spotykał z Maggie Eldridge?
 - Nie, detektyw podał w raporcie inny adres. Wtedy wynajmował przyzwoicie umeblowane mieszkanie w jakiejś kamienicy. Nie wiem, czy ta dziewczyna w ogóle by się z nim zadała, gdyby widziała to miejsce. Podejrzewał że zaczęły mu się kończyć pieniądze i dlatego się tu przeprowadził.
 - Chętnie sfotografowałbym tę rudere, ale to byłby tylko dowód naszego włamania. Policja powinna to zobaczyć, gdyby Helen chciała na niego

donieść. Mam w schowku polaroid. Co ty na to, Artie?

- Przynieś go! Zostały mi do skopiowania jeszcze dwa pliki i możemy

się wynosić. Sfotografuj każdy kąt, bo nikt w to nie uwierzy.

Kiedy Geny zużył ostatnią rolkę filmu, Artie zapakował dyskietki i wrzucił je do koperty razem z pistoletem.

- Chyba możemy iść.

- Artie.

- Co?

- On przykleił zdjęcie Helen na desce klozetowej. Z wierzchu i od spodu.

- Masz to na zdjęciu, prawda?

- Aha.

- No to spadamy stąd, jak mówi młodzież. Nie oglądaj się, Geny. Lepiej nie pamiętać tego miej sca. Jedźmy do Izz, chcę się pobawić tymi dyskietkami.

- Nasz plan wypalił, Artie. Pewnie napiszesz teraz o tym wszystkim Samowi Tolliverowi.

- Muszę to przemyśleć.

- Dobra. Pomyślimy razem.

Rozdział 21

Był jej ciepło i przytulnie w kokonie z koców, mimo że bolały ją wszystkie kości. Kiedy otworzyła oczy, wydało jej się, że mgła spowija pokój. Sprzęty były tylko szarymi, nierozpoznawalnymi kształtami.

- Obudziłaś się! Wspaniale! Martwiłam się o ciebie, Helen. -
Wesoły

głos dochodził jakby z daleka.

Znała ten głos, słyszała go wiele razy, ale jakoś nie mogła go skojarzyć z żadną twarzą czy imieniem. Oby ta dziwna mgła zniknęła.

Poczuła na twarzy i szyi coś mokrego i ciepłego, a jednocześnie dodającego otuchy. I nagle usłyszała dźwięk, który rozpoznała - popiskiwanie Lucie i ciut niższe skomlenie Maksa.

- Jak się macie - wychrypiła z trudem. Ten zgrzytliwy bas przestraszył i ją, i psy, które aż podskoczyły na łóżku.

- To ja, Julia. Czujesz się lepiej? Te twoje psy naprawdę cię kochają. Nie chciały odejść od łóżka. Aż dziw bierze, że tak grzecznie załatwiały się na gazetę, którą im zostawiałam. Prawdę mówiąc, pierwszego dnia nie pozwoliły mi nawet na to. Musiałam wrzucić gazetę i mieć nadzieję, że będą wiedziały, o co chodzi. I wiedziały.

- Pierwszego dnia?
- Byłaś półprzytomna przez trzy dni, Helen. Wszyscy baliśmy się o ciebie.

- Trzy dni -wykrztusiła Helen.

Kobieta z radości mówiła tak głośno, że Helen aż zwinęła się pod kocem.

- Miałas bardzo wysoką gorączkę. Spadła dopiero wczoraj wieczorem. To dlatego masz takie popękane i spieczone wargi. Jak się czujesz? Uda ci się przełknąć trochę galaretki albo zupy? Nie napiłabyś się herbaty? Przygotowałam specjalną mieszankę, może ci posmakuje.

- Chcesz powiedzieć, że psy nie były na dworze od trzech dni?

- Próbowaliśmy je wyprowadzić, ale nie chciały od ciebie odejść.

Gazety wystarczyły. Ale to była najmniej istotna sprawa - powiedziała uspokajająco Julia.

Helen z trudem oparła się na łokciu.

- Czuję się jak ugotowana. No dobra - powiedziała do psów. - Idźcie

z Julią, i to już! Nic mi niejest. Będę tu, jak wrócicie.

Lucie spojrzała najpierw na swoją panią, a potem na wielkiego labradora, by zobaczyć, co on zrobi. Helen skinęła głową i szepnęła coś ochryple do psiego ucha. W mgnieniu oka zeskoczył z łóżka, Lucie za nim. Przy drzwiach oba psy odwróciły się jeszcze raz i popatrzyły na Helen.

- Sio, pobiegajcie trochę na powietrzu - rozkazała. - Ja się nigdzie nie ruszam. Julia da wam ciasteczko.

- Dojdiesz sama do łazienki? - krzyknęła Julia przez ramię.

- Chyba tak.

- Przynieść ci zupę i galaretkę?

- Tak.

Helen ledwie znalazła siły, by przekręcić się na bok i spuścić nogi z łóżka. Zakręciło jej się w głowie, trzęsa się z osłabienia. Co się z nią stało? Pamiętała jeszcze, że Julia przyniosła elektryczny koc i grog na bolące gardło. Przypominała sobie mętnie, że miała jednocześnie gorączkę i dreszcze. Natomiast zupełnie nie pamiętała, czy coś jadła przez te trzy dni, które spędziła w łóżku.

Kiedy doszła do ładnej, biało-niebieskiej łazienki, spojrzała w lustro i oniemiała. Nie poznawała siebie w tej wymizerowanej, rozczochranej kobiecie z zapadniętymi oczami. Przysunęła się bliżej i przyjrzała bladej skórze i popękany wargom. Może poczułaby się lepiej, gdyby wzięła prysznic, ale nie wiedziała, czy da radę.

Julia weszła z psami do pokoju, gdy Helen usiłowała naciągnąć na nogi ulubione, flanelowe spodnie od piżamy.

- To chyba nie był naj lepszy pomysł, Helen, ale rozumiem cię doskonale. Ja też zawsze czuję się lepiej, kiedy wezmę prysznic i posypię się trochę talkiem. Trzeba było na mnie poczekać. Chwiejesz się z osłabienia, ale to minie, jak tylko coś zjesz. Poczekał chwilę, poprawię ci pościel. Powinnaś poleżeć w łóżku jeszcze co najmniej jeden dzień.

- Co mi się właściwie stało? - wyszeptwała Helen ze znużeniem.
- Zjawiłaś się u nas zupełnie wykończona. Stres, wirus, nazwij to, jak chcesz. Kilka naszych pensjonariuszek przechodziło to samo, ale nie tak ciężko jak ty. To nie grypa, to jakiś inny wirus.

Wzywaliśmy nawet lekarza. To jedna z tych infekcji, które trzeba wyleżeć do końca. Za parę dni będziesz zupełnie zdrowa. Masz zjeść wszystko z tej tacy i wypić całą herbatę. Doktor zapisał ci duże dawki witamin i powiedział, że musisz jak najwięcej pić. Psy czują się świetnie, więc teraz cię zostawię i wrócę do pracy. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, zadzwoń, dzwonek jest na szafce.

- Dzięki, Julio. Czy psy coś jadły?
- Wstawiałam im jedzenie do pokoju. Jadły, kiedy były głodne.
- Poradziliście sobie już z tymi wirusami komputerowymi?
- Tak, zainstalowaliśmy oprogramowanie na nowo, i jak na razie, system działa. Ale przez jakiś czas trzeba było załatwiać wszystko telefonicznie. To jednak wspaniały wynalazek, choć może pod wieloma względami trochę przestarzały. Na szczęście lubię rozmawiać z ludźmi.

Helen przytaknęła z roztargnieniem. Tak naprawdę niewiele ją obchodziło. Próbowwała ich przecież ostrzec, że Daniel coś wykombinuje. Niszczył wszystko, z czym miała kontakt, to była najwyraźniej jego życiowa misja. Nie jej wina, że nie chcieli słuchać.

- Jak udało ci się wprowadzić tu lekarza?
- Podałam im środek uspokajający w jedzeniu, tego dnia, gdy czekaliśmy na doktora. Zrobiłam małe kulki z sera i rzuciłam je na łóżko. Kiedy przyszedł, prawie już spały. Musiałam to zrobić, Helen. To był pomysł lekarza. Teraz już wszystko przetrwały i nic im nie jest.

- Muszę się stąd wynieść. Daniel wie, że tu jestem. Te wirusy, które zniszczyły wam dane, to jego sprawa. I nie poprzestanie na tym. Bóg jeden wie, co jeszcze wymyśli. Prawdopodobnie założył też podsłuch na waszą linię telefoniczną. Pewnie wie nawet, że się rozchorowałam. I czeka.

- Teraz w ogóle wybij to sobie z głowy. Nie jesteś w stanie zejść ze schodów, a co dopiero stąd odjechać. Za parę dni będzie zupełnie inaczej. Nie chcesz zjeść z nami obiadu z okazji Święta Dziękczynienia? Czoro gości wyjechało wczoraj, więc zostało nas tylko pięć, no i psy. Kiedy przyjdzie pora, pomogę ci, ale ani minuty wcześniej.

- On mnie dopadnie, Julio. Prawdopodobnie siedzi teraz gdzieś przed domem -jęknęła Helen.

- No i dobrze! Niech sobie odmrozi tyłek. Na dworze jest poniżej zera. Jakies dwa lata temu przyszedł tu facet z siekierą i próbował wyłamać frontowe drzwi. Nie udało mu się. Znalazł to miejsce, bo żona wróciła do niego i biciem wydobył z niej adres. Chciał podpalić dom, ale policja przyjechała na czas. Miał w ciężarówce sześć galonów benzyny. Ciągle jeszcze siedzi w więzieniu.

- Co się stało z jego żoną?

- Zrobił z niej roślinę, leży w państwowym szpitalu dla umysłowo chorych. Jeśli twój mąż jest tak inteligentny, jak mówisz, nie możesz się z nim mierzyć. Nie zrozum mnie źle, nie twierdę, że jesteś głupia. Lecz twój mąż i tamten w więzieniu to dwa zupełnie różne typy. Sądzisz, że możesz go przechytryć i wywieść w pole. Ale on to planował, od kiedy tylko uciekał. Ma obsesję. Takiego kogoś nie da się przekupić, przekonać ani przechytryć. Jeśli FBI zdoła powiązać go z którymkolwiek z tych wirusów, zamkną go na bardzo długo. Jeżeli sama spróbujesz coś zrobić, w końcu zniszczysz życie swoje i Sama. Przemysł to.

Helen wśliznęła się głębiej pod koc przytulona do psów.

- Tak, mam wiele do przemyślenia - szepnęła. Nie minęło kilka minut, a spała już głęboko.

Obudziła się po trzech godzinach głodna jak wilk. Było jej łatwiej przełykać, zniknął też tępy ból głowy. Pomyślała, że organizm zwalczy chyba tę infekcję. Leżała cicho, by nie przeszkadzać śpiącym psom. Straciła całe trzy dni życia. Nie raz słyszała, jak ludzie mówią w ten sposób, i zastanawiała się, jak to możliwe. Teraz wiedziała. Całe trzy dni. Siedemdziesiąt dwie godziny. Cztery tysiące trzysta dwadzieścia minut. Niewyobrażalne mnóstwo sekund, zbyt wiele dla jej zamroczonego umysłu.

Zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie, co jej się przed chwilą śniło. Coś o Sexy Lady. Nowy produkt? Nowy dodatek? Sen nie chciał powrócić, zamknęła więc ponownie oczy. Była zła, że czuje się tak kiepsko i że nie może podjąć żadnej racjonalnej decyzji. Julia miała rację. Nie nadawała się do niczego, a szczególnie do myślenia.

Fortuna Isabel Tyger. Od niedawna jej fortuna. Czy dzięki tym pieniądzom zdoła unieszkodliwić Daniela i zapewnić sobie bezpieczeństwo? Mało prawdopodobne.

Łańcuszek na brzuch! To właśnie jej się śniło. Delikatny złoty łańcuszek z cienkim jak papier medalionem, wiszącym dokładnie poniżej pępka. Po jednej stronie znak Sexy Lady, po drugiej imię właściciela. Pięćdziesiąt dolców za sztukę. Może nawet 59,95 - te 9,95 pokryłoby koszt wykonania napisu, wysyłki i zapięcia. Gdyby tak podnieść cenę do 69,95, dodatkowe 9,95 wy-

starczyłoby na łańcuszek, a ona miałyby pięćdziesiąt dolarów na czysto za każdą sprzedaną sztukę. Sam byłby dumny z jej pomysłowości. Oczywiście kiedy już przestałby się śmiać.

Naprawdę, to by go zważyło z nóg. Uśmiechnęła się, wspominając jego reakcję na piórka. Och, Sam, tak bardzo za tobą tęsknię!

- Helen, czy mogę ci coś podać? Sok, herbata? - zapytała Julia, uchylając drzwi.

- Mój laptop. Muszę coś sprawdzić. Potrzebne mi też pudełko z dyskietkami.

- Później, Helen. Musisz wypoczywać. Popatrz. - Podciągnęła żaluzje. - Pada śnieg. To pewnie przelotny śnieżek, ale tak ładnie wygląda.

- Śliczny - odparła Helen z roztargnieniem. - Napiałabym się soku. Julio, z moimi palcami wszystko w porządku. I czuję się już przytomniejsza. Chcę wejść na moją stronę internetową i dodać nowy produkt.

- Czy twój komputer jest zabezpieczony?

- Tak, do tej pory nie miałam problemów.

- Dobrze, tylko godzinka. Ani chwili dłużej. Wyprowadzę psy, śnieg im się spodoba. Na lunch ugotuję zupę jarzynową, a jedna z dziewczyn piecze chleb.

- Brzmi nieźle. - Helen poczuła, że ślinka jej cieknie na myśl o domowym chlebie i zupie, gęstej od jarzyn i kawałków mięsa. - Idźcie z Julią, da wam po ciasteczku - powiedziała do psów. - Aha, będzie mi też potrzebny mój szkicownik.

- Wedle życzenia, młoda damo. Ale tylko godzinka!

- Tylko godzinka.

Szkicowanie smukłej modelki w koronkowym biustonoszu, wyciętych majteczkach i z cieniutkim, złotym łańcuszkiem na brzuchu zajęło jej piętnaście minut. Dla lepszego efektu dodała modelce szykowny, biały kapelusz. Rysunek wykończyła kaskadą białych piórek.

Jeśli skaner w schronisku jest sprawny, Julia może zeskanować dla niej rysunek i w ciągu godziny znalazłby się na jej stronie. Gdyby Sam sprawdził zamówienia, wiedziałby, że ona ma się dobrze. Może powinna dodać coś jeszcze? Oczywiście, Maksa i Lucie, łapiących spadające piórka. Sam zrozumie. Zaczęła rysować z takim zapalem, że była zupełnie wykończona, kiedy Julia wróciła z psami.

- Bardzo im się podobało. Śnieg jest trochę mokry, ale jeśli nie przestanie padać, może się uzbiera nawet kilkanaście centymetrów. Podobno jutro trochę się ociepli. Przyniosłam ci sok i grzankę. No, no, co my tu mamy?

- To łańcuszek z medalikiem, do noszenia na brzuchu.

- Poproszę dwa - zażartowała Julia. - Całkiem sexy.

- Zeskanujesz mi to na dyskietkę, żebym to mogła dodać do mojej strony?

- Spróbowałabym, ale lepiej będzie, jeśli każę to komuś zanieść do punktu usługowego. To potrwa jakąś godzinkę. Nie ma sensu kusić licha, zgadzasz się?

- Tak. Czy to na pewno nie za duży kłopot?

- To żaden kłopot. Mamy całą listę ochotników, którzy pomagają nam załatwiać takie sprawy. A tak z ciekawości, ile coś takiego kosztuje?

- 69.95.

- W takim razie biorę tylko jeden - roześmiała się Julia.

- Dla ciebie jest za darmo. Możesz dostać, ile zechcesz.

Julia znów się roześmiała. To był miły dźwięk.

- Wypij sok i zdrzemnij się. Jak się obudzisz, pewnie będę już miała dla ciebie dyskietkę, no i lunch będzie gotowy.

Helen nie protestowała, kiedy Julia zamknęła laptop i przestawiła go na niewielkie biurko pod ścianą. Zasnęła, nim jeszcze Julia zdążyła wyjść.

Sam przeturlał się na bok i wyciągnął rękę. Nie znalazł obok siebie ciepłego ciała, przesunął się więc na swoje miejsce. Wiedział, że tej nocy już nie zaśnie. Wstał, podkręcił ogrzewanie w hotelowym pokoju i wciągnął spodnie od dresu.

Postanowił, że za parę godzin, kiedy wstanie rano, spakuje swój mizerny bagaż i wróci do domu, który tak krótko dzielił z Helen. Zostawił tam wiele wspomnień, dobrych i złych. Jeśli będzie w nastroju, wpadnie do supermarketu i kupi indyka. Przecież to nie może być trudne, upiec indyka. A jak już zje kolację, resztę podzieli na porcje i zabierze je do schroniska dla zwierząt. Tak, tak właśnie zrobi. Z dziesięciokilogramowego indyka powinno wyjść sporo posiłków, jeśli jeszcze doda suchą karmę.

Ramiona zatrzęśły mu się od tłumionego szlochu. Pomyślał, że jeśli się nie weźmie w garść, zacznie ryczeć jak dziecko. Żałował, że nie ma kawy - musi kupić paczkę, kiedy będzie w spożywczym. Mógłby pójść nawet teraz, jeśli w pobliżu znajduje się jakiś nocny sklep. Przypomniawszy sobie, że Helen mówiła kiedyś, że w centrum handlowym Middlesex jest całodobowy supermarket. Przynajmniej nie sterczałby tu beczynnym. Usiadł i pociągnął łyk letniej coli, która została mu z poprzedniego wieczora. Zawsze to kofeina.

Nie mając nic innego do roboty, włączył swój laptop i podpiął go do gniazdka telefonicznego. Poczekał na zgłoszenie systemu i wpisał adres Sexy Lady. Dziesięć sekund później wykonał triumfalny gest pięścią, kiedy zobaczył najnowsze dzieło Helen. Wpatrzył się chciwie w podobizny Maksa i Lucie.

To na pewno wiadomość dla niego. Wiadomość, że Helen i psy żyją i czują się dobrze. Roześmiał się na widok łańcuszka. Kto przy zdrowych zmysłach zamówi, a tym bardziej założy, coś takiego? Ale cóż on wie o babskich upodobaniach? Z czystej ciekawości zajrzał na listę zamówień i wybuchnął histerycznym śmiechem. Wyglądało na to, że sporo ludzi będzie nosić łańcuszki na brzuch firmy Sexy Lady. Zamówienia napływały bez końca. Musiało ich być chyba z tysiąc. Na ekranie pojawiło się właśnie kolejne, kiedy przejrzał listę do końca. Jakaś Hillary Nolan zamówiła dwa łańcuszki o czwartej nad ranem. Niesamowite. Sprzedając je zaprawie siedemdziesiąt dolców, Helen zbije fortunę. Pomyślał, że powinien zmienić zawód. Po co ślęczeć nad nudnymi liczbami, kiedy można sprzedawać piórka i łańcuszki na brzuch?

A to co? Przysunął twarz bliżej ekranu i przypatrzył się uważniej narysowanym psom. Widocznie na monitor musiał paść jakiś cień w mętным świetle lampki. Obydwa miały łańcuszki z medalikami, zwisającymi luźno na szyjach. Mrużąc oczy, rozróżnił drobnutki literki. Na medaliku Maksa widniało imię Sam, a na Lucie - Helen.

To z całą pewnością była wiadomość od Helen, żeby nie tracił ducha. Było to też potwierdzenie słów Arthura Kinga: Helen nie chce fortuny Isabel Tyger. Doskonale radzi sobie bez tych pieniędzy. Zarobi na sobie - łańcuszkami, piórkami, seksowną bielizną czy czymkolwiek innym.

Wyłączył komputer i wrzucił swoje rzeczy do worka. Dziesięć minut później jechał już do domu. W połowie drogi przypomniał sobie o indyku. Zawrócił i ruszył z powrotem do supermarketu. O, tak, miał za co dziękować w to Święto Dziękczynienia.

Rozdział 22

Daniel Ward siedział skulony i przemarznięty w kabinie srebrnego nissana. Od czasu do czasu zapalał silnik, by się ogrzać. Od wielu dni dosłownie mieszkał w tym wynajętym samochodzie. Nie mógł opuścić posterunku. Torby i pudełka po kupnym jedzeniu oraz styropianowe kubki piętrzyły się na tylnym siedzeniu i na podłodze po stronie pasażera. Daniel nienawidził takiego żarcia, ale było tanie. Obok niego, na siedzeniu pasażera, leżał laptop, prawdziwe cacko, a pod siedzeniem, na wpół zakopany w zatłuszczonych, śmierdzących papierowych torbach - kupiony nielegalnie pistolet.

Daniel wściekał się na padający gęsto śnieg, bo nie umiał prowadzić w zimowych warunkach, nie wiedział nawet, czyjego wynajęty samochód

ma przedni napęd. Wpatrywał się w zwyczajny z pozoru dom, w którym schroniła się jego żona. Było to jedno ze sławnych schronisk Isabel Tyger. Arthur King przechwalał się, że nie da się do nich włamać. Wszędzie da się włamać, King sam się o tym przekonał. Daniel złamał zabezpieczenia i zniszczył jego komputery co najmniej cztery razy. A stary dobry Arthur myślał, że to Ted Wexler jest najlepszy.

- Dupek - syknął Daniel, szcękając zębami. Chuchnął w dłonie, próbując je rozgrzać, nie oderwał jednak wzroku od domu po drugiej stronie ulicy.

Zamierzał poczekać jeszcze jeden dzień, nim zastosuje bardziej drastyczne środki. Helen niedługo wyjedzie. Był tego pewien. Gdyby tak się nie stało, będzie musiał coś z tym zrobić. Helen, zapłacisz mi z nawiązką za wszystkie nieszczęścia, które na mnie sprowadziłaś. Kiedy cię wreszcie złapię za gardło, nie puszczę, aż zdechniesz. Jeszcze nie wiesz, jak bardzo cię nienawidzę za to, co mi zrobiłaś. Ale dowiesz się, gdy tylko cię dorwę. I zabiję tego twojego parszywego psa. Tego drugiego też. Tym dupkiem, z którym mieszkalaś, już się zająłem. Powiedział, że go porzuciłaś, uciekaś od niego. Ukradłaś mu psa i zostawiłaś z niczym. Widocznie on też ci się znudził. Dlaczego nie mogłaś robić tego, co ci kazałem? O, nie! ty musiałaś udawać, że masz rozum, a nie ptasi mózdzek. Paplałaś o naszych prywatnych sprawach. Wtedy mi się to nie podobało i teraz mi się nie podoba. Żyję jak włóczęga. Od tygodnia się nie kąpałem. Mieszkam w samochodzie jak jakiś wyrzutek, i to wszystko przez ciebie. Jezu, jak ja cię nienawidzę, dziwko jedna!

Zapalił silnik. Westchnął z ulgą, kiedy ciepłe powietrze dmuchnęło mu w pierś. Spojrzał na wskaźnik benzyny: pół baku. Prędzej czy później będzie musiał znaleźć nocną stację benzynową. Postanowił poszukać jakiejś w środku nocy, kiedy będzie pewny, że mieszkańcy schroniska nigdzie sienie ruszą. Nie może mu przecież zabraknąć benzyny, gdy jest już tak bliski celu.

Kiedy zrobiło mu się ciepło i przytulnie, trochę się rozluźnił. Może powinien zadzwonić do matki? Ale z drugiej strony, wcale nie miał na to ochoty. Nienawidził jej tak samo jak swojej żony. Swojej siostry, Amy, też nienawidził. Nie dając sobie czasu, by zmienić zdanie, wygrzebał z kieszeni płaszczka telefon komórkowy. Naładował go wcześniej, ale i tak był zdziwiony, że jeszcze mu go nie wyłączono, choć od dwóch miesięcy nie płacił rachunków.

Musiał się psychicznie przygotować do tej rozmowy. Nie miał pojęcia, czemu w ogóle zawraca sobie tym głowę. Po co do niej dzwonić? W jej oczach jest nieudacznikiem. Raz nawet nazwała go śmieciem. Kiedy był dzieckiem, tak bardzo chciał, żeby powiedziała do niego Danny, kochanie, czy choćby synu. Nigdy tego nie zrobiła. Za to nieraz nazwała go babą albo mięczakiem. Boże, jak on jej nienawidził. Amy nazywała słoneczkiem, skarbem, czasem nawet ciasteczkciem. Kiedy do niej mówiła, ton jej głosu był zupełnie inny.

Może to dlatego tak nienawidził swojej przebojowej siostry, brokera na giełdzie. Zastanawiał się, czy potraktują go inaczej, kiedy pomacha im przed nosem pieniędzmi Isabel Tyger. Oczywiście, że potraktują go inaczej, choć i tak powiedzą, że Tyger nie zostawiła tych pieniędzy jemu, tylko jego żonie. Będą za jego plecami szeptać wstrętne, okrutne słowa. Słowa, które ranią serce, których nie można zapomnieć.

Raz, kiedy był jeszcze młodym chłopakiem, ojciec próbował usprawiedliwić przed nim matkę. Dążyła do sukcesu. Chciała być bogata i sławna i pracowała niezmordowanie, by to osiągnąć. „Twoja matka wie, jak lawirować i pociągać za sznurki, komu się podliznąć i jak się poruszać w świecie finansje-ry - powiedział. - Ja nie jestem taki. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle za mnie wyszła. Może dlatego, że lepiej się prezentuje na tle nijakiego męża”.

Daniel wzdygnął się na to wspomnienie. Jego ojciec był dobry i łagodny. Prowadził niewielką szkółkę ogrodniczą i to w zupełności mu wystarczało. Adam Ward wiedział wszystko na temat krzewów, drzew, kwiatów i traw, pasjonował się tym. Żył uczciwie i był przyzwoitym, ciężko pracującym człowiekiem. Daniel żałował teraz, że nie był miłszy, grzeczniejszy dla swojego ojca. Zawsze próbował przypodobać się matce, zdobyć jej szacunek, a ojca zupełnie nie zauważał.

Zaczaj się wtedy zamykać w sobie, czas spędzał wyłącznie przy komputerze, który stał się jego jedynym przyjacielem. W świecie komputerów wszystko przychodziło mu wyjątkowo łatwo, był w tym naprawdę dobry, ale ona i tak go nie doceniła. Ciągle mu dogryzała, robiła kąśliwe uwagi. Kiedyś, zraniony jedną z takich uwag, podniósł na nią rękę. W następnej chwili przeleciał przez pokój, wylądował na plecach, a matka stanęła nad nim, szydząc z jego fizycznej i psychicznej słabości. Amy weszła wtedy z ojcem do pokoju i zaczęła się śmiać. Ojciec wyciągnął rękę i pomógł mu wstać. Daniel udał wtedy, że nic sobie z tego nie robi, ale gdy został sam, rozplakał się jak dziecko, choć miał już siedemnaście lat

Boże, jak on jej nienawidził.

I właśnie ta nienawiść sprawiła, że wybrał numer prywatnej linii swojej matki. Nienawidził siebie za to, że tak bardzo chciał usłyszeć jej głos, i za to, że jest taki słaby. Miał nadzieję, że nie odbierze. Odebrała.

- Mamo, mówi Daniel. Jak leci?

- Wszystko w porządku. A co u ciebie? Dawno nie dzwoniłeś.

Czyżby dlatego, że nie dostałeś awansu?

- Wręcz przeciwnie, byłem tak zajęty z powodu awansu, że nie miałem kiedy zadzwonić - skłamał.

- Jaką masz teraz pensję?

- Na pewno dużo niższą niż ty, mamo, ale za to może zostanę dyrektorem naczelnym. Wszystko wymaga czasu.

- Tak, z pewnością, szczególnie w twoim przypadku. Amy zarobiła swój pierwszy milion, nim skończyła dwadzieścia pięć lat. Ja co prawda dopiero przed czterdziestką, ale tylko dlatego, że późno zaczęłam. Twojemu ojcu jeszcze się nie udało, jak wszyscy wiemy. A ty, jak myślisz, kiedy zarobisz swój?

- Już niedługo - znowu skłamał.

- Co u twojej żony, Danielu? W zeszłym roku nie przysłała mi kartki ani na święta, ani na urodziny. Czuję się urażona. Jakież problemy małżeńskie?

- Nie, skądże. Nie może być lepiej. Myślałem, że się z nami skontaktujesz, ale może nie słyszałaś jeszcze dobrych wieści...

- Jakich wieści? Będziecie mieli dziecko?

- Nie, mamo. Helen i ja odziedziczyliśmy fortunę Isabel Tyger. Mówili o tym we wszystkich wiadomościach. Tyle że Helen występowała pod nazwiskiem Nancy Baker, nie mogę ci teraz wyjaśnić dlaczego. Jak mogłaś przegapić coś takiego? Dziwne, że Amy ci o tym nie wspomniała, biura maklerskie z całego kraju nas oblegają.

- Zdaje się, że coś o tym słyszałam. Ale co dokładnie masz na myśli, mówiąc „fortuna”?

- Około trzystu milionów dolarów, plus nieruchomości. To przecież fortuna.

- I ty to wszystko odziedziczyłeś. Lepszego dowcipu nie słyszałam. Dlaczego ktoś taki, jak Isabel Tyger, miałby zostawiać tobie i tej kurewce z przyczepy wszystkie swoje pieniądze?

- Była mi wdzięczna za pomoc i uwielbiała Helen. Mamy teraz jacht i prywatny odrzutowiec, że nie wspomnę o samochodach. No i dom w Szwajcarii, na Hawajach i w Aspen, i willę w Hiszpanii. Dałem ci do myślenia, co? Gdzie tato?

- Hmm. Może będziesz tak uprzejmy i przyślesz mi kopię testamentu. Umiesz kłamać jak z nut. Nie mam pojęcia, gdzie jest twój ojciec. Pewnie na dworze, ogląda jakieś nocne kwiaty. Powiem mu, że dzwoniłeś.

Daniel usłyszał perlisty śmiech matki, zanim się rozłączyła.

- Do diabła z tobą- wymamrotał.

Kiedy już dostanie w swoje ręce pieniądze Isabel Tyger, kupi helikopter i wylądjuje na wypieszczonym, frontowym trawniku matki. To ją powinno przekonać. Do licha, tak właśnie zrobi. Może wtedy odechce jej się śmiać. Jego siostra będzie się oczywiście z niego nabijać, ale zzielenieje z zazdrości. A ojciec ... Cóż. Ojciec spojrzy na niego swoimi smutnymi oczami, zmartwiony, że helikopter zniszczył trawę.

Daniel wyłączył ogrzewanie i uchylił okno, żeby wyrzeć przez szparę. Schronisko pogrążyło się już w ciemności. To znaczy, że wszyscy poszli

spać. Zmarszczył brwi. Dziewiąta to trochę za wcześnie. Przez ostatni tydzień światła gasły dopiero dziesięć po jedenastej, po wieczornym wydaniu wiadomości.

Dziś było inaczej. Nawet najmniejszy promień nie wydobywał się spomiędzy żaluzji na piętrze. Lampa obok drzwi frontowych również zgasła. Daniel wiedział, że ciemność może być wrogiem albo przyjacielem. W tym przypadku, jak sądził, miała być przyjacielem Helen.

Pomyślał o garażu na trzy samochody i latamiach na fotokomórkę, które zapalały się automatycznie. Czy zapalą się dziś, kiedy otworzą się drzwi garażu? Mało prawdopodobne. W środku na pewno był wyłącznik, który pozwalał sterować nimi ręcznie. Wiedział, że w garażu stoją trzy różne samochody. Furgonetka, jakiś mniejszy wóz i terenówka z napędem na cztery koła, która przyjechała cztery dni temu. Żaden z samochodów nie opuścił garażu w ciągu ostatniej doby.

Zastanawiał się, co zrobi, jeśli wszystkie trzy wyjadą jednocześnie w różnych kierunkach. Za którym powinien pojechać? Parsknął pogardliwie. Naturalnie, że za terenowym pathfinderem. To tak oczywiste, że aż żalodne. Czy oni nie wiedzą, z kim mają do czynienia?

Czekał dalej.

- Helen, robisz błąd. To tak oczywiste, jak to, że tutaj stoję. W tej chwili wszystko działa przeciwko tobie. Pada śnieg, jesteś osłabiona po chorobie, a na zewnątrz czeka na ciebie twój mąż. Czy jest jakiś sposób, żeby skłonić cię do zmiany zdania?

- Nie, Julio. Nie ma takiej siły.

- A czy możesz przynajmniej szepnąć słówko, dać mi jakąś podpowiedź, dokąd jedziesz, żebyś się tak nie martwiła? Pamiętaj, że masz do dyspozycji pieniądze pani Tyger. Skorzystaj z nich. Wolałabym, żebyś poleciała do Kalifornii.

- W życiu nie naraziłabym psów na podróż w przedziale bagażowym. Za dużo przerażających historii słyszałam na ten temat. Nie powiem ci, dokąd jadę, bo sama nie wiem.

- To znaczy, że nie masz żadnego planu? - zapytała Julia z oburzeniem.

- Właśnie tak. Daniel spodziewa się, że mam plan, i będzie próbował go odgadnąć.

- Dlaczego nie zadzwonisz do Kalifornii i nie każesz tu sprowadzić samolotu pani Tyger? Psy leciałyby pierwszą klasą, a ty byłabyś bezpieczna, na litość boską.

- Julio, dziękuję za twoją przyjaźń i że złamałaś dla mnie przepisy. Będę ci wdzięczna do końca życia. Nie martw się o mnie. Zadzwoń, jak tylko będę mogła. Przecież wiesz, że Max nie pozwoli mi skrzywdzić, prawda?
- Wiem i liczę na niego.
- Zdradzę ci j eden sekret, może cię to trochę uspokoi. Ta paczka, którą mi dałaś, była od Arthura Kinga. Poprosiłam go o pistolet, taki, z jakiego nauczyli mnie strzelać w schronisku w Kalifornii. Ten kurs samoobrony, który musiałyśmy zaliczyć, też się przyda. Na strzelnicy byłam całkiem niezła. Nie jestem owieczką, idącą na rzeź, więc przestań tak na mnie patrzeć. Zmamuję wszystko, jeśli teraz nie odzyskam kontroli nad swoim życiem. Nikt tego za mnie nie zrobi. Pora na mnie.
- Obiecuj, że przyślesz mi łańcuszek. - Julia uśmiechnęła się szeroko.
- Obiecuję - powiedziała uroczyście Helen.
- Patrzyła ze łzami w oczach, jak Julia przytula psy na pożegnanie.
- Chodźcie, idziemy do samochodu. Julio, daj nam kilka minut. Otwórz drzwi, dopiero kiedy mrugnę światłami, dobrze?
- Nie ma sprawy.

Arthur King westchnął ciężko, odkładając słuchawkę.

- Helen wyjechała ze schroniska, Geny. Na dodatek w New Jersey pada śnieg. Myślę, że ona jedzie do Kalifornii, ale nie ciesz się za bardzo. To tylko moje przypuszczenie. Pewnie chce zwabić tu z powrotem Daniela. Tu się wszystko zaczęło i tu chce wszystko zakończyć. Kiedy już rozwiąże swoje problemy, zadzwoni do Sama i powie mu, że jest wolna. Ona chyba uważa, że musi to wszystko załatwić bez niczyjej pomocy. Zresztą, co my tam wie my? Nie siedzimy w jej głowie. Myślę, że Boots miała rację, to naprawdę dzielna dziewczyna. Zdążyłem ją polubić, choć Daniel rzadko ją przyprowadzał. Mojej żonie też się spodobała.
- Masz już jakieś wiadomości od prawników na temat jej dokumentów?
- Pracują nad tym. To będzie nieźle kosztować. Zrobiliśmy z tego priorytetową sprawę, więc wszyscy chodzą za tym osobiście, zamiast wysyłać maile i czekać tygodniami na odpowiedzi. Jeśli mam rację i Helen rzeczywiście jedzie do Kalifornii, zajmie jej to jakieś cztery, pięć dni. Do tej pory powinniśmy już coś wiedzieć. Kiedy to się wreszcie skończy, Geny, co będziemy robić?
- Coś ważnego. Coś, co spodobałoby się Izzie, no wiesz, coś szlachetnego - odparł Geny. - Mam nadzieję, że Helen pozwoli sobie pomóc. Czekaj ją sporo kłopotów z tym całym spadkiem. Pewnie go w końcu przyjmie, bo ma dobre serce i będzie chciała pomagać innym. Tak przypuszczam i chciał-

bym się nie mylić. Jedno tylko wiem na pewno, Artie: nigdy nie pozwoli, żeby ten spadek rozdzielił ją z Samem Tolliverem.

- Naprawdę chciałbym wiedzieć, co ona kombinuje i jak zamierza prze-

chytryć tego drania. Popatrz no, Gerry, mail od Tollivera.

Artie poprawił okulary na nosie i przeczytał wiadomość, zaadresowaną do nich obu.

- Dobra, dość tego - powiedział Gerry. - Dzwon do niego i powiedz, co się dzieje. Podaj mu nawet adres schroniska. Zadzwoń też do Julii i uprzedź ją, że może się tam zjawić.

- Już późno, Gerry.

- Nie tak znowu. Zrób to, Artie. Masz jego numer?

- Tak, podał mi go w swoim pierwszym mailu.

- Dzwon - Gerry wręczył Artie'emu słuchawkę.

- Panie Tolliver, tu Arthur King. Przykro mi, jeśli pana obudziłem. A, nie spał pan. To dobrze. Mam panu coś do powiedzenia. Proszę słuchać uważnie.

Pod koniec rozmowy Artie odsunął słuchawkę od ucha, żeby Gerry też mógł usłyszeć, jak Tolliver klnie na czym świat stoi.

- To nic nie da, że pan tam pojedzie. Musimy uszanować wolę Helen. Przykro mi z powodu waszego domu. Jeśli tego sukinsyna stać tylko na tyle, jakoś to przeżyjemy. Helen umie się obchodzić z pistoletem. Świetnie sobie radziła na kursie samoobrony. Pathfinder jest nowiutki, więc nie będzie miała z nim kłopotów. Psy są z nią.

Przypuszczam albo to moje pobożne życzenie, lecz wydaje mi się, że jedzie do Kalifornii. Proszę wziąć mapę i spróbować przewidzieć jej trasę. Dam panu adres schroniska, ale nie dowie się pan niczego nowego. Zadzwonię teraz do Julii i powiem jej, że pan się tam zjawi. Po raz pierwszy w historii fundacji zgadzamy się na coś takiego. I robimy to wbrew sobie, panie Tolliver. Moim zdaniem, tylko pan traci czas. Radziłbym raczej pomyśleć, jaką trasę mogła wybrać Helen, i ruszyć za nią. Jej wóz to ciemnozielony, terenowy pathfinder, rejestracja LMB-465. Daniel Ward jedzie jakimś srebrzystym samochodem. Nie, nie znamy marki ani numeru rejestracyjnego. O ile wiem, pada u was śnieg, więc Helen będzie prowadzić ostrożnie. Za to Daniel Ward, jako Kalifornijczyk, pewnie nie umie jeździć po śniegu. Proszę nam powiedzieć, co pan zamierza, panie Tolliver.

- Zamierzam udusić was obu, gdy się wreszcie spotkamy. I nie obchodzi mnie, ile macie lat. Zrozumiano? Jadę za nią. Trzeba było wcześniej zadzwonić. Kiedy zobaczyłem te łańcuszki z wisiorami, pomyślałem, że jest bezpieczna i nigdzie się nie rusza. Nawet psy je noszą. Właśnie tym was uduszę, najpierw jednak każę wypisać wasze imiona na tych dzyndzelkach, które zwisają poniżej pępka. Ale tracimy czas, panie King. Wyłączam się. I lepiej dla was, żeby jej się nic nie stało, bo odpowiecie mi za to osobiście. Zrozumiano?

- Tak, panie Tolliver, rozumiemy doskonale. Z Bogiem.
 - Z Bogiem? - syknął Geny.
- Artie wzruszył ramionami.
- W filmach tak mówią. Zdawało mi się, że to odpowiednie na zakończenie. On ma zamiar nas udusić łańcuszkami na brzuch, z wypisanymi naszymi imionami. O co mu, do diabła, chodziło?
- Powiedział, że z Helen wszystko w porządku, bo widział łańcuszki do noszenia na brzuchu. Jesteśmy starzy. Gdybyśmy nie byli, pewnie wiedzielibyśmy, co miał na myśli - powiedział płaczliwie Artie.
- Może powinniśmy byli powiedzieć mu wcześniej.
 - Przepisy nie pozwalały. Nigdy przedtem ich nie łamaliśmy.
- Teraz będziemy musieli nieźle się tłumaczyć.
- Przed kim? Zostaliśmy tylko my, Artie.
 - Prawda. Czuję się taki zmęczony. Co to jest łańcuszek na brzuch?
 - Może coś, co Helen sprzedaje w Internecie. Sprawdź.
 - Oho - mruknął Artie chwilę później, wlepiając oczy w ekran.
 - O rany - zawtórował mu Gerry. - Psy też je mają. Co jest napisane na tych kółeczkach?
 - Na jednym Helen, a na drugim Sam.
 - To o to chodziło, kiedy Tolliver mówił, że z Helen wszystko w porządku. Widocznie dodała ten... tę nowość ostatnio, zawiadomiła go w ten sposób, że nic jej nie jest. Bardzo sprytnie - stwierdził Gerry. - Może i jesteśmy starzy, ale nie głupi. Nie zapomnij o tym wspomnieć, kiedy pan Tolliver znowu się do nas odezwie. Może pomyśli dwa razy, zanim nas udusi.
 - Obaj jesteśmy bardzo udani. Coś trzeba zmienić. To za poważna sprawa. A najgorsze, że nie mamy na nią żadnego wpływu. Możemy tylko siedzieć i czekać, w nadziei, że Helen wie, co robi. Jak postąpiłaby lzz, gdyby tu była? - zapytał Artie.
 - Tak samo, jak my. Czekaliby. I stawiała na Helen.
 - Więc czekajmy.

Rozdział 23

Wkabinie pathfindera było Helen niesamowicie gorąco i niewygodnie w grubej, zimowej kurtce. Obejrzała się na psy. - Wyjeżdżamy tylko na trochę. Załatwimy tę sprawę raz na zawsze, i to ja osobiście się tym zajmę. Tylko tyle mogę wam powiedzieć.- Labrador zamruczał

niezadowolony. Helen wzruszyła ramionami. - Nic na to nie poradzę - burknęła

Spojrzała na atlas samochodowy, rozłożony na siedzeniu obok. Przed wyjazdem zaznaczyła dokładnie tę samą trasę, którą przyjechała do New Jersey, kiedy opuściła schronisko w Kalifornii. Wiedziała, że sobie poradzi, jeśli tylko będzie pilnować drogowskazów. Prędzej czy później powinna sobie przypomnieć, którymi autostradami podróżowała po raz pierwszy na Wschód. To było tak dawno temu.

Wpatrzyła się w drogę przed sobą. Wirujące płatki śniegu nie wyglądały zbyt groźnie. Jezdnia była czysta, a im dalej na południe, tym cieplejsza będzie ziemia. Problem w tym, że na południe miała jechać tylko do wysokości Waszyngtonu. Potem musiała skręcić na zachód. I wtedy już pogody nie przewidzi.

Cały ten plan był mocno naciągany. Uśmiechnęła się. To ulubione powiedzonko Sama. Ale nie mogła sobie teraz pozwolić na myślenie o Samie. Był nagrodą u kresu tej podróży. Jeśli w ogóle ją ukończy. A na czym polegał jej plan? Wyjechać ze schroniska i mieć nadzieję, że Daniel ruszy za nią. I co potem? Zatrzymać się, sprowokować go? Jeżeli trzeba, wpakować w niego parę kul i wezwać policję. Odsiedziałyby trochę w więzieniu, wyszła i żyła dalej. Zdawała sobie sprawę, że to, łagodnie mówiąc, głupi i naiwny pomysł. Wiedziała doskonale, że do nikogo nie strzeli. W więzieniu uschłaby z tęsknoty za Lucie, a Sam nie zechciałby więziennego ptaszka za żonę. Pistolet miał tylko nastraszyć Daniela, nic poza tym, w głębi duszy wiedziała to od razu. Za to Daniel z łatwością mógłby kogoś zastrzelić. Uwielbiał broń i świetnie się nią posługiwał. W San Jose zgromadził wspaniałą kolekcję i lubił się nią chwalić. Helen nienawidziła odkurzania drewnianej szafki i polerowania jej szklanych drzwiczek. Wiele razy groził jej tą bronią. Przystawił jej nawet jeden z pistoletów do skroni i odbezpieczył go. Kiedy usłyszała groźny szcęk, zemdlła. Gdy przysła do siebie, skopał ją prawie na śmierć. Wspaniałe i przerażające. Daniel posiadał wiele wspaniałych i przerażających kolekcji. Ciekawe, gdzie to wszystko jest. Pewnie zastawione w jakimś lombardzie.

Cieszyła się teraz, że przespała większą część popołudnia, przygotowując się do całonocnej jazdy. Była wypoczęta i miała nadzieję, że długo nie zachce jej się spać. Zabrała też dwa termosy pełne kawy. Jeśli Daniel ją śledzi, nie wątpiła, że tak jest, będzie czekał, aż zatrzyma się, by skorzystać z toalety czy zatankować. Uwielbiał niespodzianki, pod warunkiem, że to nie on był zaskakiwany. Zawsze świetnie nad sobą panował. Niespodzianka mogłaby go wytrącić z równowagi, a do tego nigdy by nie dopuścił.

Żałowała, że nie zna możliwości samochodu Daniela, ale na pewno nie równa się z pathfinderem. Poza tym Daniel nie miał pojęcia o jeździe po śniegu. Ona też nie miała go za wiele, ale Sam nauczył ją paru sztuczek. Oby jednak nie musiała ich zastosować.

Powinam była poprosić, żeby Arthur King przysłał mi samolot Boots -pomyślała. Właściwie nadal mogła to zrobić, ale to wymagało przygotowań, które pewnie zajęłyby dzień czy dwa. Trzeba by dopasować plan lotów i Bóg wie co jeszcze, za dużo z tym kłopotu. Musiała też wreszcie zdecydować, czy przyjmie spadek, czy nie. Połowicznych rozwiązań nie było. Pathfinder nie wchodził w skład masy spadkowej. Miał tylko pomóc w odkręceniu całego tego bałaganu, którego narobiła fundacja z jej aktem zgonu.

- Załatwię to bez niczyjej pomocy - mruknęła, prostując się. -
Daniel

Ward to mój problem. I tylko mój.

Zwolniła, zbliżając się do bramki wjazdowej na autostradę New Jersey. Wyciągnęła rękę po bilet.

- Proszę pani, czy widzi pani za mną srebrzysty samochód?

Kasjerka wyciągnęła szyję.

- Nie. Niewiele widać w tej śnieżycy. Czy coś się dzieje?

Mam we

zwać policję?

Helen spojrzała na plaketkę przypiętą do bluzy kobiety. Tyree Pullen. A cóż to za imię: Tyree? Zupełnie co innego niż Helen, stare i zwykłe.

- Nie, nie trzeba. Zdawało mi się, że widziałam znajomego. Możliwe, że wyprzedził mnie wcześniej. Ma pani rację, niewiele widać w tej śnieżycy.

- Proszę jechać ostrożnie. Zapowiadali paskudną pogodę.

- Dziękuję. Miłego wieczoru.

Kasjerka skinęła głową i podniosła szlaban. Helen przejechała pod nim powoli, usiłując w tylnym lusterku dojrzeć samochody, podjeżdżające do budki. Ale w gęsto prószącym śniegu mogła dostrzec jedynie światła. Zjechała na prawy pas i poprawiła się na fotelu, nastawiając się na długą jazdę aż do ostatniej bramki, gdzie miała zjechać na drogę międzystanową numer 95. Psy spały mocno. Ruch nie był zbyt wielki, w sam raz, by zachować czujność. Helen westchnęła, rozluźniając ramiona.

Zapowiadała się długa noc.

Julia Martin wiedziała, że to, co robi, jest głupie, może nawet niebezpieczne. Wiedziała, że jeśli pojedzie za Helen, natychmiast wyleci z programu. Wezwać jedną z wolontariuszek i wyjaśnić, że ma coś do załatwienia -żadne rozwiązanie, ale w tej chwili zupełnie jej to nie obchodziło. Wiedziała również, że nigdy nie będzie żałować, że poznała Helen, złamała wszystkie zasady i ruszyła jej na pomoc.

- Czas poszukać własnej drogi. Już dość żyłam za kratami, zamkniętymi drzwiami i murami. Chcę znów zacząć oddychać. Ja też chcę odzyskać swoje życie - mruzczała do siebie, włączając radio w samochodzie i uchylając okno.

Była cztery wozy za Helen i na tym samym pasie. Około czterystu metrów za Helen i Julią jechał srebrny nissan. Jego kierowca, klnąc siarczyście, bacznie przyglądał się innym samochodom na drodze.

- To najbardziej bezsensowna rzecz, jaką w życiu zrobiłem - mamrotał Sam, przebijając się w stronę autostrady New Jersey. - Jadę na ślepo, bez żadnego celu, po prostu szczyt głupoty. A może przeciwnie, genialne posunięcie - mówił do siebie, zapalając jednego papierosa od drugiego.

Próbował dodzwonić się do schroniska, ale nikt nie odbierał. Może powinien był tam pojechać, ale w końcu postanowił spróbować pomyśleć jak Helen. Arthur King mógł mieć rację: prawdopodobnie wyruszyła samochodem do Kalifornii, bo nie zgodziłaby się przewozić psów w przedziale bagażowym samolotu. Rozmawiali kiedyś o tym i twierdziła stanowczo, że nigdy nie naraziłaby na to psa, niezależnie od długości lotu. Pamiętał jeszcze wyraz jej twarzy. Nie, na pewno wolałaby jechać samochodem, żeby psy były bezpieczne. Zawsze stawiała ich bezpieczeństwo na pierwszym miejscu, tak jak wolała narazić raczej siebie niż jego.

Aż skurczył się na tę myśl. Żałował, że nie wie, co zamierza Helen, co chce osiągnąć. Czy jechała na ślepo, z nadzieją, że jakoś to będzie, czy planowała załatwić tego swojego męża bandziora przy pierwszej nadarzającej się okazji?

Zadrzał, pot wystąpił mu na czoło. Jeśli już ktoś ma załatwić tego sukinsyna, to tylko on.

Jechał spokojnie, wypatrując ciemnozielonego pathfindera i srebrnego samochodu. To mógł być nissan, honda, a może nawet jakiś typ ford. Dzięki Bogu, śnieżyca słabła. Widoczność będzie lepsza. Usadowił się wygodniej na fotelu. Zaczynała się podróż jego życia.

Padał drobny deszcz, kiedy Helen wyłączyła światła i nie zwalniając, skręciła na parking przy autostradzie. Musiała wyprowadzić psy i sama skorzystać z toalety.

Kiedy zjechała z autostrady, było wpół do czwartej nad ranem. Granatowa honda Julii Martin i srebrny nissan pojechały dalej, w kierunku drogi M-95.

Na parkingu nie było nikogo, z wyjątkiem dwóch kierowców, którzy właśnie wsiadali do kabin swoich osiemnastokółowców. Helen wyprowadziła psy, dała im wody i chrupek, po czym wpuściła je z powrotem na tylne siedzenie. Z pistoletem w kieszeni kurtki rozejrzała się uważnie i poszła ścieżką do ceglanego budynku z łazienkami. Wróciła do samochodu po niecałych siedmiu

minutach. Z pośpiechu dostała zadyszki. Musiała chwilę pooddychać głęboko, zanim uspokoiła się na tyle, by wyruszyć w dalszą drogę.

Sam Tolliver był pięć samochodów za nią, kiedy skierowała się w stronę drogi międzystanowej.

Następne czterdzieści minut jazdy upłynęło spokojnie. Helen zwolniła, widząc daleko przed sobą migające, czerwono-niebieskie światła. Jechała pomału, czując ucisk w żołądku. Światła błyskały po obu stronach drogi. Psy podniosły się na siedzeniu. Max warknął ostrzegawczo. Lucie przytuliła się do niego, skomląc cicho. Wypadek czy blokada policyjna? Wypadek był bardziej prawdopodobny, ponieważ śnieg zamienił się w deszcz i jezdnia zaczęła pokrywać się lodem. Helen usłyszała przesywające wycie syreny i ogłuszający hałas nad głową. Helikopter pogotowia? To znaczyło, że wypadek był poważny i ruch może być wstrzymany przez wiele godzin.

Helen przyjrzała się barierce oddzielającej dwa pasy ruchu. Bez namysłu zawróciła w miejscu, biorąc przykład z dostawczego dodge'a, i pojechała wzdłuż jezdni. Kierowcy innych samochodów zareagowali tak samo. Po kilku minutach jechała już z powrotem na północ, wypatrując zjazdu z autostrady. Za parę godzin zrobi się jasno, będzie więc mogła przyrzeć się mapie i zorientować się, gdzie jest. W najgorszym przypadku musiałaby zboczyć z trasy na jakieś osiemdziesiąt kilometrów i dotarłaby do międzystanówki trochę dalej, niż planowała.

Wygrzebała z torebki dwie zabawki do żucia dla psów i rzuciła je na tylne siedzenie.

- To tylko drobne opóźnienie. Siedźcie spokojnie i nie przejmujcie się. Bądź grzeczna, Lucie - powiedziała wesoło, żeby suczka nie wyczuła jej niepokoju.

Poprawiła się na siedzeniu, czujnie przyglądając się mijanym samochodom.

Julia Martin usłyszała huk za plecami. Zwolniła i zjechała na pobocze, nie wiedząc, na co właściwie czeka. Kierowcy przed nią zrobili to samo. Miała właśnie otworzyć drzwiczki, kiedy obok niej przemknął srebrny samochód. Schyliła głowę, wstrzymując ze strachu oddech. Jej ręka zamarła na klamce.

Jak to się stało, że zgubiła Helen? Była prawie pewna, że pathfinder nie znajduje się już przed nią. Helen nie ryzykowałaby szybkiej jazdy przy takiej pogodzie, z psami i z fałszywymi dokumentami. Musiała zatrzymać się na ostatnim parkingu. Julia uznała, że pewnie z powodu kiepskiej widoczności nie zauważyła, kiedy pathfinder zboczył z drogi. Nie wiedziała, czy jechać dalej, czy zawrócić i mieć nadzieję, że coś się wyjaśni. W końcu stwierdziła, że nie ma sensu zawracać na północ, skoro wypadek zablokował oba pasma autostrady. Mogła jedynie posuwać się przed siebie, zjechać przy najbliższej bramce i czekać przy wjeździe na M-95, w nadziei, że Helen wróci na auto-

stradę. Zastanawiała się, w którym momencie kierowca srebrnego auta wpadnie na ten sam pomysł.

Daniel Ward wiedział, że jedzie już niemal na oparach benzyny. Zwolnił i zjechał z autostrady na pierwszym napotkanym zjeździe. Padało coraz mocniej, według wskaźnika temperatury w nissanie na dworze były zaledwie dwa stopnie ciepła, a nawet jeszcze mniej.

Przed sobą zobaczył jasne światła stacji benzynowej. W tej samej chwili spostrzegł też pathfindera jadącego w przeciwną stronę. Zaklął tak głośno, że sam siebie przestraszył. Nie miał wyjścia, musiał jechać na stację i zatankować. Kiedy zorientował się, że to stacja samoobsługowa, z trudem powstrzymał się, by nie walnąć pięścią w dystrybutor.

Przemókł do nitki w ciągu paru minut, mimo że sześć dystrybutorów stało pod czymś w rodzaju dachu. Trząśnięcie z zimna. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wsiądzie do samochodu i odjedzie. Spojrzał na drugi koniec betonowego podjazdu i zauważył, że kasjer go obserwuje. Nie wiedział, czy zaryzykować i uciec, nie płacąc, czy przemoknąć do reszty w biegu do kasy. Problem rozwiązał się sam, gdyż na parking wtoczył się powoli samochód policyjny.

Woda spływała mu za kołnierz i wlewała się do butów. Nienawidził zmarzniętych stóp. Kiedy ma się zimne i mokre stopy, łapie się przeziębienie. Przynajmniej tak mawiała Helen. Zresztą, Helen dużo mówiła. Przeważnie, jeśli nie zawsze, plotła bzdury, na które nie zwracał uwagi. Zapłacił za benzynę i zamówił dużą kawę na wynos. Uśmiechnął się do policjanta i rzucił jakąś zdawkową uwagę o pogodzie. Policjant coś odburknął i również kazał sobie podać kawę.

Daniel rozejrzał się za toaletą, żeby policjant nie widział, jak wsiada do nissana. Lepiej byłoby, gdyby odjechał pierwszy. Kiedy wyszedł z toalety, ze zdziwieniem zobaczył, że policjant niespiesznie popija kawę, rozmawiając z kasjerem. Nissan był jedynym wozem na parkingu.

- Cholera - syknął Daniel i ruszył do wyjścia.
- Proszę nie szaleć na drodze. Robi się ślisko.

Daniel uniósł rękę na znak, że usłyszał radę policjanta, i pobiegł w stronę samochodu. Wrząca kawa chlapnęła mu na nogawkę spodni.

Dotarł aż do zjazdu na M-95 i zatrzymał się, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Czy Helen wjechała na międzystanówkę, czy wolała trzymać się bocznych dróg? Dawna Helen zostałaby na gorszej drodze. Nowa ma na tyle tupetu, żeby wrócić na autostradę. Ale niech no on tylko dostanie ją w swoje ręce, pokaże jej, gdzie jej miejsce. Zerknął na termometr. Temperatura znów spadła o jeden stopień.

- I ten cholerny, niewydarzony samochód - wściekał się. Powinien był jechać czymś większym niż pathfinder Helen. Wolał nie myśleć o kraksie -to mógł być on. Cholema szkoda, że nie jego żona. To by rozwiązało wszystkie problemy. Zadrzał. Było mu zimno i mokro mimo ogrzewania włączonego na cały regulator. Czuł, że stopy mają kawałki lodu. Helen pewnie było ciepło i wygodnie w jej dużym samochodzie. Tym razem zatrząsł się ze złości, że źle mu się układa.

- Przysięgam na Boga, Helen, zapłacisz mi za to. Nie będę tolerował takiego zachowania.

Jechał dalej, starając się trzymać kolein wyżłobionych przez forda tauru-sa i samochody przed nim. Mokry śnieg to lepiej niż lód. Wolniej, ale bezpieczniej.

Był dziewięć samochodów za pathfinderem i małą hondą civic prowadzoną przez Julię Martin.

Sam wiedział, że musi zjechać z autostrady, gdy tylko ujrzal czerwono--niebieskie, migające światła i helikopter pogotowia. Nie zdejmując nogi z gazu, skręcił ostro w lewo, przeciął linię między pasami i pojechał na północ. Jeśli to błąd, trudno. Nie będzie przecież stać parę godzin w korku. Helen na pewno zrobiłaby to samo: zawróciła i poszukała zjazdu na M-95, który nie mógł być daleko, najdalej w najbliższym miasteczku. W tej chwili Sam nie widział innej możliwości.

Pół godziny później jechał już z powrotem międzystanówką. Korek został wiele kilometrów za nim.

Podkręcił ogrzewanie. Jeszcze chwila, a udusi się od dymu papierosowego, uchylił więc okno. Postanowił, że kiedy to wszystko się skończy, kupi sobie plaster nikotynowy i rzuci palenie raz na zawsze.

- Cholera! - wykrzyknął nagle, gdy dosłownie na jego oczach, deszcz zamienił się w śnieg. Poczuł pod powiekami łzy, kiedy przypomniał sobie mi nione zimy, kiedy tarzał się z Maksem po śniegu. Boże, jak on za nim tęsknił! Miał nadzieję, że Helen nie pozwoli, by stała mu się krzywda. I że Max nie pozwoli, by coś złego stało się Helen. Uśmiechnął się na myśl o małej, futrze nej kulce imieniem Lucie, która tak lubiła lizać go po twarzy. Upłynęło sporo czasu, zanim suczka przekonała się do niego, a dzień, w którym pozwoliła się wziąć na ręce, był jednym z najpiękniejszych w jego związku z Helen. Do licha, stali się wtedy rodziną. I żaden dupek sadysta tego nie zmieni, dopóki on, Sam, będzie mógł cokolwiek na to poradzić.

Zamajaczyły przed nim dwa czerwone punkty. Przydusił pedał gazu do podłogi, włączył lewy kierunkowskaz i zjechał na środkowy pas. Nie widział

samochodów na prawym i lewym. Równie dobrze mógł teraz jechać obok Daniela Warda czy Helen. Utkwił oczy w słabych, czerwonych światełkach przed sobą, zastanawiając się, gdzie właściwie jest.

Rozdział 24

Helen uchyliła szybę, wpuszczając niechcący do samochodu sporo śniegu. Psy podniosły się zaalarmowane, gdy białe płatki leciały w ich kierunku.

- Wszystko w porządku - powiedziała Helen uspokajająco. - Po prostu muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Wcale mi się to nie podoba, ale zupełnie nie wiem, gdzie jesteśmy. - Zerknęła w lusterko: tak, psy uważnie jej słuchały. Spojrzała jeszcze raz na labradora, który położył się z powrotem, usłyszawszy jej kojący głos. Wyciągnął swoją wielką łapę i przysunął do siebie Lucie.

Niedługo brzask, z mroku wyłoni się biały, groźny świat. Helen czuła, że musi zjechać z autostrady w jakieś bezpieczne miejsce. Już dawno nie widziała żadnej zielonej tablicy, bała się, że przegapiła zjazd. Była spięta, ostatnia godzina jazdy dała się jej mocno we znaki. Zdawało jej się też, że znów dostała gorączki, choć usiłowała wmówić sobie, że to ogrzewanie i gruba kurtka sprawiają, że poci się i jednocześnie ma dreszcze.

Sięgnęła po drugi termos z kawą i odkręciła korek. Kawa nie była gorąca, ale wciąż jeszcze dość ciepła. Helen pociągnęła porządny łyk. Nie odrywając oczu od jezdni przed sobą, w torebce na siedzeniu obok poszukała na ślepo buteleczki aspiryny. Nie bez kłopotu ją otworzyła i przechyliła pojemnik do ust. Zatkaną butelkę było jeszcze trudniej, ale w końcu się udało. Niestety, nie poczuła się ani trochę lepiej.

I wtedy zobaczyła nad głową wielki, zielony znak. Pomyślała przez chwilę, że gdyby spadł, zabiłby pewnie wszystkich na tym pasie ruchu. Według informacji na tablicy, zjazd znajdował się półtora kilometra przed nią, na prawo. Zwolniła, aż światła samochodu jadącego przed nią zmieniły się w słabą, czerwoną poświatę. Wolała nie tracić ich zupełnie z oczu, nacisnęła więc mocniej pedał gazu. Ręce spocily jej się na kierownicy, czuła, że plecy i kark ma zupełnie sztywne od długiego siedzenia w jednej pozycji.

Na dworze robiło się coraz jaśniej. Śnieg spowijał wszystko, cały świat był biały. Śmiertelnie biały.

To chyba jedna z największych głupot, jakie popełniłaś w życiu, Helen. Głupszy był tylko ślub z Danielem Wardem - mówiła do siebie, jadąc powoli zasypaną autostradą.

On gdzieś tam czytał, prawdopodobnie niedaleko. Czy pojedzie za nią, kiedy skręci z autostrady? Jeśli ją widział, jeśli wiedział, jakim samochodem podróżuje, pewnie trzyma się tuż-tuż. Ale możliwe też, że pojechał dalej, kiedy zatrzymała się na ostatnim postoju. Jeżeli miała szczęście, Daniel był przed nią, nie za nią. Może nawet te czerwone światła z przodu to światła jego samochodu. Przeszedł ją dreszcz, mimo włączonego ogrzewania.

Kilka minut później skręciła gwałtownie w prawo, dosłownie w ostatniej chwili. Spociała się jak mysz na myśl, że omal nie przegapiła zjazdu.

Otoczał ją śnieg, ale przynajmniej zrobiło się jaśniej. Świat był szarobiałe, niebo stapało się z ziemią. Jechała ostrożnie, usiłując trzymać się kolein. Bała się, że zjedzie z nasypu. Ból między łopatkami nasilił się. Oczy piekły ją, podrażnione z powodu temperatury w kabinie pathfindera. Dziwiła się, że nie czuje tego gorąca, choć dłonie ma lepkie od potu.

Wkrótce przez gęstniejącą zasłonę śniegu dojrzała motel, stację benzynową i coś, co nazywało się Przystanią.

- Dzięki Ci, Boże - szepnęła, skręcając powolutku na podjazd wiodący w kierunku skupiska kolorowych świateł. Kiedy wreszcie naprzeciw wejścia do motelu zgasła silnik, trzęsła się ze zmęczenia. Musiała zamknąć oczy i kilka razy głęboko odetchnąć, by się trochę uspokoić. Chwyliła torebkę i otworzyła drzwi. - Zaraz wracam - powiedziała do psów.

Gdy znalazła się w motelu, w twarz uderzyła ją fala gorąca. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy na kontuarze dostrzegła mały napis: „To miejsce jest przyjazne dzieciom i zwierzętom”. Wynajęła pokój na dwie doby i zapłaciła gotówką, łącznie ze studolarową kaucją za ewentualne szkody wyrządzone przez psy.

Wrzuciła klucz do kieszeni i poszła do Przystani. Zamówiła kubek wrzącej zupy jarzynowej, dużą kawę i hamburgery dla swoich ulubieńców. Zanim wróciła do motelu, w coraz gęściej sypiącym śniegu wyprowadziła jeszcze Lucie i Maksa. Na parkingu naliczyła cztery samochody. Żaden nie był srebrny. Postanowiła, że później sprawdzi parking jeszcze raz.

W przytulnym pokoju najpierw starannie zamknęła drzwi, po czym wysuszyła psy ręcznikiem, nakarmiła je powoli i postawiła na podłodze styropianową tackę z wodą.

Zupę wypijała do dna, zagryzając krakersami. Do kawy tyknęła kolejne dwie aspiryny. Włączyła telewizor, żeby przerwać ciszę i poczuć się chociaż trochę mniej nieswojo. Psy krążyły po obcym pokoju, obwąchując każdy kąt. W końcu wskoczyły na łóżko i spojrzały wyczekująco na Helen.

Powinna coś zrobić. Może to odpowiedni moment, by zadzwonić do Sama i dać mu znać, że wszystko w porządku. Powinna też chyba zadzwonić do Julii. Sam pewnie wybiera się do pracy, może nawet kąpie się pod prysznicem. A Julia pomaga w kuchni przy śniadaniu. Prawdopodobnie obydwójce robią to, co zwykle.

W końcu jednak poszła do łazienki. Pomyślała, że może poczuje się lepiej, kiedy weźmie porządny, gorący prysznic i prześpi się parę godzin.

Kąpała się długo, aż zabrakło ciepłej wody. Wciąż miała dreszcze, chociaż termostat ustawiono na maksimum. Psy dyszały z gorąca, w pokoju było jak w saunie. Drżąc z zimna, przykręciła ogrzewanie i weszła pod kołdrę. Rozluźniła się, kiedy psy przytuliły się do niej. W ostatnim przebłysku świadomości pomyślała, że jeśli śnieg nadal będzie padał, trudno jej będzie odkopać pathfindera.

Helen otworzyła oczy. Od razu zorientowała się, gdzie jest. Czerwone cyfry budzika przy łóżku wskazywały trzecią dziesiątą po południu. Spała prawie osiem godzin. Czowała się lepiej, była mniej obolała, ustąpił też skurcz w szyi. Ubrała się szybko, by wyprowadzić psy.

Śnieg wciąż jeszcze lekko prószył. Zachłysnęła się ze zdziwienia, kiedy otworzyła drzwi i śnieg przesypał się przez próg. Lucie zaskomiła i cofnęła się, natomiast Max szarpnął smycz, wyrывая się do przodu. Helen w życiu nie widziała tyle śniegu. Podniosła Lucie i wyszła, trzymając mocno smycz Maksa. Omijała najgłębsze zasy. Służby porządkowe usiłowały uprzątnąć parking, ich dmuchawy wyły na najwyższych obrotach.

- A ja nie mam nawet rękawiczek, nie mówiąc już o łopacie czy kozakach - mamrotała Helen. Poszła do końca budynku i skrzyła za narożnik, do śmietnika, gdzie Max podniósł nogę, a Lucie kucnęła.

Wracając do pokoju, przyjrzała się zaparkowanym samochodom. Westchnęła z ulgą, nie widząc żadnego srebrzystego auta. Możliwe, że z drugiej strony motelu samochodów było więcej, ale nie miała zamiaru błądź przez śnieg po kolana, żeby to sprawdzić. Postukała w plecy jednego z pracowników.

- Czy międzystanówką da się przejechać?
- Ekipy odśnieżają od rana, droga jest przejezdna. Śnieżycą trochę zelżała. Ale jeśli się pani nie śpieszy, radziłbym poczekać do jutra.

- Śpieszy mi się - powiedziała Helen.
- Więc proszę jechać ostrożnie. - Dmuchawa zawyła głośniej.

Po głębokim śniegu Helen dotarła z powrotem do motelu.
- Idę po kawę i kanapkę. Bądźcie grzeczni i nie szcękajcie, kiedy mnie nie będzie.

W Przystani zamówiła dużą kawę, jeszcze jeden kubek zupy i dwie porcje pieczeni dla psów. Czekała na zamówienie, przysłuchiwała się rozmowie dwóch kierowców ciężarówek o warunkach na drodze. Jeden z mężczyzn twierdził, że pas północny był zapchany wolno jadącymi samochodami, a jezdnia kiepsko posypana. Za to jakieś czterdzieści kilometrów w kierunku południowym nawierzchnia była mokra i czysta. Ta ostatnia wiadomość przekonała Helen, że powinna jechać dalej.

Kiedy wróciła do motelu, psy chodziły niespokojnie po pokoju, obwąchując łazienkę, wszystkie kąty i szafę. W końcu Lucie wczoiła się pod łóżko, a Max warknął niezadowolony. Helen wyjrzała przez okno. Pracownicy obsługi odśnieżali właśnie jej samochód. Postanowiła, że gdy tylko skończą, wymelduje się i ruszy dalej. Jakoś to będzie.

Dwadzieścia minut później zaniosiła bagaż do pathfindera, wpuściła do niego psy i poszła do recepcji, by uregulować rachunek. Musiała poczekać, aż kierownik sprawdzi pokój. Poczuli się nieswojo, widząc, że recepcjonista natarczywie się jej przygląda.

- O co chodzi? - spytała w końcu.
- Czy to pani zameldowała się dziś wcześnie rano z dwoma psami?
- Tak. Nie zrobiły żadnej szkody. Są dobrze wychowane.

Dlaczego pan pyta?

- Ktoś pani szukał. Opisał panią dokładnie. Nie wolno nam podawać żadnych informacji na temat naszych gości, poza tym jest tu sporo osób ze zwierzętami - na znak kierownika recepcjonista wręczył Helen studolarowy depozyt.

Przygryzła wargę.

- Czy ten mężczyzna podał moje nazwisko, a może sam się przedstawił?
- Chyba nie znał pani nazwiska, ale opisał panią i jednego z psów. Powiedział, że wabi się Lucie. Nie zatrzymał się u nas, jeśli to panią interesuje.

Helen poczuła, jak serce zamiera jej ze strachu. Odchrząknęła z wysiłkiem.

- Musiał szukać kogoś innego. Moje psy wabią się Sugar i Duke. Mam nadzieję, że znajdzie tego, kogo szuka. Czy pan przypadkiem nie widział, jakim samochodem jechał? Może to ktoś, kogo spotkałam na ostatnim postoju.
- Nie, przykro mi. Mieliśmy tu prawdziwe piekło. Duża część personelu nie dojechała z powodu śnieżyca, więc pracowaliśmy tylko w kilka osób. Nie miałem czasu, by zwrócić uwagę na kogokolwiek. Musiałem zająć się kierowcami pługów, policjantami i podróżnymi, którzy utknęli w zaspach. Trzeba było im udostępnić część wolnych pokoi, żeby przespali się choć parę godzin. W pewnym momencie w hallu stało nawet dwadzieścia łóżek polowych.

Nim ruszyła w drogę, Helen zajrzała jeszcze raz do Przystani, by napełnić termosy gorącą kawą. W ostatniej chwili ze stojaka przy kasie wzięła też czerwone rękawiczki i wełniany szalik. Zapłaciła za zakupy i wróciła do path-flindera. Kiedy zapaliła silnik, jeszcze raz podziękowała Bogu: ogrzewanie działało sprawnie. Z jeszcze do połowy pełnym bakiem, podjechała jednak pod dystrybutor. Na szczęście była to stacja z obsługą.

- Proszę uważać na siebie - powiedział sprzedawca, chowając do kieszeni dwadzieścia dolarów i wyliczając resztę. - Fajne psiaki - dodał.

Helen kiwnęła mu głową i ruszyła powoli w kierunku wyjazdu na autostradę.

Szybko zorientowała się, że warunki na drodze są fatalne. Zrobiła duży błąd, wyjeżdżając z przytulnego, wygodnego motelu.

Choć drogi zostały wcześniej posypane piaskiem, wciąż były zdradliwe, bo śnieg nie przestawał padać. Pobocza w ogóle nie widziała, po żadnej stronie jezdni. Śnieg był głęboki na jakieś trzydzieści, czterdzieści centymetrów. Jechała w żółtym tempie, usiłując dojrzeć cokolwiek przed maską pathfindera. Wiedziała, że przed nią suną samochody, widziała słaby blask ich świateł pozycyjnych, natomiast za nią było chyba zupełnie pusto. Jeśli ktoś jechał z tyłu, miał wyłączone światła. Podjęłaś głupią decyzję Helen, zupełnie idiotyczną- pomyślała.

I nagle, gdy mijala słupek oznaczający piętnasty kilometr, dwie rzeczy nastąpiły jednocześnie. Max zerwał się i zaczął szczekać, uderzając swoimi wielkimi łapami w szybę. Helen nieomal spanikowała, przerażona gwałtowną reakcją psa. Wtedy zobaczyła Sama. Zahamowała tak ostro, że samochód wpadł w poślizg i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

- Sam! - krzyknęła. - Spokojnie, Max, spokój - gorączkowo uspokajała psa, sięgając za swój fotel, by otworzyć tylne drzwi. Labrador runął w śnieg, zbijając Sama z nóg. W tejże chwili raptowny podmuch zatrzęsł drzwi z powrotem. Lucie zapiszczała przestraszona, tuląc się do oparcia siedzenia. Helen przycisnęła guzik otwierający okno i usłyszała radosne okrzyki Sama:

- Helen! Helen, to naprawdę ty? - Śmiał się, leżąc w zaspie. Max warczał, szczekał i lizał swego pana po twarzy.

- Sam!

- Jezu, Helen! Godzinami jeżdżę w tę i z powrotem po tej autostradzie. Szukałem cię. Utknąłem w zaspie jakieś cztery godziny temu. Czekam na pomoc drogową. Nie masz pojęcia, jak się martwiłem. Ale to nic, wreszcie cię znalazłem. Mówiłem ci już, że miło cię widzieć? Jezu, Helen, kocham cię. I nie obchodzi mnie, czy jesteś bogata.

Uśmiechając się od ucha do ucha, Helen zerknęła w tylne lusterko; zdawała sobie sprawę, że zablokowała ruch na swoim pasie. Przycisnęła do deski

pedał gazu. Tylny koła pathfindera zabuksowały gwałtownie. Uwolniony z zasypany samochód obrócił się niemal w miejscu i skoczył naprzód, tuż przed maską srebrnego auta, za którego kierownicą siedział Daniel Ward.

Kolejna głupia decyzja, Helen. Zupełnie idiotyczna. Niczego nie potrafię zrobić jak trzeba. Daniel miał rację, że umiem spieprzyć wszystko, czego tylko dotknę. Dlaczego nie zaczekałam choć pół minuty, żeby Sam i Max zdążyli wsiąść do samochodu? Dlaczego? Boże drogi, to by dopiero było idiotyczne. Przecież on by zabił Sama, Maksa pewnie też.

Zerknęła trwożnie na samochód, który jechał niemal równolegle z nią, na sąsiednim pasie. Daniel uśmiechnął się i posłał jej całusa. Schyliła głowę przestraszona, gdy Lucie przeskoczyła przez siedzenie prosto na deskę rozdzielczą i na jej kolana.

- Cśśśś, wszystko będzie dobrze. Wszystko dobrze, Lucie. On ci nie zrobi krzywdy. Prędeż go zabiję. Mówię poważnie. Tylko leż spokojnie, ma lutka. Max jest bezpieczny. Jest z Samem.

Gdzie pistolet? Nie mogła się skupić. Włożyła go do schowka czy do torebki? Była tak zdenerwowana, że nie mogła sobie przypomnieć. Poprawiła się na siedzeniu, wpuszczając suczkę między uda. Cała się trzęsła. Nagle poczuła twardy przedmiot na biodrze: pistolet był w kieszeni kurtki. Zdjęła prawą rękę z kierownicy i szarpała się chwilę z patką na kieszeni, aż dotknęła dłonią zimnej kolby. Wyjęła pistolet powoli i położyła sobie na kolanach.

Zauważyła nagle, że śnieg przestał padać. Jezdnia miejscami była mokra i czysta. Kierowca w Przystani miał rację - przy tak niewielkim ruchu miała prawie całą drogę dla siebie. Przed nią nie było żadnego auta, tylko Daniel na sąsiednim pasie i kilka samochodów za plecami.

Daniel jechał teraz równolegle, trąbiąc od czasu do czasu, by przyciągnąć jej uwagę. Helen skoncentrowała się na drodze przed sobą. Nie chciała patrzeć na męża. Zatrąbił jeszcze raz, tym razem ostro i głośno. Lucie zaczęła się wiercić na jej kolanach. Jezdnia była teraz zupełnie czysta, mokra od topniejącego śniegu, Helen mogła więc prowadzić jedną ręką. Opuściła szybę w oknie i prawą ręką chwyciła pistolet. Kiedy Daniel spojrzał na nią, uniosła tę rękę, by widział, że nie jest bezbronna. Roześmiał się. Przez kilka pierwszych dni małżeństwa uważała, że to sympatyczny dźwięk. Teraz zmroził jej krew w żyłach.

- Zjedź przy następnej bramce, Helen - krzyknął przez otwarte okno. -

Albo przestrzelę ci opony. Teraz mamy równe szanse - pokazał jej swój pistolet. - Rób, co mówię, Helen. Chcę z tobą tylko porozmawiać.

Wcisnęła guzik i zasunęła szybę. Chwilę później, spoglądając w lusterko, zobaczyła srebrny samochód za sobą. Wiedziała, że Daniel naprawdę prze-strzeliłby jej opony.

Musiła zrobić to, co chciał. Kolejna głupota. Ale cóż znaczyło jeszcze jedno głupie posunięcie? Najważniejsze, że przynajmniej Max i Sam byli bezpieczni.

Jechała powoli, czując, że srebrne auto sunie za nią. Wypatrywała zielonej tablicy, od której zależał jej dalszy los.

Zdumiewał ją własny spokój. Czy czuje się coś takiego tuż przed śmiercią? Czy może zanim się kogoś zabije? Zastanawiała się, czy za chwilę zostanie morderczynią, czy sama zginie. Gdzie to się stanie? Jak się odbędzie?

Wzięła głęboki oddech i włączyła kierunkowskaz, skręcając w zjazd z autostrady. Przed sobą zobaczyła kolorowe reklamy dwóch moteli, dwóch stacji benzynowych i ogromny napis: KUP WCZESNIEJ CHOINKĘ. Poczła niepohamowaną ochotę, by skręcić na plac i kupić drzewko. Zjechała jednak na pobocze. Daniel minął ją powoli. Widocznie chciał, by jechała za nim.

Rozdział 2 5

Jechała powoli, z bijącym sercem, kilka metrów za wozem męża. Było już prawie ciemno. W czerwonych, tylnych światłach samochodu Daniela unosząca się w powietrzu mgła wyglądała niesamowicie. Helen zadrżała. Czerwona mgła. Odpowiednia oprawa dla tej sceny.

Tuliła do siebie suczkę, głaszcząc ją po łebku lewą ręką. Prawą trzymała na kierownicy. Nuciała cicho „3fyskaj, błyskaj, gwiazdka mała...”, jak tylko mogła najspokojniej. Lucie trzęsła się, ze wszystkich sił przyciskając się do swojej pani.

Helen wyłączyła silnik i zrzuciła ciężką kurtkę.

- Kładę ci kurtkę na siedzeniu, Lucie. Musisz tu zostać. Zaraz wrócę. Przyniosę ci coś dobrego.

Omam nie zemdlala, kiedy odwróciła się i zobaczyła, że Daniel stoi tuż obok jej samochodu. Zapukał niecierpliwie w szybę. Lucie przygłębła do siedzenia, usiłując zakopać się pod kurtką Helen. Skomliła i płakała tak żałośnie, że Helen krajało się serce.

Daniel znów zapukał w okno. To znaczyło, że jego cierpliwość się kończy. Nigdy nikomu nie dawał drugiej szansy. Spojrzał jej prosto w oczy i spróbował otworzyć drzwi. Widziała, jak wargi zaciskają mu się w cienką kreskę, gdy klamka nie ustąpiła.

Helen zwolniła zamek i wysiadła z pathfindera. Przycisnęła guzik pilota przy kluczykach, zamykając Lucie w samochodzie. Wcześniej uchyliła odrobinę tylną szybę, by suczka miała dość powietrza.

- Wiesz, że nienawidzę czekać - powiedział Daniel.
 Helen przeszła obok niego, parę kroków dalej.

- Niewiele mnie to obchodzi. - Cieszyła się, że plac jest dobrze oświetlony, wokół stały budynki i latarnie. Była opanowana, wręcz w bojowym na stroju. Obiema dłońmi popchnęła szklane drzwi. Nie przytrzymała ich, tak że mocno go uderzyły. Uśmiechnęła się, słysząc tłumione przekleństwo. Takiego właśnie Daniela znała i nienawidziła.

Po lewej stronie restauracji znajdował się rząd boksów. Helen ruszyła ku nim i wpadła wprost w ramiona Julii Martin. W tej samej chwili Daniel wpadł na nią, popychając przed sobą obie kobiety.

Oczy Helen rozszerzyły się ze zdumienia. Co miała znaczyć obecność Julii tutaj? Wymamrotała jakieś zdawkowe przeprosiny i obróciła się na pięcie, twarzą do Daniela.

- Muszę skorzystać z toalety, Danielu - oświadczyła umyślnie głośno, by Julia mogła słyszeć każde słowo.

- To oddaj mi kluczyki do samochodu. Ten stolik jest brudny - powiedział Daniel ze złością i obrzydzeniem.

- Co do kluczyków, odpowiedź brzmi: nie. A stolik? Jak widzisz, jest pełno ludzi. Kelnerka przyjdzie, jak tylko będzie mogła. Zamów dla mnie kawę, kubek zupy i zapiekankę z serem.

- Kluczyki, Helen - powtórzył Daniel z naciskiem, łapiąc ją za ramię.

- To mój samochód. A to znaczy, że kluczyki też są moje. - Helen odwróciła się, lecz Daniel przytrzymał ją, tym samym blokując przejście Julii.

Krzepki kierowca ciężarówki, w czapeczce z napisem „Wędkuj z Lulu”, zmierzył nagle Daniela wzrokiem i wepchnął go do boksu.

- Pani powiedziała, żebyś zaczekał, aż sprzątną stolik, i że musi iść do toalety. Kobiety czasem mają takie kaprysy. Czego konkretnie nie rozumiałeś? Proszę iść spokojnie, proszę pani, dopilnuję, żeby ten dżentelmen na panią zaczekał.

- Co za chamstwo - mruknęła Julia pod adresem Daniela, przeciskając się obok niego i kierowcy. Ruszyła za Helen do toalety.

W małej łazience Helen uściskała ją serdecznie.

- Co ty tu robisz? Jak mnie znalazłaś? Jechałaś za mną, prawda? Chcesz, żeby cię zabił?

- Rzeczywiście, pojechałam za tobą. Jeżdżę w tę i z powrotem po tej autostradzie, aż mi zbrzydło. Miałam już zawrócić i jechać do domu, kiedy tu weszłaś. Co ty wyprawiasz, Helen?

- Nie czas na wyjaśnienia. Lucie jest w samochodzie. Weź ją ze sobą. Weź też moją kurtkę i jej torbę podróżną. Sam utknął w zaspie na międzystanówce. Kiedy go zobaczyłam, wypuściłam Maksa, i wtedy właśnie wyminął

mnie Daniel, więc odjechałam. Nie wiem, czy Sam się zorientował, o co chodzi. Nie mogłam ryzykować. Weź te kluczyki. Ja mam dodatkowy komplet. Zaopiekuj się Lucie. Możliwe, że będziesz jej musiała śpiewać „Błyskaj, błyskaj, gwiazdko mała...”, aż do zachrypnięcia. To jedyny sposób, żeby ją uspokoić. Boże, a jeśli on widział, że tu za mną weszłaś?

- Ciężarówiec zasłonił mu widok. Wyjdź pierwsza, ja tu poczekam. Może jest stąd jakieś tylne wyjście. Dokąd mam jechać, Helen?

- Z powrotem do schroniska.

- Nie mogę. Kiedy się wyjdzie z własnej woli, nie można już wrócić. Znasz zasady. Byłaś jedynym wyjątkiem. Jedziesz do Kalifornii?

- Tak.

- Więc ja też. Samochód jest w dobrym stanie, pieniędzy mi wystarczy.

- Dobra. Jak dojedziesz, idź do ComStar i spytaj o Arthura Kinga. Powiedz mu, że ja cię przysłałam, i wyjaśnij, co się dzieje. Ja dojadę, kiedy będę mogła.

- Co z Samem?

- Nie mogę się teraz o niego martwić. Ma przy sobie Maksa. Jest inteligentny, poradzi sobie. Pewnie będzie na nas czekał w Kalifornii. Obiecuj, że zaopiekujesz się Lucie.

- Będę jej strzegła jak oka w głowie. Dobrze, idź tam teraz i niech ci się powiedzie!

- Dziękuję, Julio. - Helen uścisnęła ją mocno.

W restauracji panowała zwykła krzątanina. Ciastka, które zawsze smakują jak tektura, leżały pod szklanymi kloszami, wzdłuż kontuaru stali zmęczeni ludzie, czekając na zamówienia. Znużone kelnerki z ciężkimi tacami starały się uśmiechać do klientów. Wszędzie słychać było głośny gwar rozmów.

Daniel, z morderczym wyrazem twarzy, patrzył na zbliżającą się do stolika Helen. Kierowca zerwał się i uśmiechnął.

- Zagrzałem pani miejsce.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem.

- Lepiej niech pani będzie ostrożna na drodze, mówię pani. Zrobiło się cieplej i mgła będzie gęsta.

- Będę uważać.

- Nigdy więcej nie waż się tak do mnie mówić przy ludziach - syknął jadowicie Daniel, gdy tylko kierowca nie mógł już ich słyszeć.

Helen, uśmiechnięta, przechyliła się przez stół. Ledwo dostrzegalnie poruszając wargami, powiedziała:

- Pocałuj mnie w dupę. - Odchyliła się do tyłu i oparła plecami o ściankę boksu. -1 co mi zrobisz? Wybijesz mi zęby czy połamiesz nogi? Ty draniu, nawet w swoich najlepszych dniach nie mogłeś mi dać rady.

- Głupia dziwka.
Helen jeszcze raz pochyliła się nad stołem i z tym samym uśmiechem na twarzy oznajmiła:

- A ty nigdy więcej nie wyobrażaj sobie, że jestem tą dawną Helen, nad którą się znęcałeś. Już się ciebie nie boję, bo teraz widzę, jakim jesteś żalonym dupkiem. Spójrz na siebie. Wyglądasz jak włóczęga. Wstyd mi nawet siedzieć tu z tobą.
- Masz krótką pamięć.
- Przeciwnie. Moja pamięć jest długa i szczegółowa. Zapamiętałam dokładnie wszystko, co mi zrobiłeś. I dopilnuję, żeby to się nie powtórzyło.
- Zabiję cię, Helen.
- Już mnie nie przestraszysz. Nigdy więcej. Nigdy ci nie wybaczę krzywdy, jaką wyrządziłeś Lucie. To, że biłeś mnie, to moja wina, bo pozwoliłam ci na to ze strachu. Ale Lucie to tylko bezbronne zwierzątko. Według mnie, człowiek, który krzywdzi zwierzę, jest największym łajdakiem na świecie. Ty, Danielu, jesteś największym łajdakiem na świecie.
- Więc co tu ze mną robisz?

Zadał trafne pytanie. Helen nigdy nie umiała przekonująco kłamać, więc zdecydowała się powiedzieć prawdę.

- To był jedyne sposób, żeby ochronić Sama. Mam zamiar rozwieść się z tobą i wyjść za niego, kiedy tylko Arthur King pozalać papierkowe sprawy. Chciałam cię o tym zawiadomić osobiście. Chcę ci też powiedzieć, że jak tylko dotrę do Kalifornii, podam cię do sądu. I nie spocznię, dopóki nie wsadzą cię za kratki, za to, co zrobiłeś mnie i Lucie. Nigdy nie położysz łap na pieniądzech Isabel Tyger. Jesteś chory psychicznie. Nie wiem, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam. A może i zauważyłam, tylko tak się ciebie bałam, że strach mnie paraliżował. Ale, powtarzam, nie jestem już tamtą Helen.
- Jesteś moją żoną - powiedział Daniel, chrupiąc zapiekanekę.
- Tylko na papierze. Wychodzę teraz, ale nie z tobą. Wiem, że masz pistolet. Ja też mam. I wiem, jak go używać. Przy barze siedzi policjant. Od ciebie zależy, czy narobisz zamieszania. - Helen grzebała w torebce, szukając portfela. Kiwnęła na zmęczoną kelnerkę i wręczyła jej dwudziesto dolarowy banknot. - Reszty nie trzeba.
- Siadaj, Helen.

Uśmiechnęła się.

- Niech cię diabli wezmą, Daniel. - Wychodząc z boksu, poczuła, że plecy sztywnieją jej ze strachu. Będzie do niej strzelał? Mało prawdopodobne. Raczej poczeka, aż wyjdą na zewnątrz.

Zaczęła biec, jakby goniło ją stado wściekłych psów.

- Prr, paniusiu. Co się dzieje? - zapytał wielkolud w czapeczce „Węd

kuj z Lulu”, łapiąc ją w objęcia na środku parkingu.

- Mogę z panem jechać? Dokąd pan jedzie? Ja muszę... muszę... o Jezu, on tu idzie!
 - Wiedziałem, że ten goguś to nic dobrego. Pewnie, że może się pani ze mną zabrać. Jadę do Raleigh w Północnej Karolinie. A pani jak daleko chce jechać?
 - Tylko do najbliższego lotniska. Chętnie panu zapłacę.
 - Proszę się mnie trzymać, jeszcze tylko zapłacę za benzynę. Tam stoi moja ciężarówka. Mogę panią podwieźć na Lotnisko Reagana. Odpowiada?
 - Ratuje mi pan życie. Nawet nie wiem, jak się pan nazywa. Ja jestem Helen Stanley.
 - Większość chłopaków mówi na mnie Duży John. Żona woła na mnie „kochanie”, a dzieciaki „tatusiu”.
 - To może ja będę cię nazywać po prostu John?
 - Czemu nie. Czy ten wyskrobek za nami pojedzie?
 - Tak.
 - No to musimy coś z tym zrobić. Jakim samochodem?
- Helen uspokoiła się zupełnie. Trafiała w dobre ręce. Kiedy wsiedli do osiemnastokółowca, John włączył CB i wysłał komunikat do wszystkich kierowców, którzy byli w zasięgu radia:
- Słuchajcie, chłopaki, mam taką sprawę...

Helen wysiadła z samolotu wcześniej rano. Nie miała żadnego bagażu, przeszła więc bramką dla biznesmenów i ruszyła w stronę wyjścia i postoju taksówek. Nie robiła sobie wielkiej nadziei, że Arthur King czy Gerald Davis wyjadą po nią, choć dzwoniła do nich z samolotu. Kiedy usłyszała, że ktoś woła japo imieniu, odwróciła się przestraszona. Uspokoili się natychmiast, widząc dwóch starszych panów.

- Dzięki Bogu, nic pani nie jest, młoda damo. Izzie nigdy by nam nie wybaczyła, gdyby pani się coś stało - powiedział Gerald Davis. Widząc, że Helen marszczy brwi, wyjaśnił: - Od dziecka nazywałem ją Izzie, a Arthur Izz. Sądziłem, że pani wie, o kim mówię.
- Ach, tak. Ostatnio nie myślę zbyt jasno.
- Dokąd mamy panią zabrać?
- Do najbliższego hotelu albo motelu, byle taniego. Kupiłam bilet w ostatniej chwili, więc nie zostało mi zbyt wiele pieniędzy. Muszę się zastanowić, co dalej.
- A nie pojechałaby pani na ranczo Izzie? Należy teraz do pani. Wiem, mówiła pani, że nie chce nawet części spadku, ale to rozwiązałoby chwilowo

pani problemy. Poza rym musimy porozmawiać w jakimś spokojnym miejscu. Jeśli pani się tam nie spodoba, może pani jechać gdzie indziej. Ma pani do dyspozycji kilka samochodów. Proszę to potraktować jako doraźne rozwiązanie - zaproponował weterynarz. Helen skinęła głową.

- Zgoda, ale to tylko na razie. Panie King, czy udało się panu wyjaśnić moją sytuację prawną? Czy ciągle jeszcze nie żyję?

- Zdobyliśmy pani akt urodzenia. Ma ważną pieczęć, więc jedna rzecz z głowy. Z aktem zgonu nie pójdzie tak łatwo.

Dokumenty mówią, że została pani skremowana i pochowana w mauzoleum. Z tym też będzie trochę kłopotu. Izz zabrała z kostnicy bezdomną osobę, mówiąc, że to pani. Zgadza się, że postąpiła źle. W swoim zapale, by panią chronić, nie myślała całkiem logicznie. Uważała, że w ten sposób zakończy sprawę. Zgłosiła się po ciało, którego nikt nie chciał, kazała je spalić i urządziła porządny pogrzeb. Uwierzyła pani, że mąż znajdzie panią, niezależnie od wszystkiego. Chciała temu zapobiec. Naprawimy ten błąd. Z lekarzami i pracownikami zakładów pogrzebowych nie rozmawia się zbyt łatwo, gdy w grę wchodzi ich reputacja, i bardzo słusznie. Pani matka mogłaby nam bardzo pomóc, ale stanowczo odmówiła. Dla niej pani naprawdę umarła. Potrafi mówić tylko o pieniądzach z ubezpieczenia. Od pani będzie zależało, czy uzyskamy jej pomoc.

- Moja matka?

Byli już przy samochodzie. Arthur King przytrzymał Helen drzwi.

- Moja matka? - powtórzyła nieprzytomnie Helen.

- Tak, ona też myśli, że pani nie żyje. Isabel powiedziała jej, że pani była ubezpieczona na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, i dała jej te pieniądze. Ona... hmm... o nic nie pytała.

Helen poczuła ucisk w gardle.

- Czy... płakała?

- Możliwe, że płakała, kiedy została sama. Czasem rozpacz przeżywa się samotności, Helen.

- Mieszka jeszcze w tej przyczepie?

- Nie. Przeprowadziła się do bloku - powiedział Arthur.

- Chcę tam pojechać. Zaraz. Czy pan wie, gdzie to jest?

- Mniej więcej.

- Niech mnie panowie tam zabiorą. Proszę.

- Na pewno chce pani to zrobić właśnie teraz? - zapytał z troską Ge-rald Davis.

- Na pewno.

- A jak się miewa pan Tolliver? Kontaktował się z nami, ale od paru dni nie mamy o nim wieści.

- Kiedy go widziałam ostatnio, tkwił w zaspie przy M-95. Sam potrafi się o siebie zatroszczyć.

- Więc pani nie wie, że pani mąż jadł z nim kiedyś kolację. Oczywiście wtedy Sam nie wiedział, z kim ma do czynienia. Potem było u was włamanie, dom został kompletnie zniszczony. Sam musiał się wyprowadzić do motelu, zanim zdołał wszystko trochę uporządkować.

Helen gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Daniel zniszczył dom?

- I cały wasz dobytek.

- Bałam się, że zabije Sama. Dlatego uciekłam. Chciałam, żeby Daniel pomyślał, że zostawiłam Sama, i żeby dał mu spokój. Ale Daniel jest nieobliczalny, myślę, że jest chory psychicznie.

- W pełni się z panią zgadzamy. Geny, powiedz, co znaleźliśmy w j ego mieszkaniu. Prawdę mówiąc, włamaliśmy się do niego.

Helen wysłuchała relacji. Na końcu Gerry dodał:

- I przykleił pani zdjęcia nawet na desce klozetowej, z wierzchu i od spodu.

- Sfotografowaliśmy to - powiedział żywo Arthur. - To pani pomoże wsadzić.

- Mój Boże -jęknęła Helen.

Pół godziny później Arthur King wjechał na parking na Osiedlu Wiśniowym.

- Izzie mówiła, że pani matka mieszka w trzecim bloku. Może na skrzynce pocztowej będzie jej nazwisko i numer mieszkania. Chce pani, żebyśmy z panią poszli?

- Nie. Proszę tylko na mnie zaczekać.

Helen okrążyła trzeci blok i obejrzała skrzynki. Na jednej z nich widniało nazwisko Phyllis Stanley i numer cztery.

Na parterze były numery nieparzyste, na piętrze parzyste. Helen weszła po schodach i zadzwoniła do mieszkania z wielką mosiężną czwórką obok dzwonka. Ponieważ nikt nie otwierał, zadzwoniła drugi i trzeci raz.

Odsunęła się o krok, kiedy starszawy mężczyzna z zaczerwienionymi oczami otworzył drzwi i warknął:

- Co ty, myślisz, żeśmy pogłuchli?

Helen obrzuciła wzrokiem brudnoszary podkoszulek i równie brudne bokserki. Mężczyzna, który je nosił, miał słowiański wygląd, cuchnął przetrwoną wódką, papierosami i niedomytym ciałem.

- Chciałabym się widzieć z Phyllis - oświadczyła, gdy odzyskała głos.

- Bo co? - warknął.

- To moja matka.

- Nie do mnie z taką gadką. Jej córka umarła. - Już miał zatrzaskać drzwi, kiedy Helen powiedziała ostro:
 - Proszę ją zawołać albo zjawi się firma ubezpieczeniowa i zażąda zwrotu pieniędzy. Jak pan widzi, jestem jeszcze całkiem żywa.
 - Poczekaj. - Trzasnął drzwiami przed nosem Helen. Minutę później otworzyła je matka.
 - Mamo, to ja, Helen. Mogę wejść?
 - Nie. Idź sobie stąd. Powiedzieli mi, że nie żyjesz. Wydałam już pieniądze. Oni mówili, że nie żyjesz.
 - Ale ja żyję. Nie cieszysz się? Nie obchodzi cię to? Mój Boże, co z ciebie za matka?
 - Zostawiłaś mnie. Nie troszczyłaś się o mnie. Wyszłaś za tego gogusia od komputerów i olałaś mnie zupełnie. Powiedzieli, że umarłaś. I że mogę zrobić z forszą, co zechcę.
 - Mamo, nie w głowie mi pieniądze. Wcale nie każą ci ich zwracać.
 - To co tu robisz? Pewna jesteś, że nie muszę oddawać tych pieniędzy?
 - Helen westchnęła, oczy napęłniły jej się łzami.
 - Nie, mamo. Nie musisz ich oddawać. Pomyślałam sobie, że może będziesz chciała wiedzieć, że żyję. Że cię to obchodzi. Chciałam, żeby cię to obchodziło. Przepraszam, że ci zabieram czas. To się już nie powtórzy.
 - Lepiej by było. Ci od ubezpieczeń szpiegują ludzi. Nie można im ufać. Helen otarła oczy.
 - Do widzenia, mamo.
- Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Helen zamrugnęła. Niby czego się spodziewałam? Może otwartych ramion i uśmiechu na powitanie? Pewnie!
- Kiedy wsiadła z powrotem do samochodu Arthura Kinga, nie była zbyt rozmowna.
- Jak daleko jest na ranczo pani Tyger?
 - Jakies czterdzieści minut jazdy.
 - Więc jedźmy tam wreszcie.

Rozdział 26

Helen wysiadła z samochodu, padając ze zmęczenia. Była znudzona i tak głodna, że ledwie trzymała się na nogach. Usiłowała nie myśleć o reakcji matki na jej wizytę. Nie spodziewała się gorącego powitania, ale miała nadzieję, że Phyllis okaże choć trochę kultury i radości, widząc, że jej córka

żyje i ma się dobrze. Otrząsnęła się jednak z tych myśli, próbując skupić się na tym, co mówili dwaj panowie.

- To jest ranczo Tygerów - powiedział Arthur King. - Teren ma około półtora hektara, ale proszę mnie nie pytać, gdzie dokładnie są granice. Jak się pani podoba dom, Helen?

- Jest piękny. - Był długi i obszerny, niezliczone szyby wielkich okien błyszczały w słońcu. Zbudowano go z polnych kamieni, ich nieregularne kształty dodawały wdzięku i przytulności. Ogród tonął w powodzi kwiatów. Helen musiała osłonić oczy dłonią, by przyrzeć się olśniewającym klombom, pełnym maków i najrozmaitszych polnych kwiatów, jakie tylko można było spotkać na kalifornijskiej ziemi. Długą, krętą alejkę wybrukowano kamieniami pasującymi do fasady domu. Na jej końcu Helen dostrzegła wspaniałe drzwi z witrażowymi szybkami. - Jest piękny - powtórzyła.

- Izzie go nie cierpiała - powiedział ponuro Gerald Davis.

Helen zdziwiły te słowa. Spojrzała na niego pytająco.

- Izz niedawno wyremontowała cały dom. Teraz jest bardziej nowoczesny. Chciała, żeby był pełen światła i powietrza, by jasne kolory tworzyły jego atmosferę. Czasem myślę, że już wtedy wiedziała, że zostawi to wszystko pani. Kiedy sobie coś postanowiła, ani Geny, ani ja nie byliśmy w stanie wybić jej tego z głowy.

- Chyba nigdy nie zrozumieję takiej hojności. Widziałyśmy się przecież tylko raz. Nie mogę tego wszystkiego przyjąć.

- Może kiedy pani dowie się o Isabel trochę więcej, zmieni pani zdanie. Proszę, proszę, oprowadzimy panią, chyba że wolałaby pani coś zjeść i przespacerować się trochę.

Helen spojrzała na obu panów. Widziała, że umierają z niecierpliwości, by pokazać jej dom Isabel Tyger. Jej dom. Jedzenie i drzemka mogły poczekać.

- Nie, zjem później. Chciałabym obejrzeć dom.

- Wygląda na większy, niż jest naprawdę. Przez lata dobudowywano pokoje, do czasów ojca Izz, potem już żadnego. Niektóre są bardzo małe, nie ma w nich nawet szaf.

- Kiedyś na ścianach korytarzy wisały portrety męskich przodków Izzie. Teraz już nie. W hallu na piętrze wisi tylko jeden obraz. Chyba się pani spodoba. Izzie kazała go oprawić tego samego dnia, kiedy go dostała. Przez cały czas sterczała nad ramieniem. Myślę, że ceniła ten obraz bardziej niż cokolwiek innego w tym domu. Była dobrą, hojną, wspaniałą kobietą. I jeśli popełniła w pani sprawie jakieś błędy, to tylko dlatego, że bardzo się troszczyła o panią i o Lucie.

- Lucie? A co ona ma z tym wszystkim wspólnego? Obaj panowie jednocześnie westchnęli.

- To przez Lucie Izz tak się panią zainteresowała. To wszystko z jej powodu - wyjaśnił łagodnie Arthur.

- Nie rozumiem-powiedziała Helen.

- Zrozumie pani, ale to później. Sądzę, że kiedy usłyszysz pani całą historię, wybaczy pani Izz, że wtrącała się w pani życie. Sądzę też, że zmieni pani zdanie i przyjmie spadek.

- W tym pokoju Izzie spędzała większość czasu. To był jednocześnie jej salon, gabinet i bawialnia. Praktycznie tu mieszkała. Uwielbiała ogień w kominku, zimą i wieczorami, kiedy robiło się chłodno. Zwijiała się w fotelu ze swoimi książkami, gazetami i dokumentami i pracowała w nocy. Miała ogromne trudności ze snem.

Helen patrzyła na przytulny, wygodnie urządzonej pokój.

Doskonale rozumiała, dlaczego Isabel kochała to miejsce. Ogromny kominek sięgał prawie do sufitu. Był wystarczająco wielki, by upiec w nim cielaka. W niszy między polnymi kamieniami leżał schludnie poukładany stos drewna. Wystarczyłoby chyba na tydzień albo i dłużej - pomyślała. Druga ściana zasłonięta była całkowicie półkami, pełnymi książek w kolorowych okładkach. Widocznie Isabel Tyger uwielbiała czytać, jak ona. Trzecią ścianę ozdabiały kolorowe akwarele: morski pejzaż, pole pełne maków, zachodzące słońce na tle błękitnego nieba i liliowych chmur. Wesole obrazki. Nad gzymsem kominka wisiał portret Isabel, Arthura Kinga i Geralda Davisa.

- Kiedy to zostało namalowane?- zapytała.

- Gdy Izzie skończyła sześćdziesiąt pięć lat. Malarz posłużył się zdjęciem. Wisiał tu kiedyś portret jej ojca. Kiedy przebudowała kominek, ten portret był pierwszą rzeczą, którą w nim spaliła. Za nim poszła reszta przodków - wyjaśnił Gerry.

- Wszyscy troje spędzaliśmy tu mnóstwo czasu - dodał Artie.

- My dwaj czuliśmy się tu jak w domu. Zawsze byliśmy mile widziani. Jadaliśmy tutaj, oglądaliśmy filmy albo po prostu rozmawialiśmy. Nierzadko przez całą noc. Mieliśmy nawet zamiar spytać panią, czy nie sprzedałaby nam pani tego domu, nie byłoby to jednak to samo. Ale, jeśli się pani zgodzi, chcielibyśmy tu przychodzić od czasu do czasu. Kiedy się jest w takim wieku jak ja i Gerry, trudno zrezygnować z pewnych rzeczy. To właśnie jedna z nich, część naszego życia od dzieciństwa.

Helen nie wiedziała, co o tym myśleć, co powiedzieć, gdzie podziąć oczy. Obaj byli tak smutni, tak nieszczęśliwi, że miała ochotę ich uściskać.

- Te oszklone drzwi są bardzo piękne.

- Izzie też tak uważała. Zawsze stały otworem. Całymi tygodniami wybierała meble, dywany i zasłony. W każdym z foteli można sobie uciąć drzemkę bez obawy, że kark człowieka rozboli. Sama pani widzi, kochała jasne kolory

i rośliny. Podlewaliśmy je z Artiem dwa razy w tygodniu. Ja jestem już na emeryturze, a Artie na urlopie. Idzie na emeryturę po świętach.

- Nie wiedziałam. Co robicie z wolnym czasem?

- Przychodzimy tutaj, żeby jęczeć i narzekać. Pozwoliliśmy sobie na odrobinę swobody, skoro jesteśmy wykonawcami testamentu. Czasem jemy tutaj lunch, pijemy piwko, spacerujemy po... wie pani, dzięki temu czujemy się bliżej Izzie. Mam nadzieję, że pani się nie gniewa. Teraz, kiedy pani tu jest, pewnie z tego zrezygnujemy - powiedział Geny.

Tym razem Helen naprawdę ich uściskała.

- Cóż znowu. Przychodźcie, kiedy tylko chcecie. Pani Tyger na pewno chciałaby, żebyście się tu czuli jak w domu. Ja jestem właścicielką tylko na papierze. Macie do tego domu większe prawa, niż ja kiedykolwiek będę miała. Ale skoro o tym mowa, musimy sobie parę rzeczy wyjaśnić.

- Wszystko w swoim czasie. - Artie poprowadził Helen korytarzem, by pokazać jej resztę domu. - Parter. Właściwie nie różni się wiele od innych domów. Duża kuchnia z aneksem jadalnym, osobna jadalnia, salon, biuro Izzie, dwie łazienki i dodatkowy pokój na różne śmieci, jak to Izzie nazywała. Te schody są z prawdziwego mahoniu. Nigdy by pani nie zgadła. Izzie kazała je pomalować na biało, żeby pasowały do nowego wystroju domu. Chciała, żeby wszystko było jasne i lekkie. Kazała też przemalować wszystkie boazerie.

- Lubię biały kolor. - Helen nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- A to jest obraz, o którym pani mówiłem - oznajmił Gerry.

- Powiesiła go! I kazała oprawić! W życiu bym się nie spodziewała-wydusiła Helen z oczami pełnymi łez.

- Nawet pani sobie nie wyobraża, ile ten obrazek znaczył dla Izzie. Kiedy pani już odpocznie i będzie mogła trzeźwo myśleć, opowiemy pani o niej więcej. Na górze jest pięć sypialni: cztery małe pokoiki i sypialnia Izzie. Jest z czego wybierać. Po tej stronie korytarza są dwa pokoje ze wspólną łazienką. Niestety tylko prysznic, bez wanny. To samo po przeciwnej stronie. Pokój Izzie ma własną łazienkę i jest trochę większy. Może pani się rozejrzeć i odświeżyć. My pójdziemy na dół i upichcimy coś na lunch.

Helen nie mogła oderwać wzroku od wiszącego na ścianie obrazka. Przypomniała sobie dzień, kiedy zwinęła go i wręczyła Monie. Jej pierwszy akt buntu.

- Niezły pomysł. Jestem potwornie głodna. Panie King, czy mógłby pan zadzwonić do biura i spytać, czy odezwała się Julia Martin? Martwię się o Lucie.

- Zaraz się tym zajmę. Proszę się nie spieszyć, młoda damo. Mamy mnóstwo czasu - odparł Artie.

Idąc korytarzem, Helen zaglądała do każdego pokoju. Wszystkie były prześliczne. W każdym stało pojedyncze łóżko przykryte kolorową narzutą, do której dopasowano zasłony, bujany fotel z białej wikliny, mała komódka i biureczko z krzesłem i lampą do czytania. Wesolo i przytulnie.

Pokój Isabel Tyger był inny, urządzone w różu i bieli. Przypominał Helen obrazki z katalogu Searsa. W dzieciństwie marzyła o takiej sypialni: różowe łóżo z falbaniastym baldachimem i toaletka z różowym, pluszowym taboretym, naprzeciw lśniąco białej szafki z zestawem telewizyjnym kryty różanym aksamitem szezlong, dopasowany kolorem do dywanu. W każdym rogu pokoju stały białe, wiklinowe kosze z paprociami. Tu też szklane, balkonowe drzwi prowadziły na niewielki tarasik, pełen donic z kwiatami.

Helen wsunęła ręce do kieszeni džinsów i zapatrzyła się w samotny obraz na ścianie. Był to portret młodziutkiej baletnicy w zniszczonych balet-kach, ubranej w różowy trykot i falbaniastą spódniczkę. Taki obrazek można kupić w supermarkecie czy na targu. Nie kosztowałby nawet dziesięciu dolarów. Został jednak oprawiony w pozłacaną ramkę, która sama była warta kilkaset dolarów. Helen wiedziała, że patrzy na coś, co miało wielkie znaczenie dla Isabel Tyger. Czyżby chciała być baletnicą? Czy kochała różowy kolor? Może to był pokój, o którym marzyła w dzieciństwie?

Kim byłaś, Boots? - zapytała Helen w duchu. - Czego chcesz ode mnie? Co mogę zrobić dla ciebie i jak? Dlaczego akurat ja? Co Lucie ma z tym wszystkim wspólnego? Czy ci dwaj na parterze potrafią mi na to odpowiedzieć? Łzy potoczyły się po policzkach Helen, kiedy zamknęła drzwi pokoju Isabel Tyger, czy też Boots, i ruszyła z powrotem korytarzem. Ostatecznie wybrała pokój z narzutą w kolorowe tulipany. Postanowiła, że nawet jeśli nie zostanie tu długo, to właśnie będzie jej pokój. Zawsze lubiła tulipany.

Usiadła na krześle, którego liliowy odcień idealnie pasował do kwiatów na łóżku. Zrzuciła buty i ściągnęła wilgotne skarpetki. Marzyła o prysznicu i szczoteczce do zębów. Wiedziała, że jeśli posiedzi zbyt długo, zaśnie na krześle. Nie miała ochoty wkładać z powrotem brudnego ubrania, ale kto by się tym przejmował? Na pewno nie ci dwaj starszycy w kuchni. Podniosła się z trudem i zajrzała do małej szafy. Zamrugła ze zdziwienia. W szufladach znalazła komplety bielizny, na krytych płótnem wieszakach wisiały wiatrówki, dresy i podkoszulki, wszystko w trzech rozmiarach. Na dole szafy stały rzędami kapcie, sandały i tenisówki, od numeru trzydzieści sześć do czterdzieści. Helen wybrała sobie komplet ubrań w średnim rozmiarze i poszła do łazienki. Tu znowu nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nigdy nie widziała nawet fioletowej deski klozetowej, a co dopiero sedesu czy umywalki. Na białych, ceramicznych haczykach wisiały grube, puszyste fioletowe ręczniki, obszyte białą koronką. Kabinę prysznicową zamykały rozsuwane drzwi w rzucik z fioletowych bratków.

Lawendowy papier toaletowy był gruby i miękki. W szafce pod umywalką zobaczyła całą kolekcję pudrów do ciała, pachnących mydeł w kostkach i w płynie, trzy rodzaje pasty do zębów i płynu do ust, a tuż obok sześć różnych szczoteczek do zębów w plastikowych opakowaniach. Była też suszarka do włosów, lokówka, dwa grzebienie i dwie szczotki do włosów. Schludnym rządkiem stały kremy do rąk, do twarzy, na dzień i na noc, balsam do ciała i cztery zestawy szamponu z odżywką. Wszystko nowe, nie otwierane. Na dolnej półce leżał drugi komplet fioletowych ręczników i cała paczka lawendowego papieru i chusteczek kosmetycznych.

- Prawdziwy komfort-mruknęła Helen.

Rozebrała się i weszła pod gorący strumień wody. Namydliła się, splukała, po czym namydliła jeszcze raz. Włosy umyła trzykrotnie. Dopiero wtedy poczuła się naprawdę czysta. Kiedy wyszła spod prysznica, na drzwiach łazienki zobaczyła szlafrok. Przyłożyła pasek do rolki papieru toaletowego, by porównać odcień, i uśmiechnęła się szeroko. Pasował idealnie. Zastanawiała się, kto dobierał kolory w tej małej łazience. Zapewne jakiś drogi projektant, chyba że to Boots miała ukryty talent.

Gdy się ubrała, poczuła się jak nowo narodzona - teraz będzie w stanie funkcjonować jeszcze kilka godzin, zanim zupełnie padnie z wyczerpania.

W korytarzu przystanęła i znów spojrzała na rysunek, który podarowała Boots za pośrednictwem Mony. Rama, jak tamta na portrecie baletnicy, była droga i wydawała się za bogata dla tak skromnego obrazka.

- Tak mi przykro, Boots. Żałuję, że... żałuję mnóstwa rzeczy.

Artie i Gerry czekali już nanią przy kuchennym stole.

- Wzięłam prysznic. W szafie były ubrania, pozwoliłam sobie z nich skorzystać.

- Są pani własnością. Cały ten dom należy do pani. Może pani tu robić, co zechce. Przygotowaliśmy kanapki, mam nadzieję, że pani lubi ser. Nic innego nie znaleźliśmy. Zwykle przynosimy coś ze sobą, kiedy tu przychodzimy. Gdybyśmy wiedzieli, że pani przyjeżdża, zaopatrzylibyśmy lepiej lodówkę.

- Może być ser. Mmmm, ta kawa jest naprawdę świetna.

Uwielbiam kawę.

- Tak jak Izz. Lubiła moczyć kanapki z serem w czarnej kawie.

My też tak robimy - powiedział Artie.

Helen natychmiast zanurzyła kanapkę w kawie.

- Teraz rozumiem, dlaczego to lubicie. Panie King, czy Julia Martin dzwoniła do ComStar? A może Sam się z wami kontaktował?

- Nie, ani jedno, ani drugie. I proszę do mnie mówić Arthur albo Artie.

- W porządku-zgodziła się Helen.

- Jak się miewa Lucie? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak często o was myślałem. Nieźle mnie nastraszyłyście tamtej nocy.

- Doktorze Davis, do końca życia będę panu wdzięczna, że uratował pan Lucie. Setki razy miałam ochotę zadzwonić do pana i opowiedzieć, jaka jest wspaniała. Nie potrafiłabym żyć bez tego psiaka. Większość ludzi nigdy by nie zrozumiała czegoś takiego.

- Izzie rozumiała, i to aż za dobrze. Jeśli do niego będziesz mówić Artie, mnie powinnaś nazywać Gerrym. Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Opowiemy ci wszystko o Isabel Tyger i mamy nadzieję, że wtedy zmienisz zdanie i przyjmiesz jej majątek. To niezbyt długa historia. Właściwie jest nawet żałośnie krótka. A kiedy skończymy opowiadać, zabierzemy cię na spacer.

Helen usiadła wygodniej na kuchennym krześle. Słuchała uważnie, od czasu do czasu łzy napływały jej do oczu. Geny w końcu wstał zza stołu i powiedział:

- Wybrała ciebie. Ze wszystkich ludzi na świecie wybrała właśnie ciebie, żebyś kontynuowała jej dzieło. Teraz rozumiesz? Jakiegokolwiek błędy popełniła, miała dobre intencje. Jesteś jej winna przebaczenie. I choćby nawet nie udało nam się oddać ci twojej tożsamości, myślę, że pan Tolliver zbytnio by się tym nie przejął. Kocha ciebie, a nie twoje nazwisko. Ale nie poddamy się. My też chcemy, żebyś mogła się rozwieść i wyjść za niego. Musisz być cierpliwa. A teraz, idziemy na mały spacer?

- Daniel mnie tu znajdzie. Dla niego nie istnieją żadne bariery, żadne przeszkody. Przyjedzie tutaj i zapuka do drzwi albo nawet przestrzeli zamek. Jeśli tu zostanę, sama wystawię mu się pod lufę.

- Tak, to prawda. Artie uważa, że powinniśmy wynająć dla ciebie osobistą ochronę, dopóki nie rozwiążemy tego problemu. Czy to by ci odpowiadało?

- Nie. Żaden wynajęty ochroniarz nie powstrzyma Daniela - prychnęła Helen. - Przecież mnie znalazł, czyż nie?

- Można by w ciągu paru dni ogrodzić najbliższe otoczenie siatką pod prądem. Na zewnątrz postawilibyśmy ochroniarzy i psy. To by go zatrzymało przynajmniej na chwilę. Można też próbować go spłacić. Masz dość pieniędzy, żeby to zrobić.

- To żadne rozwiązanie. Wszystko i tak pójdzie na marnie. Nie zgadzam się. On chce dostać swoją część tego majątku, a raczej całość. Gdzieś po drodze pieniądze przesłoniły mu mnie. Myślę, że nie interesuje się mną, od kiedy jestem z Samem. Nie wiem tego na pewno, możecie to nazwać kobiecą intuicją. Ale jeśli coś mi się stanie, on odziedziczy cały majątek. Ludziom bez przerwy zdarzają się wypadki.

- Umówimy cię na jutro rano z twoimi adwokatami. Poza tym chcielibyśmy, żebyś przemyślała jeszcze jedną sprawę. Jesteś teraz bardzo bogata. Mogłabyś nakłonić matkę, żeby za ciebie poręczyła. Jeśli rzeczywiście bar-

dziej ją interesują twoje pieniądze niż ty, choć to smutne, twoja książeczka czekowa rozwiązałaby problem. Kiedy w świetle prawa będziesz Helen Stanley, twój mąż nie będzie miał podstaw, by czegoś od ciebie żądać.

- To wam się tak zdaje-mruknęła.
- Idziemy na spacer, Helen? - zapytał Artie.
- Tak, idziemy.

Geny sięgnął do jednej z kuchennych szafek.

- To taki nasz mały rytuał - powiedział, wyjmując butelkę. - Izzie uwielbiała burbona.

- Ja wolę brandy-odparła Helen.

Gerry odwrócił się i jeszcze raz otworzył szarękę. Wyjął butelkę śliwkowej brandy i podał ją Helen.

- Pijemy z gwinta - wyjaśnił.
- Czemu nie.

Rozdział 27

No i co ty na to, Helen? - zapytał bełkotliwie Artie. Helen przechyliła butelkę brandy i pociągnęła długi łyk.

- To najsmutniejsza historia, jaką w życiu słyszałam. Wasza przyjaciółka Isabel i moja przyjaciółka Boots musiała być niezwykłą kobietą. Wy dwaj

- machnęła butelką w ich kierunku - też jesteście niesamowici. Nigdy bym

nie pomyślała, że przyjaźń może trwać tyle lat. I te malutkie groby. Serce mi

się kraje. Jakim cudem zdołaliście to wszystko tak długo utrzymać?

- Kochaliśmy Izzie - przyznał otwarcie Gerry. - Wybrała cię z powodu Lucie. Teraz już rozumiesz, o co nam chodziło?

- Tak.

- Więc teraz ty się tym zajmiesz? - Artie zerknął na nią znad drucianych okularów. Helen pomyślała, że jest podobny do starej, mądrej sowy.

- Jak możecie prosić mnie o coś takiego, kiedy wypitam pół butelki brandy? Nie myślę trzeźwo. Jestem wzruszona do łez, mam ściśnięte gardło i zamglony wzrok. Nie mogę w tym stanie podejmować takich decyzji.

- Musimy to wiedzieć - powiedział Gerry, pociągając burbona z butelki.

- My musimy to wiedzieć, i, na Boga, Izzie czeka tam w górze na odpowiedź.

Wyduś to wreszcie z siebie, dziewczyno. Jutro będziesz miała kaca i też nie

będziesz trzeźwo myśleć. Powiedziałaś, że zrobiłabyś dla mnie wszystko za

uratowanie twojego psa - dodał przebiegle.

- Rzeczywiście, tak powiedziałam. Pamiętam. I mówiłam poważnie - odparła żywo Helen.

- Więc właśnie to jest to wszystko. Chcę, żebyś przyjęła spadek. Nie możesz się teraz wycofać z danego słowa.

Helen łknęła jeszcze raz z butelki.

- Nie o to mi chodziło, Gerry, i dobrze o tym wiesz.

- Widzisz? Już jesteśmy przyjaciółmi. Nazywasz mnie Gerry. Nieważne, o co ci chodziło. Powiedziałaś, i już. Prawda, Artie? Stara, mądra sowa uroczyście kiwnęła głową.

- Jak amen w pacierzu. Kamień nam spadł z serca, no nie, Gerry?

- Taa.

- Muszę myśleć o Samie. Kocham Sama. Nie zrezygnuję z mojego życia. Sam nie... On nie chce, żebym była bogata. Powiedział, że mnie kocha, nawet kiedy jestem bogata, ale siedział w zaspie, gdy to mówił. Moje życie się zmieni. Życie Sama się zmieni. Nie chcę, żeby Sam był inny. Chcę go takiego, jaki jest. Uwielbia uczyć dzieciaki. A moje życie wypełniają... piórka... i łańcuszki na brzuch. Chcę sprzedawać łańcuszki na brzuch. Mogę zbić fortunę przez Internet. Nie potrzebuję... tego wszystkiego - wyrzuciła z siebie Helen, machając rękami.

Nad ich głowami zerwało się do lotu stadko ptaków. Helen spojrzała w górę i przez ułamek sekundy wydawało jej się, że na czubku najwyższego drzewa widzi Isabel Tyger. Zachłysnęła się, kiedy Boots triumfalnym gestem uniosła kciuk w górę. Helen zamrugowała i otworzyła usta ze zdziwienia, spoglądając na swoich towarzyszy, którzy wpatrywali się w czubek tego samego drzewa. Gdy zaczęli machać, pomyślała, że chyba zwariowała. To się nie dzieje naprawdę. Mam halucynacje i jestem pijana. Zamknęła oczy i otworzyła je znowu - wizja nie zniknęła. Artie i Gerry wciąż jeszcze machali, uśmiechnięci od ucha do ucha. Popatrzyła przed siebie, na dziesięć maleńkich nagrobków. Zjawa najwyraźniej czekała na jej odpowiedź. Helen nagle zdała sobie sprawę, że nigdy w życiu nie była tak przestraszona, ale i tak radosna. Pomyślała, jak bardzo kocha Lucie. Tak samo Boots musiała kochać tego bezpieczeństwa psa, swojego jedynego przyjaciela. Boots nigdy nie dostała drugiej szansy. Nie zwlekając dłużej, Helen podniosła w górę kciuk. Zjawa znikła powoli.

Helen zwróciła oczy na dwóch starszych panów, siedzących naprzeciw niej. Czy oni widzieli to samo, co ona? Czy powinna o to zapytać? Czyżby czekali, aż ona pierwsza coś powie? Byli zaprawieni na amen, jak mawiał Sam. A może to tylko sen, z którego obudzi się lada chwila? Znowu spojrzała w stronę dziesięciu grobków. Wokół kamieni unosiła się jakaś dziwna, złotawa poświata. A może to tylko zmęczenie i różnica czasu dają jej się we znaki? Może.

- Przyjmuję - powiedziała głośno i wyraźnie. Uniosła kciuk. - Ale tylko jeśli Sam się zgodzi. - Nie wytrzymała. Popatrzyła w górę raz jeszcze. Zjawa była znów na czubku drzewa. Helen zrozumiała, że nie ma żadnych „ale”. Odchrząknęła i powtórzyła: - Przyjmuję. Zrobię wszystko, by spełnić nadzieje Boots. Lecz nie zrezygnuję z mojego życia i własnych marzeń. Więcej nie mogę obiecać.

- Zgadząmy się na twoje warunki - powiedziała uroczyście stara, mądra sowa. - Ona też - dodała, wskazując palcem w górę.

- No to chyba wszystko załatwione. Musicie mi jeszcze wyjaśnić, co mam zrobić z... tym - Helen opadła na kolana przed największym z szeregu kamieni.

- Po prostu przychodzić tutaj. Plewić chwasty. Śpiewać. Modlić się. Myśleć. Pamiętać. Kiedyś może będziesz potrzebowała... nie znam lepszego miejsca spoczynku dla ukochanego stworzenia - odparł Gerry.

- Myślisz o Lucie i Maksie? - zapytała Helen zdławionym głosem. Objęła ramionami największy kamień i zapłakała jak nigdy jeszcze w życiu. Jej ciałem wstrząsnął głęboki, obezwładniający, rozdzierający serce szloch.

Po długiej chwili podniosła się z trudem.

- Czy to była moja inicjacja? - zapytała cicho.

- Tak - obaj panowie odrzekli chórem.

- Zdałam egzamin?

- Nie byliśmy pewni. Ale ona tak. - Artie wskazał szczyt najwyższego drzewa.

- To dlatego tu przychodzicie?

- Nie. Przychodzimy, bo chcemy. Robiliśmy to przez ponad sześćdziesiąt lat. Trudno zerwać ze starymi nawykami. A ona zjawia się od czasu do czasu. Przeważnie kiedy jest wkurzona albo kiedy sprawy nie postępują wystarczająco szybko. - Gerry przewrócił oczami, by pokazać, co o tym myśli.

- Ale ja nie wierzę w duchy - powiedziała Helen.

- My też nie.

- Byliśmy pijani. Zjawy, duchy, błędne ogniki, dymy, mgły i cała reszta to wszystko bzdury.

- Tak.

- Więc co widzieliśmy?

- To, co chcieliśmy zobaczyć. Izzie troszczyła się o nas przez całe życie. Nie ma powodu sądzić, że przestała, tylko dlatego że umarła. Zawsze ignorowała choćby najmniejsze przejawy logiki - odparł Gerry. - A teraz najlepiej będzie, jeśli wrócimy. Zdrzemniesz się trochę. Wyglądasz na wykończoną.

- Chyba zupełnie się rozbudziłam. Jestem taka nabuzowana, że musiałabym łyknąć ze trzy pigułki nasenne. Wracajmy do domu, porozmawiamy.

- Niezły plan-stwierdził Artie.
Geny klasnął w dłonie.
- Jesteśmy dobrzy w układaniu planów. Ten twój pan Tolliver zupełnie nie ma do nas zaufania. Nazwał nas starymi prykami i powiedział, że nas udusi.
- Bez niego nasza umowa jest nieważna.
- I bardzo słusznie.
- Zanim zajmiemy się czymkolwiek innym, musimy porozmawiać o Danielu Wardzie. A najlepiej mi się myśli, kiedy coś piekę albo gotuję. Co wy na to, żebyśmy posiedzieli w kuchni i zaczęli to wszystko powoli rozplątywać?
- A umiesz zrobić dobre spaghetti? - zapytał Artie.
- Sam twierdzi, że lepszego w życiu nie jadł - uśmiechnęła się Helen.
- Czy Sam lubi może bostońskie kremówki?
- Sam uwielbia bostońskie kremówki.
- My też - powiedział Artie. - Pójdziemy po zakupy.
- Tak, to wygląda na niezły plan - roześmiała się Helen. - Załatwione.

Daniel Ward tukał wściekle w klawiaturę laptopa. W kilka minut, używając karty kredytowej swojej matki, zarezerwował samochód do wynajęcia oraz pokój hotelowy i zamówił komplet czystych ubrań. Zamówienia mógł zrealizować w ciągu godziny. Jeśli mu się poszczęści, matka nigdy nie zauważy tych wydatków, jeśli nie - zadzwoni, ostrzeże go i poda do sądu. Wiedział, że wyciąg został właśnie wysłany, co dawało mu przynajmniej dwadzieścia cztery dni, aż do nowego cyklu rozliczeniowego.

Nie przestawał bębnić w klawiaturę. Matka na pewno starannie pilnowała, by jej konto się bilansowało. On chwilowo naruszył tę równowagę. Sześć tygodni wcześniej, kiedy jego sprawy zaczęły wyglądać coraz gorzej, Daniel wpadł na genialny pomysł, by zdobyć duplikaty kart kredytowych matki. Przy jego umiejętnościach było to dziecinnie proste, i jak na razie, nikt się nie zorientował w oszustwie. Ciekawe, co powiedziałaaby matka, gdyby dowiedziała się, że rzeczywiście jest takim łajdakiem, za jakiego go uważała. Skrzywił się. Wolał się teraz nad tym nie zastanawiać. Musiał myśleć o przetrwaniu.

Kiedy przypomniał sobie ciężarówkę, które zajeżdżały mu drogę na M-95, pozwalając uciec Helen, znów ogarnęła go wściekłość. Jechał dalej tylko dlatego, że wiedział, dokąd zmierza Helen: na ranczo Tygerów.

W Oklahomie porzucił wypożyczony samochód, za który zresztą nie zapłacił, i dalej podróżował autostopem. Policja mogła go sobie szukać do woli, nie zostawił żadnych śladów. Zresztą, co niby mogli mu zrobić? Wygłosić pogadankę, że przekroczył limit kredytowy. Z kartą bankomatową byłby tro-

chę większy kłopot, ale najpierw musieliby go znaleźć, a nie zamierzał nigdzie zatrzymać się dłużej.

Zapłacisz mi za to, Helen. Jak mi Bóg miły, kiedy cię wreszcie dorwę, będziesz mnie błagać o litość. Szkoda, że nie wiesz, jak bardzo cię nienawidzę. Ale powiem ci to. Wykrzyczę w twarz, a potem spiorę tak, że sama siebie nie poznasz w lustrze.

Siedział przez chwilę bez ruchu, usiłując odzyskać zimną krew. Wiedział, że nie wzbudzi podejrzeń, że wygląda jak znużony turysta, wracający do domu z długiej podróży. Tak właśnie zamierzał w razie czego wytłumaczyć swój wygląd - zaniedbany, nie ogolony i zmęczony podróżny. Kiedy upewnił się, że kontroluje emocje, wyłączył laptop. Zapamiętał, że wkrótce trzeba będzie podładować akumulatorki.

Dwie godziny później zaparkował nowo wynajęty samochód na placu przed Holiday Inn. Zameldował się bez problemu i poszedł do swój ego pokoju, gdzie ogolił się, wziął prysznic i włożył świeże ubranie. W ciągu niecałej godziny jechał już do najbliższej restauracji. Zamówił ogromny stek z kością, wielkiego pieczonego ziemniaka, sałatkę i butelkę wina za pięćdziesiąt dolarów. Kiedy wszystko zjadł, rozparł się na krzesło i specjalnie zapalił papierosa, by kelnerka musiała zwrócić mu uwagę. Uśmiechnął się na myśl, jak nakłonił pewną starszą panią, by zadzwoniła na ranczo Tygerów i zapytała o Jake'a Ramosa. Wytłumaczył jej, że po długim locie ma zatkane uszy. Uwierzyła. Telefon odebrała jakaś miła kobieta i powiedziała, że to pomyłka. Starszej pani było bardzo przykro. Podziękował jej wylewnie i przyznał, że widocznie źle zapisał numer. Wiedział teraz na pewno, że Helen jest na ranczo, ale przecież od dawna przypuszczał, że tam właśnie pojedzie. Bo dlaczego nie? Przecież to teraz jej dom. Jego też. Wciąż jeszcze była jego żoną. Isabel Tyger, ta głupia dziwka, wszystko spieprzyła. Dzięki temu on będzie mógł przejąć połowę jej majątku. A może nawet całość.

W wynajętym samochodzie, w którym nie wolno było palić, zapalił drugiego papierosa. Miał zamiar pojechać na ranczo, podejść do drzwi i zadzwonić. Postanowił, że jeśli zajdzie konieczność, przestrzeli zamek. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale był gotów na wszystko. Na każdą ewentualność. Przemknęło mu przez głowę, że chyba przekroczył jakąś granicę. Teraz nie mógł się już cofnąć.

Helen krążyła po pustym domu. Nigdy nie czuła się taka samotna. Arhe i Getry byli w Los Angeles. Miała dołączyć do nich jutro i wrócić z nimi odrzutowcem firmy. Julia jeszcze nie przyjechała, Sam też się nie kontaktował, ani z weterynarzem, ani z dawnym szefem Daniela. Tęskniła za Lucie tak bardzo, że chciało jej się płakać.

Zastanawiała się, czy nie sięść do komputera i nie zajrzeć na swoją stronę internetową. Była ciekawa, co słychać w jej małej firmie.

Od pięciu dni prześladowała ją historia Boots i dziesięciu małych grobów. Chciała coś zrobić. Nie miała wprawdzie zdjęć suczki Boots, którą Isa-bel tak kochała, ale Geny i Anie opisali szczegółowo i ją, i szczeniaki, pamiętali każdy włos, każdą łatkę. Helen łzy napłynęły do oczu na myśl o tym, jak zginęły i jaki wpływ wywarła ta śmierć na trójkę przyjaciół. Zobaczyła malarzka mordkę Lucie. Musiała coś zrobić, by nie myśleć o jutrzejszym, popołudniowym zebraniu w Los Angeles. Zajmie miejsce Isabel Tyger w sali posiedzeń zarządu. Ona. Helen Stanley. A Artie i Gerry pojechali tam wcześniej, by przygotować wszystko na przybycie nowej właścicielki, która oczekiwała... no właśnie, czego?

Helen usiadła w ulubionym fotelu Isabel i sięgnęła po szkicownik. Wkrótce pograżyła się w pracy. Nie mając przy sobie psa, który ostrzegłby ją szczekaniem, nie wiedziała, że ktoś zbliża się do domu, dopóki nie usłyszała dzwonka. Artie i Gerry byli w Los Angeles. Któż to mógł być, o tej porze? Gerry mówił, że nikt nie przychodzi na ranczo bez zaproszenia. Helen poczuła dreszcz strachu. Otworzyć drzwi? Nie pamiętała nawet, czy są zamknięte na klucz. Zastanawiała się, czy zapalić światło. Ściemniło się, kiedy rysowała, włączyła więc małą lampkę do czytania, ale reszta domu tonęła w mroku. Uznała, że lepiej nie włączać światła. Podeszła do frontowych drzwi. Zasuwa była zatrzaśnięta.

Sam? Sam, gdyby tu przyjechał, nie zdejmowałby ręki z klaksonu i wykrzykiwałby jej imię przez cały podjazd. Julia? Lucie szczekałaby jak wariatka. Pozostawał tylko Daniel. On dobrze znał ten dom. Bywał tutaj często, kiedy prowadził serwis dla fundacji Isabel Tyger.

Helen przebiegła przez jadalnię i wpadła do kuchni w tej samej chwili, w której tylnymi drzwiami wszedł do niej Daniel. Wyglądał dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy mieszkali razem, jakby właśnie wracał z pracy. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła te same uczucia. Był w nastroju do bicia.

- Czekaaś na mnie, Helen?

- Nie. Nie czekałam. - Boże, gdzie jest nóż do mięsa? Pewnie gdzieś za kontuarem, za daleko, by po niego sięgnąć. Pistolet dała kierowcy ciężarówki, obiecał zwrócić go, kiedy będzie następnym razem w Kalifornii. Teraz potrzebowała broni. Nie miała nic, chyba żeby za broń uznać czerwony czajnik do herbaty.

- Dość tych bzdur, Helen. To się musi skończyć raz na zawsze. Dlaczego nie gotujesz kolacji? Nie widzę talerzy na stole, nie czuję zapachu jedzenia.

- Ja już jadłam. Wynoś się stąd, Daniel. Nie masz tu czego szukać. To mój dom, nie twój.

- Co twoje to i moje. I nie waż się mówić do mnie tym tonem.
- Bo co? - Helen usiłowała grać na zwłokę. - Już się ciebie nie boję, więc nie próbuj mnie zastraszyć. Możesz tego żałować.

- Chyba umrę ze śmiechu. Może lepiej usiądźmy i porozmawiajmy, na co wydamy pieniądze starej Isabel. Jeśli się bardzo postaram i dobrze to zaplanuję, myślę, że uda mi się zniszczyć ComStar i Arthura Kinga.

- Nie dostaniesz ani centa. Zamierzam wszystko rozdać. Ale dla ciebie to nie będzie miało żadnego znaczenia, bo będziesz siedział w więzieniu. I dopilnuję, żebyś nigdy z niego nie wyszedł. A teraz wynocha, bo zadzwonię na policję.

- Proszę bardzo. No, na co czekasz? Dzwoni. Nie? Nigdy nie wypowiadaj gróźb, jeśli nie masz zamiaru ich spełnić. Siadaj! To rozkaz, Helen.

- Wiesz, co sobie możesz zrobić z twoimi rozkazami. Powiedziałam ci już, nie boję się ciebie.

Helen krok po kroku okrążyła stół, aż znalazła się dokładnie na wprost drewnianego klocka, który służył za stojak na noże. Nóż do mięsa sterczał najwyżej; miał najdłuższą rączkę i był najostrzejszy. Od Daniela oddzielało ją krzesło. Mogła się odwrócić, złapać nóż...

Wtedy zobaczyła pistolet.

- Jeśli mnie zabijesz, resztę życia spędzisz w więzieniu. Nie będziesz mógł wydawać pieniędzy. Co sobie pomyślą twoi rodzice? Zbyt wiele osób wie, co wyprawiałeś. Wszyscy będą zeznawać przeciwko tobie. Nawet ta pielęgniarka, Maggie, czy jak jej tam, ma o tobie sporo do opowiedzenia. Arthur King mówił mi o niej. Dowodów nie brak. Lepiej idź sobie, Danielu. Zostaw mnie w spokoju. Pomyśl o rodzinie.

- Moja matka nazwała cię śmieciem z przyczepy. Stwierdziła, że to normalne, że skończyłem z kimś takim jak ty. Zbuntowałaś przeciwko mnie moją własną matkę.

- Nawet nie znam twojej matki, tak samo jak ty nie znasz mojej. Powiedziałeś, że twoja matka nie chce mieć z tobą nic wspólnego, bo ożeniłeś się ze mną. A na oczy mnie nie widziała. Wiesz co? Ja też jej nie lubię.

- No widzisz? Znowu kłamiesz. Widziałem się wczoraj z twoją matką. Powiedziałem jej, że jestem z firmy ubezpieczeniowej. I że musi oddać te dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, skoro ty nie umarłaś. I co? Zwiła. W niczym ci już nie pomoże. Jesteś taka sama, jak moja matka i siostra. Uważasz się za kogoś lepszego od innych. Myślisz, że wszystko wiesz. Ale ja ci dam nauczki, im też.

- I co zrobisz, Daniel? - Jeszcze parę centymetrów i będzie mogła sięgnąć po nóż. Spojrzała na pistolet, który nawet nie drgnął w dłoni męża. Może powinna kucnąć, rzucić w niego krzesłem i pobiec w stronę otwartych drzwi.

Działając z zaskoczenia, zyskałaby kilka sekund. Jak mawiał Geny, był to niezły plan. Ale czy się powiedzie?

- Kazałem ci usiąść, Helen. Chcę, żebyś spisała testament.
- Po moim trupie.
- Zrób to, Helen. - Usłyszała trzask odbezpieczanego pistoletu.

Ciągle jeszcze mogła wykonać swój plan. Jeśli będzie dość szybka, nawet jeśli Daniel wystrzeli, może spudłować. Na pewno nie spodziewa się po niej czegoś takiego. Nie zastanawiając się, co będzie, jeśli kula ją przesyje, przypadła do podłogi, pchnęła jedno krzesło po posadzce, potem drugie i jak burza dopadła otwartych drzwi.

Niemal natychmiast skryła ją ciemność.

Za plecami usłyszała ciężkie kroki po uschniętych liściach. Czują zapach strachu, nie wiedziała tylko, czy Daniela, czy swojego własnego. Nie oglądać się. Nie myśleć. Uciekać!

Rozdział 28

Siedziała na ganku, tuląc w ramionach małego pieska. Mimo sporej odległości Sam widział wyraźnie, że to nie Helen. Był tak rozczarowany, że zachciało mu się płakać. Mężczyźni nie płaczą. Bzdury - pomyślał. - Jeśli mam ochotę płakać, to będę płakał, do cholery.

Max pacnął swoją wielką łapą w przycisk, odpinając pas bezpieczeństwa, i nagle zawył przeraźliwie, aż Samowi włosy stanęły dęba na głowie.

- Dobra, dobra, poczekaj, muszę zatrzymać samochód. Dobra. Tak, tak, to Lucie. Do licha, biegnij! - Sam otworzył drzwi. Max niemal w locie pokonał podjazd, hamując z poślizgiem na jego końcu. Zaczął tańczyć i drapać ziemię, rozszczękał się z radości, w końcu chwycił Lucie za sierść na karku i przyniósł ją do samochodu. Pokazał ją Samowi, jakby chciał powiedzieć: „Zobacz, jest wreszcie!”.

- Hej, ślicznotko, gdzie twoja pani? - zapytał Sam, drapiąc suczkę za uszami.

- Pan to pewnie Sam. Max i ja już się znamy. Jestem Julia Martin. Przyjechałam tu jakieś pół godziny temu. Wygląda na to, że Helen nie ma w domu, światła są pogaszone.

- Nazywam się Sam Tolliver. - Wyciągnął rękę. - Zaglądała pani od tyłu?

- Nie. Helen na pewno nie ma, widzę po Lucie, zachowywałaby się inaczej. Wołała zostać u mnie na rękach. Chyba za sobą tęsknili. - Julia wskazała na psy.

- To za mało powiedziane - odparł Sam. - Zaryzykowałem i przyjechałem tutaj, bo myślałem, że Helen też tak zrobi. Przez cały dzień próbuję się skontaktować z tymi dwoma durniami, którzy tu wszystkim kręcą. Nie odpowiada żaden z numerów, jakie mi podali. Czy pani ma jakiś pomysł, dokąd mogła pojechać Helen?

- Tak jak pan myślałam, że zjawi się tutaj, dlatego tu teraz siedzę. Jestem zbyt zmęczona, żeby jeszcze gdzieś jechać. Zaraz zasnę, tutaj, na tym ganku. Pośpię ze trzy dni.

- Może zanim pani się położy, sprawdzimy od tyłu. Zakładam, że te drzwi są zamknięte?

- Próbowałam je otworzyć i wołałam Helen. Usłyszałaby mnie, nawet gdyby spała. Ale jedno mnie zastanawia: Lucie nie szczekała. To znaczy, że Helen tutaj nie ma. Muszę się przyznać, że bardzo mało wiem o zwierzętach. Trzęsa się tak bardzo, że musiałam ją wziąć pod bluzkę, żeby poczuła bicie mojego serca. Jestem dla niej właściwie obcą osobą. Nie zaglądałam do domu od tyłu, padam z nóg. Jechałam przez czterdzieści osiem godzin, z krótkimi przerwami na drzemkę.

- Witam w klubie - powiedział Sam, pomagając Julii wstać. - To wynajęty samochód. Widocznie Helen potrzebowała jakiegoś pojazdu. O, a to co? - mruknął, podchodząc po niewielkiej pochyłości do szeroko otwartych tylnych drzwi. Lucie wspięła się łapkami do jego kolan, prosząc, by wziął ją na ręce.

- Coś się tu musiało stać - stwierdziła Julia, podnosząc jedno z kuchennych krzesel. - To pomieszczenie jest w idealnym porządku, z wyjątkiem tych dwóch przewróconych krzesel. Wszystko posprzątane po kolacji i przygotowane do śniadania. Stojak na noże jest przesunięty i brakuje największego noża. Zauważam takie rzeczy. - Julia była wyraźnie przestraszona. - A poza tym, po co Helen wynajmowałaby samochód? Przecież Isabel Tyger na pewno zostawiła jej kilka. Po drugiej stronie podjazdu jest wielki garaż z czterema bramami, to znaczy, że Helen musi mieć do dyspozycji cztery wozy. Goście, oczekiwani lub nie, parkują na zewnątrz. Właściciele samochody wstawiają raczej do garażu. Nikt też nie zostawia otwartych na oścież drzwi, szczególnie w nocy. Co zrobimy? - Jej niepokój był tak zaraźliwy, że Sam aż się przygarbił.

- Powinniśmy zadzwonić na policję. Natychmiast!

- Zgadzam się. I co potem?

- Zaczniemy jej szukać. Mamy przewagę, dzięki Maksowi. On ją znajdzie. To ten jej przekłety mąż. Zabiję faceta gołymi rękami - wybuchnął Sam. Julia już dzwoniła pod 911. Usłyszał, że podaje adres i wyjaśnia sytuację.

- Martwię się tak samo jak pan - powiedziała, odłożywszy słuchawkę. - Kiedy zjawi się tu ten drań, będzie się pan musiał pospieszyć, bo inaczej ukatrupię go pierwsza. Aż mnie ręce swędzą. Poszukajmy latarki. Nie znamy tego terenu. Czy pański pies potrzebuje czegoś, żeby chwycić zapach Helen?

- Nie.

Julia zaglądała kolejno do kuchennych szuflad, aż znalazła latarkę.

- Dobra, idziemy. Ja poniosę Lucie, a pan niech weźmie latarkę.

- Szukaj Helen, Max. Ruszaj, piesku!

Max pognał w ciemność, Julia i Sam pobiegli za nim.

Helen skradała się schylona w gęstych zaroślach, oddychając szybko. Czuła przyływ adrenaliny. Modliła się, by nie zakasłać, nie spowodować jakiegokolwiek hałasu, który zdradziłby jej kryjówkę. Przed sobą słyszała ciężkie kroki Daniela, przedzierającego się przez krzaki. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i jak daleko odeszła od domu. Wiedziała tylko, że jest wykończona.

Chmury nad jej głową rozstąpiły się nagle i księżyc rozświetlił noc.

- Do licha - wymamrotała. Czy Daniel oddalił się wystarczająco, by mogła zawrócić do domu i wezwać policję? Problem w tym, że nie wiedziała, w którym kierunku szukać domu. W oknach nie świeciły światła, które wskazałyby jej drogę. Dom mógł być wszędzie.

Poczuła drapanie w gardle, no tak, zaraz zacznie kaszleć. Przycisnęła dłoń do ust. W tej samej chwili potężny skurcz przeszył jej łydkę. Spróbowała przesunąć nogę odrobinę do przodu, by ją rozmasować, i nagle poczuła, że leży na plecach, a Daniel trzyma ją za kostki.

- Jesteś tak cholernie przewidywalna, Helen, że to aż żalosne.

- Puszczaj - wysapała.

Daniel szedł przed siebie i ciągnął japo ziemi. Patyki i kamienie raniły jej kark i plecy. Ostro zakończona gałąź przejechała jej po twarzy. Helen poczuła coś na policzku i szyi. Krew.

- Dobrze, Daniel. Zgoda. Weź sobie to wszystko. A teraz puść mnie.

Odwrócił się; ucisk dłoni, w których trzymał kostki Helen jak w imadle, zelżał.

- Podobno się mnie nie boisz.

- Kłamałam. Bardzo się boję. Nie jesteś przecież głupi. Jeśli mnie skrzywdzisz albo zabijesz, nie dostaniesz nic. Będziesz miał związane ręce na długie lata. Lata, Daniel. Muszę ci to wszystko dać! Dać. To twój klucz do sukcesu. Nie testament. To by było podejrzane. Ty sam powinienes wiedzieć to najlepiej. Powiedzą, że mnie zmusiłeś do podpisania. Możemy jutro iść do biura radcy prawnego i przepiszę wszystko na ciebie. Wiedzą już, że

nie chciałam tych pieniędzy. Od razu im to powiedziałam. Moja decyzja ich nie zdziwi.

Spojrzała w górę. Jeszcze kilka minut i chmury znów przestonią księżyc. Może wtedy uda jej się uciec. Daniel widocznie pomyślał o tym samym. Chwyił ją i postawił na nogi.

Nagle coś śmignęło obok niej w powietrzu. Daniel puścił ją. Opadła na kolana.

- Max!

Labrador szczechnął, przygniatając łapami pierś leżącego Daniela, wielkim pyskiem niemal dotykając jego twarzy. Widziała wyraźnie jego błyszczącą sierść. Podniosła się i wpadła prosto w wyciągnięte ramiona Sama.

- Sam.

- To ja. We własnej osobie. Co to, jakiś pies czy co?

- Żebyś wiedział, i to wściekły!

- Weźcie ode mnie tego kundla! - pieklił się Daniel.

- Ani mi się śni! - krzyknął Sam. - Ten pies jest niesamowicie uparty. Nie ruszy się z miejsca, dopóki nie zjawi się policja, a to nie potrwa długo. Chociaż, z drugiej strony, może im zejść parę godzin. Jak się panu podoba „napad z usiłowaniami zabójstwa”, panie Ward? Moim zdaniem, taka kwalifikacja idealnie do pana pasuje.

- Pieprz się-warknął Daniel.

- Daj mu za to klapsa, Max. Nie powinien pan przeklinać przy damach, panie Ward.

Wielki labrador podniósł łapę i przycisnął nos Daniela. Sam roześmiał się i mocniej przytulił Helen.

- Hej! Kogo my tu mamy!

- Lucie! O Boże, Lucie, to naprawdę ty. Chodź tu, maleńka. Już dobrze. Max panuje nad sytuacją. Zobacz. Cicho, już dobrze. On nigdy więcej nas nie skrzywdzi. Tak bardzo za tobą tęskniłam.- Suczka lizała Helen po twarzy, oczach, szyi, tuląc się do swojej pani, którą kochała najbardziej na świecie.

Jest twoim przyjacielem, partnerem, obrońcą, twoim psem. Ty jesteś jego życiem, miłością, jego panem. Będzie twój, wierny i szczery, dopóki bić będzie jego serce. Bądź godzin tak wielkiej miłości - jesteś mu to winien.

Cyceron to powiedział. Boots przysłała mi to kiedyś w jednym z maili. Niby rozumiałam te słowa, ale jednocześnie nie pojmowałam ich do końca, wiesz, o co mi chodzi. Teraz już rozumiem wszystko. Czy policja przyjedzie? - wyszeptała Helen.

- Julia po nich dzwoniła. Powinni tu być lada moment Co ty sobie, do diabła, myślałaś, Helen? Nie masz pojęcia, jak bardzo się o ciebie martwiłem i bałem.

- Nie wiem, Sam. Myślałam... Chciałam go jakoś przechrzyć... wrócić do domu, żeby wezwać policję. O, teraz słyszę syrenę. Chyba trafimy z powrotem.

- Zostanę tu z tym draniem, dopóki policja go nie zabierze. Ty idź z Julią do domu. Wydeptaliśmy niezłą ścieżkę. Chmury się rozpraszają, będzie jaśniej.

- Kocham cię, Sam.

- Ja ciebie bardziej.

Patrzyli na czerwono-niebieskie światła policyjnego wozu, dopóki nie zniknęły w oddali.

- Czy to już koniec, Sam?

- Tak myślę, kochanie. Musisz tylko poprosić swojego prawnika, żeby wytłumaczył całą sytuację, kiedy pójdziesz na komisariat złożyć doniesienie. Będzie mnóstwo formalności, ale na pewno wszystko się wyjaśni. On ci już nie zagraża. Według mnie zupełnie zwariował, wystarczyło posłuchać tego bełkotu, gdy wsadzali go do samochodu.

- Czy mogłabym się położyć, Helen? - zapytała Julia.

- Oczywiście. Wybierz sobie pokój. Ja mam zamiar posiedzieć tu do rana z moim facetem i mówić mu, jak bardzo go kocham.

- Więc chyba się pożegnaj. Na pewno wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest, Julio. Dzięki za opatrunki. Wiem, że wyglądam na poturbowaną, ale czuję się świetnie. Przestań się już o mnie martwić. Śpij dobrze.

- Do rana? Chcesz rozmawiać całą noc? - spytał Sam, kiedy za Julią zamknęły się drzwi.

- Żebyś wiedział, że całą noc. Kochałeś się już kiedyś pod gwiazdami, Sam?

- Nie.

- Ja też nie. Spróbujemy? Jest wyjątkowo ciepło, prawie wiosennie. Porozmawiać zawsze możemy później.

- Tak, to chyba niezły plan.

Helen roześmiała się.

- Mówisz jak Artie. Dla niego i Gerry'ego wszystko jest planem. Sam, mam ci tyle do opowiedzenia. Ja... powiedziałam im, że przyjmę spadek Boots. I chcę usłyszeć od razu, czy robi ci to jakąś różnicę.

- Helen, będę cię kochał zawsze, bogatą czy biedną.

- Pokochałem cię, zanim się dowiedziałem, że jesteś bogata.

- Ale w praktyce to znaczy, że będziesz się musiał tutaj przeprowadzić.

Co ty na to?

- Gdzie ty, tam ja...

Helen skrzywiła się lekko z bólu, siadając na kocu.

- Zauważ, że się przygotowałem. - Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widzę. Tu jest tak pięknie. Na niebie świecą dziś chyba miliony gwiazd - powiedziała Helen, poddając się pocałunkom Sama. Jego usta delikatnie dotknęły jej brwi i powędrowały do linii włosów i dalej, aż do wrażliwego ucha. Czowała ziołowy zapach wody kolońskiej, świeży zarost na jego podbródku; miękkie wargi błędziły po jej policzkach.

Zamknęła oczy i westchnęła głęboko. Sam był mężczyzną, który wiedział, co to czułość, umiał czekać na reakcję kobiecego ciała, potrafił po mistrzowsku sprawić, że czuła w pełni swoją kobiecość i jego męskość.

Delikatnie ujął w dłoń jej twarz i musnął jej usta. A kiedy już myślała, że ją puści, pocałował ją mocniej, w subtelnej pieszczocie sunąc koniuszkiem języka po wewnętrznej stronie jej warg.

Fala gorąca zalała Helen. Uniosła ramiona i otoczyła nimi plecy Sama. Gładziła palcami jego koszulę, wyczuwając pod nią grę mięśni promieniujących energią i siłą, a jednocześnie łagodnością. Chcąc przedłużyć tę chwilę, otworzyła się na jego pocałunki, wiedziała, że to jedyny mężczyzna, który potrafi rozniecić w niej iskrę i rozdmuchać prawdziwy pożar. Sam jęknął cicho i wpił się w jej usta, rozkoszując się ich smakiem i dotykiem. Jego oddech stawał się coraz szybszy i bardziej płytki. Całowała go namiętnie, natarczywie. Nic nie miało teraz dla niej znaczenia; Daniel, Julia, spadek Boots. Liczył się tylko Sam.

Całowała go, jak jeszcze nie całowała żadnego mężczyzny. Były w jej życiu inne pocałunki, inne pieszczoty, ale nigdy nie reagowała na nie w ten sposób.

Jego delikatne palce gładziły jej policzek, przemawiał do niej ochryplym z emocji szeptem, ledwie dosłyszalnym w nocnej ciszy. Dłońmi wyczuwał przyspieszone bicie jej serca. Ten dziki rytm rozpałił go jeszcze bardziej. Pragnął jej od chwili, kiedy ujrzął ją pierwszy raz. Mówił jej to wielokrotnie, powtarzał bez końca i teraz chciał powiedzieć jej to znów... czynami, nie słowami.

Tu, pod gwiazdami, byli skryci przed całym światem. Brał ją powoli, rozkoszując się każdą cudowną sekundą, każdą chwilą, którą z nią dzielił. Wiedział, że musi ją mieć, zagubić się w niej, że tylko wtedy poczuje się spełniony.

Fala rozkosznego ciepła wezbrała w Helen, kiedy wargi Sama, odrywając się od jej warg, powędrowały niżej, w stronę piersi, które dotąd przykrywał dłońmi. Chwyliła kurczowo jego silne ramiona, jakby się bała, że utonie w rozkoszy, że nie odnajdzie drogi powrotnej.

Ręce Sama objęły jej talię i zsunęły się na pośladki. Skomplikowane ewolucje jego języka wprawiły ją w drżenie. Wczepiła się palcami w jego włosy, jej ciało wygięło się pod nim w łuk, wychodząc naprzeciw niepohamowanym pieszczotom ust. Wiedział, czego szuka, i odnajdywał sekretne miejsca, doprowadzając ją niemal do orgazmu, by nagle podążyć inną ścieżką i znów zacząć od nowa.

Pragnienie spełnienia ogarnęło Helen, jej wnętrze żądało rozkoszy, ciało poruszało się gwałtownie, bez wytchnienia. Sam przywarł do niej mocno, pieścił dłońmi i ustami, aż wybuchnęła płomieniem, plecy wyprężyły się w łuk, świat zadrżał w posadach. A kiedy wstrząsy uspokoiły się i usta Sama znów odnalazły jej usta, poczuła na nich własny smak. Była zaspokojona, ale nie nasycona; miała swoją ucztę, ale wciąż jeszcze czuła głód. Chciała więcej - o wiele, wiele więcej. Chciała przeżyć z nim jego spełnienie, chciała sprawić dla niego taki sam cud.

Poruszając się wraz z nim, stapiając w jedno, podsycala jego pożądanie i ożywiła na nowo swój płomień. Razem wznieśli się na niebotyczną wysokość, razem osiągnęli szczyt.

Pierś Sama wciąż jeszcze falowała, kiedy Helen wtuliła się w zgięcie jego ramienia.

- Myślałem, że cię straciłem-wyszeptał.
 - Nie mógłbyś mnie stracić, Sam. Za bardzo cię kocham, żeby na to pozwolić. Odeszłam tylko dlatego, że się bałam...
 - Ćśśśś. - Sam położył jej palec na ustach. - Już i tak zbyt wiele naszego życia spędziliśmy, myśląc o Danielu Wardzie. Teraz siedzi za kratkami, gdzie jego miejsce. I na tym koniec. Zgoda?
- Helen westchnęła. To zbyt piękne, by było prawdziwe.
- Zgoda-odpowiedziała szeptem.
- Zasnęli pod gwiazdami, przytuleni do siebie, jakby byli jednym ciałem.

Helen otworzyła oczy w momencie, kiedy słońce wyrzało nad horyzont. Leżała cicho, przyglądając się mężczyźnie u swego boku. Tak bardzo był jej drogi, we śnie wyglądał tak bezbrinnie. I tak bardzo go kochała.

- No i co, nadam się? - zapytał leniwie.
 - Ty oszuście. Nie śpisz!
 - Od dawna. Nie chciałem się ruszać, żeby cię nie obudzić.
- Możemy już wstawać?
- Musimy wstawać. Chcę zadzwonić do Artiego i Gerry'ego. Mam lecieć na zebranie zarządu do Los Angeles. Na lotnisko jadę limuzyną, a potem wsiadam do prywatnego samolotu. Niezły ubaw, co? - zachichotała. - Wrócimy około szóstej. Możesz jechać ze mną, jeśli chcesz.

- Poczekam tutaj na ciebie. Co z policją i doniesieniem na Daniela?
- Wpadnę na komisariat w drodze na lotnisko i podpiszę, co trzeba. Myślisz, że będę musiała się widzieć z...
- Nie. Wezmę teraz prysznic i upichcę jakieś śniadanie. Nie potrafię żyć wyłącznie miłością. Musisz się z tym pogodzić - oświadczył Sam, szczypiąc ją pieszczotliwie w policzek.
- Wiesz co? Ja też nie potrafię. Poproszę dwa albo i trzy jajka, mnóstwo grzanek, ale bez boczku, jest za tłusty. Za to dżem i masło. Zrób mi też wielki kubek kawy.
- Według rozkazu. Kocham cię, Helen Stanley.
- Ja ciebie też, Samie Tolliver. Gdzie są psy?
- Uśmiechnął się.
- Tam, pod drzewem. Lucie spała między łapami Maksa, jak w kołysce. O, idą. Nasi najlepsi przyjaciele.
- Nawet nie wiesz, ile w tym prawdy. Opowiem ci pewną historię, będziesz płakał jak bóbr. Ale to później. Właśnie zdałam sobie sprawę, że mamy całą resztę życia na rozmowy. A teraz mnie pocałuj i powiedz, jak bardzo mnie kochasz.
- Kocham cię bardziej niż wczoraj, a jutro będę cię kochał jeszcze bardziej. Na zawsze i na wieki wieków.
- Greczny z ciebie kawaler, jak powiedziałby Artie.
- Greczny? Jeszcze chyba nikt nie nazwał mnie grzecznym kawalerem.
- Zaufaj mi. Jesteś greczny. Uwielbiam to. To wielka zaleta. Szczególnie u mężczyzny. - Przechodząc obok, klepnęła go w pośladek.
- Sam spojrzał na psy.
- I ona mówi, że to ja umiem ładnie gadać.

Rozdział 29

Byla zdenerwowana. Żałowała teraz, że nie kazała się wprowadzić do sali wcześniej, przed przyjściem pozostałych. Ale Artie i Geny sienie zgodzili. Miała wejść i pokazać, że to ona jest właścicielką. I tak zrobiła. Wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że wygląda nieźle, zważywszy na okoliczności. Jeśli będą się gapić, trudno. Ścisnęła mocniej tekturową teczkę.

Weszła do wyłożonej drewnianą boazerią sali i obrzuciła spojrzeniem zebranych. Stali przy długim, lśniąącym stole konferencyjnym. Sami mężczyźni, wpatrzeni w nią poważnym wzrokiem. Nie dostrzegła wśród nich ani jednej

przyjaznej twarzy. Być może bali się o swoje posady. Helen poczuła, że ze zdenerwowania sztywniejają jej plecy. Kiwnęła lekko głową, wskazując, że mogą zająć miejsca. Odchrząknęła cicho i zaczęła:

- Dzień dobry panom. Jestem Helen Stanley. Proszę traktować nasze spotkanie jak zwyczajne zebranie, jak za życia pani Tyger. Proponuję, by panowie przedstawili mi się kolejno i opowiedzieli o swoich funkcjach w Tyger Toys. Na koniec ja dodam parę słów od siebie - powiedziała pewnym głosem. Zobaczyła niezadowolone miny, zdawało jej się, że niemal słyszy tłumione jęki.

Słuchała jednym uchem nudnych sprawozdań, myślami wracając do Sama i do wydarzeń minionej nocy. Postanowiła, że nie będzie myśleć o Danielu. Ani teraz, ani nigdy. Po co się nim przejmować, jego dalszym losem będzie się musiała zająć jego rodzina. Na dobre zniknął z jej życia. Może bliscy i specjaliści od takich przypadków będą w stanie mu pomóc. Myślenie o nim to tylko strata energii. Od tej pory interesuje ją wyłącznie Sam i to, jak bardzo go kocha.

Dzisiaj wieczorem mieli porozmawiać o przyszłości i o tym, co dla nich oznacza przyjęcie spadku Boots. Trzymając ręce pod stołem, skrzyżowała palce na szczęście. Sam wspierałby ją w każdym przedsięwzięciu. Max i Lucie byłiby razem. Ona prowadziłaby dalej swoją firmę, Sam uczyłby młodzież. Czegóż więcej chcieć? Dzieci. Wielu dzieci. Geny i Artie wspaniale nadawali się na dziadków. Gdyby ona i Sam mieszkali na ranchu, staruszkowie nie musieliby rezygnować ze swoich codziennych pielgrzymek. Wszyscy byłiby szczęśliwi. Uśmiechnęła się. Życie zapowiadało się tak pięknie.

Poczuła nagle, że Artie lekko kopie ją w kostkę. Na nią kolej, żeby coś powiedzieć. Spojrzała wokół siebie na wyczekujące twarze. Bali się stracić posady czy po prostu bali się zmian? Nowy właściciel zawsze wprowadzał nowe porządki.

- Na razie chciałabym, żeby wszystko toczyło się po staremu. To stanowisko jest dla mnie zupełnie nowe i nie miałam dość czasu, by nauczyć się wszystkiego o tej branży. Ale nauczę się, skoro Isabel Tyger powierzyła mi fabrykę. Nie zawiodę jej. Niemniej z czasem na pewno będziemy wprowadzać zmiany. Firma musi się rozwijać.

Otworzyła teczkę i wyjęła szkic, który zrobiła poprzedniego dnia. Rozwinęła kartkę i uniosła ją do góry.

- Proszę spojrzeć na ten rysunek. Tak wygląda nasza nowa zabawka.

Coś w rodzaju maskotki. Dzięki niej firma ruszy naprzód i będzie mogła konkurować z najpoważniejszymi producentami na rynku.

Proszę przyjrzeć się

rysunkowi bardzo uważnie. Chcę, żeby ta zabawka, a właściwie zestaw, była

gotowa i trafiła do sklepów już na sezon świąteczny. Piesek nazywa się...

Boots. Szczeniaki też potrzebują imion, cała dziewiątka. Mają być pluszowe,

mięciutkie i sympatyczne. To powinna być zabawka, którą dziecko mogłoby pokochać i przytulić. I chcę widzieć wystrzałową kampanię reklamową. -Patrzyła na twarze mężczyzn, którzy podawali sobie kartkę wokół stołu. Nie zobaczyła ani odrobiny szczerzego zainteresowania. Kiedy rysunek wrócił do jej rąk, oświadczyła spokojnie: - Może panowie nie zrozumieli, co właśnie powiedziałam. To nie podlega dyskusji. My będziemy produkować tę zabawkę. Tych, którzy się nie zgadzają albo czują, że nie potrafią się w to w pełni zaangażować, proszę o opuszczenie sali. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin mogę skompletować nowy zespół. Spotkamy się tu znów za miesiąc. Proszę się postarać. Za miesiąc chcę zobaczyć prototyp, i to dobry prototyp. I proszenie próbować zbyć mnie jakimś byle jakim, wypchanym zwierzątkiem. To nie przejdzie. A teraz możemy zacząć głosowanie.

Ręce uniosły się niemrawo. Helen nie dostrzegła ani jednego uśmiechu. Ten brak entuzjazmu doprowadzał ją do pasji. Artie i Gerry spojrzeli na nią wyczekująco. Powinna coś zrobić. I zrobiła. Uderzyła dłonią w lśniącą powierzchnię stołu.

- Panów brak entuzjazmu nie podoba mi się. Nie można siedzieć w zamknięciu, od czasu do czasu tylko wyglądając na świat. Wasze zabawki są toporne, ciężkie, bez polotu. Mówiąc krótko, tak przestarzałe, że aż żalosne.

Poza tym - głos Helen stał się niemal piskliwy - nie macie zabawek dla dziewczynek. Nie zależy mi na tym, żeby zabawki marki Tyger wytrzymały pięćdziesiąt lat. To wręcz... nie amerykańskie, jeśli zabawki sienie psują. Nawet nie próbuję się domyślać, dlaczego nie produkujecie zabawek dla dziewczynek. Musicie ruszyć naprzód. Musicie się dowiedzieć, czego chcą dzisiejsze dzieci. Dziewczynki też potrzebują zabawek. Zaczniemy powoli, od Boots. Macie miesiąc, panowie. Dziękuję za uwagę- skończyła lodowa tym tonem.

Odsunęła krzesło i brała właśnie torebkę, kiedy usłyszała chichot i słowo „piórka”. Zdawało jej się, że padło też słowo „łańcuszek”, ale nie była pewna. Twarz jej zapłonęła. Odwróciła się na pięcie.

- Proszę mi to powiedzieć prosto w oczy, proszę pana.

Korpulentny, łysy mężczyzna wstał, szurając nogami, wyraźnie zmieszany. Miał jednak na tyle przyzwoitości i odwagi, by wypowiedzieć głośno swoje zdanie.

- Zastanawiałem się, co handel piórkami i łańcuszkami na brzuch ma wspólnego z zabawkarstwem. To jest fabryka zabawek rodzinnych. Produkujemy zabawki dla całych rodzin, rodzin, które polegają na naszej solidności.

- W takim razie ciekawe, czego pan szukał na mojej stronie internetowej. Czy mam zakładać, że wszyscy panowie ją widzieli? I czy wszystkim panom się nie podoba, że nowa właścicielka sprzedaje piórka? Rozumiem.

Przemyślą to i omówimy tę sprawę za miesiąc, kiedy panowie zdacie mi raport ze swojej działalności. Życzę miłego dnia.

Gdy drzwi sali konferencyjnej zamknęły się wreszcie, Helen opadła bezwładnie na krzesło. Spojrzała na Artiego i Gerry'ego.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego Isabel Tyger tolerowała coś takiego. W tej sali nie było nikogo poniżej pięćdziesiątki. Wiek mi nie przeszkadza, ale gdzie błyskotliwi, młodzi ludzie z pomysłami? Gdzie nowoczesność? Gdzie zabawki na dziś, jutro i na przyszłość?

- Izzie bała się to zmienić. Tę firmę założył jej pradziadek, potem prowadził ją dziadek, a kiedy umarł, przeszła w ręce jej ojca. Nienawidziła tej fabryki. To się łączy z jej dzieciństwem. Uznała, że wszystko jest w porządku, dopóki firma zarabia pieniądze i pozwala jej na pełną swobodę. Nie znosiła tych zebrań, bo pracownicy taktowali ją tak, jak przed chwilą potraktowali ciebie. Radziłbym ci wykupić ich kontrakty, dać im przyzwoite odprawy i zacząć z bardziej przebojową ekipą. Ja i Artie chętnie zajmiemy się przesłuchaniami i zatrudnieniem i skompletujemy ci zespół, który ruszy z miejsca Tyger Toys - zaproponował Geny.

- Mają miesiąc - przypomniała Helen. - Ja sama nie chciałabym, żeby ktoś zrobił mi coś takiego, nie dając szansy. Są w takim wieku, że muszą zebrać pieniądze na emeryturę. Muszę dać im szansę.

Artie wybuchnął grzmiącym śmiechem.

- Wszyscy, co do jednego, których widziałas w tej sali, są zupełnie niezależni finansowo. Ich praca polega na tym, że przychodzą tu na parę godzin dziennie i pod koniec tygodnia odbierają czek z wypłatą. Izz wściekała się na to, ale nie potrafiła tego zmienić. Firma działa sama, bez żadnych zmian, od jakichś stu lat. Fabrykę co roku opuszcza określona liczba kolejek, ciężarówek czy co tam akurat sprzedają. Prawdę mówiąc, nigdy nie zainteresowałem się tym bliżej. Jak już mówiłem, firma działa sama. I, o dziwo, wykazuje spory zysk na końcu każdego roku obrachunkowego. Jeśli nawet zwolnisz ich wszystkich, zaszkodzisz wyłącznie ich dumie. Problem w tym, że oni nie lubią mieć do czynienia z kobietami. Izz nie umiała sobie z rym poradzić, więc to ignorowała.

- Z tego, co mówisz, wynika, że nie pofatygują się, żeby zrobić prototyp. Kiedy przyjdą tu następnym razem, będą próbowali mi wmówić, że to pomysł bez sensu, tak?

- Właśnie-potwierdzili chórem.

- Dobra. Stworzymy nową ekipę. I to od razu.

- Helen, nie przejmuj się tym, co mówili o twojej drugiej firmie - powiedział Geny.

- Nie przejmuję się. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Sexy Lady jest moja. Moja i Sama. Nigdy z niej nie zrezygnuję. Kto wie, może nawet

zrobię konkurencję dużym firmom? - Helen roześmiała się. - Możemy już iść? To miejsce jest takie przygnębiające. Ta ciemna, ponura boazeria i te staroświeckie zabawki we wzorcowni, na których leży z dziesięć centymetrów kurzu. Wielkie sprzątanie i malowanie to mój następny projekt. Wyłącznie jasne kolory. Ale w tej chwili chcę tylko wrócić do Sama. Jedźcie ze mną?

- Nie. Zostaniemy tutaj i zaczniemy tworzyć nowy zespół. A ty leć i zajmij się Samem. Przekaż mu od nas pozdrowienia.

Helen zawahała się przez moment, w końcu jednak uściskała serdecznie obu panów.

- Chcę wam za wszystko podziękować. A zwłaszcza za to, że jesteście przyjaciółmi Boots. Musiała bardzo was kochać. Mogę tylko żałować, że nie miałam okazji poznać jej tak, jak wy. Zrobię, co w mojej mocy, żeby sprostać jej oczekiwaniom. Zadzwońcie do mnie - dorzuciła beztrosko.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy, nie, Gerry?

- Na to wychodzi. Założę się, że to miejsce będzie wyglądać całkiem nieźle, kiedy nasza Helen się za nie zabierze. Młoda krew, świeże pomysły. Jasne kolory. Fabryka zabawek powinna wyglądać jak fabryka zabawek. I jeszcze w jednej sprawie miała rację: to rzeczywiście zupełnie nie amerykańskie, żeby zabawki się nie psuły. - Artie zatarł ręce na myśl o przyszłości.

- Może się okazać, że zaczynamy nową karierę, Artie. Jedyne, co musielibyśmy robić, to siedzieć i gadać. Żadnego wysiłku fizycznego, chyba że za bardzo się podekscytujemy. I artretyzm by cię nie gnębił.

- Izz dokonała słusznego wyboru. Trochę się niepokoiłem, ale nasza Helen świetnie da sobie radę. Kiedy policja i lekarze Daniela zobaczą zdjęcia jego mieszkania, sprawa będzie zupełnie jasna. Koniec kłopotów. Mam nadzieję, że ona wie, co tu robimy.

- Na pewno wie - powiedział z przekonaniem Gerry.

Artie odskoczył nagle od ściany, kiedy jeden z zakurzonych wagoników ześliznął się z haczyka.

- A nie mówiłem?- roześmiał się Gerry.

- Trzasnąłeś drzwiami. Wagon się oblużował i spadł. - Artie spojrział w górę.

- Aha, pewnie.

- Pewnie. - Artie uśmiechnął się szeroko.

- Kocham się z tobą kochać - westchnął uszczęśliwiony Sam.

- A ja kocham, kiedy ty się ze mną kochasz - powiedziała Helen, nie mniej szczęśliwa. - Jeszcze wina?

- Owszem, dolej mi do pełna - odparł, podając jej kieliszek o wysokiej nóżce.
- Jeśli mamy tu zamieszkać, będzie nam potrzebne większe łóżko. Musimy porozmawiać, Sam.
- Owszem, musimy. Z góry zgadzam się na wszystko. Chciałbym tylko dokończyć ten semestr w New Jersey. To zaledwie kilka tygodni. Potem mogę poszukać pracy tutaj. O meble już się nie martwię, on zniszczył wszystko. Dosłownie nie mam co pakować. Podoba ci się ten dom? Chcesz tu mieszkać?
- Na razie. To świetne miejsce do wychowywania dzieci. I psy mogą tu brykać do upadłego. Nie mogę... nie chcę też, by ten mały cmentarzyk był opuszczony. Artie i Geny go odwiedzają, to dla nich bardzo ważne. Tylko na razie, Sam. Mamy teraz tyle ziemi. Może kiedyś coś zbudujemy. Jesteś pewien, że ci to nie przeszkadza?
- Nie przeszkadza mi nic, dopóki żyjemy z mojej pensji i z tego, co zarabiasz w Sexy Lady. Natomiast nie zgadzam się na pieniądze Tygerów. Pomogę ci w fundacji i we wszelkich przedsięwzięciach dobroczynnych, którymi się zajmiesz. Muszę spłacić mój studencki kredyt. Ja. Nie ty. I nie Isabel Tyger. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale mam swoją godność.
- Zauważyłam, zauważyłam. Dobrze ci się przyjrzałam. I dlatego wiedziałam, że nie mogę cię stracić. Czy to nie wspaniale, że wszystko się dobrze skończyło?
- Według mnie to prawdziwy cud. Więc zamierzasz teraz robić różne dobre rzeczy, używając tych pieniędzy?
- Sam zobaczysz.
- Kiedy byłaś w Los Angeles, zająłem na twoją stronę internetową. Tkwisz po szyję w łańcuszkach. Będziesz musiała zatrudnić kogoś do pomocy. W głowie się nie mieści. Kto by pomyślał, że łańcuszek na brzuch może mieć takie powodzenie?
- Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że w drodze ze szkoły mijaliśmy elegancki sklep z bielizną? Kiedyś wystawili w oknie manekin, przebrany za grecką boginię. Ubrali go w przejrzysty strój i łańcuszek z medalikiem, który zwisał poniżej pasa. Pomyślałam wtedy, że to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Byłam młoda i byle co robiło na mnie wrażenie. Jakoś utrwalił mi się ten obraz. To chwilowa moda. Tak jak z pantoflami na szpilkach. - Helen zamyśliła się. - Jak sądzisz, kiedy będą załatwione wszystkie formalności i znowu będę Helen Stanley?
- Nie wiem. Wiem tylko jedno: jak tylko wszystko się wyjaśni, pobierzemy się. Będę miał na oku i tych prawników od twoich dokumentów, i tych od sprawy rozwodowej. Nie chcę, żebyś ty zawracała sobie tym głowę. Masz

myśleć tylko o mnie, psach, Sexy Lady i zajmować się tym, czego oczekiwała od ciebie Isabel Tyger.

- A wiesz, czym chcę się zająć teraz?
- Czym? - zapytał z lubieżnym uśmiechem.
- Chcę się z tobą kochać.
- Nie miałem dziś lepszych propozycji. A może jest już jutro?
- Czy to ważne? Liczy się tylko ta chwila.
- Kocham cię, Helen.
- Ja ciebie bardziej.
- Już na zawsze.
- I na wieki wieków - uśmiechnęła się.

Epilog

Jutro o tej porze będę już panią Tolliver. Ślub w Wigilię, to naprawdę wspaniałe. Wierzę, że właśnie to nam było pisane, tak się musiało stać. Nigdy nie przegapię naszej rocznicy. Jestem taka szczęśliwa, że chyba... piękne! Julio, nawet nie wiesz, jaka jestem wdzięczna, że zgodziłaś się być moją druhną.

- Wyglądasz oszalamiająco, Helen. Nigdy cię takiej nie widziałam. Mam nadzieję, że już zawsze będziesz taka szczęśliwa. Chcę ci jeszcze raz podziękować za... moją wygraną na loterii. I za łańcuszek. Dzięki tobie mogłam się jakoś urządzić, sama nie dałabym rady. I na dodatek w czasie tej wycieczki statkiem, na którą mnie wysłałaś, poznałam wspaniałego mężczyznę. Przyjedzie tu dzisiaj po południu. Opowiedziałam mu wszystko o mojej przeszłości. Stwierdził tak jak Sam, że to, co było, jest już nieważne. Dzięki tobie miałam odwagę opuścić schronisko i odzyskać własną osobowość. To zawsze takie trudne, wyrzec się siebie. Może aż taka desperacja nie jest wskazana dla każdego, kto przekracza drzwi schroniska, ale niektórzy wygrywają. Wszystko zawdzięczamy tobie. Co ja, na litość boską, pocznę z milionem dolarów?

- Nie mam pojęcia, Julio. Powiedziałaś kiedyś, że gdybyś wygrała na loterii, wiedziałabyś, co zrobić z pieniędzmi. Tego dnia, kiedy wypisałam ci czek, tyle właśnie wynosiła wygrana na loterii w New Jersey. Jeśli naprawdę to twoje jedyne zmartwienie w nowym życiu, to można ci pozazdrościć.

- Odwiedzicie kiedyś z Samem mnie i Toma?
- Więc on ma na imię Tom? Wygląda na to, że jesteś zdecydowana. Zamierzasz wrócić z nim do Montany?
- Tak.
- No to wszystkiego najlepszego.
- Czy twoja matka przyjdzie na ślub? A co z siostrą Daniela?

- Co do matki, to nie jestem pewna. Zaprosiłam ją. Chłopcy ją odnaleźli to znaczy Artie, Geny i Sam. Mówię na nich chłopcy. Kupiłam jej ładny domek z ogródkiem. Połączyłam z nią też po sklepach, wybrała sobie trochę nowych ciuchów i meble. Zapytałam ją, czy ma jakieś marzenie, które mogłabym spełnić. Zażyczyła sobie lifting. Jeśli opuchlizna i sińce już jej zeszły, to może przyjdzie. Ale nie liczę na to. Założyłam jej konto, żeby nie musiała już pracować. Jesteśmy dla siebie uprzejme, ale nie ma w tym wszystkim ani krzty matczynej miłości. Muszę się z tym pogodzić. Chciałabym, żeby było inaczej. Czy to nie dziwne, Julio? Zawsze chcemy czegoś, czego nie możemy mieć. Siostra Daniela nie odpowiedziała na zaproszenie, więc nie spodziewamy się jej.

- Chyba masz wszystko, czego pragnęłaś.

- Tak, Julio. Mam wszystko. Ziściły się najskrytsze moje marzenia.

- A co z Danielem?

- To długa i przygnębiająca historia. Nie pytaj, dlaczego, ale poszłam się z nim zobaczyć. Myślę, że chciałam na własne oczy się przekonać, że już nie jest dla mnie zagrożeniem. Nie poznał mnie. A ja prawie nie poznałam jego. Zapuścił brodę i wąsy, nosi jednocześnie kombinezon i kapcie. Kiedy chodzi, szura nogami, prawie nimi powłóczy. Dowiedziałam się, że płaci za niego opieka społeczna. Jego matka nie chce go znać. Ojciec niemal zbankrutował. Płacił za niego, dopóki miał pieniądze. Teraz płaci fundacja. Wiem, wiem, nic nie mów. To był pomysł Sama. Sprzeciwiałam się, ale powiedział, że trzeba postępować po ludzku; co racja to racja. Myślę, że Daniel jest szczęśliwy w swoim małym światku, jeśli to w ogóle możliwe. Podobno całymi dniami klepie w klawiaturę komputera. Ten rozdział mojego życia jest już zamknięty. I staram się do niego nie wracać.

- Mam nadzieję, że rozmawialiście o mnie - powiedział Sam, obejmując Helen.

- Owszem. I mówiliśmy same najmiłsze rzeczy. Pewnie dlatego, że nie można o tobie powiedzieć nic złego.

- Chcę wam coś pokazać, moje panie. - Sam włączył telewizor. Była właśnie pora południowych wiadomości.

- O co chodzi? - spytała zaniepokojona Helen.

- To coś w rodzaju boomu przed świętami - prychnął. -

Rozwrzeszczane i piszczące matki, które biją się, czekając w kolejkach na Boots i jej szczeniaki. Ten sklep właśnie przyjął dostawę dwudziestu pięciu tysięcy zabawek, a z tych dwudziestu pięciu tysięcy dziewięćdziesiąt dziewięć procent zostało wykupionych w przedsprzedaży. To znaczy, że jeżeli któraś z tych rozwrzeszczanych matek nie ma paragonu, odejdzie z niczym. Badania rynku wskazują, że Boots jest największym zabawkowym bestsellerem wszech czasów. Skąd wiedziałaś, Helen?

- Nie wiedziałam. Chciałam tylko złożyć w ten sposób hołd Isabel Ty-ger. Ten mały piesek był dla niej wszystkim, tak jak Lucie dla mnie. Dzięki temu Tyger Toys wyrobi sobie miejsce na rynku zabawkarskim. Mam nadzieję, że ona o tym wie.

- Jestem pewien, kochanie.
- A dla mnie nie została nawet jedna Boots. Chciałam zatrzymać sobie prototyp, ale Artie wpadł na wspaniały pomysł, żeby w Święto Dziękczynienia wystawić go na aukcji na rzecz dzieci chorych na białaczkę.
- Będę się zbierać, muszę jechać na lotnisko. Przywieźć wam coś w drodze powrotnej? - zapytała Julia.
- Nie, dzięki. Spotkamy się przy kolacji. - Helen zwróciła się do Sama. - Julia jedzie po ślubie do Montany.
- Brawo, Julio. Do zobaczenia wieczorem.
- Dla ciebie wszystko, Sam.
- Obiecanki cacanki.

- Jestem taka zdenerwowana, Julio. Dobrze wyglądam? Nie za dużo lakieru na włosach? A te kolczyki, pasują do moich pereł? Sukienka jest o parę centymetrów za długa. Jak myślisz? Coś starego, coś nowego, coś pożyczonego i coś niebieskiego. Mam chyba wszystko. Na pewno, Julio? Och, jesteś taka śliczna. Tom to prawdziwy przystojniak. Podoba mi się, taki surowy. Nałożyłam za dużo różu. A ta szminka zupełnie nie pasuje. Gdzie ja miałam oczy? - trajkotała Helen.

- Przestań się miotać. Wyglądasz idealnie. Zaufaj mi. Nie puściłabym cię na twój własny ślub, gdyby choć jeden włos był nie na miejscu. Jesteś tylko zdenerwowana. Wszystkie panny młode się trzęsą. Jeszcze pięć minut. Weź głęboki oddech. Założę się, że Sam denerwuje się jeszcze bardziej.

- Sam? Sam zawsze nad sobą panuje, choćby się paliło i waliło. On się nie podnieca byle czym, jak ja. Dobra. Jestem gotowa.

Na jej widok Sam po prostu zaniemówił. Wyglądała tak pięknie, że dech mu zaparło w piersi. Chciał coś powiedzieć, ale mógł tylko gapić się na swoją narzeczoną. Za pięć minut miała zostać panią Tolliver. Za pięć minut będzie miał żonę. Na moment zrobiło mu się słabo.

Helen stanęła obok niego, Artie i Geny za nimi, a Julia i Les, ulubiony student Sama, po prawej stronie młodej pary.

- Zebraliśmy się tutaj...
- Kto oddaje tę kobietę...
- My - pisnęli chórem Artie i Gerry.

- Helen, czy bierzesz sobie tego mężczyznę, Sama Tollivera, za małżonka?
 - Tak.
 - Samie, czy bierzesz sobie tę kobietę, Helen Stanley, za małżonkę?
 - Tak.
 - Ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą. Kiedy Helen trochę się uspokoiła, odwróciła głowę i aż zachłysnęła się ze zdziwienia.
 - Mamo, przyszłaś jednak.
 - No cóż... nie byłam pewna... wyglądasz tak ładnie, Helen. Ja też tak kiedyś wyglądałam - powiedziała smutno.
 - Pani Stanley, jest pani tak samo ładna, jak pani córka. Prawie nie mogę was rozróżnić - wtrącił szarmancko Sam.
 - Bzdury pleciesz, młody człowieku, ale dziękuję za komplement. Przyniosłam ci prezent, Helen. Nic wielkiego. Teraz masz przecież wszystko. To tylko... to jest twoja bransoletka ze szpitala, w którym się urodziłaś. Pomyślałam, że może zechcesz ją mieć. I jeszcze buciki dla twojego dziecka.
 - Och, mamo - szepnęła Helen z oczami pełnymi łez. - Chodź, wzniesiemy toast.
 - Nie mogę zostać. Obiecałam... tylko proszę, nie śmieć się... obiecałam, że zaśpiewam w chórze na pasterce. Muszę iść na próbę.
 - Mamo, to wspaniale. A może przyjdiesz jutro na obiad?
 - Bardzo chętnie, Helen. Bardzo chętnie. Gratuluję wam obojgu.
 - Dziękuję, mamo.
- Po policzkach Helen potoczyły się łzy. Sam osuszył je pocałunkami.
- Nigdy jeszcze nie była dla mnie taka miła, Sam.
 - Może już zawsze tak będzie. W końcu to pora cudów, prawda? Spójrz wokół siebie, Helen. Czy to nie nadzwyczajne? Choinka wygląda olśniewająco, i ten niebiański zapach w całym domu. Nasi najlepsi przyjaciele są z nami. Psy są szczęśliwe, zdrowe i nierozłączne. Ja w przyszłym miesiącu zaczynam wykłady. Jesteśmy teraz małżeństwem. Przed nami wspaniałe życie, możemy z radością patrzeć w przyszłość.
 - Jestem taka szczęśliwa, Sam.
 - Ja też, najdroższa.
 - My również się zbieramy, Helen - powiedziała Julia. - Tom chce jeszcze pójść do kościoła, zanim wyruszymy do Montany, więc chyba się już pożegnaj. Po drodze podrzucimy Lesa na lotnisko. Stwierdził, że nic mu się nie stanie, jeśli poczeka godzinkę na samolot.
 - Obiecuj, że będziesz pisać i dzwonić.
 - Obiecuję.
 - Na nas też już czas - szepnął Gerry ze smutną miną.

- O nie. Wy dwaj zostajecie z nami. Przebierzemy się i pójdziemy na mały spacer. Wszyscy czworo. A właściwie sześcioro, jeśli liczyć psy. A potem wrócimy tutaj i rozpakujemy prezenty. Jest ich niezła sterta. - Helen wskazała na wysoki stos pudeł pod choinką. - Pakowałam je godzinami. I musicie to docenić. Poza tym zostajecie z nami na noc i spędzimy razem Boże Narodzenie. Innymi słowy, pan i pani Tolliver mają zaszczyt zaprosić panów na święta.

- Zaproszenie przyjęte - oświadczył Artie.
- No pewnie! - dorzucił Geny.

- Pierwszy raz, odkąd tu przychodzę, nie czuję się, jakby mnie ktoś kopnął w żołądek - wyznał Geny.

- Myślę, że to twoja zasługa, Helen - dodał Artie.

- Mam nadzieję. Gdyby teraz, w jakiś sposób, mogło się spełnić jedno jedyne moje życzenie, to chciałabym, żeby Isabel dowiedziała się, że zrobiłam, co mogłam. Boots i jej dzieci będą żyć wiecznie. Sam mówi, że ta zabawka wejdzie do historii.

- Ona to wie - stwierdził Geny.

- Na pewno - zawtórował mu Artie.

- Już późno, powinniśmy wracać - powiedział Sam, czując jakiś dziwny niepokój. - Prawie świta, Boże Narodzenie.

- Psy pobiegły przodem, a ani podążyli za nimi.

- Wypijemy jeszcze strzemiennego, odśpiewamy refren *Dzwonków sań* i kładziemy się spać. Prezenty będą musiały poczekać do jutra - zdecydował Artie.

- Zgadzam się z moim przyjacielem - dodał Geny.

- Ja naleję - zaofiarował się Sam.

- Czekajcie no chwilę. Który z was zdobył dla mnie zabawkę roku i położył ją pod choinką? - zapytała Helen, podnosząc pluszowego pieska i dziewięć szczeniaków ułożonych w wiklinowym koszyku. - Promieniuje z nich jakaś poświata.

- Nie da się ich nigdzie wyłagać, pożyczyć ani ukraść - odparł Artie. - Zapewniam cię. Próbowaliśmy wszystkiego.

- Ja też, kochanie. Bez skutku - dodał Sam.

- Julia ich nie zostawiła ani moja matka. Nie były tu, kiedy szliśmy na cmentarz. I skąd ten blask? Czy wy to też widzicie, czy tylko ja?

- Mówiłem ci, że ona wie-burknął Artie.

- Przed Izzie nic się nie ukryje. Zawsze o wszystkim wiedziała - stwierdził Geny.

- Żałuję, że jej nie znałem - powiedział Sam z westchnieniem.
- Wesółych Świąt, Boots - szepnęła Helen.

W końcu zostali sami.

- Sam?
 - Óóóóó. Wierysz w to, w co chcesz uwierzyć. Siądźmy na kanapie i poczujmy się wreszcie jak pan i pani Tolliverowie.
 - To chyba niezły plan - roześmiała się.
 - Za nas. - Sam trącił kieliszkiem o jej kieliszek.
 - Za nas - odparła.
- Koniec.